

GENUINE

MASTERY

SKYLA ARNDT





SKYLA ARNDT

GNIJĄCE  
MIASTECZKO

SKYLA ARNDT

**GNIJĄCE  
MIASTECZKO**

TŁUMACZENIE  
HANA MATEJEK-KHOURI

OŚWIĘCIM 2024

Tytuł oryginału

*Together We Rot*

Copyright © 2023 by Skyla Arndt

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo Nowe Strony

Oświęcim 2024

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

**Redakcja:**

Magdalena Magiera

**Korekta:**

Sandra Pętecka

Joanna Boguszevska

Karolina Piekarska

**Redakcja techniczna:**

Paulina Romanek

**Projekt okładki:**

Paulina Klimek

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Numer ISBN: 978-83-8362-323-8

# Spis treści

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Rozdział dwudziesty drugi

Rozdział dwudziesty trzeci

Rozdział dwudziesty czwarty

Rozdział dwudziesty piąty

Rozdział dwudziesty szósty

Rozdział dwudziesty siódmy  
Rozdział dwudziesty ósmy  
Rozdział dwudziesty dziewiąty  
Rozdział trzydziesty  
Rozdział trzydziesty pierwszy  
Rozdział trzydziesty drugi  
Rozdział trzydziesty trzeci  
Rozdział trzydziesty czwarty  
Rozdział trzydziesty piąty  
Rozdział trzydziesty szósty  
Podziękowania  
Przypisy

*Za metamorfozy*

*I tak przeklął Bóg ogród wraz z człowiekiem*



# Rozdział pierwszy

## Wil

– Nie możemy zaliczyć tego jako dowód, jeśli ich nagabywałaś, Wil.

Szeryf Vrees rozpętał burzę, gdy tylko wparowałam przez drzwi, ale teraz, na dokładkę, wydał z siebie kolejne jęknięcie. To taki nasz cotygodniowy rytuał, jego i mój. Spędziłam ostatni rok, pochylając się nad sprawą zaginięcia mojej matki i tym samym wbijając mu się w żebra jak cierń, a on spędził ostatni rok, myśląc o swojej wcześniejszej emeryturze.

– Nie można rozwiązywać przestępstw poprzez popełnianie kolejnych – powiedział stanowczym tonem.

Każdego dnia przychodzę na komisariat policji w Pine Point z nowymi poszlakami. On je odrzuca, a potem kłócimy się przez piętnaście minut. Dzisiaj dobrnęliśmy do drugiej minuty naszego harmonogramowego przekomarzania się.

Uderzyłam dłonią o blat. Mężczyzna miał szczęście, że dzieliła nas barierka. Były dni, że o niczym nie marzyłam tak bardzo, jak o tym, aby przeskoczyć przez nią i zacząć go dusić.

– A więc przyznajesz, że to co się stało, było przestępstwem?

Stojący za nim współpracownicy nawet nie zwrócili na nas uwagi. Zdążyli się przyzwyczaić do naszych kłótni. A poza tym byli zbyt zajęci niewykonywaniem swojej pracy: rozmowami, zwijaniem papierów i wrzucaniem ich do koszy, siorbaniem kawy i podjadaniem pączków. To wszystko było aż nazbyt stereotypowe. I wystarczające, aby doprowadzić mnie na sam skraj wytrzymałości.

Jeden z nich majstrował przy radiu i puszczał przez trzeszczące głośniki ciche, świąteczne piosenki. Nie obchodziło mnie, ile jeszcze będę musiała słuchać Michaela Bublé, ani to, jak mocno padał śnieg za oknem. Nie byłam w świątecznym nastroju. Moja cierpliwość miała swoje granice i właśnie się do nich zbliżaliśmy. Mój dzisiejszy nastrój najlepiej opisywało określenie: za pięć sekund dojdzie do fizycznej napaści na funkcjonariusza.

– Powtarzam po raz ostatni, panno Greene, nie ma w tej sprawie śladu osób trzecich. – Zaplótł palce tak jak zawsze, gdy był absolutnie wściekły. Ledwo powstrzymywał się, aby nie wybuchnąć.

W ciągu ostatnich dwunastu miesięcy nie byłam dla niego zbyt łaskawa. Oczywiście miał wyblakłe, siwizna przedzierała się przez jego czarne włosy, a na skórze rysowały się

zbiorowiska przedwczesnych zmarszczek.

– Przyjrzelismy się sprawie twojej matki. Byliśmy niestrudzeni. Robiliśmy to bez końca. Wszystko jednak wskazuje na to, że twoja matka z własnej woli wyjechała z miasta.

Ściana za jego plecami stała się wyblakłą, bladożółtą plamą. Rozmazała się wraz z resztą gabinetu. I wraz z nim. Milczący, tępy i niczym niewyróżniający się szeryf Vrees był tak nijaki, jak to tylko było możliwe. Jak wystygnięta kolacja przed telewizorem albo jak bezmyślne sobotnie popołudnie – takie, podczas którego oczy są zaszkłone, a w tle cicho lecą lokalne wiadomości.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy mężczyzna okazał więcej emocji niż kiedykolwiek w całym swoim życiu. Powinien mi za to podziękować.

Zastukałam palcem w zdjęcie. Mój paznokieć był obgryziony. To, jak udało mi się zdobyć dowód, nie powinno mieć znaczenia.

– Ja też się temu przyglądałam, Mark. Byłam niestrudzona. I robiłam to bez końca. Spójrz, co udało mi się znaleźć.

Zdjęcie, które zrobiłam, przedstawiało lubianego miejscowego kaznodzieję – z pozoru równie nietykalnego jak sam Bóg – znajdującego się w lesie za swoim domem. Obraz był zacieniony, a mrok sprawiał, że scena wydawała się nieuchwytna jak mgła. Pomimo to księżyc świecił wystarczająco jasno, aby zakreślić jego sylwetkę i rozwiać wątpliwości. Zaciskał ręce na gardle zająca. Gdy pastor Clarke przełamał kark zwierzęcia, krew splamiła lód szkarłatem.

Wzrok szeryfa Vreesa zatrzymał się na zdjęciu przez marną sekundę.

– Nie rozumiem.

Prychnęłam.

– Ten człowiek złożył zwierzę w ofierze. Nie wydaje ci się to dziwne?

– W ofierze? – fuknął. – Z taką logiką wszyscy na Półwyspie Górnym należą do sekty.

Aby udowodnić swój punkt widzenia, że rytualne składanie ofiar ze zwierząt jest popularną rozrywką na Półwyspie Górnym Michigan, Vrees wskazał głową na zdjęcia stojące na jego biurku. Obok portretu jego ciężarnej żony widniała myśliwska fotografia. Na niej Vrees z zaczerwienionym nosem stał przed rzędem jeleni i uśmiechał się dumnie obok zwierzęcej padliny.

– Jeleń królewski – mruknął pod nosem.

– Co za bestia – zawołał oficer Mathers ze swojego stanowiska.

Na ekranie nie miał nawet otwartego żadnego dokumentu. Ten drań grał partyjkę pasjansa. I do tego przegrywał.

Na początku moja cierpliwość była nadszarpnięta, ale właśnie jej limit się skończył.

– Obojętne – mruknęłam. – To tylko jedna z rzeczy, które mam ci do pokazania. Znowu pisałam na swoim forum i...

– Geny Nancy Drew<sup>1</sup> są silne w twojej rodzinie, co? – Vrees miał z tego niezły ubaw. Zacisnęłam dłonie w pięści i oparłam je na biodrach.

– Moja matka nie jest zwykłym detektywem amatorem, dobra? Jest dziennikarką. Była dziennikarką. Zdobyła w tej dziedzinie wykształcenie, zanim się tu przeprowadziła i została pedagogiem szkolnym. Z resztą nie muszę ci nic z tego tłumaczyć. To nie jest twój interes.

Grymas Vreesa zniknął pod jego wąsami.

– Nie obchodzi mnie co ty lub TrueCrimeLover420 macie do powiedzenia, Wil. Przerabialiśmy to już milion razy. Ta sprawa jest zamknięta.

– Owszem, tak było. I jeszcze ani razu mnie tak naprawdę nie wysłuchałeś. – Chciałam wyrwać mu moje zdjęcie, ale Vrees był szybszy. Odsunął rękę tak, abym nie mogła dosięgnąć fotografii i rozerwał moją pracę z bezduszną skutecznością.

– Co, do cholery?

Jego skóra marszczyła się z frustracji.

– Współczuję ci, uwierz mi, dzieciaku, naprawdę. Ale sprawa twojej mamy jest niemalże zamknięta. Wyjechała z miasta. Ani ty, ani twój tata na to nie zasłużyliście, ale takie jest życie. – Popijał kawę, jakbyśmy rozmawiali o pogodzie, a nie o jego własnej nieudolności i mojej zaginionej matce. – Najwyższy czas, żebyś przestała bawić się w Sherlocka i zostawiła rodzinę Clarke'ów w spokoju. To dobrzy ludzie. Dobrze służą temu miastu.

Raczej nie określiłabym ich jako dobrych ludzi. Nie minęły dwa dni od zaginięcia mojej mamy, gdy pani Clarke zapukała do naszych drzwi.

– Tak mi przykro w związku z tym, co się stało z twoją matką, Wilhelmino – zaczął przesyłanym głosem, że aż zazgrzytało mi w uszach. Jej oczy były jak plamy rozlanego atramentu, a uśmiech prezentował rząd olśniewająco białych zębów. – Przekaż moje pozdrowienia swojemu ojcu. Cała nasza parafia modli się o jej szybkie odnalezienie.

A kiedy wyciągnęła w moją stronę rękę, aby chwycić mnie za dłoń, mogłabym przysiąc, że bransoletka mojej matki zadźwięczała na jej nadgarstku.

Vrees chwycił się za nasadę nosa.

– Za to, jak ich nękaasz, to oni powinni złożyć skargę na ciebie. A zamiast tego pomagają twojemu tacie uwolnić się od tego motelu, który jest dziurą finansową bez dna.

„Motel, który jest dziurą finansową bez dna” oznaczał nasz rodzinny dom, czyli jedyną część mojej matki, jaka mi pozostała. A „pomoc mojemu tacie” oznaczała

odebranie nam tego miejsca, zrównanie go z ziemią i wybudowanie tam parkingu. Wszystko po to, aby wypędzić nas z miasta. Vrees nie był jedyną osobą, która miała mnie już dość. Nigdy nie zapomnę tego, jak pan Clarke zeszywniał, gdy krzyknęłam do niego, stojąc po drugiej stronie ulicy. Nie zapomnę tego ognia piekielnego, który rozpałał jego oczy, gdy odwrócił się w moją stronę.

– Uważaj na siebie, panno Greene.

Możesz szturchać niedźwiedzia tak długo, aż bestia wystawi kły, ale ja nie miałam zamiaru dać się komukolwiek zastraszyć. Też potrafiłam pokazać zęby.

Uderzyłam pięścią w biurko na tyle mocno, że wszystkie głowy zwróciły się w moją stronę.

– Ja również powtarzałam ci to milion razy. Nigdy się nie poddam w sprawie mojej matki. W przeciwieństwie do ciebie, mnie naprawdę obchodzi jej los.

– Idź do domu, Wil – rozkazał.

Prychnęłam i schowałam komórkę głęboko do kieszeni, zanim Vrees zdążył również i ją skonfiskować. Czując, jak tuzin oczu wbija się w moją skórę, szturmem przedarłam się w stronę zamrożonego, okrutnego krajobrazu zewnętrznego świata.

– I jeszcze jedno, Greene! – zawołał za mną. Jego głos był bardziej zgrzytliwy niż zwykle. – Potraktuj to jako ostrzeżenie. Następnym razem, gdy zobaczę, że dręczysz kogokolwiek z miasta, czeka cię piekło.

Zamarłam odwrócona do niego plecami. Zaciskałam pięści na kłance tak mocno, aż myślałam, że za moment ją wyrwę. Śnieg za oknem sprawiał, że wiecznie zielony las rysował się w jeszcze bardziej intensywnych odcieniach. Podobnie jak oczy, które jaśnieją po płaczu. Nie pomimo bólu, ale dzięki niemu. Przełknęłam łzy.

– Nie martw się. Od teraz dam sobie radę sama.

Zatrzasnęłam za sobą drzwi.

Oczywiście mój rower stojący na parkingu był przykryty warstwą śniegu. Odkopanie go zajęło mi kilka minut, potem usiadłam na śliskim siedzeniu i ruszyłam, choć początek nie był łatwy.

O tej porze drogi nie były zanadto zdradliwe, ale jazda w taką pogodę nie należała do przyjemnych.

Burza wybieliła błękit nieba. Pine Point zawsze wyglądało ponuro, ale brak koloru tylko pogarszał sytuację. Był to upiorny odcień szarości, złowieszczy i zaraźliwy. Wsiąkał w moją skórę, potęgując tylko poczucie, że ten dzień był okropny, aż w końcu wydawało mi się, że cały świat stanął na głowie. Jakbym już nigdy nie miała być szczęśliwa.

*Weź się w garść.*

Zaczęłam pedałować szybciej. Powinnam wrócić do domu – rozgrzać się przed nocną obserwacją domu Clarków – ale dom był ostatnim miejscem, w którym chciałam teraz być. Więc zamiast tego skierowałam się do jednej z niewielu osób w tym mieście, na których mi zależało.

Ronnie Clearwater była w połowie swojej zmiany w Earl's Diner. Faktem jest, że kiedyś mnie stamtąd zwolnili, ale Earl jeszcze nie zabronił mi przychodzić, więc regularnie tam zaglądałam.

W oddali zauważyłam neonową czerwień szyldu, która była jak latarnia morska – ciastka Earla przebijały się przez gęstą biel. Musiałam przyznać, że choć reszta jego jedzenia była w najlepszym razie na poziomie szkolnej stołówki, to jego popisowe paszteciki były zaskakująco dobre.

Restauracja była mała i mocno przestarzała, ale miała dach i ogrzewanie, więc mi to odpowiadało.

Poza tym w oknach wisiało chyba milion małych sosnowych odświeżaczy powietrza, a to był dodatkowy atut. Prawdziwe sosny rosnące na zewnątrz nie pachniały aż tak intensywnie.

Nawet w grudniu las Morguewood<sup>2</sup> cuchnął wręcz niewyobrażalnie. Smród rozkładu unosił się z leśnej gleby i łaskotał mnie w nos. Ten nieprzyjemny, nieustający zapach, utrzymywał się tutaj przez cały rok. Pierwszy mróz nieznacznie go tłumił, ale wciąż miałam wrażenie, że żółć podchodziła mi do gardła.

Leśne stworzenia giną na potęgę. Jelenie sztywnieją od mrozu, a niedźwiedzie z oczami utkwionymi w ponurej i szarej przestrzeni nieba leżą pośród wygłodniałych much i pełzających larw. Zima utrzymuje ich ciała w świeżości, a ich zwłoki rozmrażają się dopiero na wiosnę, by następnie rozłożyć się podczas deszczowego lata.

Gdy dotarłam do restauracji, oderwałam wzrok od drzew.

Otworzyłam drzwi i pchnęłam swój rower na krawężnik. Nie pofatygowałam się, aby zapiąć go na kłódkę. To zardzewiały starość, którego nikt przy zdrowych zmysłach by nie ukradł. Jeśli ktoś potrzebowałby go aż tak bardzo, musiałby znajdować się w gorszej sytuacji niż ja.

Warto napomknąć, że restauracja Earla nie należała do tych uroczych, małomiasteczkowych knajpek w stylu lat pięćdziesiątych.

Podłoga nie była wyłożona modnymi, czarno-białymi kafelkami. Nie było tu lakierowanych, czerwonych krzeseł ani nastolatków popijających milkshake'i przy ladzie, podczas gdy ktoś inny wybierałby piosenkę Elvisa w szafie grającej.

Zamiast tego obecna tu boazeria była brzydka jak siedem grzechów głównych. Do tego przykładał się jeszcze fakt, że na ścianach wisiała przytłaczająca liczba jelenich

głów i wypchanych ryb, które gapiły się na jedzących klientów. W radiu grała lokalna stacja – jakaś dźwięczna piosenka country o żonie, która chciała popełnić zbrodnię na swoim mężu.

Na brudnej wycieracze otrzepałam się ze śniegu i stanęłam w chorobliwie białym blasku świetlówek. Tkwiły w nich pokolenia zdechłych much, a gdy lampy trzaskały, dźwięk przypominał trzepot skrzydeł.

Zazwyczaj w tym miejscu nastąpiłby moment, w którym usiadłabym w jednym z najbrzydszych boksów, a następnie wytarłabym ze stołu okruchy po ostatnim z klientów. Ronnie wręczyłaby mi resztkę tłustych frytek i zajęłybyśmy się plotkowaniem aż do końca jej zmiany.

Ale nie dziś. Dziś była trzymana jako zakładniczka przy czyimsz stoliku. Biorąc pod uwagę, jak drżały jej pięści i jak zaciskała zęby, wywnioskowałam, że wolałaby raczej przebiec milę na zimnie, niż rozmawiać z tą klientką.

Wiedziałam, kto tam siedzi, zanim jeszcze dokładniej się przyjrzałam. To był były chłopak Ronnie, Lucas Vandenhede.

W całym okręgu szkolnym Pine Point było mniej niż stu uczniów, ale Lucas Vandenhede obrał sobie za cel, aby stać się najbardziej irytującym z nich. Był chodzącą, gładzącą migreną. Już po pięciu minutach w jego obecności potrzebowałam excedrinu.

Wszystko w nim było tak sztuczne; aż nazbyt poukładane. Jego proste białe zęby były efektem lat pracy ortodonta, a każde słowo, które wychodziło z jego ust, było niczym kalka tych tandetnych filmów o licealistach z lat osiemdziesiątych.

– Chcę tylko porozmawiać, Vee.

– Nie mamy o czym – ucięła Ronnie, a ja byłam z niej dumna. Wzięła sobie do serca moje codzienne wykłady o tym, jak być zołą.

– Proszę...

– Dobra, dobra. Chcesz porozmawiać? – powtórzyła Ronnie, a jej głos zmienił się w ostry, warkliwy szept. Choć nie był aż tak cichy, skoro usłyszałam ją z drugiego końca restauracji. – W porządku, porozmawiajmy. Zacznijmy od tego, jak przez cały semestr flirtowałaś z Leah Westbrooke. To dlatego się tutaj zjawiłaś? Bo znalazła sobie chłopaka? Tylko marnujesz czas, przychodząc tu z podkulonym ogonem.

Wiedziałam, że aż się w niej gotowało, bo owinęła kosmyk włosów wokół palca. Niektórzy robią to, aby flirtować, ale dla Ronnie była to alternatywa wrywania sobie włosów z głowy. Skrzywiłam się, widząc ich kolor. Jej wredna matka szybko zakryła błękit. W niecałe czterdzieści osiem godzin zdążyła już zawieźć córkę do salonu, który był oddalony o godzinę drogi stąd, aby to naprawili. Teraz włosy Ronnie nie były już dziewczęcym blondem, a jego złotą imitacją.

Policzki Lucasa zapłonęły szkarłatem.

– Nie flirtowałem z nią. Vee, ona jest moją partnerką na zajęciach laboratoryjnych. Co miałem zrobić? Nie zamienić z nią ani słowa na wypadek, gdybyś przestała mnie nienawidzić i chciała się pogodzić?

Przyjaciel Lucasa, Kevin Garcia, siedział pomiędzy nimi jak struchlały sędzia sportowy. Wyglądał na tak absolutnie niepasującego do całej tej sytuacji, że niemal było to zabawne. Był jak Waldo ukryty pośrodku pola bitwy, który uśmiecha się nieznacznie pośród poległych żołnierzy. Z tym szkopułem, że Kevin nie był typem chłopaka, który nosi koszulki w czerwono-białe paski. Był chodzącą reklamą tego, co dziwne i niezbadane.

Miał na sobie świąteczny sweter z kosmicznym motywem. Z przodu było nabazgrane: *CHCĘ WIERZYĆ (W ŚWIĘTEGO MIKOŁAJA)*, a dalej widniał obrazek statku UFO ciągniętego przez renifery. Kevin był wysoki jak olbrzym z bajki *Jaś i magiczna fasola*, miał czarne, krótko przycięte włosy i karnację w kolorze ciepłego brązu. Był jednym z tych facetów, do których dziewczyny ustawiałyby się w kolejce, gdyby nie miał aż takiej obsesji na punkcie Wielkiej Stopy.

Kevin zauważył mnie, gdy się im przyglądałam, i posłał mi zakłopotany półuśmiech.

Nie byliśmy przyjaciółmi, ale wydawało mi się, że był to jeden z tych momentów, w których pomyślał: „Gratulacje! Jesteś jedyną osobą, która dostrzega mnie w tej sytuacji!”.

Nie odwzajemniłam jego spojrzenia.

Kevin przestał się uśmiechać i zajął się oglądaniem butelki z syropem, która stała na stole.

Ronnie warknęła na Lucasa:

– Ostatnim razem gdy sprawdzałam, w programie zajęć laboratoryjnych nie było całowania się z partnerką... i... na litość boską, tyle razy powtarzałam ci, żebyś przestał mnie tak nazywać.

Wcześniejsza pewność siebie Lucasa teraz całkowicie zniknęła. Gwałtownie wciągnął powietrze i ciasno skrzyżował ramiona na piersiach, strzegąc swojego serca.

– Nie byliśmy już wtedy razem... Ronnie. To był jeden głupi pocałunek i zupełnie nic dla mnie nie znaczył. A my nigdy... my nie... To nie było tak. To był błąd, który skończył się tak szybko, jak się zaczął. Proszę, możemy o tym tutaj nie rozmawiać? – Machnął ręką, jakby „tutaj” miało mówić samo za siebie.

Ronnie była jednak nieugięta.

– Jeśli nie zamierzasz nic zamawiać – warknęła – to wyjdź stąd.

Lucas pochylił głowę.

– W takim razie wezmę sprite’a, a Kevin weźmie... – Spojrzał na Kevina, który aż wychodził ze skóry. Odsunął od siebie dozownik syropu, jakby nie bawił się nim kilka sekund wcześniej.

– Dr peppera – odpowiedział Kevin. – Poproszę.

Ronnie prychnęła.

– Zaraz podam wam dwie letnie wody.

Odwróciła się, a Lucas wyciągnął rękę, aby chwycić ją za nadgarstek. Kevin znowu posłał mi błagalne spojrzenie i ostrożnym gestem spróbował powstrzymać ramię Lucasa.

Bez skutku.

– Veronica, wiesz, że mi na niej nie zależy, prawda? Zawsze liczyłaś się tylko ty. Nie przyszedłem tutaj, żeby się z tobą kłócić. Myślałem... że może... Cóż... mój tata jest teraz w Iron Mountain, więc urządzam u siebie małe spotkanie. Miałem nadzieję, że może przyjdiesz i porozmawiamy o nas i...

Tego już było za wiele.

W ciągu kilku sekund moja wściekłość popchnęła mnie w ich stronę. Westchnienie ulgi Kevina nie uszło mojej uwadze. Ale wiedziałam, że nie ulży mu po tym, co miało za chwilę nadejść.

– Nie słyszałaś, co powiedziała? – warknęłam, uderzając Lucasa w ramię, aby nie dotykał Ronnie. – Ona nie chce z tobą rozmawiać.

– Skąd, do cholery, w ogóle się tutaj wzięłaś? – Chłopak zaczął rozmasowywać swoją skroń, jakbym to ja przyprawiała go o ból głowy. – To nie twoja sprawa, Wil. Odczep się.

– Oczywiście, że to moja sprawa, skoro chodzi o moją najlepszą przyjaciółkę. – Byłam pewna, że w tym momencie wyglądałam jak jeden z psów, którym piana toczy się z pyska i które łypią na przechodniów zza mizernego płotu. Mój uśmiech był niczym innym jak zaciśniętymi, obnażonymi kłami, moje spojrzenie było nieruchome, a na twarzy malował się wyraz: „No dalej; spróbuj tylko”. Wskazałam palcem na drzwi, pokazując mu drogę na parking. – Wyjdź stąd. Natychmiast.

Gdyby rok temu ktoś powiedział mi, że będę stała w tym miejscu i broniła Veroniki Clearwater, pomyślałabym, że ten ktoś jest niespełna rozumu. Ale to było PZM – Przed Zniknięciem Mamy. W czasach, gdy obie żyłyśmy w oddzielnych światach, a mama była spoiwem, które łączyło cały wszechświat. W czasach, gdy Ronnie nie była społecznym pariasem – tak jak ja – gdy była naprawdę popularna, kucyk kołysał się za jej głową, a powieki lśniły delikatnym, złotym blaskiem. Gdy każdą sekundę spędzała wtulona w ramię Lucasa, chichocząc, gdy składał pocałunki na jej policzku.



Ale teraz żadna z nas nie była tą samą osobą, którą byliśmy w pierwszej klasie. Los sprawił, że Ronnie i ja w tym samym czasie opadliśmy na trybuny – wyczerpane, samotne i z zaczerwienionymi oczami. Rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym. O kartonie mleka, który wylała na pustą głowę swojego byłego chłopaka. O grobowym milczeniu Elwooda po jego ucieczce. O tej nocy, gdy zaginęła moja matka i o tej, gdy ojciec Ronnie połknął o jedną tabletkę za dużo. Odszedł, a obok niego pozostała niewielka notatka: *Nie możemy tego dłużej ciągnąć*. Ronnie wypłakiwała się w moje ramię, a ja w jej i to jedno popołudnie zmieniło wszystko.

Otarłam się o nią jak szczególnie trujący gatunek bluszczu, a ona powstrzymała mnie przed wpadnięciem w spiralę, z której nie było już odwrotu. I gdyby ktokolwiek mnie teraz o to zapytał, powiedziałabym, że zrobię dla niej wszystko.

Policzki Lucasa płonęły czerwienią, a jego zęby zazgrzytały jak krzesiwo rozpalające ogień. Przeskakiwał spojrzeniem to na mnie, to na nią.

– Wiesz, że ona też cię zostawi, Vee – wysyczał. – Tak samo jak opuściła Elwooda. Ona nie potrafi nikomu zaufać.

Elwood Clarke. To imię rozpało we mnie płomień, budząc do życia coś, co nigdy tak naprawdę nie umarło. Zazwyczaj siadał obok mnie, jego oczy dostrzegały najmniejsze szczegóły i nieustannie opowiadał o swojej kolekcji motyli. Było całkiem sensowne, że spędzaliśmy razem czas. Ja byłam wyszczekaną dziewczyną, a on płochliwym chłopakiem, który mnie potrzebował. Byliśmy najlepszymi przyjaciółmi, aż pewnego dnia wszystko się skończyło. Zanim całe moje życie zostało zrujnowane przez jego rodzinę.

Teraz, gdy miałam przed oczami jego obraz, czułam się tak, jakbym połykała rozpaloną zapałkę. Im dłużej rozmyślałam o tym, czym byliśmy, tym większa dziura wypalała się w moim wnętrzu.

Lucas oparł ręce na biodrach, a potem wstał i wtedy już wiedziałam, że miał zamiar powiedzieć coś szczególnie wrednego. Nie zawiódł mnie.

– Elwood był po tym wszystkim w totalnej rozsypce. Wiesz o tym, prawda? Bez mrugnięcia okiem zrujnowałaś przyjaźń na całe życie. Więc co, Wil, znudziło ci się rujnowanie własnych relacji po tym, jak odeszła twoja mama? Teraz musisz mieszać też w życiu innych ludzi?

Był ode mnie wyższy, ale nie przeszkadzało mi to, aby się do niego zbliżyć.

– Chcesz coś jeszcze dodać? Gadasz brednie, Lucas. Nie masz nawet pojęcia, przez co przeszłam.

Nie spędził całych dni, leżąc na kanapie obok mamy, podczas gdy jej zwinne palce zaplatały skomplikowane warkocze. Nie towarzyszył jej w ogródku każdego lata, trzymając wiklinowy kosz, posłusznie zbierając świeże zioła i słuchając, jak

opowiadała o każdym z nich. Nie zawodził i nie wymiotował z płaczu, gdy dni zamieniały się w tygodnie, a jego matka nigdy przenigdy nie wróciła do domu.

Zacisnęłam zęby, nie ruszając się z miejsca. No dalej, Lucas, kontynuuj tę swoją gadaninę. Zobaczymy, co się stanie.

– Wil!

Zyskaliśmy dodatkową publiczność, ale nie przeszkadzało mi to. Miejscowi odsunęli się od swoich oblepionych tłuszczem talerzy i przesunęli wzrok z telewizora wiszącego na ścianie na dwóch licealistów, którzy stali przy ostatnim boksie na lewo. WWE<sup>5</sup> nic na mnie nie ma.

Lucas wziął przez nos jeden długi, drżący wdech, a potem wypuścił powietrze ustami.

– To okropne, że twoja mama zostawiła cię i wyjechała z miasta. Ale bez przesady. Używasz tego jako darmowej przepustki, żeby zachowywać się po chamsku. Musisz znać swoje miejsce. Chodzisz po tym świecie, jakby wszystko należało do ciebie.

Gniew spiął moje żebra w ciasno związane supły. Nie miałam zamiaru mieć dla niego litości.

– Więc zrób to. Pokaż mi, gdzie jest moje miejsce.

Mój świat zaczął ociekać czerwienią.

# Rozdział drugi

## Elwood

Spędziłem ostatnie sześćdziesiąt minut, modląc się o atak serca.

Albo o udar. Albo o tętniaka, który nagle pęknie. Nie byłem w tej kwestii wybredny. Bóg musiał jedynie dokonać mojego żywota, zanim mój ojciec zaciągnie mnie do ambony. Myśl o staniu przed kimkolwiek – bez względu na to, czy byli to parafianie, uczniowie, czy moje odbicie w lustrze – w niektóre dni przyprawiała mnie o palpacje serca.

Ale fakt był jeden: Bóg nie słuchał.

– Elwood, możesz tutaj podejść? – zapytał ojciec. Na jego twarzy pojawiła się rzadko spotykana linia uśmiechu, gdy zachęcił mnie gestem, abym stanął przed nieruchomym tłumem. Starłem się sobie na nowo przypomnieć, jak oddychać, ale moje płuca wyrzuciły instrukcję obsługi i traciłem dech.

– Nie każ mu się powtarzać – warknęła mama. Jej szept był jednak zbyt cichy, aby ktokolwiek inny mógł go usłyszeć. Wiedziałem, że lepiej jej się nie sprzeciwiać. Jej groźby potrafiły pozostawiać po sobie blizny. Przypominała mi *papilio troilus*<sup>4</sup>, którego skrzydła były czarne jak kwitnące sińce i ostre jak odłamki lustra, które ktoś roztrzaskał w przyływie gniewu.

Zacisnąłem dłonie na ławce, aby się uspokoić. Nie dość, że zapomniałem, jak oddychać, to zapomniałem jeszcze, jak się poruszać. Powinno mi to przychodzić z łatwością, ale teraz miałem wrażenie, że było to jak latanie z połamanymi skrzydłami.

Wiedziałem, że nic nie ukoi jej gniewu, jeśli nie wyjdę na środek.

– Idź.

Tak więc zrobiłem.

Kościół bacznie nasłuchiwał każdego mojego kroku, próbując wsadzić mnie w tę samą formę, co mój ojciec, ale zebrani bez wątpienia stracili wszelką nadzieję, gdy zobaczyli nas stojących obok siebie – mojego ojca, który od siedemnastu lat był „Prawą Ręką Boga” i mnie, chłopaka, który nie wiedział, co zrobić z własnymi rękami. Powinienem trzymać je za plecami? A może będzie lepiej, jeśli zaplotę je przed sobą? Zdecydowanie i na sto procent nie powinienem trzymać ich w kieszeniach.

– Już wkrótce nadejdzie wielki dzień dla Elwooda – powiedział mój ojciec z dumą, która, jak rozpaczliwie miałem nadzieję, była szczerą.

Oparłem się pokusie uśmiechu. W tym momencie powinienem wyglądać poważnie, uroczyście i z godnością. Mój ojciec nie był motylem. Był modliszką. Wiedziałem, że jeśli nie będę przy nim ostrożny, mogę stracić głowę.

Gdy zacisnął lodowatą dłoń na moim ramieniu, zaryzykowałem i nieznacznie podniosłem na niego wzrok. Z daleka było widać pomiędzy nami pewne niezaprzeczalne cechy wspólne. Wyrosłem na jego podobieństwo – miałem dzikie, brązowe włosy i oczy, które były bardziej złote niż zielone, z plamą płynnego bursztynu w centrum. Byliśmy identyczni nawet pod względem pieprzyków, które szpeciły naszą skórę. Ale pomimo tego wszystkiego nie byliśmy tacy sami. Ojciec był wyższy ode mnie, szerszy, a jego osobowość była jak sztylet wbijający się w brzuch. Wykrzywił moje rysy w dziwny sposób, sprawiając, że oczy stawały się nazbyt chłodne, a usta nazbyt złowrogie.

Zawsze wyobrażałem sobie, że Bóg ma jego twarz.

– Wkrótce osiągnie pełnoletniość i porzuci doczesność na rzecz ważniejszej misji.

Mówił o moich osiemnastych urodzinach. O tym dniu, w którym skończę naukę w szkole i zostanę wyrwany z korzeniami z życia, które dotychczas znałem.

Nie byłem pewien, dokąd rodzice chcieli mnie wysłać, ale wiedziałem, co na mnie czeka: intensywne studiowanie pism świętych, modlitwy i bolesne poświęcenie. Miałem pójść w ślady mojego ojca, bez względu na to, co spotkam na swojej drodze. Liczyłem, że może gdy wrócę tu z powrotem, uda mi się zaspokoić ich oczekiwania.

Zebrani wzniesli dłonie, ich palce jakby starały się sięgnąć nieba. W tłumie wierzących dostrzegałem tak wiele znajomych twarzy ludzi, którzy spędzili całe swoje życie, obserwując, jak dorastałem. Siedzieli w tych ławkach, gdy się urodziłem i będą w nich siedzieć, gdy tu wrócę. Pani Wallace, starsza kobieta, która od zawsze była recepcjonistką w naszej szkole; jedna z matek należących do samorządu rodzicielskiego, pani Clearwater, która czasem patrzyła na mnie takim wzrokiem, jakbym był próbką pod mikroskopem; Prudence Vrees, żona szeryfa, która zawsze obejmowała dłońmi swój kwitnący brzuch – teraz był tak duży, że wyglądała, jakby miała się zaraz przewrócić.

Kościół był jedyną rodziną, jaką miałem.

– Nasza dzisiejsza, ostatnia lekcja prawi o zmianie i konieczności przemiany, przez którą przechodzimy zgodnie z wolą Bożą. – Mój ojciec skupił ich uwagę na sobie, był zadowolony, że wszyscy przyjęli wiadomość o moim losie. Rozłożył ręce na pulpicie, a wtedy, przez krótką chwilę, dostrzegłem klucz zwisający z jego szyi.

Milion razy widziałem, jak otwierał nim drzwiczki do tabernakulum, obserwowałem każde przekręcenie zamka. Gdy byłem mały, myślałem nawet, że jego serce spoczywało obok kielicha – szczelnie zamknięte. Ale zajrzałem do środka i choć leżała

tam wydarta kartka i być może stara pajęczyna rozpościerała się w rogu, to nie było tam schowanej żadnej delikatnej części mojego ojca.

Zanim przyłapał mnie na gapieniu się na klucz, odwróciłem wzrok i spojrzałem ponad kościelne ławki. Utkwiłem spojrzenie w suficie i kalecząc łacinę, wyszeptałem pod nosem: *CRESCIMUS IN HORTO DEI*, co oznacza: „Rośniemy w ogrodzie Boga”.

Był to odpowiedni cytat dla nazwy naszego kościoła, którą wyryto na drewnianej palecie ponad drzwiami: *OGRÓD ADAMA*. Nie była to żadna komercyjna produkcja, nie było żadnych czystych linii, za którymi mógłby podążyć palec. Jeden z naszych przodków odręcznie wyrył ten napis ostrzem noża i od tamtej pory znak wisiał nad wejściem.

Gdy mój ojciec odwrócił się, jego wzrok przyłgął do mojej skóry jak stado much, gdy wyczuje świeżą padlinę.

– Elwood, jeśli możesz.

Spojrzał na mnie znacząco, abym przyniósł klatkę stojącą w kącie.

Odpowiedziałem mu drżącym skinieniem głowy. Reszta mojego ciała potrzebowała kolejnej sekundy, aby zareagować. Dokładnie wiedziałem, gdzie było to stworzenie – ojciec kazał mi je złapać, zamknąć w pułapce i siedzieć z nim na tylnym siedzeniu przez całą drogę powrotną. Serce biło w mojej piersi, nie tkwiło już uwięzione w kokonie, ale było gotowe, aby odlecieć i uciec od ciężaru winy. To stworzenie mi zaufało. I wciąż pokładało we mnie ufność. *Uciekaj*, błagałem. *Uciekaj jak najdalej stąd*. Ale ono nie zamierzało tego zrobić.

Królik drżał uwięziony w klatce. Był pulchny i biały niczym kopiec lodu. I cichy – z wyjątkiem okazjonalnego dygotu. Staralem się nie myśleć o tym, co stanie się z nim później wieczorem, po nabożeństwie. Patrzenie na to nigdy nie było dla mnie łatwe. Ostrze przebijające się przez gardło i krew ściekająca z gałęzi. Mój ojciec posługiwał się nożem bezlitośnie. „Elwood, ludzie składali Panu ofiary od zarania dziejów. Kimże my jesteśmy, aby sprzeciwiać się Jego słowu?” Z przerażeniem czekałem na ten dzień, w którym ojciec przekaże mi ostrze. Wiedziałem, że się zawaham. „Człowiek był nieposłuszny wobec Boga już na samym początku, mój synu. A my jesteśmy tutaj po to, aby odpokutować za ten grzech. TY jesteś tutaj, aby za to odpokutować”.

Na razie królik miał jedynie posłużyć jako lekcja.

– Nie bez powodu Bóg dał ci żebra, Elwood – skarcił mnie mój ojciec, gdy wróciłem. Nie potrzebowałem spoglądać w lustro, aby wiedzieć, że moja dolna warga drżała. – Nie trzymaj swojego serca na dłoni.

Skoro już o tym mowa, to miałem nadzieję, że nie był w stanie odszyfrować z mojej twarzy wszystkich pozostałych kłamstw. Zawsze był dobry w czytaniu w myślach i odnajdywaniu tych najbardziej zdradzieckich pomysłów.

Wiedziałem, że jeśli domyśli się, co zaplanowałem na dzisiejszy wieczór, być może to ja zajmę miejsce królika. Posłał mi jeszcze jedno ostrzegawcze spojrzenie, a następnie uniósł klatkę z uwięzionym w niej zwierzęciem i postawił ją na ambonie.

– Jakie piękne białe futro, nieskazitelne jak pierwszy śnieg. Jeśli teraz wypuścilibyśmy go na zewnątrz, z łatwością wtopiłby się w krajobraz. – Ojciec pstryknął palcami, podkreślając, jak szybko uciekłoby zwierzę, czym jeszcze bardziej je przestraszył. – Ale to tylko z powodu jego zimowego umaszczenia. Gdyby nie zmieniał koloru wraz z porami roku, prawdopodobnie nie mielibyśmy go teraz tutaj, bo jakieś większe stworzenie pochwyciłoby go jako zdobycz. Oczywiście, dzięki Bogu, królik ma tę przewagę nad drapieżnikami. Świat się zmienia, a my razem z nim.

Cisza kościoła otworzyła drzwi na świat zewnętrzny. Wiatr wył, przedzierając się przez sosny, a pozbawione liści gałęzie uderzały w okna. Wkrótce księżyc połknie całe słońce. To, co z niego pozostało, rozlewało się po drzewach jak żółtko i ginęło na linii horyzontu.

– Może wam się wydawać, że Kościół nie ma nic wspólnego z królikiem. Nie ma drapieżników, przed którymi powinniśmy się ukrywać, a kolor waszych włosów nie zmienia się wraz z porami roku... Cóż, pomijając sporadyczną siwiznę. – To wtrącenie wywołało cichy chichot wśród zebranych i było wystarczające, aby przełamać napięcie.

W domu nigdy nie żartował w ten sposób. Uśmiechy były zarezerwowane dla publiczności.

– Ale pragnę wam dzisiaj powiedzieć, że to po prostu nieprawda. W oczach Boga wszyscy jesteśmy dokładnie jak ten królik. Bez względu na to, czy napotykamy w życiu przeszkody, czy otwierają się przed nami możliwości, bywa, że nie możemy stawić im czoła, tak jak teraz. Musimy prosić Pana, aby nas przemienił... Aby uczynił nas silniejszymi w obliczu przeciwności losu albo aby dodał nam odwagi, abyśmy podążali wyznaczoną nam ścieżką. Pragnę, aby naszym motywem przewodnim tegorocznych świąt Bożego Narodzenia była transformacja. Zastój jest tożsamy ze śmiercią.

Jego słowa były jak szpony – zaciskały się na mnie i wbijały w moje wrażliwe ciało.

– Jeśli nie poddamy się transformacji, aby dostosować się do Bożych planów, nie będziemy lepsi od brązowego zająca, próbującego ukryć się na śniegu; tego, który czeka aż Szatan albo jastrząb spadną na niego z wysokości, aby go pochwyć.

Jego kazaniu towarzyszyły ostre podmuchy śniegu. Podobnie jak słowa mojego ojca pogoda również się zmieniała. Stawała się czymś, z czym nie można było się mierzyć.

Wiedziałem, że ta zamieć przysporzy więcej problemów niż tylko zakopane samochody na parkingu. Zadusi nasze domy, nasze sklepy, szkołę...

*Szkoła.*

To słowo pojawiło się w moim umyśle zupełnie nieproszone i wbiło się głęboko w moją klatkę piersiową, pozostawiając mnie bez tchu. Staralem się z tego otrząsnąć, ale nie byłem w stanie. Wszystko to przepadnie. Stare, skrzypiące biurka, bluszcz wijący się po alabastrowych ścianach. I oczywiście pomyślałem też o moich dwóch przyjaciółkach – jedynych, których miałem.

Zawsze było mi ciężko zrozumieć żywe istoty. Pamiętam wszystkie te momenty, w których motyle ode mnie odlatywały, abym już nigdy ich nie zobaczył. Te martwe zostały ze mną na zawsze. Pozwoliły mi się przyszpilić do płótna i zamknąć za szkłem. Były piękne i były moje. Nie wymagały żadnej pracy.

Z ludźmi było zupełnie inaczej. Ludzie są trochę jak kwiaty. Jeśli się o nich nie zatroszczy, uschną i umrą, a na koniec zostawią cię z niczym.

Jak szybko o mnie zapomną, kiedy stąd odejdę?

– Pomyśl o tym jak o imprezie pożegnalnej. – Tak powiedział dzisiaj na korytarzu mój przyjaciel Lucas. Był to początek mojego moralnego upadku. Byłem pogodzony ze swoim losem, dopóki to jedno zdanie nie wślizgnęło się do moich uszu. – Proszę, powiedz mi, że przyjdiesz. To może być ostatni raz, gdy spotkamy się przed twoim wyjazdem, i nie wiadomo, kiedy znowu się zobaczymy.

Odpowiedziałem mu natychmiast:

– Prędeż piekło by zamarzyło, zanim moi rodzice by się na to zgodzili.

Ale on był równie szybki:

– Więc nie mów im o tym.

– To byłby...

Nie dokończyłem i okazało się, że nawet nie musiałem. Zdradził mnie wyraz twarzy.

Lucas dokończył moje zdanie:

– Grzech. Tak, tak, wiemy, na czym to polega. No dalej, Elwood, musisz trochę pożyć, zanim stąd wyjedziesz. Naprawdę chcesz spędzić całe życie według sztywnych zasad? Daj sobie jedną noc.

– Jedną noc – powtórzyłem za nim jak papuga.

– To wszystko, o co cię prosimy, kolego. Możesz się później pomodlić. Przemkniesz tam i z powrotem, zanim ktokolwiek coś zauważy. Co ty na to?

Teraz wiedziałem już, co mówił wiatr. Krzyczał za witrażem:

*Grzesznik, grzesznik, grzesznik.*

Nie powinienem był zgadzać się na plan Lucasa i nie powinienem był mówić mu, że pójdę na jego przyjęcie, jeśli zaparkuje samochód głęboko w lesie. To miał być ostatni raz, gdy zakosztuję zewnętrznego świata – tak sobie to tłumaczyłem. Teraz jednak miałem w głowie tylko jedno pytanie... Może powinienem był przemienić się jak

zając? Czy to, jak uporczywie trzymałem się przeszłości faktycznie będzie moją zgubą?

– Modlitwa w intencji wielkiego dnia Elwooda – dokończył mój ojciec, a następnie wznosił dłonie ku niebu – aby mógł dalej się przemieniać, tak jak nakazuje mu Bóg.

Zebrani pochyłili głowy na to zawołanie. Ich oczy były prawdopodobnie zamknięte, ale moje były utkwione w spojrzeniu królika – lśniącym, czarnym i nieustępliwym.

– O Panie, zanosimy do ciebie modlitwę w intencji Elwooda jako świadectwo naszego wiecznego oddania. Prosimy cię, abys dał mu siłę i umocnił jego przemianę. Niech stanie się mężczyzną zgodnie z twoim słowem i odziedziczy to, po co przyszedł na ten świat. Bo choć życie nieodłącznie związane jest ze śmiercią, to ofiara jest źródłem wieczności. – Mój ojciec ponownie otworzył oczy i zawołał: – Jesteśmy niczym nasiona niesione przez wiatr.

To zdanie oznaczało koniec naszej modlitwy, ostateczny hołd dla otaczających nas drzew, po którym następowało przyjęcie sakramentu. Każde ziarno zasiane w tym lesie było błogosławione. Nasze drzewa były niezachwiane niczym święci, ponieważ były źródłem naszego życia, naszym Edenem. Szeptaliśmy im nasze podziękowania, przejeżdżając obok nich, gdy splataliśmy dłonie przed posiłkiem, gdy zbieraliśmy się w kościele. Ojciec oddawał cześć każdemu drzewu, zanim wbijał w nie topór.

– I powinniśmy wyrastać na jego podobieństwo – odpowiedzieli posłusznie zebrani. Dźwięk wzrastał z każdym kolejnym głosem.

– Amen.

Mój żołądek płonął od grzechów, których jeszcze nie popełniłem.



# Rozdział trzeci

## Wil

Sądząc po sposobie, w jaki patrzył na mnie kuzyn Lucasa, można by pomyśleć, że jestem przestępcą. Musiałam jednak przyznać, że nie byłam święta. Matka Teresa nie była znana z tego, że w zapyziałych knajpach biła się z ludźmi, ale byłam pewna, że gdyby tam jednak była, dałaby mi wolną rękę. Stałam w tym miejscu dlatego, że choć całym sercem nienawidziłam Vreesa, miał rację co do kwestii „prześladowania”.

Typowy piątkowy wieczór spędzałam zwykle na siedzeniu w krzakach i obserwowaniu domu Clarke’ów.

Zwykle, jeśli dopisywało mi szczęście, mogłam zauważyć panią Clarke, jak siłuje się z żaluzjami, albo usłyszeć, jak pan Clarke głośno recytuje swoje kazanie – albo jak wtedy, tego jednego razu, gdy zauważyłam, jak stoi w śniegu i składa w ofierze królika.

Dziś jednak było zupełnie inaczej. Nigdy nie widziałam, aby Elwood – idealny, zawsze przestrzegający zasad Elwood – wymknął się z domu. A jednak w tej chwili zachowywał się jak normalny, typowy nastolatek i wyskakiwał przez okno w swoim pokoju. Mogłam się założyć, że dla lokalnych organów ścigania i dla Boga moje szpiegostwo było zarówno przestępstwem ściganym z urzędu, jak i grzechem śmiertelnym, ale nie obchodziło mnie to ani trochę. Trzeźwy Elwood trzymał sekrety swojej rodziny zamknięte na klucz, ale wiedziałam, że jeśli się upije, wyśpiewa mi wszystko, co muszę wiedzieć. Dlatego też wybrałam się na imprezę do Lucasa.

Mimo że wolałabym się obejść bez oburzonego spojrzenia Harveya Vandenhylde’a.

– Zachowujesz się, jakbym zabiła Lucasa. A ja tylko lekko go dotknęłam, zanim się wywalił. Wiesz? O tak. – Zademonstrowałam, szturchając go w klatkę piersiową schowaną pod flanelą. Nie sądziłam, aby miał jakieś koszule, które nie byłyby zrobione z flaneli. Miał na sobie koszulkę z długimi rękawami wpuszczoną w za duży pasek i ciemne kowbojskie buty, choć przecież mieszkaliśmy na północy Michigan. Jego blond włosy były ukryte pod czapką kierowcy ciężarówki firmy John Deere<sup>5</sup>.

Możliwe, że miał też ołowiane wkładki w butach, bo nawet się nie wzdrygnął.

– Nikt cię tu nie chce, Wil – syknął, nie ruszając się ze swojego miejsca. Każde jego słowo rozbryzgiwało się na moim policzku, a ja zrobiłam scenę, pośpiesznie się wycierając.

Szlag z nim i z jego kowbojskimi butami.

Uśmiechnęłam się szyderczo, patrząc na dom Lucasa, do którego mogli wejść tylko ci, którzy zostali zaproszeni. Był duży – nie tak duży jak rezydencja ani nawet nie tak jak: „Mój tata pracuje w zarządzie spółki średniego szczebla”, ale był zdecydowanie większy niż tutejsze przyczepy. Nasze miasteczko nie było do końca takie samo jak Dolina Krzemowa.

Z pewnością jednak ten dom był wystarczająco duży, aby pomieścić w sobie jeszcze dwie dodatkowe osoby. Przez okna wypływały smugi złotego światła, które były wystarczająco jasne, aby zrekompensować głęboką czerń nieba.

Po drugiej stronie szyby widziałam oświetlone sylwetki – goście tańczyli, bawili się i śmiali.

– Lucas płaci ci za rolę bramkarza czy robisz to za darmo? – mruknęłam.

Miałam już gotowy pomysł na wypadek, gdy Harvey nie chciał nas wpuścić do środka – plan B, czyli włamanie. Byłby to kolejny żeton na mojej nieetycznej karcie bingo. Nie byłam pewna, czy Ronnie na to przystanie, więc w głowie miałam już zarys swojej misji solo. Czy ktoś z nich w ogóle usłyszałby dźwięk tłuczonego szkła?

Bez względu na to, jaka piosenka leciała w mieszkaniu, tutaj nie docierały żadne dźwięki, ale mimo to kości ziemi drżały. To z pewnością wywabiłoby...

– Na miłość boską, Wil, co ty tutaj jeszcze robisz? Idź i bądź dziwadłem gdzie indziej.

Zanim zdążyłam bezmyślnie rzucić w jego stronę jakieś przekleństwo i tylko pogorszyć naszą sytuację, Ronnie wyszła z za moich pleców i postanowiła nas uratować za pomocą swoich kobiecych sztuczek. Ja najwyraźniej ich nie posiadałam.

Harvey gapił się na nią bezwstydnie. I choć naprawdę chciałam go za to spoliczkować, nawet go rozumiałam. Wyglądała naprawdę dobrze, mimo że niespodziewanie zadzwoniłam do niej w sprawie awaryjnego wtargnięcia na przyjęcie i musiała się przygotowywać w pośpiechu, w samochodzie swojej mamy. Miała na sobie obcisłą sukienkę i rękawiczki typu kabaretki. Nic w jej wyglądzie nie zdradzało, że powiedziała: „Pożyczam samochód, żeby pouczyć się algebry w bibliotece”. Byłam pewna, że gdyby jej religijna matka ją teraz zobaczyła, to załamałyby się pod nią kolana. Ronnie wykończyła makijaż ciemnym, metalicznym brokatem, kładąc go na powieki, i niemal niedostrzegalnym połyskiem błękitnego rozświetlacza, którym musnęła kości policzkowe.

Tymczasem ja byłam w większości pokryta zaschniętym brudem. Tak wygląda człowiek, który czatuje w czyichś krzakach.

– Och, uch, hej, Vee – powiedział Harvey głupawym tonem.

Ronnie kreśliła czubkiem buta kółka na cemencie. Leniwe wzory jeden za drugim.

– Tak się składa, że Lucas mnie zaprosił. Wtedy powiedziałam, że nie przyjdę, ale – przerwała, aby odgarnąć kosmyk włosów za ucho – im więcej o tym myślałam, tym bardziej zdawałam sobie sprawę, że chcę wysłuchać tego, co ma mi do powiedzenia.

Gdy zapytałam, czy przyjdzie tutaj ze mną, ona powiedziała coś w stylu: „Chcesz, żebym poszła na imprezę tego dupka? Prędzej umrę i pójdę do piekła”. Potem musiałam się chwilę przed nią płaszczyć. Sądząc jednak po sposobie, w jaki się ubrała, może w jej słowach było ziarno prawdy.

Harvey miał problem, żeby wymyślić coś sensownego do powiedzenia. Ronnie przyspieszyła cały proces, wydymając nieznacznie usta i otrząsając się z zimna.

A to było niczym magia. Harvey odsunął się na bok i wytarł wielką dłonią pot z karku.

– Wybacz, jest strasznie zimno. Śmiało, wejdź do środka.

*Niesamowite.*

Prześlizgnęła się obok niego i zanim zdążył podnieść rękę, żeby zablokować mi drogę, Ronnie powiedziała:

– Tam gdzie jestem ja, jest i ona.

I to zakończyło dyskusję.

Najpierw uderzyło we mnie ciepło. Temperatura ciał sprawiła, że pomieszczenie wydawało się o kilka stopni cieplejsze. Bardzo mnie to ucieszyło, bo z zimna straciłam czucie w niemal wszystkich częściach ciała.

Gdy w końcu odzyskałam pewność, że moje ramiona się nie odmroziły, poświęciłam chwilę, aby ocenić otoczenie. Za dekoracje wokół służyły w większości łatwo tłukące się bibeloty. Trochę w stylu jakiejś staruszki. Wszędzie były drobiazgi: małe szklane cherubinki i dziwaczna wystawa porcelany. Byłam pewna, że jakiś dzieciak rozwali to wszystko dla zabawy.

Korytarz był już zaśmiecony czerwonymi kubkami i zgniecionymi puszkami. Powiedziałabym, że to miejsce zostanie zrujnowane, ale to już było faktem.

– Gdzie jest Lucas? Trzyma tę imprezę pod kontrolą? – Słowa Ronnie zaakcentował dźwięk rozbijanej o ścianę butelki.

– Uch... tak. Nie martw się o to. – Harvey odchrząknął.

Miałam wrażenie, że mówił bardziej do siebie niż do nas. Jego tata był kiedyś komandosem Navy SEAL czy czegoś w tym rodzaju. Jeśli Harvey zostanie przyłapany, pewnie ojciec wyśle go do obozu dla rekrutów. Wyraz twarzy chłopaka zmienił się, a niejednolity wąsik uniósł się w uśmiechu. Cóż, o ile pięć pojedynczych włosków, których nie chciał wyrwać, można nazwać wąsikiem. – Może mógłbym przynieść ci coś do picia? Co powiesz na bożonarodzeniowy ajerkoniak, żeby wprowadzić się w dobry nastrój?

Myślałam, że zwymiotuję, gdy to usłyszałam.

– Wolę piwo.

Prychnął na mnie, jakby zapomniał, że stoję obok.

– Czy ja według ciebie wyglądam na barmana, Greene? Idź i weź sobie sama. – Miał śmierzący oddech.

Wywróciłam oczami. To by było na tyle, jeśli chodzi o imprezę stulecia.

– Ronnie, też chcesz?

– Tak, weź mi to samo, co ty będziesz pić.

Harvey natychmiast mnie wyprzedził.

– Żartowałem, żartowałem. – Wcale nie żartowałem. – Już wam przyniosę.

Zmrużył oczy i zaczął przeszukiwać jedną z tuzina przenośnych lodówek stojących na podłodze. Usłyszałam chlupot na wpół roztopionego lodu i odgłos towarzyszący zaciskaniu się mokrej dłoni na puszcze. Harvey wstał, trzymając piwo dla nas obu.

Podał mi puszkę, jakby była jego pierworodnym synem, a ja diabłem, z którym przez swoją własną głupotę zawarł układ.

Ronnie uciszyła go, zanim zdążył powiedzieć cokolwiek więcej.

– Jeszcze się tutaj jakoś zgadamy, dobra? – skłamała.

Objęła mnie ramieniem i wyszliśmy z kuchni prosto do zadymionego salonu, pomimo że Harvey żałośnie miałczał o uwagę. Muzyka zagłuszała podchmielone śmiechy i głośne rozmowy. Pijani ludzie milczeli tylko wtedy, gdy wymiotowali albo tracili przytomność.

– Będziesz mi za to wszystko wisiąca przysługę – wyszeptała Ronnie, gdy nikt nie mógł nas usłyszeć.

Może i byliśmy otoczone przez ludzi (w tak małym hrabstwie było to wydarzeniem roku, a to już mówiło samo za siebie), ale muzyka była wystarczająco głośna, aby zagłuszyć naszą rozmowę.

– I to nie byle jaką.

– Pozostanę twoją dłużniczką na wieki, moja pani – poprzysięgam.

Ronnie wywróciła oczami i ruchem głowy wskazała na schody. Usiadliśmy na nich. Byłam niezmiernie wdzięczna, że nikt jeszcze nie wylał piwa na ten dywan i szczerze wątpiłam, aby długo pozostał w takim stanie. Całe pomieszczenie cuchnęło budweiserem, potem i dezodorantem firmy Axe.

– Boże, tutaj są wszyscy. I każdy przyprowadził kuzynostwo – jęknęła Ronnie. W jej głosie było słycać nieśmiałą nutę poirytowania. Nie tęskniłam za subtelnym rumieńcem na jej policzkach. – Dobrze wyglądam? Nie przesadziłam?

Jeszcze do niedawna ulubionymi perfumami Ronnie były Catholic Guilt.

Była nimi przesiąknięta. Nic dziwnego, że jej mama mnie nienawidziła. Jej córka, Veronica, zniknęła. Ale za to Ronnie była o wiele bardziej zabawna.

– Żartujesz sobie? Wyglądasz niesamowicie! – Szturchnęłam ją nieznacznie w ramię. Udałam, że robię jej zastrzyk pewności siebie i że igła wkłuwa się w żyłę.

Zadrżała lekko, gdy dotarły do niej moje słowa. Miałam nadzieję, że trafiły w sedno.

– Dzięki, Wil. Ty też dobrze wyglądasz.

Prychnęłam, ale stwierdziłam, że nie warto się z nią wyklócać. Wszystko we mnie było jednym wielkim bałaganem. Wyglądałam jeszcze gorzej niż rano. Pod oczami miałam czarne wory i z łatwością można było stwierdzić, że moja fryzura była owocem miłości zardzewiałych nożyczek i załamania nerwowego o drugiej w nocy. Raczej rzadko spoglądałam w lustro. Nie widziałam w nim własnego odbicia, lecz twarz matki. Wszystkie te małe ślady, które po sobie zostawiła.

*Nawet o tym nie myśl.*

Zajęłam się oglądaniem ludzi. Znałam tu wszystkich, bo liczba mieszkańców Pine Point była równa liczbie ludzi, którą można znaleźć w dzielnicach restauracyjnych innych miast.

Brian Schmidt śmiał się z czegoś wraz ze swoją świtą. Był podobnym zawadiaką do mnie, ale z tą różnicą, że on był popularny. Nie kryjąc się z niczym, obejmował ramieniem swoją dziewczynę i przyciągał ją do siebie tak blisko, że niemal siedziała mu na kolanach. Ta dwójka była bezwstydną nawet na trzeźwo, więc po odrobinie alkoholu byli po prostu obrzydliwi. Jej piskliwy śmiech niemal rozerwał mi bębenki w uszach.

– Przeestań, Brian! – Miała głos jak zraniony jastrząb. Taki, dla którego nie ma już ratunku i trzeba go uśpić. Głównym powodem jej popularności, był fakt, że była najgłośniejsza w całym pokoju. – Jesteś najgorszy!

Z tym akurat mogłabym się zgodzić.

– Myślę, że bawiłabym się lepiej na oddziale intensywnej terapii – jęknęłam pod nosem.

Ronnie oparła policzek na dłoni.

– Przypomnij mi proszę, czyj to był pomysł?

Och. Dobrze. Co do tego miała rację.

– Móóójjj – powiedziałam, przeciągając litery. – Ale mam pomysł.

Przechyliła głowę.

– Czyli co dokładnie chcesz zrobić? Zagonić Elwooda w ślepy zaułek i wycisnąć z niego informacje, które może mieć, choć niekoniecznie musi? Nawet mi nie powiedziałaś, skąd wiesz, że on tutaj będzie.

Ugryzłam się w język. Naprawdę nie sądziłam, aby pochwałała fakt, że wystawałam z lornetką przed czyimś domem.

– Takie mam przeczucie.

Ronnie łypnęła na mnie kątem oka.

– Ledwo go znam, ale mam wrażenie, że to nie jest jego klimat. On chyba nawet nie wie, co to jest alkohol.

– Skoro już o tym mowa... – Otworzyłam piwo i wzięłam szybki łyk, aby dodać sobie pewności siebie.

Niestety – ze względu na zaginioną mamę i wszystkie inne problemy – wyrobiłam sobie tolerancję na picie alkoholu. Ale to nie ja byłam tą, która musiała się upić i wypaplać wszystkie mroczne sekrety.

– Dobra, Ron, chodźmy znaleźć tego frajera.

Podaliśmy jej rękę, a ona ją ścisnęła, pozwalając mi poprowadzić się przez morze ludzi zalewających salon Lucasa. Nie uszliśmy daleko, gdy ktoś zaczął skandować: „Pij, pij, pij, pij!”.

Odruchowo spojrzałam w stronę Briana Schmidta. Jeśli ktoś tutaj upijał się dla uwagi, to musiał być właśnie on, prawda? Ale gdy odnalazłam jego zmarnowaną alkoholem twarz, był zbyt zajęty całowaniem się ze swoją dziewczyną. Żałowałam, że nie mogłam wyrzucić tego obrazu z pamięci. Wyśledziłam źródło okrzyków, które znajdowało się w rogu pokoju, i zobaczyłam chłopaka stojącego na rękach... na beczce piwa. Gdy jego koszulka nieznacznie opadła, dostrzegłam bladą, pokrytą bliznami skórę. Rozpoznałam jego znajome, delikatne loki, ciemne rzęsy i mały pieprzyk na policzku.

– O cholera, miałaś rację – wyszeptała Ronnie. – To jest...

– Tak.

Elwood Clarke.

# Rozdział czwarty

## Elwood

Czas uciekał mi przez palce. Sekundy i minuty mijały nieubłaganie. Moje własne myśli były przytłumione, zagłuszone przez ciężki bas i zasłonę wirujących ciał. Nie byłem pewien, czy stałem w kącie od dwunastu minut, czy od dwunastu godzin.

*Nie mogę uwierzyć, że to robię.*

To zdanie nieustannie przewijało się przez moją głowę. Wybrzmiało po raz pierwszy, gdy układałem poduszkę pod kocem.

Potem, gdy siłowałem się z zatrzaskami w oknie, desperacko próbując otworzyć je tak delikatnie, jak to było możliwe. Potem kolejny raz, gdy rzuciłem się biegiem w stronę drzew. Samochód nie stał daleko od mojego podwórka. Jego światła były wyłączone, słychać było tylko cichy warkot silnika.

– Nie mogę uwierzyć, że to robię – powiedziałem, a oni wybuchli śmiechem.

– Hej, chcesz spróbować stanąć na beczce? – Lucas oderwał się od Kevina i pochylił nade mną.

Był jak *saturnia pavonia*<sup>6</sup> w naszej grupie. Miałem tę ćmę w swojej kolekcji nad komodą. Jej skrzydła były jak snopy światła przenikające przez korony drzew. Pomarańcz przechodził w leśny odcień brązu. Lucas był imponujący i pewny siebie, był całkowitym przeciwieństwem mnie i Kevina. Kevin zaś był jak *papilio palinurus*<sup>7</sup> o skrzydłach, na których wymalowane są metalicznie zielone, kosmiczne ścieżki. I ja, który bardziej przypominałem *polygonia comma*<sup>8</sup> – o spopieliałych skrzydłach w kolorze spalonego brązu, pomarszczonych jak jesienne liście. Motyl, który wtapia się w otoczenie i nieustannie żyje w ukryciu. Motyl, za którym się tęskni, chyba że naprawdę przestanie się go szukać.

Lucas wskazał na olbrzymią beczkę piwa stojącą na podłodze, potem na lejek i na długą rurkę łączącą te dwie rzeczy.

– Jeśli czujesz się na siłach...

Nienawidziłem, jak zmieniał się wyraz jego twarzy, gdy do mnie mówił. Za każdym razem zapominał, kim jestem – traktował mnie jak Kevina albo kogokolwiek innego – ale potem się wycofywał. Przypominał sobie, że to ja.

– Chcę – powiedziałem, chociaż poczucie winy sprawiło, że poczułem ucisk w żołądku. Pragnąłem jedynie położyć się z powrotem do łóżka. Poczucie ciepła koca opatulającego moje ciało, zamiast żaru rumieńców, który pali policzki.

*Jedna noc, zanim wszystko się zmieni.*

Wyrwałem mu butelkę z ręki. Wypił już jedną czwartą, a szkło było wciąż ciepłe od jego spoconych dłoni. Na etykiecie widniał obrazek wijącego się węża, którego łuski rozciągały się od jednego końca do drugiego. Wyobraziłem sobie, że jestem owinięty listowiem, a moje zęby ocierają się o już nadgryzione jabłko. To nie był pierwszy grzech, który popełniłem tej nocy, ale każdy z nich był jak strzał w czarną noc – wybuchowy i wycelowany prosto w niebo.

Tym razem alkohol nie palił mojego gardła. Spływał po moim języku i smakował gorzko. Była to mocna mieszanka o wyraźnym zapachu pszenicy. Chciałem to wypluć, ale wiedziałem, że nie mogę, więc piłem i piłem, i piłem.

Do dna.

Potrząsnąłem butelką, żeby wydusić z niej ostatnią kroplę, ale wszystko, co otrzymałem w zamian, to podmuch mojego własnego, lepkiego, gorącego oddechu. Uwięzione powietrze i głuchy brzęk pustej butelki.

Upuściłem ją i szkło roztrzaskało się w drobny mak. Wtedy stwierdziłem, że uwielbiam dźwięk destrukcji. Łoskot, po którym coś, co było całe, rozpada się na małe, niemożliwe do posklejania kawałki – i już nigdy nie uda się tego naprawić. Ale to nic. Roztrzaskane szkło wyglądało jak gwiazdny pył.

– Naprawdę zamierzasz to wszystko wypić i stanąć na beczce?

Skinąłem głową. Albo przynajmniej tak mi się wydawało. Nie byłem pewien. Wiedziałem tylko, że muszę pozbyć się tego ze swojego ciała jak najszybciej.

– Czy to naprawdę Elwood Clark się tak upija? – Brian Schmidt oderwał się od ust swojej dziewczyny, aby ze mnie zadrwić. Nie był motylem, był raczej karaluchem. Przeczesał palcami lewej ręki swoją nadmiernie pożółkłą grzywkę. – Myślałem, że jego piątkowe wieczory polegają na tym, że dla zabawy recytuje *Biblię*.

Gdyby tylko wiedział, ile jej fragmentów żyło w mojej głowie. Ojciec kazał mi zapamiętać setki cytatów, a kiedy plątał mi się język albo gdy zapominałem słów, bił mnie linijką.

Widząc, jak Brian zwija się ze śmiechu, wbiłem sobie paznokieć w dłoń – pozostawił po sobie ślad półksiężyca. Wiedziałem, że to przemienie, gdy mnie stąd odeślą. Wszystko zniknie. Te codzienne, sztuczne interakcje, „żartobliwe” szturchanie mnie w żebra przez Briana i jego kumpli, gdy szedłem do klasy, i to nieustanne pragnienie, aby zapaść się pod ziemię. Mój wzrok się rozmazał i zobaczyłem, jak Brian się przemienił: ohydny wyraz jego twarzy zniknął, jego oczy i usta były szeroko otwarte, a krew kapiała, kapiała i kapiała. Ryk imprezy ucichł, a moje myśli krzyczały niczym biblijny rój szarańczy.



Zanim zdążyłem się skupić, ktoś chwycił mnie za nogi. Podnosili mnie coraz wyżej i wyżej, aż oparłem ręce na beczce i utkwilem wzrok w podłódze. Przyłożyłem rurkę do ust.

Najpierw wziąłem jeden łyk. Potem drugi. Dźwięk mojego imienia dobiegał z każdej strony. Ale nie trwało to długo – litery rozpląwały się i zmieniały kształt, tworząc coś zupełnie innego. Raz po raz skandowali to nowe słowo i wydawało mi się, że kazali mi pić, więc dokładnie to robiłem, a potem...

– Brawo, Elwoodzie! – powiedział Kevin. Uśmiechał się do mnie, jakby to był jakiś konkurs, jakbym coś wygrał. Może faktycznie tak było. Może moją nagrodą było to podchmielone uczucie kłucia pod skórą, ten dziwny szum szczęścia, który stał się wyraźniejszy od lęku.

Gdy opuścili mnie z powrotem na ziemię, moje nogi były jak z waty, a Brian nie był już nawet punktem na moim radarze.

Zaśmiałem się. Nagle śmiech przyszedł do mnie z taką łatwością. Kotwica, do której byłem od zawsze przywiązany, została wyrwana. Światła lamp odbijały się od rozbitej butelki, która wciąż leżała na podłódze, rzucając wokół kolorowe promienie jak szkiełka w kalejdoskopie. Tak też nazywa się stado motyli. Kalejdoskop. Zawsze uwielbiałem tę nazwę.

– Hej, spójrz, przyszła. – Kevin złapał Lucasa za ramię, a szczeka tego drugiego niemal opadła aż do ziemi. – Nie sądziłem, że Veronica się pojawi.

Tak zauroczył mnie widok połyskującego szkła, że niemal zapomniałem, gdzie się znajdowałem. Z odrobiną wysiłku udało mi się podnieść głowę i rozejrzeć.

Szczegóły wyostrzały się i znikwały. W jednej sekundzie je dostrzegalem, a w drugiej już ich nie było.

– Myślisz, że będzie chciała ze mną porozmawiać?

Kevin wzruszył ramionami.

– W końcu tu przyszła, prawda?

– Boże, już się cały spociłem. Nie przemyślałem tego. Nie wiem, co mam jej powiedzieć.

Roześmiałem się zupełnie bez powodu, a dźwięk wydobywający się z moich ust był lekki, swobodny i miękki. Chciałem mu powiedzieć, żeby otworzył swoje serce, żeby ofiarował jej najszczerzą prawdę, którą chowa głęboko w sobie, i aby jej zadośćuczynił. Ale moje usta wcale nie chciały współpracować. Zamiast tego postanowiłem odnaleźć Veronicę w tłumie ludzi.

Z pewnością ładnie wyglądała – długie rzęsy, piękne oczy, zaróżowione policzki – ale... sam nie wiedziałem. Moje serce było spokojne. Czułem, że gdy na nią spojrzę, dni nie będą kojarzyły mi się z leniwym leżeniem w trawie. Nie mogłem sobie

wyobrazić, że liczę piegi na jej skórze albo że wyciągam gałęzie z jej poczochnych, potarganych wiatrem włosów.

Była tylko jedna taka dziewczyna.

I sama myśl o niej obmywała moje kości jak arktyczny przypływ. Nie pozostała ani odrobina ciepła. „Twoja rodzina wie, co się stało z moją mamą. Wiem, że wiedzą”. Oskarżające słowa zgrzytały w jej ustach. Jej oczy płonęły wściekłym ogniem. Tamtego dnia przyszedłem, żeby ją pocieszyć, ale nie znalazłem jej pogrążonej w smutku. Była w niej tylko furia. „Musisz wybrać. Teraz i natychmiast”. Nasza przyjaźń zawisła na jednym pytaniu: „Komu wierzysz? Swojej rodzinie czy mnie?”

– Powinieneś z nią porozmawiać – wydusiłem z siebie z trudem. Słowa lepiły się do moich ust.

Lucas poczerwieniał w osobliwy sposób. Pasma rózu rozciągało się od jego uszu, po nos, aż do brody.

– Nie jestem pewien, czy dam radę. Boże, jestem takim debilem. Zawaliłem tę sytuację w restauracji.

– Po prostu powiedz jej wszystko to, co powiedziałaś nam. – Pociągnąłem go za rękaw. – Powiedz jej, że ją kochasz.

Robiłem za skrzydłowego. I nawet czułem się tak, jakby skrzydła wyrastały mi z pleców. Chciałem wznieść się w powietrze i zanieść go do niej. Porozmawiają, on ją przeprosi i wszystko będzie dobrze. Może wtedy nie będę się czuł tak bardzo winny, że stąd odejdę i nigdy nie wrócę.

– Za każdym razem, gdy próbuję jej coś powiedzieć, wszystko się sypie. W głowie mam ułożone słowa, potem patrzę na nią i nagle zapominam, jak się mówi. A potem ledwie mrugnę i wszystko jest skończone, a ja znowu wychodzę na dupka.

Chciałem się sprzeciwić, ale nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Odwróciłem się i znowu zacząłem jej szukać. Tłum powoli się rozpraszał. Gdy już nie piłem, nie było kogo oglądać. Może powinienem wyrwać butelkę z ręki Lucasa, choćby po to, żeby z powrotem ją tutaj przyciągnąć.

Ale wtedy znajoma twarz przykuła mój wzrok.

W tej dziewczynie nie było nic delikatnego. Jej oczy były czarne jak atrament, a usta wykrzywione w nieustannym grymasie. Miała ten typ urody, który mógł natychmiast zabić – jeśli ktoś patrzyłby na nią zbyt długo, zamieniłaby go w kamień. Miała ciemny odrost, a włosy opadały na jej ramiona w postrzępionych pasmach. Cała składała się tylko z cierni, nie było kwiatu.

Wpatrywałem się w nią i w jej trzydzieści dwa piegi. Wilhelmina Greene.

Jej obecność wywróciła mój świat do góry nogami. Gdy ją zobaczyłem, motyle w mojej klatce piersiowej padły martwe.

Przypływ szczęścia, który przed chwilą czułem – uśmiech, którego nie mogłem się pozbyć, śmiech, który tryskał z moich ust – wszystko to nagle się skończyło.

Podeszła do mnie. Bliżej i bliżej, aż nagle chwyciła w garść moją koszulę.

To był okropny, pełen nerwów rok. Przez cały ten czas tkwiłem uwięziony w jej okrutnej, burzowej chmurze, uwięziony w jej dogłębnej i śmiercionośnej nienawiści. Aż traciłem oddech. Kazała mi wybrać, więc dokonałem wyboru i od tamtego czasu żyłem z następstwami swojej decyzji.

Wszystkie te spojrzenia, które mi rzucała, gdy myślała, że na nią nie patrzę, to, jak uśmiech zniknął z jej twarzy, gdy napotykała moje spojrzenie.

I to, jak mocno jej palce zaciskały się w tej chwili na mojej koszuli.

– W... Wil – wypowiedziałem z trudem jej imię. Musiałem dwa razy przełknąć ślinę, aby móc precyzyjnie je przez gardło. Fiksowałem się na każdym najmniejszym detalu. Na tym, jak mój głos wezbrał w gardle niczym żółć; na tym, jak moje kolana zdrząły, gdy poruszyłem nogami w miejscu; i na tym, jak ociężałe stało się moje ciało.

A ona pociągnęła mnie do przodu, jakbym ważył tyle co nic. Jakbym był lekki jak piórko.

Ze wszystkich stron dało się słyszeć gwizdy i drwiny. Reszta zebranych patrzyła na nas, ale ja nie byłem w stanie się zmusić, aby spojrzeć do tyłu. Światło zaczęło się zmieniać – jasne barwy, które przed momentem widziałem, zniknęły. Przed oczami miałem tylko błysk głębokiej czerwieni. Ten sam odcień, jaki ma rozcięcie albo jątrząca się, głęboka rana.

Moja klatka piersiowa bolała naprawdę mocno. Każdy mój wdech brzmiał, jakby coś świszczało w moich płucach. *Wil mnie dotyka*. Czułem ciepło, które przenikało przez moją koszulę. *Wil mnie dotyka*.

Rozpoznałem tylne drzwi, które zatrzęsnęły się za nami. A potem nastąpiła cisza. Byłem tylko ja i Wil. Byliśmy sami. Podwórko Lucasa rozciągało się na arkuszu nigdy niekończącej się bieli. Stała blisko mnie. Opierałem się plecami o ścianę, jej usta były tuż przy moich. Wyglądała na wkurzoną i być może powinienem się bać, ale pachniała truskawkami. I dokładnie to jej powiedziałem.

– To wszystko co masz mi do powiedzenia? – zapytała, przerywając ciszę płomiennym spojrzeniem i zgrzytaniem zębów. – Zamiast: „Przepraszam, że moja rodzina chce ukraść twój dom, Wil”? „Przepraszam, że nie pomagam ci rozwiązać sprawy twojej matki, Wil”? Serio, w takim momencie mówisz o truskawkach? – Jej złość zmieniła się w chwilowe zakłopotanie. Powąchała własne włosy. – Śmierdzą potem.

Wydaje mi się, że coś jej odpowiedziałem, ale nie byłem pewien. Wiedziałem tylko, że gdy mnie puści, na pewno upadnę. Ledwo trzymałem się na nogach.

– Twojemu ojcu znudziła się zabawa w kaznodzieję, co? Teraz chce zabawić się w Boga? Czego twoja rodzina w ogóle chce od motelu? Niech zgadnę, zamierzacie go zburzyć? Chcecie zbudować ogromny kościół?

Motel?

Zamrugalem, ale nie mogłem zrozumieć, o co jej chodziło. Od czasu całej tej sprawy i oskarżeń, które rzuciła Wil, mój tata ani razu nie wspominał ani o niej, ani o jej rodzinie. Nie było mowy, żeby chciał kupić coś takiego.

– Ja nie... – Nie byłem pewien, co mnie bardziej otrzeźwiło. Świst wiatru czy to jak mój kołnierz zacisnął się w jej uścisku. Poluzowała palce, abym mógł zaczerpnąć powietrza. – Nie wiem, o czym ty mówisz, Wil.

– Kłamca – syknęła. Jej głos był lodowaty. Była tak samo nieprzewidywalna i wściekła jak ostatnim razem, gdy była moim oskarżycielem. Ale tym razem nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Odebrało mi mowę.

– Chcesz mi wmówić, że szeryf Vrees wie, ja wiem, ale ty nie masz o niczym pojęcia?

Zaprzeczyłem ruchem głowy. To wszystko, na co było mnie stać.

– I przypuszczam, że nie ma nic, co chciałbyś mi powiedzieć o mojej matce? A dokładniej... gdzie ona jest?

*W moim umyśle.* To właśnie chciałem jej odpowiedzieć. Ale nawet pijany wiedziałem, że lepiej tego nie robić. Sophie Greene na stałe zamieszkała w moich myślach. Żyła w mrocznych cieniach, a gdy się uśmiechała, był to ten sam uśmiech, który widziałem tamtego dnia w kościele. Nikt nowy nigdy nie przychodzi na nasze nabożeństwa, a jednak ona się tam pojawiała. Zajęła miejsce w tylnej ławce i uśmiechała się szeroko, tak jak zawsze, nie zważając na te wszystkie spojrzenia.

– Wiesz... – powiedział mój ojciec przy obiedzie. Było to niedługo po jej zniknięciu.

– Ta kobieta zostawiła wcześniej swoją nowonarodzoną córkę. Opuściła swoją rodzinę, a potem, gdy się opamiętała, zrobiła całe przedstawienie ze swojego powrotu. Zapewne musiała zatęsknić za byciem w centrum uwagi. Nie wszyscy dzielają te same wartości rodzinne co my.

Zastanowiłem się, czy tam, gdzie teraz jest Sophie Greene, również się uśmiecha.

– Powiedziałem ci już wcześniej. – Ze wszystkich sił starałem się zachować spokój.

– Nie wiem, gdzie jest twoja mama, Wil, ale moja rodzina nie ma z tym nic wspólnego, dobra? Co jeszcze muszę zrobić, żebyś mi uwierzyła? Nie wiem, jak możesz coś takiego w ogóle sugerować. To oni zorganizowali poszukiwania, to oni porozwieszali ogłoszenia o jej zaginięciu, to oni...

– Och, faktycznie tacy z nich święci, wybacz mi. Trzeba być prawdziwym świętym, żeby znęcać się nad własnym dzieckiem, co nie? – Nawet ona wydawała się

oszołomiona własnymi słowami. Gdy przygryzła wargę, pomyślałem, że bała się, jakie jeszcze słowa wypadną z jej ust i pogorszą naszą relację. – Nie powinnam była tego mówić.

– Nie masz o niczym pojęcia, Wil. – Odwróciłem wzrok od jej lustrującego spojrzenia. A potem sam nie mogłem uwierzyć w to, co powiedziałem. Być może to był nasz punkt wspólny tego wieczoru. – Porzucenie własnego dziecka też nie jest niczym chwalebny. Chyba się zgodzisz?

Patrzyła na mnie jeszcze przez chwilę, po czym odwróciła ode mnie wzrok i syknęła:

– Pieprz się, Elwood.

Miałem rację – gdy tylko mnie puściła, upadłem na zamarznięty chodnik. Drzwi do patio zamknęły się za nią z trzaskiem. Nie wiedziałem, jak długo zajęło mi znalezienie jakiegoś oparcia. Chwiałem się na nogach i wzbierały we mnie mdłości. Powietrze na zewnątrz było lodowate, ale moja skóra wciąż płonęła od jej dotyku.

Było mi niedobrze.

Już i tak czułem gorąco, przez które z trudem nabierałem powietrza. Myślałem, że zwymiotuję.

Wszedłem po schodach, omijając po dwa stopnie naraz.

Gdy spojrzałem w górę, na ścianach widniały uśmiechnięte twarze. A im dłużej na nie patrzyłem, tym ich usta stawały się szersze, a oczy wyglądały, jakby źrenice pochłonęły białka. Miałem wrażenie, że skóra odkleja się od moich kości jak farba.

Musiałem znaleźć łazienkę.

Otwierałem pokoje jeden po drugim. Klamki przekręcały się z łatwością, gdy szukałem ucieczki. Najpierw znalazłem pusty gabinet o sterylnych, chropowatych ścianach. Potem składzik, w którym wszystko było schludnie poukładane w pudełkach poprzedzielanych przegródkami. Trzecie drzwi otworzyły się, ukazując księżyc. Srebrzysty strumień spływający na nagie plecy. Kręgosłup, który wyginał się jak kości w lesie; zranione, gardłowe okrzyki; ciała skąpane w błękicie.

Harvey migdalił się na łóżku z jakąś dziewczyną.

Ich obraz zniknął sprzed moich oczu. Widziałem tylko dwa stworzenia, ręce, nogi, splątane kończyny. Krew i kości, i ciało. Tętniące serca, donośny rytm młodości.

– Co, do cholery? Wynoś się stąd! – krzyknęła dziewczyna, przyciskając poduszkę do piersi.

Walczyłem sam ze sobą. Drzwi zatrzasnęły się za mną, a nogi poniosły mnie dalej. Rzuciłem się biegiem przez korytarz. Mdłości nasilały się z każdą mijającą sekundą. Otworzyłem ostatnie skrzypiące drzwi i głośno westchnąłem. W przeciągu kilku sekund wskoczyłem do toalety. Pałaca żółć rozpościerała się w mojej klatce piersiowej

i wdzierała się do gardła, zostawiając w moim wnętrzu krwawą ścieżkę. Wymiotowałem, wymiotowałem i wymiotowałem. Moje oczy piekły, były pełne łez. Wszystko to było takie obrzydliwe. Smak, dźwięk i fakt, że moje ręce ścisnęły brudną deskę klozetową, jakby od tego zależało moje życie. Jacyś ludzie na tym siedzieli. Ba, więcej, niż tylko siedzieli. Boże, Boże, Boże. Wiedziałem, że będę musiał zdezynfekować ręce pięć razy. Choćbym miał użyć wybielacza. Moja matka nie może się o tym dowiedzieć. Mój ojciec nie może się o tym dowiedzieć. Nikt nie może...

Znowu zwymiotowałem.

*Grzesznik, grzesznik, grzesznik.*

Przeciągnąłem paznokciami po języku, zdzierając z siebie warstwę paskudztwa równie paskudnymi dłońmi. Musiałem wydrzeć z siebie ten smak, zanim zakorzeniłby się we mnie i został tam na zawsze. *Będę się modlił i modlił, i modlił, aż to wszystko minie.*

Wpatrzyłem się w muszlę.

Była pełna połamanych gałązek i kępek trawy. Wokoło były sosnowe igły – zimna zieleń lasu na tle bieli. W samym centrum zauważyłem połamane, wykręcone ciało ćmy. Futerko barwy zaschniętej krwi, już nie tak świeże, nie tak wyraźne i jasne. Na jej skrzydłach widniały dwa półksiężycy, dwie identyczne plamy w kolorze sepii. Jej oczy były jak czarne, marmurowe kulki, które imitowały spojrzenie drapieznika. To *hyalophora columia*<sup>9</sup>.

Brzęczała po środku wody, nie była jeszcze całkiem martwa. Wiła się ostatnimi drganiem życia.

Spłukałem wodę i wszystko zniknęło.

Zatoczyłem się do tyłu i oparłem plecami o ścianę. Zastanawiałem się, co tak naprawdę zobaczyłem. Byłem pijany. Ot co. Musiałem więc mieć halucynacje od alkoholu, a następnego dnia to wszystko będzie tylko niczym innym, jak złym wspomnieniem.

Potykając się o własne nogi, podszedłem do kranu. Gorąca woda płynęła pomiędzy moimi palcami.

– To nie jest prawdziwe. To nie jest prawdziwe. To nie jest... To nie jest...

Słowa utknęły mi w gardle. Nie mogłem nabrać powietrza. Łykałem oddech, ale nie oddychałem. *Muszę się stąd wydostać.* Ale nie udało mi się zejść daleko.

Emanujące światłem gwiazdy były jedynym, co widziałem. Oślepiający blask zabrał ze sobą świat, roztrzaskał obraz przed moimi oczami i pozostawił po sobie tylko głęboką, mroczną czerń.

# Rozdział piąty

## Wil

– Więc jak poszło? – zapytała Ronnie. Oparłam się o nią, nie do końca ufając, że nogi utrzymają mnie w pozycji pionowej. Elwood wbił mi nóż w serce, a ja robiłam co w mojej mocy, aby nie wykrwawić się na podłodze.

*To oczywiste, że nic nie chciał powiedzieć. Nic go nie obchodzisz. Udowodnił to już rok temu.*

Mijały miesiące, a rany z przeszłości wciąż jątrzyły się i ropiały.

Ścisnęłam dłoń Ronnie. Noc odcisnęła piętno na jej makijażu: cień rozmazał się w załamaniach powiek, a szminka przeniosła się z ust na kubek. Nawet w takim wydaniu była piękna. Jej obecność przynosiła mi ulgę, ale niewystarczającą. Nic nie było wystarczające.

– Chciałabym, żebyś ze mną porozmawiała, Wil – poprosiła. – Powiedz mi całą prawdę o tym wszystkim.

Pewnego dnia ona również mnie zostawi. Każdy w końcu odchodzi.

Chciałam coś powiedzieć, ale gdy otworzyłam usta, emocje zaczęły brać nade mną górę.

Wbiłam paznokcie w swoje ramię – coraz mocniej i mocniej. Ból rozpraszał myśli. I był lepszy, gdy to ja nad nim panowałam.

– Hej, Wil? – Dźwięk jej głosu zmusił mnie, abym podniosła na nią wzrok. Stała przy mnie, a na jej twarzy było wymalowane zmartwienie.

Łzy spływały po moich policzkach i sączyły się do ust, aż czułam jedynie smak soli.

– Możemy stąd wyjść? Nie chcę, żeby ktoś zobaczył mnie w takim stanie – jęknęłam jej do ucha zachrypniętym głosem. Moje zachłanne palce zagarniały ją całą... włosy, tył sukienki, wszystko, czego mogłam się chwycić, aby się do niej zbliżyć.

Musnęła kciukiem mój policzek.

– Ta impreza i tak jest strasznie nudna. Zbierajmy się, zanim drogi zostaną całkiem zasypane i na zewnątrz zrobi się piekło.

Piekło nie było jakąś ziejącą ogniem jamą w ziemi. Piekłem było wyjście na mróz, aby matka natura mogła przywalić nam w brzuch i wycisnąć oddech z naszych płuc. Piekłem był porywisty wiatr, którego poddmuchy były tak intensywne, że zmuszały, aby dotknąć policzka i sprawdzić, czy nie krwawi.

Dzięki Bogu Ronnie otarła łzy z mojej twarzy. Miałam okropne przekonanie, że inaczej przymarzłyby do mojej skóry. W szczególnie paskudne dni wychodziłam na zewnątrz z mokrymi włosami, tylko po to, aby na mojej głowie pojawiły się bryły lodu.

Samochód zawarczał, budząc się do życia. Wycieraczki szorowały po zamrożonej przedniej szybie, a lodowate powietrze wiało z otworów wentylacyjnych, nie robiąc nic, aby zwalczyć chłód przenikający mnie aż do kości.

Zakłopotanie już zaczęło się wkradać na miejsce żalu. Płacz w samotności to jedno – zaciskanie zębów na poduszce i tłumienie szłochu za cienkimi jak papier ściankami. Czymś zupełnie innym jest płakać otwarcie i pozwolić, aby cały świat był świadkiem naszej bezbronności.

– Dobra, sprawdźmy, jaki znajdziemy tu sposób, żeby przetrwać zamieć.

Ronnie włączyła radio palcem schowanym w rękawiczkę. Wszystkie stacje były oddalone od nas o kilka godzin, a nasze miasto było za małe, żeby mieć swoją własną rozgłośnię.

– Drodzy państwo, dzisiejszej nocy nadciąga wielki front burzowy. Muszę przyznać, że na mapie wygląda to kiepsko. Od godziny pierwszej do piątej nad ranem obowiązuje ostrzeżenie przed nawałnicą. – Nasz prezenter pogody mówił z najbardziej wyraźnym lokalnym akcentem, jaki można sobie wyobrazić. – Ta zamieć to prawdziwa bestia. Już dziś w nocy posmakujemy tego jako pierwsi. Mamy nadzieję, że wszyscy nasi słuchacze są bezpieczni...

Tymczasem Ronnie trzymała kierownicę w silnym uścisku, a samochód ledwo sunął do przodu. Byłam pewna, że niedługo znajdziemy w rowie jakiegoś dzieciaka. Choć nie, poprawka, raczej kilku. Tej nocy miała rozpętać się wichura i widoczność będzie zapewne zerowa. Wszędzie dookoła maluje się oślepiająca biel. A to i tak dopiero zapowiedź tego, co ma nadejść.

Przedzierałyśmy się przez najmniejszą dzielnicę świata i minęłyśmy restaurację Earla – z której być może zwolnią przeze mnie Ronnie.

Wszystkie budynki w tym mieście były rozrzucone pośród drzew jak zabłąkane billboardy na wiejskiej drodze. Samochód Ronnie przejechał obok jedyne go baru w okolicy. Pomimo pogody na parkingu wciąż stało kilka pojazdów. Pracownicy młyna traktowali picie w Tawernie Ogona jak drugą pracę. Dzięki nim rodzina Ramirez musiała spać na pieniądzach. A z pewnością mieli ich wystarczająco dużo, aby w całym lokalu przyklejać monety.

Oparłam się pokusie, żeby powiedzieć Ronnie, abyśmy tam zajechały. Rzadko sprawdzali dowód, a ja z chęcią zeszkrobałabym kilka monet z ich parkietu. Tata tak bardzo zalegał z rachunkami, że byłam gotowa przyjąć, cokolwiek się trafi.



– A więc... – zaczęła Ronnie. Gdyby warunki drogowe nie były aż takie trudne, pewnie stukałaby jak zwykle palcami po kierownicy.

Zaspy robiły się coraz większe. Odśnieżanie chodnika będzie potem prawdziwym koszmarem.

Ponieważ zapadła decyzja o sprzedaży motelu, byłam niemal gotowa, aby się poddać i pozwolić, żeby śnieg zasypał nas żywcem.

*Nie.*

*Coś wymyślę. Nie pozwolę, żeby motel został nam odebrany.*

– A więc? – powtórzyłam za nią, ale wpatrywałam się w drogę przed nami, żeby przypadkiem nie spojrzeć jej w oczy.

Cisza.

Ronnie potarła oko jedną ręką, a jej eyeliner rozmazał się jeszcze bardziej.

– Proszę, uchył mi rąbek tego, co się dzieje. Błagam cię – powiedziała w końcu.

Poczułam, jak zasycha mi w ustach. Forteca, którą zbudowałam wokół swoich sekretów była stroma, ale dla Ronnie chciałam przedrzeć się przez szczeliny.

– Zamykają sprawę mamy. Vrees praktycznie przyznał to przede mną, gdy tam dzisiaj poszłam. Nie będzie się już ze mną męczyć.

Niemal natychmiast zauważyłam efekt swoich słów. Niezręczne pulsowanie pod skórą przyjaciółki. Trybiki w jej głowie obracały się szybko jeden za drugim, gdy starała się znaleźć odpowiednie słowa pocieszenia. Naprawdę miałam nadzieję, że nie powie: „Przykro mi”. Nasłuchiwałam się już tego.

– Poważnie? – zapytała i niemal westchnęłam z ulgą. Zmarszczyła brwi, a na jej ustach pojawił się grymas. Trudno było mi stwierdzić, na ile wyraz jej twarzy był szczerzy, a na ile starała się mnie naśladować i odtworzyć emocje, które jej zdaniem chciałabym zobaczyć. – Przecież minął dopiero rok. To ma być koniec? Ot tak?

– Dla nich – wtrąciłam szybko. – Nie dla mnie.

Podmuchy lodowatego wiatru szalały po na wpół zasypanej drodze. Śnieg oprószył wszystkie linie. Ronnie zwilżyła usta. Szminka, która wcześniej podkreślała jej wargi, teraz niemal zupełnie zniknęła.

– Mogłabym ci pomóc.

– Jak? Chcesz siedzieć ze mną w krzakach przed domem Elwooda... – Cholera, nie chciałam aż tak dużo powiedzieć.

Jej śmiech był krótki. Kiedy nie usłyszała żadnego dźwięku z mojej strony, spojrzała na mnie gwałtownie. Musiałam na nią krzyknąć, żeby skoncentrowała wzrok na drodze.

– Mówisz poważnie?

– To byłby okropny żart – odpowiedziałam, a myśl o tym, że ktoś znał prawdę, sprawiała, że robiło mi się niedobrze. – Muszę zdobyć przeciwko nim jakieś dowody.

Ronnie nigdy nie była osobą, która dobrze ukrywała swoje nerwy.

– Wil, możesz mieć przez to poważne kłopoty, prawda? Co jeśli wyślą cię do poprawczaka albo zrobią coś w tym stylu?

– Jestem niemal pewna, że nie wysyłają tam osiemnastolatków – zbyłam ją.

Ale ona nie miała zamiaru się uspokoić.

– Nie znam się na prawie, ale... Boże, Wil, teraz mam paranoję. Co zrobisz następnym razem? Powiesz mi, że się tam włamałaś...? Nie zrobiłaś tego, prawda?

Uspokoiliam ją szybko.

– Nie, Ronnie, możesz przestać się stresować. I szczerze... nie martwię się o siebie. Martwię się o mamę. Potrzebuję dowodów.

Ronnie spojrzała na mnie ze współczuciem, ale odwróciłam wzrok i spojrzałam na radio.

Nie potrzebowałam litości. Litość nie opłaci rachunków, a już na pewno nie naprawi sytuacji.

– Udało ci się dowiedzieć czegoś od Elwooda? – zapytała.

– To najgorsza część – przyznałam. Cieszyłam się, że moje ręce były poza zasięgiem jej wzroku, bo zaczęły nieznacznie drżeć. – Zachowywał się tak, jakby nie miał pojęcia, o czym mówię. To już kolejny raz. To chyba bez znaczenia, czy jest pijany, na haju, czy pod wpływem serum prawdy.

– Wierzysz mu?

– Nie. Mogłam się tego spodziewać. Nie wierzę w ani jedno słowo, które wypowiada Elwood.

Przez resztę drogi siedziałyśmy w milczeniu. Od domu Lucasa do motelu jechałyśmy całe piętnaście minut. Zwykle zajmowało to połowę tego czasu, ale najpierw potrzebny był jakiś dobry samarytanin, który odśnieżyłby drogi.

Zieleń tego poranka zniknęła bez śladu. Podmuchy lodowatego wiatru przemykały obok głównego wejścia, szaleńczo szarpiąc szyld informujący o liczbie miejsc. Jeszcze trochę, a być może wyrwie go i rzuci nim na parking.

Wyżej widniały litery: MO EL GRE

Ocalałe światła liter przecinały szarość nocy – fluorescencyjna, limonkowa zieleń, która powinna głosić: *Motel Rodziny Greene*, ale napis nie wyglądał tak już od roku.

Teraz był po prostu paskudny, ale przynajmniej na tyle, aby pasować do reszty budynku.

– Przychodzi taki moment, w którym to staje się łatwiejsze? – zapytałam szeptem. Mój cichy głos ledwie wybrzmiał w ciemności.

Nie musiałam nic tłumaczyć. Żal i smutek łączyły nas nieprzeniknioną więzią.

– Tęskniłam za tatą, odkąd skończyłam osiem lat. Cały czas o nim myślę, naprawdę, ale... czas leczy rany. Uczysz się, żeby każdego dnia na nowo przyjmować świat. Zbierasz roztrzaskane cząstki siebie i idziesz do przodu.

Złączyłam swój mały palec z palcem Ronnie, a ona ścisnęła mnie pocieszająco.

– Chcesz, żebym została u ciebie na noc? Mogę wymyślić jakieś kłamstwo dla mamy, gdy spotkam ją rano. Ale jeśli mnie potrzebujesz, zostanę.

Nie chciałam być sama. Naprawdę, naprawdę tego nie chciałam. Ale choć się starałam, nie mogłam się zmusić, aby ją o to poprosić. Nie w sytuacji, gdy z taką łatwością mogłam wysilić się na uśmiech. Mocniej ścisnęłam jej palec i powiedziałam:

– Nie martw się, dam radę.

Zmrużyła oczy.

– Jesteś pewna?

– Oczywiście – skłamałam.

Puściła moją dłoń, aby przyciągnąć mnie do siebie i objąć.

– Napisz do mnie, jeśli będziesz czegoś potrzebowała, dobrze? – Była o wiele silniejsza, niż na to wyglądała. – Czymkolwiek by to nie było. Przyjadę. Siostry Anarchii, pamiętasz?

Pani Clearwater nazwała nas tak na krótko po tym, jak zaczęłyśmy się spotykać. Po tym, jak zaczęłam „wywierać wpływ na Ronnie”, aby była sobą. To nie miał być komplement, ale ksywka brzmiała zbyt fajnie, abyśmy jej nie przyjęły.

– Jak mogłabym zapomnieć? – Uśmiechnęłam się. Tym razem szczerze. – Siostry Anarchii zawsze razem. Jedź do domu bezpiecznie, dobrze?

Uśmiechałam się tak długo, aż jej samochód zniknął mi z oczu. Potem zostałam z własnymi szalejącymi myślami i tym, co szeryf Vrees uroczo opisał jako „dziurę finansową bez dna”.

Biorąc pod uwagę zewnętrzną perspektywę, nawet rozumiałam dlaczego tak powiedział. Nasz rodzinny motel był portalem do lat siedemdziesiątych. Wszystko w tym miejscu było zdeterminowane, aby zatrzymać się w czasie. Żadna ilość odświeżacza powietrza nie mogła wygnać zamachu stęchlizny. Bez względu na to, jak często wycieralibyśmy meble, uparty kurz zawsze powracał.

Ledwie było nas widać z głównej drogi. Z każdym rokiem las Morguewood zbliżał się do nas coraz bardziej. Pnącza owijały się wokół ścian, jakby planowały rozerwać nas na pół.

Nie zawsze tu mieszkaliśmy. Ale pomysł posiadania prawdziwego domu minął na zawsze. Ten koncept wydawał się teraz tak odległy, jak gdyby nie był realny. Wspomnienia wciąż były żywe, ale miałam wrażenie, że ktoś mi je zaszczepił, że ktoś

mnie nimi nakarmił. Jak jedna z tych historii, którą słyszy się wiele razy, będąc dzieckiem – nawet jeśli znamy ją na pamięć, to sama opowieść nie należy do nas.

Jedyna pracownica, na której utrzymanie było nas stać, stała przy drzwiach i paliła papierosa.

Po namyśle nie byłam pewna, czy kiedykolwiek jej zapłaciliśmy. Tata miał sporo zaległości w tych kwestiach.

Może Cherry została tutaj z czystej dobroci serca. A może z litości. Była blisko z moją mamą – tak blisko, aż można by pomyśleć, że były jak matka i córka. Biorąc pod uwagę, że moja prawdziwa babcia nie żyła, a syn Cherry siedział w więzieniu, może właśnie tym się dla siebie stały. Rodziną.

– Zanim zapytasz, nie, nie możesz zapalić – powiedziała, nawet na mnie nie spoglądając.

Byłam zaskoczona, że silny wiatr nie zdmuchnął jej tego papierosa, gdy tylko go zapaliła. Chroniła go dłonią bez rękawiczki. Na każdym palcu miała upchane pierścionki, a jej paznokcie były poźółkłe w miejscach, w których odprysnęła lakier.

– Dlaczego uważasz, że chciałam o to zapytać?

– Bo zawsze to robisz. – Na jej ustach pojawił się niewielki uśmiech.

– Co za pech – prychnęłam.

Może i była naprawdę stara, ale nigdy nie widziałam u niej siwych włosów. Farbowała swoje loki na kolor ognistej czerwieni i co tydzień odświeżała fryzurę. Powiedziała mi kiedyś, że chodzi do sklepu na rogu, rozprasza kasjera ochrypłym kaszlem i „niechący” zgarnia farby do torebki. „Jeśli już mam znosić starość, to od czasu do czasu muszę się trochę zabawić, prawda?”

Jednak w tej chwili wyglądała dokładnie tak, jak ja się czułam: sfrustrowana, wyczerpana i rozpaczliwie potrzebująca całorocznej drzemki. Jej usta pociągnięte charakterystyczną, czerwoną szminką, wyglądały tak, jakby poprawiła makijaż w ciemności i w dodatku lewą ręką. Cekinowy szal był tak ciasno owinięty wokół jej szyi, aż swędziało mnie gardło.

Marszczyła nos i byłam pewna, że czuła ciężką woń alkoholu unoszącą się z mojego oddechu.

– A więc co taka dziewczyna jak ty porabia w piątkowy wieczór?

Wzruszyłam ramionami i przeniosłam wzrok na znak. Neonowe światła płonęły.

– Piłam. Bawiłam się. Popelniałam nieodpowiedzialne, młodzieńcze decyzje.

– Doprawdy? – Szturchnęła mnie ramieniem, po czym zaśmiała się i zaciągnęła kolejny raz papierosem.

Obserwowałam ją, gdy wstrzymała dym w ustach, a potem wypuściła go jak smoczy oddech. Cuchnął.

– Nie. Wypiłam jedno piwo, a potem pojechałam razem z Ronnie do domu. I to by było na tyle.

– Nie powinnaś pić.

– A ty nie powinnaś palić.

Prychnęła, ale zobaczyłam na jej ustach cień uśmiechu.

– Co za pech. – Zaciągnęła się jeszcze raz, a potem wrzuciła papierosa do popielniczki. – A więc twój tata w końcu ci powiedział?

– O niczym mi nie powiedział. Sama o tym przeczytałam.

Moje ciało zapłonęło na samo wspomnienie, a złość była niemal wystarczająca, aby mnie rozgrzać.

– Twój tata nie radzi sobie najlepiej z załatwianiem takich spraw, ale czy można go winić za to, że się denerwuje? – zapytała, a jej słowa zostały przerwane przez wymowny kaszel palacza. – Nie jesteś szczególnie szczęśliwa, gdy z nim przebywasz. Jesteś tak samo temperamentna jak twoja mama. Niech zgadnę, ochrzaniłaś go za to?

Odwróciłam wzrok.

– Trochę tak.

„Sprzedajesz motel tej cholерnej rodzinie Clarke? Jak możesz?”

„Co jeszcze mogę zrobić? Nic innego nam nie pozostało, Wil!”

Niezbýt wiele rzeczy mi wychodzi, ale w wyrażaniu wściekłości jestem mistrzem. Mój tata ożył na zaledwie kilka cudownych sekund. To piękna odmiana od tego, kim stał się na co dzień - zaledwie pustą skorupą, cieniem samego siebie. Z faceta, który kiedyś był moim ojcem, przeistoczył się w... nikogo.

Ale potem znowu zamknął się w sobie.

Powiedziałam jej to samo co jemu:

– To ostatnia rzecz, jaka nam po niej została.

Jej spojrzenie było w najlepszym razie nostalgiczne, a w najgorszym tragiczne. Jej powieki były półprzymknięte, a usta zaciśnięte. Nie znoszę litości, ale wolałabym już to niż sposób, w jaki zareagował tata. Jego emocje zniknęły równie szybko, jak się pojawiły, wsiąknęły w głąb, aż na zewnątrz nie pozostała nawet krztyna.

Cherry westchnęła.

– Twoja mama nigdy nie była szczególnie zachwycona motelem. Z pewnością sama chciałaby go sprzedać za odpowiednią cenę. To miejsce zawsze było dzieckiem twojego ojca.

*Właśnie widać, jak bardzo troszczy się o swoje „dzieci”.* Niemal to powiedziałam, ale zdążyłam ugryźć się w język. W tym momencie tata był najmniejszym z moich zmartwień.

– Nie obchodzi mnie to. Jak sprzeda motel, to wszystko będzie skończone. I tak już straciliśmy dom. Tak dużo już straciliśmy, Cherry. Nie możemy sobie pozwolić, aby coś jeszcze nam odebrano. Poza tym co stanie się z tobą?

Skrzywiła się – ciężko stwierdzić, czy powodem był dym unoszący się w powietrzu, czy moje nagłe przesłuchanie.

– Poradzę sobie, mała. Zawsze sobie radzę, czyż nie?

– To niesprawiedliwe.

– Życie nie jest sprawiedliwe.

Zacisnęłam zęby. Jak wiele razy będę musiała tego słuchać z ust osób, które się poddały?

– Przykro mi to mówić, Wil, ale jest już za późno. Nie wiem, jak chcesz obejść ten kontrakt, chyba że Ezekiel Clarke padnie trupem albo wyląduje w więzieniu. A nawet gdyby to się stało, to kto wie, co będzie dalej... – Jej głos był odległy, wręcz zamglony.

– Dorastanie oznacza, że radzisz sobie z tym, co rzuca ci los.

Nie chciałam tego zaakceptować.

– W takim razie nigdy nie dorosnę, ponieważ nie zamierzam się poddawać. Będę odpowiadać atakiem na atak.

Zagryzłam wargę tak mocno, aż poczułam smak krwi. Słowa Ronnie wirowały w moich myślach. „Powiesz mi, że się tam włamałaś...?”

Nie, ale może to był najwyższy czas. Skoro Vrees nie chciał mi pomóc i skoro nie uzyskam żadnych odpowiedzi od Elwooda, będę musiała podwoić swoje wysiłki.

– Wil. Obiecuj mi, że zostawisz tę rodzinę w spokoju. – Mojej uwadze nie uszedł desperacki tembr jej głosu. Cherry rzadko o coś błagała.

– Obiecuję – skłamałam.

Patrzyła na mnie jeszcze przez chwilę. Ale potem skinęła głową, zmusiła się do delikatnego uśmiechu i odeszła.

– Tato, wychodzę. Postaraj się nie zakrzusić własnymi wymiocinami, dobrze?

Zmrużyłam oczy, starając się upewnić, czy tylko zemdłał, czy może faktycznie umarł. Czasami ciężko było to stwierdzić.

Początkowo po zniknięciu mamy, wciąż było w nim trochę życia. Czesał włosy, przycinał brodę, upewniał się, że jego koszula nie była poplamiona ketchupem. Dostał nawet drugą pracę jako kucharz w sąsiednim mieście – Hartsgrove.

Ale te dni minęły.

Dziś jego ubrania były poplamione whisky, a jego pokój był rajem dla zbieraczy. Nasza stara mikrofalówka stała odłączona na środku podłogi, obok leżały pudełka ze starymi talerzami owiniętymi w gazety... Jak na ironię, stojący w kącie, porzucony

odkurzacz był pokryty najgrubszą warstwą kurzu. Tata trzymał to wszystko w nadziei, że pewnego dnia się wyprowadzimy i znowu będziemy tego potrzebować.

Bez mamy nasza dwójka nie była w stanie opłacić domu i motelu, więc dlatego tak to wyglądało.

Sprawdziłam szafkę nocną, która stała obok taty. Była tam cała apteczka recept – niektóre po to, aby pomóc mu walczyć z depresją, inne natomiast, aby pomóc mu walczyć z alkoholizmem. Ale żadnej z nich nie wykorzystał. Jako lekarstwo wybrał sobie zawartość butelki.

– Tyle dla ciebie robię – warknęłam, przewracając go na bok. Zresztą i tak mnie nie usłyszał. Mój głos ledwo do niego docierał nawet wtedy, gdy nie spał. – Jakbyś mnie potrzebował, to wiedz, że będę ratować motel. Będę ratować nas.

Po tych słowach wyszłam i zatrzasnęłam za sobą drzwi.

Bez Cherry cały motel wydawał się mroczny. Tej nocy wyglądał na jeszcze bardziej nawiedzony – coś gdzieś cicho bulgotało, woda kapała z kranu, a rury skrzypiały. Ściany były zmęczone ciężarem, który na sobie dźwigały, deski podłogowe przesuwwały się i trzeszczały pod moimi nogami. Cienie z zewnątrz wkradły się do środka, a wiatr uderzał w szklane drzwi gwałtownymi zrywami. Światła parkingu przedzierały się przez ciemność, ale poza ich zasięgiem świat był nieograniczenie czarny. Śnieg wiał ze wschodu w porywistych, bocznych podmuchach.

Biorąc pod uwagę, jak wściekła była ta burza, powinnam się cieszyć, że nie byłam na zewnątrz – wewnątrz było ciepło, miałam dach nad głową i koce podciągnięte aż pod brodę... Ale moje myśli krążyły w kółko. Niezależnie od tego, czy Ronnie chciała podsunąć mi ten pomysł, czy nie, miała rację. Pora skończyć biwakować w krzakach i czekać, aż coś wydarzy się na zewnątrz. Musiałam się dowiedzieć, co dzieje się w ich starannie strzeżonym domu.

Wybiegłam na zewnątrz tak szybko, że ledwo pamiętałam, aby się ubrać.

Drzwi jęknęły, jakby z wyrzutem, otwierając się, a przede mną ukazał się zasypany śniegiem las. Dało się dostrzec tylko ogołoczone, pokryte bielą gałęzie i księżyc uwięziony pomiędzy chmurami.

Wyglądało to jak miasto duchów. Nie słyhać było nic, poza trzaskiem gałęzi pod podeszwami moich butów, ostrzegawczym świstem wiatru i moim cichym oddechem, który zamieniał się w obłok pary. Podmuchy uniosły mój podbródek i zmusiły do skierowania wzroku na linię drzew.

Pnącza wiły się na drodze, wpełzały z lasu tylko po to, aby zdobyć nowy teren.

Stałam na drżących nogach, a mój wzrok poruszał się tam i z powrotem pomiędzy łuszczącymi się drzewami a lasem, którego drzewa dźwigały białe czapy śniegu. Odśnieżyłam fragment ścieżki, ale nie mogłam jeszcze wrócić. Skrzywiłam się, czując

podmuch śnieżnej nawałnicy, starałam się uważać nawet wtedy, gdy śnieg wdzierał mi się do oczu. Najszybsza droga do ich domu prowadziła pomiędzy drzewami. Wiedziałam, że powinnam znajdować się już na ścieżce, ale musiała być ona przysłonięta przez zaspę. Szłam tą drogą już tak wiele razy... Teraz moje oczy łzawiły, a krew z powodu towarzyszących mi emocji szaleńczo buzowała w żyłach.

Otrzymam odpowiedzi na swoje pytania – w ten czy w inny sposób.

*Nadchodzę bez względu na wszystko, rodzinie Clarke'ów.*



# Rozdział szósty

## Elwood

Gdy ponownie otworzyłem oczy, świat powracał w kawałkach. Widziałem jaskrawobiałe fluorescencyjne światło, ziejącą przestrzeń pokoju i czułem, że paskudny siniak kwitnął na mojej skroni. Wszystko zlało się znowu w całość.

Kevin trzymał w rękach kubek chlupoczącej wody i gapił się na mnie. Lucas tymczasem poderwał mnie do góry. Chciałem mu w tym pomóc, ale byłem niczym więcej niż bezwładnym ciężarem.

– Stary, naprawdę się przestraszyłem, że stracię przytomność. Myślisz, że możesz mieć wstrząs mózgu? Myślisz, że będzie ci słabo? Wiesz, nie wygląda na to, żebyś krwawił. – Pytania Kevina otrzeźwiły mnie w kilka sekund. – Powinienem zadzwonić do twojej mamy?

– Nie! – Nienawidziłem dźwięku, który wyrwał się z mojego gardła. Był zbyt brutalny, aby należeć do mnie, zbyt oziębły i bezlitosny. Po chwili dodałem spokojniejszym tonem: – Proszę, nie. Moi rodzice nie mogą się o niczym dowiedzieć. Ja... Nic mi nie jest. Może za dużo wypięm, ale teraz jest już w porządku. Większość i tak zwymiotowałem. – Zmusiłem się do śmiechu. – Chyba mam jeszcze słabszą głowę, niż się spodziewaliście, co?

Jednak oni się nie zaśmiali.

– Daj mu trochę odpocząć, Kev. – Lucas zmarszczył brwi. – To moja wina. Powinienem cię przystopować. Masz, napij się wody. Pewnie będziesz chciał jakieś tabletki na ból głowy, co? Zakładam, że masz paskudnego kaca.

Krople spłynęły po zaparowanej szklance, by następnie skapywać z moich palców. Było tak wiele rzeczy, które powinienem powiedzieć, ale nie mogłem wydusić z siebie słowa. Powinienem im powiedzieć o ćmie, która wypadła z moich ust i o tym podskórnym przekonaniu, że tracę rozum. Powinienem powiedzieć, jak bardzo się boję, że ich stracę, że za każdym razem, gdy śmieją się albo choćby uśmiechają beze mnie, mój cały świat jeszcze bardziej się rozpada. Ale nie powiedziałem, żadnej z tych rzeczy.

– Dzięki – wymamrotałem.

Woda drapała moje i tak już obolałe gardło.

Kevin wziął ode mnie pustą szklankę i odstawił ją na blat obok siebie. Byłem mu za to wdzięczny, bo moje ręce drżały. Nie wiedziałem, jak długo będę w stanie ją

utrzymać, zanim wypadnie mi z dłoni i roztrzaska się o podłogę w łazience.

Uśmiech Lucasa był słodko-gorzki.

– Wybacz, jeśli ta noc nie była wszystkim, co ci obiecałem. Zawsze możemy to powtórzyć następnym razem, gdy wrócisz, co nie?

Ponury wyraz jego oczu mówił wszystko. Następny raz był oddalony od nas o lata świetlne i przygnieciony tysiącami dni niepewności. Może ta noc była ostatnią, która została nam dana.

Gdy siedzieliśmy w samochodzie, wciąż milczeliśmy.

Skuliłem się i potarłem ramiona, jakbym chciał rozpalić ogień. Było przeraźliwie zimno, ale wystarczyło wciśnięcie jednego guzika, a siedzenia zaczęły się nagrzewać.

Kevin odchrząknął, a jego oddech zamienił się w obłok pary.

– I to jest właśnie powód, dla którego studiuje na południu. – Jego nos był niemal tak samo czerwony jak włosy Lucasa. – W przeciwnym razie zamieniłbym się w sopel lodu.

– No to do boju – prychnął Lucas na wybór szkoły Kevina. – Czy ja wiem, zimno nie jest takie złe. W Alabamie cały czas roi się od robaków i przez cały rok jest tam wilgotno jak cholera.

– Robaki? Elwood, może powinieneś się tam wybrać. Spodobałoby ci się.

Kevin mrugnął do mnie, a ja starałem się zmusić do uśmiechu – naprawdę się starałem – ale nie byłem pewien, czy mi się to udało.

Zacisnął usta po długiej ciszy.

– Musisz zostać kaznodzieją jak twój tata? Nie możesz pójść na studia? Jestem pewien, że mieliby kierunek, który by ci się spodobał.

Niemal... niemal przesłałem swoje podanie. Chyba nigdy wcześniej nie patrzyłem tak długo na ekran komputera. Napis *Uniwersytet Michigan* był wytłoczony dużymi, strasznymi literami, formularz był już cały wypełniony, a moje serce biło jak szalone.

A potem drżącą dłonią zamknąłem stronę i poszedłem umyć ręce. Pogrzebałem ten sen.

Nie sądziłem, aby Kevin zdawał sobie sprawę, jak bardzo bolały mnie jego słowa.

– Sam wybrałem tę ścieżkę.

Lucas się skrzywił.

– Jasne, to nie był taki „trudny” wybór. – Oderwał dłonie od kierownicy, by zaznaczyć cudzysłów palcami w powietrzu, przez co samochód zaczął zjeżdżać na bok. Kevin szturchnął go w żebra, a Lucas z powrotem chwycił kierownicę i odzyskał kontrolę nad samochodem.

W ostatniej chwili powstrzymałem się, aby nie powiedzieć: „To mój obowiązek”. Ale zanim te słowa wyleciały z moich ust, zdałem sobie sprawę, jak by to zabrzmiało.

– To czego chcę i tak jest bez znaczenia.

Lucas nie był w stanie ukryć swojej dezaprobaty.

– Więc jak to jest? To ma być twoje życiowe brzemię? Konsekwencja tego, że przyszedłeś na ten świat?

Bez względu na to, jak bardzo Lucas i Wil sprzeczekali się ze sobą, mieli takie same serca – rozpalone węglem, ogniste i żarliwe. Nauczyłem się na własnej skórze, że niektórych pożarów nie da się ugasić.

– Chcę – powiedziałem, mając nadzieję, że jeśli będę mówił to wystarczająco często, to sam w to uwierzę. – Muszę.

Pamiętam ostatni raz, gdy mój ojciec mnie skarcił. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji. Do tego stopnia, że było to aż niepokojące. Jego klatka piersiowa unosiła się i opadała w miarowym oddechu. Światło jego oczu zniknęło, zupełnie jak płomień, który ktoś zgasił otwartą dłonią – najpierw wokół rozchodzą się smugi dymu, a potem następuje całkowita ciemność. Szedł w moją stronę, podeszwy jego butów ledwo uderzały o drewno. Zamachnął się i uderzył mnie w twarz. Jedno oszałamiające, ostre uderzenie, które i tak było tylko przedsmakiem nadchodzącego bólu.

Musnąłem palcami po żółtkę siniaki pod rękawami. W przeciwieństwie do motyli, blizny były trwałe.

*Co mi robi, gdy dowie się, że mnie nie było?*

Rozmowa toczyła się w rytm turkotu kół, ale jednocześnie rozjeżdżała w nieznane aleje. Zapadłem się w tylnym siedzeniu i wtopiłem w tło. Dzielił nas cały świat, którego nie znałem. Całe dnie, które Kev i Lucas spędzali razem, nocne przejażdżki i żarty, których kontekst znali tylko oni. Ich przyjaźń wbijała się w moje wnętrza jak ostrze noża.

Podrapałem się bezwiednie w kciuk. Mamie nigdy nie udało się mnie tego oduczyć. Drapałem ten fragment skóry raz po raz, aż do krwi.

Im bardziej zbliżaliśmy się do mojego domu, tym bardziej powietrze się zmieniało. Wszystko się zmieniało. Reszta miasta przekształcała się z biegiem czasu. Postawiono słupy telefoniczne i kable, które rozciągały się jak pnącza bluszczu. Ale mój dom i kościół przypominały bardziej kartkę wyrwaną z podręcznika do historii.

Lucas i Kevin byli jak samochody, przecinające naszą niezmienną połąć lasu. Pojawiali się i znikali, gdy tylko im się to podobało, a ja byłem tu zakorzeniony na zawsze. Ta myśl ukuła mnie przez chwilę, ale potem stwierdziłem, że tak jednak było lepiej. Wiedziałem, że kiedy stąd odejdę, po prostu o mnie zapomną. Nie skrzywdzę ich, a przynajmniej nie tak bardzo, jak skrzywdziłem Wil.

„Moja rodzina nigdy by nikogo nie porwała, Wil. Czy ty słyszysz samą siebie?”

Spojrzała na skraj lasu, wpatrując się w gęstą zasłonę sosnowych drzew.

„Jesteś po ich stronie?”

„To moja rodzina, Wil”.

Prychnęła z niedowierzaniem. „Nawet pojęcie rodziny ma swoje granice”.

Wyjrzałem przez okno i pozwoliłem, aby śnieg pogrzebał resztki wspomnień.

Cienie pomiędzy drzewami nabierały coraz wyraźniejszych kształtów. Ciemność wiła się jak węgorz, jak dziwaczna fala na nocnym powietrzu. I to nie było tak, że tylko ją widziałem, czułem ją głęboko w piersi.

– W końcu będziesz musiał postawić się swoim rodzicom – powiedział nagle Lucas, a jego głos wzniósł się ponad dźwięki radia. Wiedziałem, że chciał to powiedzieć już od jakiegoś czasu.

– Nie wolno sprzeciwiać się rodzicom – odpowiedziałem, jak bym przed chwilą właśnie nie zrobił czegoś przeciwnego.

Ale Lucas był nieustępliwy.

– Mój tata był wkurzony, gdy złożyłem podanie do Chicago. I to do tego stopnia, że cały poczerwieniał na twarzy i niemal piana ciekła mu z ust. Miał ułożony w głowie szczegółowy plan, że spędzę w tym mieście całe życie i będę pracować w młynie. A ja uparłem się, żeby postawić na swoim. Nie jesteś ich własnością. Jesteś osobnym człowiekiem.

Jego słowa nie zakotwiczyły się we mnie ani na chwilę.

– Nie masz pojęcia, jak to jest z moją rodziną. Nigdy nie dostanę tego, czego chcę. Nawet nie wiem, czego miałbym chcieć. Ale koniec końców to i tak jest bez znaczenia.

Cisza, która potem nastąpiła, była dusząca.

Mój gniew zniknął, a jego miejsce zajął zimny, miazdzący lęk. Nie powinienem tego mówić. Naprawdę, naprawdę nie powinienem tego mówić. „Będziesz czcił matkę i ojca swego. Będziesz...”

– Myślę, że wszyscy jesteśmy zmęczeni – powiedział Kevin, choć musiałbym być głupi, żeby nie zauważyć, jak uśmiech zniknął z jego twarzy. – Nie powinniśmy się w to wtrącać.

Zmęczeni? Czy o to chodziło? Być może. Moje wyczerpanie objawiało się dużymi czarnymi dołami pod oczami. Wystarczyło, abym spojrzeł na siebie w lusterku wstecznym, aby zachciało mi się ziewać. Nic nie brzmiało lepiej niż ciepła kołdra i poduszka, która tylko czekała, żeby położyć na niej głowę. Pragnąłem patrzeć, jak las zasypia razem ze mną. Wiatr znowu ucichł, a blask księżyca przedzierał się przez korony drzew, zalewając świat zimnym bladym błękitem.

Ale las nie wyglądał tak, jakby miał zaraz zasnąć.

Samochód zwolnił, a potem Lucas wjechał do parku. Las, za naszymi plecami, rozciągał się gęstym rzędem nieustępliwych drzew.

– Dzięki, chłopaki – wymamrotałem, nie mogąc znaleźć nic lepszego do powiedzenia. Nigdy nie lubiłem pożegnań. A poczucie winy z powodu mojego odejścia wcale mi nie pomagało.

– Wyśpij się, Clarke – zażartował Lucas. – Do zobaczenia... – urwał nagle, a w jego głosie słychać było niepewność.

Przełknąłem ślinę.

– Pewnie. Do zobaczenia.

Patrzyłem za nimi, gdy odjeżdżali, aż ich samochód zniknął w ciemności.

Dreszcz przebiegł mi po plecach, mimo że miałem na sobie płaszcz.

Zerknąłem w stronę okna mojego pokoju. Po raz pierwszy strach gromadził się w mojej klatce piersiowej. Jakie tym razem spotkają mnie konsekwencje? Ile jeszcze blizn muszę na siebie przyjąć, aż w końcu przestanę być sobą, a stanę się jedną, wielką, rozkwitającą raną? Nie. Skupiłem się na oddechu, na każdym szalonym, świszczącym zaczerpnięciu powietrza.

Może moi rodzice nawet tego nie zauważą. Wślizgnę się z powrotem przez okno, wrócę do łóżka i wszystko pójdzie gładko. Ten jeden raz tata nie zamachnie się, aby mnie uderzyć. Zamiast tego delikatnie położy dłoń na moim ramieniu i choć raz będzie ze mnie dumny.

– Nocna msza dobiegła już końca. Moi rodzice śpią – powtarzałem te słowa, jak mantrę, jak coś, co mógłbym wymarzyć i urzeczywistnić. Nie było powodu, dla którego mieliby nie spać. Życie mojego ojca było jedną, nigdy niekończącą się rutyną. Szedł spać zaraz po wygłoszeniu kazania i spał tak długo, jak tylko mógł, aż do porannych dzwonów.

Trzymałem się tego przekonania, przesuwając zatrzask. Okno zaskrzypiało głośniejsze, niż bym tego chciał, a serce aż podskoczyło mi do gardła, gdy usłyszałem ten dźwięk. Znieruchomiałem i czekałem. A potem otworzyłem okno jeszcze szerzej i wślizgnąłem się do środka. Sypialnia była pogrążona w ciemności, ale wstrzymałem oddech, gdy cienie zaczęły gromadzić się wokół sylwetki.

Najpierw usłyszałem kliknięcie światła, a potem go zobaczyłem. Mój ojciec stał w progu pokoju, a na jego twarzy rysowała się wściekłość.

Ogarnął nas bezruch, jakbyśmy byli zawieszani w czasie, pomiędzy Przed i Po, uwięzieni w nieszczęsnym Teraz. Zielone oczy ojca płonęły czernią. Nie było sensu szukać ucieczki. Gdy czas nas dogonił, tata spoliczkował mnie tak mocno, że moje oczy napełniły się łzami, a zęby zazgrzytały. Zaczerpnąłem powietrza, ale oddech został na siłę wyrwany z moich płuc.

– Gdzie, do diabła, byłeś?! – Groźba w jego oczach była czymś więcej niż ostrzeżeniem. Była jak obietnica jeszcze większego bólu. I wtedy zauważyłem, że moja

matka stała w progu, jak sęp czekający na padlinę. Być może chciała ucztować na moich resztkach.

Otworzyłem usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– Czuję to na tobie. Jesteś pijany – warknął, a jego słowa uderzyły we mnie mocniej niż ból po spoliczkowaniu. Zauważyłem, że na podłodze leżą roztrzaskane szczątki telefonu, który dostałem od Lucasa.

– Ja nie... ja... – *Nie będziesz okłamywał swoich rodziców.* Przykazanie natychmiast wyparło ze mnie tę wymówkę. – To znaczy, ja, prze... przepraszam, ojcze. – Moje słowa wpadły w przestrzeń jak kowadła. Roztrzaskały ciszę i odbiły się echem w moich uszach.

– Byłeś nam aż tak nieposłuszny? – Jego pięści drżały zaciśnięte po bokach. – Dziś ze wszystkich możliwych nocy? Modliliśmy się za ciebie, Elwoodzie. Zapomniałeś o tym czy po prostu cię to nie obchodzi?

– Obchodzi mnie to!

Ani matka, ani ojciec nie przebrali się ze strojów kościelnych. Czy to oznaczało, że wiedzieli o moim zniknięciu, zanim kazanie się nawet rozpoczęło? A może znaleźli mnie tutaj po nabożeństwie? Tak czy inaczej, stali w moim pokoju i czekali na mnie już od dłuższego czasu.

Powinienem był to przewidzieć.

– Co w takim razie?! – krzyknął mój ojciec. – Ci chłopcy obchodzą cię bardziej niż własna rodzina? Bardziej niż kościół?

Wyobraziłem sobie, jak spojrzenie Pana wwierca się w mój kark, gdy wyjawiam swoje grzechy.

– Chciałem się pożegnać.

– Ci chłopcy nie powinni mieć dla ciebie żadnego znaczenia. Nie jesteśmy tacy jak oni, Elwood. Ty nie jesteś taki jak oni. Ich rodziny nie przychodzą nawet na nabożeństwo.

– To moi przyjaciele.

– Przyjaciele? – Ojciec wybuchnął śmiechem, jakbym opowiedział najlepszy dowcip, jaki kiedykolwiek usłyszał. – Ci chłopcy są bezwartościowi. W najlepszym wypadku są jak pokarm dla robactwa.

– Nie mów tak. – Każde kolejne słowo mnie zaskoczyło. Każdy mięsień w moim ciele chciał drzeć i skulić się pod jego surowym spojrzeniem, ale moje usta były sterowane czymś zupełnie innym. Może to pozostałość wściekłości, bulgoczące resztki, które wyrwały się z mojego wnętrza.

Tata potrzebował chwili, aby uświadomić sobie, co powiedziałem. Jego twarz, która do tej pory była bez wyrazu, skrzywiła się z obrzydzeniem i niedowierzaniem.

– Będę mówił to, co chcę, a ty, jako mój syn, zamkniesz się i będziesz mnie słuchać. Z trudem przełknąłem ślinę.

– Chcesz kupić motel Wil? – Wiedziałem, że mój zdradziecki język kiedyś mnie zabije.

Ojciec milczał przez chwilę, ale cisza nie trwała długo.

– Nie wymawiaj w moim domu imienia tej żmii.

Moje myśli śpiewały: *Wil, Wil, Wil, Wil. Wilhelmina Greene*. Znowu czułem, jak jej palce zaciskają się na mojej koszuli, czułem podmuch jej oddechu na mojej skórze. Pamiętałem gniew wirujący w jej oczach i ukryty pod nim ból.

– Czy to prawda?

Matka patrzyła to na mnie, to na ojca. Wiedziałem, że gdyby ona teraz przede mną stała, już uderzyłaby mnie po raz drugi. Jej wzrok opadł na kołyszącą się dłoń mojego ojca i byłem pewien, że odliczała w myślach sekundy. Ale ojciec nie poruszył się ani o cal.

– To, czym się zajmuję, nie dotyczy ciebie. Powinno cię obchodzić tylko to, żebyś nie zadawał się z tym bezwartościowym węzem, który publicznie oczernił naszą rodzinę. A może już o tym zapomniałeś?

– Nie, ojcze, ale...

Jego głos stał się jakby gładszy, a przy tym dziesięć razy bardziej niebezpieczny niż wcześniej.

– Powiedz mi, co jest napisane w *Biblii* o nieposłuszeństwie dzieci wobec rodziców?

Odchrząknąłem, obawiając się, jaki efekt będą miały moje słowa.

– N... Nie odmawiaj dyscypliny swemu dziecku... Jeśli ukarzesz je różgą, nie umrze.

– Czułem tętno w gardle. – Ukarz je różgą i uratuj od śmierci.

– A więc wiesz, że zasłużyłeś na tę karę.

Wzdrygnąłem się, ale ojciec nie wyciągnął ręki w moją stronę. Zamiast tego chwycił jedną z moich tablic z motylami, które wisiały na ścianie. Dźwięk wrywający się z mojej piersi nie był ludzki. Brzmiał bardziej jak desperacki skrzek. Wolałbym, aby mnie uderzył. Każdy cios przyjąłbym z radością, jeśli oznaczałoby to, że...

– Nie, proszę!

Na jego twarzy pojawił się grymas, a potem rzucił pierwszą tablicą z mojej kolekcji. Uderzyła o ścianę z ogłuszającym hukiem. Potłuczone szkło nie wyglądało już jak gwiazdny pył. Wyglądało jak roztrzaskane odłamki, a obraz rozmyty został przez łzy. Jak grzech i kara, i nieustannie otwarte oko Boga. Potem rzucał o ścianę kolejne elementy mojej kolekcji. Każdy cal tego pokoju pokryłem tablicami oprawionymi w ramki i po kolei każda z nich roztrzaskiwała się w śmiertelnym kalejdoskopie.

Moje motyle leżały na podłodze pogniecione i połamane, z podartymi skrzydłami i wykręconymi ciałami. Moje motyle monarcha, pазie i szklanoskrzydłe. Spędziłem lata schowany w tym pokoju ze szpilkami i szczypcami. Delikatnie rozchylając ich skrzydła, przebijając tułów i starannie układając, aby wyglądały jak nowe. Jak żywe.

Teraz widziałem w nich tylko śmierć.

– Niech ból będzie twoją lekcją – zadrwił ojciec. – I nawet nie myśl o tym, żeby ponownie uciec. Nie zdajesz sobie sprawy, jak ogromny jest mój gniew.

Patrzyłem za nim, gdy wraz z moją matką ruszył ciemnym korytarzem. Zanurzali się w cieniach cał po calu, aż zniknęli w mroku.

Zostałem sam.

Czas zacierał się wraz z tykaniem zegara. Siedziałem w pokoju, wpatrywałem się w zniszczenia, zaciskałem oczy i modliłem się o ratunek – ale Bóg i tak mnie nie słuchał. Wszystko wokół mnie było takie samo. U moich stóp rozciągało się cementarzysko, morze szkła i trupów.

Podniosłem resztki ćmy. Szkło rozcięło moje palce, ale niemal nie poczułem bólu. W moich dłoniach leżało to, co niegdyś było *acherontia atropos*<sup>10</sup>. Była jednym z moich najcenniejszych okazów. Jej ciało było nakrapiane jaskrawą żółcią i ciemnym brązem. Ćma z trupią czaszką.

Obok niej zauważyłem *commę* i *pawonię*. Czułki oderwane od ciał i skrzydła w strzępkach – wszystko to było echem ich dawnej świetności. Wiedziałem, że żadnego z tych owadów nie da się już poskładać. Łzy pociekły, zanim zdążyłem je powstrzymać. Trysnęły z moich przekrwionych oczu, spłynęły po policzkach, potem po brodzie, by następnie kapać na podłogę. Wyobraziłem sobie, jak przedzierają się przez las. Pozostał tylko lepki żal, który trawił mnie do tego stopnia, że bałem się, iż utonę w jego falach i nigdy nie dotrę na powierzchnię.

Koniec ze szkołą. Koniec z Lucasem. Koniec z Kevinem. Koniec z motylami i ćmami. Koniec ze wszystkim.

Z całych sił próbowałem zdusić ból, który dudnił pomiędzy moimi żebrami i obciążał moje płuca tak bardzo, że oddychanie stało się udręką.

Nagle z pętli myśli wyrwał mnie dźwięk. Pod podłogą, piętro niżej, usłyszałem skrzypnięcie frontowych drzwi. Potem nastąpiło krótkie zamieszanie, ruch, czyjeś kroki i szeptane słowa. Przyłożyłem ucho do podłogi i wyteżyłem słuch.

Głos szeryfa Vreesa był szorstki i niski.

– Nie ma na co czekać, musimy zająć się tym chłopcem. Jeśli nie możesz upilnować własnego syna, Ezekielu, to ja się tym zajmę. Przygotowałem całkiem niezłą małą celę z jego imieniem na drzwiach.



*Celę? O Boże, to przez to, że piłem alkohol, prawda? Złamałem prawo, a teraz zostanę zakuty w kajdanki i będę musiał przez całe życie nosić pomarańczowy kombinezon, a potem...*

– Zbliży się termin porodu Prudence. Co byśmy zrobili, gdyby zaczęła rodzić, a twój syn by w tym czasie gdzieś imprezował?

*Co takiego?*

Wtedy usłyszałem mojego ojca:

– Byłoby lepiej dla ciebie, Mark, gdybyś nie odzywał się tak do mnie w moim własnym domu. Zapominasz, że wciąż jestem Prawą Ręką. Nic się nie zmieniło.

Vrees prychnął złowieszczo, a w jego głosie nie było ani cienia strachu. Przeciwwstawiał się mojemu ojcu w sposób, o jakim ja mogłem tylko pomarzyć.

– Jeszcze nic się nie zmieniło, Ezekielu. Ale wkrótce będziemy musieli wyciąć ziarno dla kolejnego Alderwooda<sup>11</sup>.

*Że co?*

Mój strach i zakłopotanie były jak sznurki podtrzymujące kończyny kukielki – poniosły mnie w kierunku drzwi. Towarzyszyła mi mroczna, nienasycona ciekawość. Gdy goście przeszli do salonu, ich głosy stały się bardziej stłumione. Ale ja byłem zdecydowany.

*Idź i sprawdź, o co chodzi.*

Ostrożnie obszedłem potłuczone szło, starając się uniknąć głośnego, zdradzającego mnie chrzęstu odłamków. Moje usta stały się boleśnie suche. Spróbowałem przełknąć ślinę, ale nie dałem rady.

Byłem przyzwyczajony do tego, aby poruszać się po cichu. Do mistrzostwa opanowałem sztukę wtapiania się w tło i stawiania każdego kroku tak miękko, jak to tylko możliwe. Wszystko dzięki temu, że przez tyle lat musiałem unikać konfliktów. Ale mimo to bałem się, że gwałtowne bicie mojego serca przerwie ciszę. Martwiłem się, że ojciec wywęszy mój puls i skrzywdzi mnie bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

O ile to było możliwe.

Ale musiałem się dowiedzieć, o czym rozmawiali.

Korytarz prowadził do stromych schodów. Podszedłem ukradkiem do drugiego stopnia i wyjrzałem za poręcz. Światła były zgaszone, ale blask świec rzucał cienie sylwetek.

Najpierw poczułem zapach. Był gęsty i zgniły jak zsiadłe mleko, tak intensywny jak trucizna. Zawsze unosił się w mieście niczym ohydny posmak wylewający się z topniejącego lasu. Jednak nigdy nie dominował aż tak bardzo w moim własnym domu.

Był teraz dużo, dużo silniejszy. Rozciągał się we wszystkich kierunkach, wsiąkał w podłogę i przenikał wszystko jak chwast.

Na moment wróciła do mnie klarowność myśli przepełniona bolesną furią. Gdybym mógł to przemyśleć, być może zrobiłbym coś lepszego. Wiedziałem, że ojciec mnie zauważy. Byłem tego pewien.

Ale w tej chwili nic nie miało dla mnie znaczenia. Robiłem swoje. Przechyliłem się na schodach, ostrożnie przesuwając dłońią po poręczy.

Policjanci Pine Point stali za Vreesem niczym uczniowie proroka. W salonie był ich cały rój – mieli na sobie odznaki, a na ich twarzach rysował się surowy wyraz.

Szerokie ramiona mojego ojca zeszywniały.

– Dobrze o tym wiem, Mark – powiedział tata i bezwiednie przeczesał palcami włosy. – Ale jeśli odwieziesz go teraz na posterunek, ryzykujemy, że zrobi się z tego widowisko. Jeśli ktokolwiek go zobaczy...

– Wszyscy już go widzieli. – Gdy Vrees dźgnął palcem klatkę piersiową mojego ojca, ja ledwo powstrzymałem westchnienie.

Tata wyglądał na równie oszołomionego tym gestem, nie był przyzwyczajony, że ktoś stawia mu wyzwania. Wiedziałem, że gardził każdą sekundą tego spotkania. Gdy szok minął, odsunął rękę szeryfa.

– Skoro upierasz się, aby odgrywać rolę strażnika więziennego w małym miasteczku, możesz rozmieścić swoich ludzi na obrzeżach mojej posiadłości. Ale nie pozwolę ci ryzykować powodzeniem naszego planu. Znam Elwooda. Dzisiejszego wieczoru wzbudziłem w nim aż nadto strachu. Nie będzie mi się sprzeciwiać.

Vrees prychnął.

– Już to zrobił. Elwood jest ciekawskim chłopcem, Ezekielu, a ciekawość to pierwszy stopień do piekła. Takie zachowanie powinno zostać stłumione już wcześniej.

To prawda. Moja ciekawość rozwinęła się wcześniej. Narodziła się z książek. Ze starych encyklopedii, które mój ojciec uznał za wystarczająco nieszkodliwe, abym mógł je przeglądać. Jeszcze zanim potrafiłem czytać, patrzyłem na fotografie zamieszczone na pożółkłych stronach. Zakrzywione skrzydła i czułki. Motyle. To wtedy wszystko się zaczęło. Mój ojciec zawsze krzywo patrzył na każdą nową paczkę, która przychodziła do domu. Ale nie widział w tym żadnego problemu tak długo, jak siedziałem w swoim pokoju i dawałem mu spokój. Jeden motyl zamienił się w kilka, a kilka zamieniło się w setki. Nie mogłem czuć się samotny, gdy byłem przez nie otoczony.

– Nie. Będzie. Robił. Problemów. – Każde słowo było jak pocisk wystrzelony z jego gardła. – Patroluj posiadłość, jeśli musisz, ale nie przekraczaj swoich kompetencji. Nic się jeszcze nie zmieniło.

Szeryf Vrees spojrział na mojego ojca. Pokój był tak słabo oświetlony, że cień niemal zupełnie położył się na jego oczach.

– Ten chłopak jest podobny do swojego wujka.

Mój wujek. Umarł zanim miałem szansę go poznać. Mam bliznę po chłoście, którą mnie ukarano, gdy o niego zapytałem. Znalazłem zdjęcie taty stojącego obok chłopca, który był strasznie podobny do mnie – był w nim pewien rodzaj miękkości, której nie mogłem znaleźć u reszty mojej rodziny. To sprawiło, że moje serce zaczęło boleć, jakby ogarnęła mnie fala żalu za człowiekiem, którego nigdy nie poznałem. Zacząłem szlochać na długo przed tym, jak ojciec wyrwał fotografię z moich rąk i wyrwał lekcję na moich plecach. „Nigdy nie wspominaj o nim w tym domu”.

Ojciec wypowiedział teraz dokładnie te same słowa, gdy jego pięść zaciskała się na kołnierzu Vreesa. Szeryf jednak nie zamierzał ustąpić.

– Kochasz Elwooda?

– Nie – odpowiedział prędko. Jego głos był zbyt gwałtowny, zbyt ostry. Nawet się nie zastanowił nad odpowiedzią. Nie byłem wart nawet marnej sekundy. – Nie kocham go. Jest tylko środkiem do celu. A teraz daj mi spokój.

Stłumiłem okropny jęk, który chciał wyrwać się z mojego gardła. „Nie kocham go”. Od zawsze to podejrzewałem, ale mimo to te słowa odcisnęły na moim sercu piętno. Były niczym rozpalone do białości żelazo. „Jest tylko środkiem do celu”.

Królik był środkiem do celu. Podobnie jak zabicie jelenia wirginijskiego. Poderżnięte gardło, z którego trysnęła krew i naznaczyła makabryczną ścieżkę. Szkliste oczy, w których odbijała się moja sylwetka. Każde zwierzę, które zostało nabite na ostrze i wypatroszone. Pamiętałem odciętą głowę czarnego niedźwiedzia toczącą się po śniegu. Ojciec zmusił mnie, abym patrzył na tyle ofiar.

„Ten las jest darem od Boga, Elwood”. Na twarzy ojca rysował się mroczny wyraz, gdy wypowiadał te słowa. Nie raczył nawet na mnie spojrzeć. Był zbyt zajęty wycieraniem posoki z noża. „Wzrastamy tylko dlatego, że On nam na to pozwala. Pan od wieków pragnął krwi”. Musnąłem opuszkami palców wciąż gładką skórę na moim gardle.

Nie chciałem tego więcej słuchać. Wróciłem z powrotem do pokoju, pragnąc tylko zamknąć drzwi, które oddzielałyby mnie od nich. Pytania brzęczały w mojej głowie jak natrętne komary. Szukały odpowiedzi, których nie znałem.

Nigdzie nie chcieli mnie wysłać, prawda? A przynajmniej nigdzie w granicach śmiertelnego świata. Moja ciekawość zrodziła tak silny strach, że za żadne skarby nie mogłem się go pozbyć. Ogród Adama coś dla mnie zaplanował. Coś, co wiązało się z przelaniem mojej krwi na śniegu. Moja „święta misja” od początku miała się skończyć sześć stóp pod ziemią.

Nie... Nie zrobiliby tego.

*Ale czy na pewno?*

Zamknąłem drzwi sypialni. Rozbite szkło i martwa publiczność raczej się ze mną nie zgadzali.

Motyle rozdarte w zapomnieniu.

Pomyślałem o moim ojcu modlącym się nade mną – jego ręka spoczywała na moim ramieniu, jakbym był pustym naczyniem. Wiedział. Znał mój los, gdy wypowiadał te cholerne ostatnie słowa, które wciąż dudniły w moich uszach:

– Bo choć życie nieodłącznie związane jest ze śmiercią, to ofiara jest źródłem wieczności.

Wyobraziłem sobie, jak moja krew zostaje przelana. Moje szklane oczy wpatrzone w niebo, język wysunięty z rozchylonej szczęki i serce, które chlupotało w misce.

Potknąłem się o własne nogi. Obtarłem dłonie o dywan, ale zignorowałem ból. I tak nie mogłem się równać z tym, co miało nadejść. Próbowałem sobie wyobrazić sączące się światło, ostatnie sekundy świadomości, zanim wszystko zgaśnie. A potem wyobraziłem sobie rzeź, która czekała na mnie w piekle. Wszystkie moje grzechy, które miały zostać rozliczone. Nie umrę. Nie mogę umrzeć.

„Nawet nie myśl o ucieczce”.

„Dziś wieczorem będziemy stać na warcie na obrzeżach posiadłości”.

Znalazłem w sobie resztki odwagi. Zrobiłem jeden głęboki, charczący wdech. Powietrze świszczą w moich płucach, gdy ponownie otwierałem okno. Najpierw się opanowałem, a potem skoczyłem. Moje kolana otarły się o twarde lód. Krew przesiąkła przez nogawkę jeansów, ale nie przestałem o tym myśleć. Nie mogłem.

Moja matka nigdy nie zapisała mnie do skautów. Jako dziecko raczej się z tego cieszyłem, ale w tej chwili było zupełnie inaczej. Inni chłopcy lubili kopać, bić i łamać, lubili śmiać się do łez i wylewać gazowane napoje na mrowiska, lubili biegać do utraty tchu i wyc jak wilki.

A ja pragnąłem jedynie znaleźć sobie miejsce w ogrodzie, usiąść z książką pod płótem i przyglądać się kiełkującym roślinom i wszystkim tym małym robaczkom, które żyły w ziemi. Żałowałem, że nie byłem bardziej wredny, okrutny i silniejszy. Chciałem wiedzieć, jak biegać, jak walczyć i jak się stąd wydostać.

Księżyc wisiał nad miastem, jak oko Boga. Wiedziałem, że będzie mnie śledził, gdziekolwiek się nie udam. Wszystko rozmyło się, aż został tylko świat błotnistej zieleni, brązu i głębokiej czerni.

Zaspy stały się większe, a białe podmuchy zasłoniły obraz przed moimi oczami. Z każdym krokiem, który stawiałem, walczyłem z gałęziami albo niemal się z nimi

zderzałem. Drzewa zagradzały mi drogę, zamykając mnie w lodowym więzieniu. Las kibicował mojej śmierci, drzewa były jak widzowie wpatrzni w okrutną rozgrywkę.

Ale ja biegłem przed siebie. Biegłem i nie miałem zamiaru się zatrzymać.

# Rozdział siódmy

## Wil

W lesie panowała wręcz cmentarna cisza. Nie było słychać świergotu ptaków ani szelestu gałęzi, żadne zwierzę nie obserwowało mnie wśród cieni.

Była tu tylko śmierć.

To były miesiące umierania. Czas, w którym zima dotykała natury swoimi zamarzniętymi palcami i mordowała wszystko, co napotkała na swojej drodze. Wiedziałam, że nie powinno mnie w ogóle tam być – byłam żywą, oddychającą istotą w miejscu, w którym nie tętniło żadne serce.

Chociaż i tak przecież nie miałam wyboru. Zaszłam za daleko, aby odpuścić. Nie możemy tak po prostu przestać pływać po tym, jak znaleźliśmy się na głębokiej wodzie. W takiej sytuacji nie ma innego wyjścia – trzeba przedostać się na drugą stronę.

Tak sobie pościeliłam i w takim łóżku będę musiała się wyspać.

*To absolutnie najgorszy moment, aby myśleć o wygodnym łóżku.*

Przeklełam pod nosem samą siebie i z cichą frustracją ruszyłam naprzód. Trudno było określić, ile czasu spędziłam, błądząc pomiędzy drzewami.

Z każdym kolejnym krokiem mój plan wydawał się coraz bardziej niepewny, zrodzony pod wpływem emocji. Myślałam tylko o tym, aby dostać się do domu Clarke'ów. Nie zastanowiłam się nawet, jak się tam włamać, kiedy już będę na miejscu. A „kiedy” było tutaj słowem kluczowym. Przy tej zamieci moja wędrówka zdawała się trwać dwa razy dłużej.

Las ciągnął się po horyzont w nieskończoność. Każdy strudzony wydech, który wypuszczałam z płuc, zatrzymywał się w powietrzu w postaci gęstej pary. Straciłam czucie w palcach stóp. Przypomniałam sobie, że w ogóle mam palce, gdy rozwiązały mi się głupie sznurowadła – przemokły od śniegu i przyplątały się pod moją piętę, przez co potknęłam się przy kolejnym kroku.

Świat zapadł się pode mną, gdy straciłam równowagę i upadłam. To był jedyny raz w moim osiemnastoletnim życiu, gdy byłam wdzięczna za śnieg. Gdyby nie on, uderzyłabym kolanem o wystający korzeń albo skałę. Jednak wylądowałam na puchatym, białym dywanie.

Ale mimo to nie mogłam powiedzieć, aby mi ulżyło. Zimno przeniknęło przez moje jeansy, a twarzą wylądowałam w zaspie. Gdybym wcześniej nie martwiła się o to, że

stracę nos z zimna, to w tej chwili dostałam bilet w jedną stronę do krainy odmrożeń. Staralam się podnieść – jedną dłonią masowałam twarz, chcąc przywrócić sobie czucie, a drugą przesunęłam po pniu drzewa.

Coś lepkiego przylegało do kory i owinęło się wokół mojej pięści. Czarna krew spływała mi po skórze niczym żywica.

Wśród gałęzi wisiało ciało.

Zobaczyłam dwa puste oczodoły pokryte ciemną, zaschniętą krwią. Ziemistą, sztywną skórę i dziurę wielkości pięści w klatce piersiowej. Wnętrznosci pełne liści i pełzających, okropnych robaków.

To było ciało mojej matki.

– Nie. – Tylko tyle udało mi się powiedzieć. Mój język nie był w stanie nadążyć za umysłem, a umysł nie był w stanie nadążyć za oczami. To było niemożliwe...

Kolacja podeszła mi do gardła, ale zanim zdążyłam zwymiotować, jej obraz zniknął wraz z podmuchem wiatru. Wizja rozmyła się i nie widziałam już ciała matki, a jedynie martwego królika. Oczy nie były jasnoniebieskie, a puste i czarne. Obdarty ze skóry wisiał na drzewie, jego białe futro było poplamione czernią, a wnętrznosci uciekały z otwartej klatki piersiowej.

Krzyknęłam ochryple, tak długo, aż poczułam, jak dźwięk rani moje gardło. Krzyknęłam, bo wiedziałam, że las pochłonie mój szloch. Chciałam zamknąć lęk, żal i frustrację i ukryć je głęboko w lesie. Chciałam wyrwać to wszystko z siebie, aż nic we mnie nie zostanie.

Wraz z ostatnim okrzykiem skuliłam się i upadłam. Wbiłam paznokcie w śnieg tak głęboko, aż dotknęłam ziemi. Chciałam zapuścić w tym miejscu korzenie. W niektóre noce zdawało mi się, że słyszę jej krzyk. Ale były też takie, gdy byłam przekonana, że mama nigdy nie zniknęła.

Podniosłam wzrok na otaczającą mnie zimową scenerię. Szare niebo, ciemna kora sosny i nigdy niekończąca się biel. Nie byłam taka jak Cherry albo mama, ale nawet ja nie mogłam zaprzeczyć – las Morguewood był przeklęty. Został skażony na zawsze.

Mama spędzała całe dnie przy oknie.

– Też to czujesz, prawda? – zapytała kiedyś, wpatrując się w linię drzew. – Ten las to cmentarzysko.

Wtedy jej nie rozumiałam, ale teraz czułam dokładnie to samo.

Moje myśli wybrzmiały: *Twoja matka nie zaginęła*. Jej obraz wciąż płonął w moim umyśle. *Ona nie żyje. Zawsze sądziłaś, że zdołasz uratować ją przed rodziną Clarke'ów, ale jak możesz ocalić kogoś, kto został zamordowany?*

– To nieprawda – powtarzałam uparcie to zdanie. I nie obchodziło mnie, jak głośna będę, albo jak szalona. – Ona wciąż żyje. Nie umarła, nie umarła. Nie umarła.

Nagle oddech ugrzązł mi w piersi. Nie byłam sama. Wyczułam czyjąś obecność, jeszcze zanim zobaczyłam sylwetkę przedzierającą się przez zarośla.

*Przyszli, aby zabić również ciebie* – zanucił znowu ten okropny głos w mojej głowie. I przez tragiczną, ulotną chwilę naprawdę w to uwierzyłam.

Jednak miałam tylko sekundę, aby pożałować, że tutaj przyszłam. Tylko moment, aby wyobrazić sobie żal ojca, gdy moje ciało zostanie przyniesione z lasu.

Cień nabrał formy i niewyraźny kształt zmienił się w chłopca. Biegł w moją stronę, jego zielone oczy były szeroko otwarte, a na twarzy malował się dziesięciokrotnie większy lęk niż ten, który ja czułam. Jego włosy w kolorze intensywnego kasztanowego brązu były w nieładzie.

Cały mój strach, całe odrętwienie przekształciło się w ogromną nienawiść, gdy go rozpoznałam – Elwood Clarke.

Otrząsnęłam się ze śniegu i z poczucia bezbronności. Nikt nie mógł zobaczyć mnie w takim stanie. A już zwłaszcza on. *Co on tutaj robi?* Ta myśl na krótko zawitała w mojej głowie i uciekła wraz z podmuchem wiatru. *Dlaczego nie jest na przyjęciu?*

– Co, do cholery? – warknęłam, mając nadzieję, że nie usłyszy drżenia mojego głosu.

Czekałam, aż zareaguje na te słowa, aż jego oczy zatrzymają się na mnie po raz drugi tej nocy, ale tak się nie stało. Jego wzrok był rozbiegany i nerwowy, skupiony na jakimś punkcie za mną. Oddychał głośno i przebierał nogami, jakby od tego zależało jego życie.

Moja nienawiść na chwilę przygasała i ustąpiła miejsca zmieszaniu.

Elwood niemal przebiegł obok mnie, ale w ostatniej chwili zatrzymał się jak wryty. Przerazenie na chwilę zniknęło z jego twarzy, a na tym miejscu pojawiła się dziwna nadzieja.

– W... Wil?

– Czego, do diabła, chcesz? – warknęłam.

Po sposobie, w jaki podskoczył, można by pomyśleć, że poraziłam go prądem. Stał, rozglądając się na boki, jakby w każdej chwili coś mogło wyskoczyć zza drzewa i zatopić kły w jego szyi. Boże. Opanowałam nerwy i przesunęłam palcami po nogach.

Wpatrywałam się w niego, chłonąc wszystkie szczegóły, które wcześniej mi umknęły. Jego skóra była podrapana gałęziami, cały drżał. Jego palce miały odcień bolesnej, ognistej czerwieni, a jego usta były sine.

Odchrząknęłam, celowo odwracając wzrok. Obraz mamy wciąż był wryty w moim umyśle i naprawdę potrzebowałam się skoncentrować, aby móc zapytać spokojnym tonem:

– Wiem, dlaczego tutaj przyszłam, ale co ty tutaj robisz? Jaką masz wymówkę?



Spojrzał ponownie w mrok, a potem doskoczył do mnie i chwycił mnie za ramię.

– To... – Pokręcił głową. – Musimy iść.

– Nigdzie nie pójdziemy. – Wyrwałam rękę z jego uchwytu i sceptycznie spojrzałam mu przez ramię. Niczego tam nie było. Nie widziałam lśniących, czerwonych oczu ani błysku ostrza. Jego strach był zaraźliwy, wsiąkał we mnie, mimo że próbowałam go z siebie wyprzeć. Może to przez te wszystkie zadrapania na jego skórze. Widok krwi wystarczał, aby wywołać u mnie dreszcze. Ale nie chciałam dać mu satysfakcji i pokazać przed nim, że się boję.

– Nie rozumiesz.

Wyprostowałam się. To wcale nie było takie łatwe. Moje ciało poruszało się na podstawie pamięci mięśniowej. Moje zdradzieckie ramiona pragnęły go objąć, a zdradziecka twarz chciała przybrać łagodniejszy wyraz. Dziękowałam Bogu za to, że miałam wręcz żelazną wolę.

– Masz rację – warknęłam przez zęby. – Nie rozumiem.

Frustracja malowała się na jego twarzy zupełnie inaczej. Moja objawiała się zaciśniętymi zębami i drżącymi pięściami. U Elwooda była to cicha bestia, która zrodziła się raczej z desperacji niż z wściekłości. Przeszył go dreszcz i otworzył szeroko oczy.

– Proszę. Później wszystko ci wyjaśnię. Moja rodzina jest... – zaczął, ale nie zdążył dokończyć.

Dźwięk rozdarł nocną ciszę... Kilka osób przedzierało się przez śnieg, ich buty chrzęściły na lodzie. Ciało Elwooda zeszywniało i zamieniło się w kamień. Na moment przestał nawet oddychać. Na jego twarzy pojawił się grymas, a oczy niemal wyskoczyły z orbit. Obcy kroczyli w oddali pod osłoną ciemności, ale każdy krok przybliżał ich do nas.

– Moja rodzina – powiedział niemal bezgłośnie.

Tutaj, gdy staliśmy skryci w cieniach drzew, jego słowa wydawały się cięższe, tak bardzo, że aż wyrwały z moich płuc resztki powietrza. Światła latarek były jak wstęgi rozdzierające mrok. Jedna z nich opadła w przestrzeń za moim ramieniem, idealnie oświetlając korę. Elwood nie musiał mówić nic więcej. Wiedziałam, że musimy uciekać.

Oszołomiona skinęłam głową, moje ciało płonęło od nadmiaru adrenaliny. Chłopak chwycił mnie za ramię i przyciągnął do swojej piersi, zanim kolejny snop światła zdążył mnie dosięgnąć. Moje ciało przylegało do jego, gdy schronił nas obydwójce za zakrwawionym pnem drzewa, na którym wisiał królik. Czerwień skapywała z gałęzi i spływała po jego głowie, tworząc przerażające ścieżki. Jedna z kropli przyłgnęła do

jego policzka jak pot. Podniosłam wzrok i utkwiałam oczy w lśniącym, wilgotnym spojrzeniu truchła.

Ciekawe, czy zwierzę zdążyło coś poczuć, gdy podcinali mu gardło. Stwierdziłam, że wolę się w to nie zagłębiać.

Każda sekunda była powolna i bolesna, była jak wieczność uwięziona w oczekiwaniu na koniec. Nie byłam pewna, jak długo tak staliśmy. Nasze serca biły w równym rytmie, gdy czekaliśmy, aż światła zgasną, a ci, którzy nadchodzili, zmieniają kurs.

W końcu żółta wiązka padła w inne miejsce, a zamiast niej pojawił się zimnobłękitny blask. Kroki całkowicie ucichły, ale cisza była jeszcze gorsza. Zakryłam dłońią usta, aby stłumić oddech. Byłam aż nazbyt świadoma tego, że z moich ust wydobywał się świszczący dźwięk. Wolną ręką odnalazłam Elwooda. Nie było nic czułego w tym, jak zaplotły się nasze palce.

Minęła jedna sekunda. Potem kolejna.

A potem jego rodzina się wycofała. Gdy ucichł ostatni, odległy krok, Elwood spojrzał w ciemność. Przełknęłam ślinę, skinęłam głową i mocniej ścisnęłam jego rękę, aby zachęcić go do wyjścia z ukrycia.

Ścieżka, którą wcześniej przeszłam w tenisówkach, teraz była zasypana. Śnieg sięgał nam do kolan, ale to nie miało znaczenia. Pędziliśmy przed siebie przez całą drogę powrotną. Uchylaliśmy się przed gałęziami i krzywiliśmy na ostre podmuchy wiatru. Lód kreślił bolesne smugi na mojej twarzy. Musiałam otrzeć śnieg z oczu, aby zobaczyć motel rysujący się w oddali. Nie była to meta, której pragnęłam, ale mimo wszystko ruszyłam w jej stronę.

Minuty zlewały się ze sobą, a ja byłam na wpół świadoma, że leśne podłoże zamieniło się w wyasfaltowany parking. Potem drzwi motelu otworzyły się ze zgrzytem jak wrota mauzoleum. Zmrużyłam oczy, chroniąc je przed żółtawym światłem, które było tylko odrobinę pocieszające. Lampy wydawały się obskurne i niestabilne, jakby miały za chwilę zacząć migotać. Ciepło uderzyło we mnie, gdy tylko zamknęłam drzwi.

– Jezu. – Westchnęłam, bo nie wiedziałam, co innego mogłabym powiedzieć. Moje ciało się ogrzało, ale mój umysł wciąż był zamarznięty.

– Muszę się schować – wymamrotał Elwood. Był bardziej nerwowy niż ja. – Możesz zabarykadować drzwi? Możemy... ach... przystawić do nich biurko?

Wskazał palcem na to stojące w holu – ważyło pewnie ze sto kilo. Wiedziałam, że ja na pewno nie dam rady go pchnąć. I wątpiłam, aby Elwood był w stanie. Razem tworzylibyśmy bezużyteczną kombinację.

Przełknęłam ślinę i czekałam, aż odnajdę odpowiednie słowa. Potem odczekałam kolejną minutę, aby powróciła do mnie moja charyzma.

– Taaa. Nie ma opcji. Nie zrobimy tego. Naprawdę wyglądasz, jakbyś miał zemdleć, więc wolę się upewnić, że nie upadniesz. Nienawidzę cię, ale jeśli pozwolę ci umrzeć, szeryf mi nie odpuści. Obydwoje wiemy, że ma słabość do twojej rodziny. Jak już się ogarniesz, to musisz się stąd wynieść tak szybko, jak to możliwe.

– Nie – jęknął, a jego głos był bardziej zdesperowany niż kiedykolwiek. Zaprzeczył ruchem głowy i twarz pobladła mu jeszcze bardziej. Zaczął przypominać mi gruźlika. Albo jakby już zamienił się w ducha. – Proszę. – To było ostatnie słowo, które wypowiedział, zanim osunął się na podłogę.

Na dywanie zebrała się śnieżna plama, a brudny, szary lód wgrzyzał się we włókna.

Wiedziała, że Cherry wpadłaby w szal, gdyby to zobaczyła. Bolała mnie klatka piersiowa. Ona wiedziałaby, co zrobić w takiej sytuacji. Nie biegałaby jak kurczak z odciętą głową, ponieważ zawsze miała plan na wszystko. Wzięłam wdech – jeden zdecydowany, głęboki wdech, a potem wypuściłam powietrze, choć piekło mnie gardło.

W pierwszej szufladzie leżała nietknięta apteczka. Wytarłam ją z grubej warstwy kurzu i chwyciłam pod ramię.

A więc taka była moja rola. Musiałam grać lekarzkę w nadziei, że Elwood zapłaci mi za to informacjami.

– Nie jestem ci nic dłużna, ale w porządku. Boże. Tylko nie umieraj w tym motelu, dobra? Trzymaj, naprawdę nie dam rady cię nosić. Pomóż mi, jeśli możesz. Zaprowadzę cię do mojego pokoju... Na razie.

Pochyliłam się obok niego, oferując mu swoje ramię, aby mógł się oprzeć. Zrobił to z wahaniem i położył zimne palce na mojej skórze. Jego dłoń była niemal trupio chłodna. Kołysząc się na boki, ruszyliśmy korytarzem.

Po przepełnionych frustracją pięciu minutach dotarliśmy do mojego pokoju. Tabliczka głosiła, że był to pokój numer sto trzy, ale skreśliłam to ostrzem noża i wyryłam pod spodem swoje imię: *WIL*.

Odsunęłam Elwooda na bok i kopniakiem otworzyłam drzwi, stękając przy tym nieznamennie. Powietrze w moim pokoju było ciężkie od pleśni. Niegdyś białe ściany w tej chwili były szare, a farba łuszczyła się w dziwnych miejscach. Dywan w kolorze ceglanej czerwieni gryzł się z oliwkowymi zasłonami. Było to połączenie, które o tej porze roku wyglądało świątecznie, a przez resztę miesiący było ohydne.

Na szczęście w moim pokoju stały dwa pojedyncze łóżka. Jedno dla niego, aby mógł się na nim wykrwawić, a drugie dla mnie, żebym miała gdzie zemdleć po wszystkim i zastanawiać się nad tym, co robiłam. Niezdarnie przeszliśmy obok wszystkich moich bibelotów: zepsutego radia, pudełka pełnego bezużytecznych, starych taśm i innych relikwii przeszłości.

Zebrałam śmieci z drugiego łóżka i o nic nie dbając, rzuciłam je na podłogę. W obecnej sytuacji nie byłam zdolna, aby odczuwać wstyd.

– Słyszę bicie twojego serca – powiedział Elwood ni stąd ni zowąd, gdy podeszłam do niego bliżej. Każde słowo wymówił na bezdechu.

– Nie gadaj takich dziwnych rzeczy – warknęłam. – Zamknij się i pozwól mi sobie pomóc.

Moje słowa wydawały się zbyt ciężkie. Nigdy wcześniej tak nie było. Pamiętam, że tyle razy w walce otarłam sobie kolano albo posiniaczyłam knykcie. Mój lekkomyślny duch domagał się, abym wspinała się na najwyższe gałęzie drzew. A potem palce Elwooda zawsze były takie zwinne, gdy mamrotał pod nosem i krzątał się przy mnie, owijając gazą moje skaleczenia i przyklejając plastry do moich policzków.

Ale w tej chwili było zupełnie inaczej.

Miałam nadzieję, że nie wyglądałam na tak zdenerwowaną, jak się czułam. *Panie, dopomóż mi, jeśli potrzebuje szwów, przecież nie mogę wyszukać nawet w Google, jak to się robi, moja komórka jest za stara, żebym wpisała w wyszukiwarce: „Jak uratować mojego byłego przyjaciela przed śmiercią z powodu hipotermii”.*

Nie tak wyobrażałam sobie nasze następne spotkanie po przyjęciu. Myślałam, że będę musiała znosić go podczas rozbiórki motelu. Że będę go przeklinać. Robić cokolwiek, aby to zatrzymać. A nie, że będę go opatrywać, jakby był ze szkła.

Poszłam do łazienki i ściągnęłam ręcznik z wieszaka. Odkręciłam kran, ale woda była lodowata, więc poczekałam, aż się ociepli. Z wahaniem napotkałam własne spojrzenie w lustrze. Moje włosy były mokre od śniegu, a eyeliner rozmazał się od łez. Czarny atrament spływał po moich policzkach. Wytarłam go, aż moja twarz była czysta.

*Weź się w garść, Wil, on nie umrze. Lekkie przemarznięcie i zmęczenie nie będą jego gwoździem do trumny.*

Zakręciłam kran i wróciłam do niego.

Klatka piersiowa Elwooda delikatnie unosiła się i opadała. To wystarczyło, abym ruszyła w jego stronę. Przesunęłam ręcznikiem po jego ranach – jednej przy podstawie szyi, drugiej na rozdartym kolanie.

Większość zadrapań była płytka, ale kilka z nich było paskudnych i głębokich. Szczególnie to na jego policzku. Moje palce zwlekały dłużej, niż to było konieczne. Spodziewałam się, że gdy go dotknę, będę miała wrażenie obcości, ale jego ciało było niepokojąco znajome. Nie wiedziałam, jak długo go dotykałam, ale oderwałam się od niego gwałtownie, gdy odchrząknął. *Co ja, do diabła, robię?* Zajęłam się przegrzebywaniem apteczki. Nie miałam pojęcia, czy środek odkażający mógł się przeterminować, czy nie, ale nie zawracałam sobie nawet głowy, żeby spojrzeć na datę

ważności. Zdjęłam nakrętkę, a Elwood skrzywił się, gdy płyn zaczął skapywać na jego ranę.

Potem rzuciłam ręcznik i apteczkę na podłogę. Przedtem materiał był biały jak skorupa jajka, ale w tej chwili umazany był brudem i krwią. Przełknęłam ślinę.

– Dobra. Przyniosę ci ubrania taty. Będą na ciebie za duże, ale przynajmniej... cóż...  
Po prostu trzymaj się, dopóki nie wrócę, dobrze? Dasz sobie radę?

Podniósł wzrok w stronę okna. Jego twarz niewiarygodnie pobladła.

– Nie chcę być sam.

– Wrócę za kilka minut. Zaufaj mi. Wciąż wisisz mi wyjaśnienie za... za to wszystko, co się stało. – Machnęłam ręką.

Przez chwilę miałam wrażenie, jakby chciał się sprzeciwić. Jakby perspektywa samotności była zbyt wielkim ciężarem do udźwignięcia. Ale wyraz jego twarzy się zmienił. Zagryzł wargę i bardzo delikatnie skinął głową.

– W porządku.

– Zaraz wrócę – mruknęłam, machając mu na pożegnanie. – A ty w tym czasie nie oglądaj ani nie dotykaj żadnej z moich rzeczy.

Drzwi zamknęły się za mną ze zgrzytem i zaczęłam się przygotowywać na to, co miało nadejść.

# Rozdział ósmy

## Elwood

Zimno owinęło się wokół moich kości.

Moje żebra zamieniły się w odłamki lodu, a oddech uciekał ze mnie w marznących oparach. Obracałem się z boku na bok, leżąc pod kocem Wil, ale nic nie było w stanie odgonić ode mnie tego uczucia, które wbijało mi szpony w skórę.

Nie było mi zimno w lesie – nie wtedy, gdy biegłem. Nigdy nie byłem wysportowany, moje kończyny zawsze były jak gałązki, tak kruche, jakby miały złamać się w pół. Ale mimo to biegłem ze wszystkich sił. Biegłem tak szybko i tak daleko, jak tylko mogłem.

Ziarno, które zakorzeniło się w moim wnętrzu było silniejsze niż strach, silniejsze niż zimno. Moi rodzice zamierzali... No właśnie, co dokładnie? Zabić mnie? Wiedziałem, co usłyszałem, ale teraz, gdy trwałem wyrwany z tamtej chwili, wydawało mi się, że to fikcja.

Tylko, że zdawałem sobie sprawę, że tak nie było.

Moja rodzina wciąż chodziła po lesie i mnie szukała.

Wil nie zdawała sobie sprawy, w jakim byłem niebezpieczeństwie. O niczym nie miała pojęcia...

Wilhelmina.

W moim wnętrzu zrodziło się kolejne uczucie. Nie złość, nie strach. To było to samo poczucie winy, które trawiło mnie wtedy na przyjęciu. Miałem wrażenie, że od tamtego spotkania minęły wieki, ale czerwone cyfry na jej zegarku sugerowały, że tamta rozmowa miała miejsce zaledwie kilka godzin temu.

Nigdy wcześniej nie byłem u niej w pokoju.

Był zagracony, tak ciasno zapakowany rzeczami, że ledwie można było się tutaj poruszać. Wszystko było pokryte warstwą kurzu. Brudna i stara kołdra, na której leżałem, była pozszywana z różnych materiałów. W kątach wisiały pajęczyny, a wokół unosił się zapach popiołu.

Ściany w moim pokoju były śnieżnobiałe. Nie miałem tam wielu osobistych rzeczy, nie licząc mojej kolekcji. Wszystkie moje koszule i spodnie zostały idealnie wyprasowane i schludnie poukładane w szufladach. Tutaj ubrania Wil były porzucane dosłownie wszędzie. Niektóre leżały na podłodze, a inne zostały wetknięte do przypadkowych szuflad.

Podniosłem się, walcząc z bólem kości. Miała rację. Powinienem się przebrać. Ale najpierw musiałem wziąć prysznic i naprawdę się rozgrzać.

Każdy mój krok był walką. *Śpij* – śpiewały moje kości – *wrót do łóżka i połóż się spać*. Ale nie miałem zamiaru ich słuchać.

Moje kończyny nie były już tak słabe, aby nie udźwignąć ciężaru mojego ciała. Było wręcz przeciwnie – popychała mnie do przodu dziwna, nowa energia.

„Nie patrz na moje rzeczy. Nie dotykaj moich rzeczy”. Głos Wil brzęczał mi w uszach. Lawirując niezgrabnie wokół jej szpargałów, przedostałem się z łóżka do łazienki.

Drzwi otworzyły się z jękiem. Minęła chwila, zanim światło rozbłysło, ale gdy lampa rozświetliła przestrzeń, musiałem stłumić krzyk. Sypialnia nie mogła równać się z tym pomieszczeniem. Szuflady były powysuwane, a na blatach leżały stosy śmieci. Zauważyłem do połowy puste butelki szamponów i oblepiającą papkę zaschniętej farby. Półki zapadały się pod ciężarem stłoczonej w środku zawartości. Wokół leżały szczotki do włosów, grzebienie i lokówki. A na domiar złego kosz na śmieci był zapełniony aż po brzegi.

Przedarłem się przez to wszystko i chwyciłem coś, co – miałem nadzieję – było czystym ręcznikiem wiszącym na wieszaku. Tutaj było jeszcze więcej brudnych ubrań niż w sypialni. Dostrzegłem niedopasowane skarpetki i wetknięty w kąt pasek, który podejrzenie przypominał węża.

Na posadzce prysznicza rysowała się niepokojąca smuga rdzy, która wyglądała jak czarna pleśń. Mimo wszystko zmusiłem się, aby wejść do środka. Przekręciłem kurek na wrzącą wodę, ale ku mojemu zaskoczeniu ta i tak okazała się lodowata. Była tak zimna, że cofnąłem się o krok. Oparłem dłoń na płytkach, żeby się nie przewrócić. Wraz z kolejnymi bulgotaniami, woda zmieniała się z morderczo zimnej w znośną. Zanim jednak temperatura stała się taka, jak chciałem, moje ciało zaczęło dygotać.

Gorąca woda na mojej skórze była jak błogosławieństwo. Spływała po włosach i głowie. Niestety wrażenie błogości nie trwało długo.

*Moje życie jest skończone.*

Uderzyła we mnie świadomość, że nie mogłem wrócić do domu. Wszystko się zmieniło i musiałem opuścić to miasto. Mój ojciec sam to przyznał. Następnym razem gdy ucieknę, poznam jego prawdziwy gniew. Gdy wiedział już, że zniknąłem, rozpoczęło się odliczanie. Z każdą sekundą zbliżałem się do mojego ostatniego tchnienia – zanim stanę się królikiem z kazania mojego ojca.

Krew pod moimi paznokciami pociemniała. Czerwień zamieniła się w czerń. Przypomniałem sobie, jak ręka ojca chwyciła mnie za ramię, jak uśmiechnął się przed całym kościołem. Przez jedną krótką chwilę myślałem, że może jest ze mnie dumny.

– Nie kocham go – powiedział. Nie zawahał się. – Elwood jest środkiem do celu.

Upadłem na brudną podłogę i objąłem swoje posiniaczone kolana. Woda lała mi się na plecy, zmieniając się z za gorącej w lodowatą. Łzy spływały po moich policzkach i znikwały niezauważone w strumieniach. Nie byłem pewien, jak długo siedziałem i płakałem pod zimnym prysznicem. Minęła wieczność, zanim podniosłem się i zakręciłem kurek.

Spodziewałem się, że zamarznię natychmiast, gdy wyjdę z kabiny, ale całe moje ciało było rozpalone.

Rozdzierająca migrena rozchodziła się po mojej czaszce. Miałem wrażenie, że dwa noże wbijają się w moje skronie. Rozmasowałem je, ale nic nie było w stanie odpędzić bólu. Mama wiedziałaby, co robić.

Trzymała w domu cały arsenał leków, który załagodziłby każdy ból. Wil też na pewno coś tutaj ma, prawda?

Otworzyłem szafkę, w której powinna być apteczka, ale wewnątrz było pusto, nie licząc zapomnianych grzebieni, wsuwek i butelki przeterminowanej melatoniny. Wszystko to się rozsypało, a ja zatoczyłem się do tyłu.

W lustrze zauważyłem dziwne odbicie. To byłem ja – twarz zeszywniała od zimna, ciało ciężkie jak cement, a oczy otwarte tak szeroko, jak to tylko było możliwe. Ból nasilał się z każdym ruchem, rósł i rósł, doprowadzając mnie na skraj omdlenia. Skrzydła uderzały o moje żebra. Dźwięk odbijał się echem w czaszce, a płacz cykady zagłuszał myśli.

Moje odbicie na zmianę bladło i robiło się wyraźniejsze – raz po raz, jak hipnotyczny ruch wahadła. Obraz pojaśniał na ulotną sekundę i dostrzegłem fragment martwej skóry na grzbiecie swojego nosa. Pochyliłem się wystarczająco blisko, aby mój oddech położył się parą na lustrze, i pociągnąłem za skórę. Ale pasmo nie miało końca. Zdzierałem z siebie kawałek po kawałku.

Kolory wirowały i spływały po mojej skórze, aż zastąpiła je soczysta, żywa zieleń. Moja czaszka pękała, mój i tak już ostry podbródek wydłużył się i zamienił się w szpiczaste szczypce. Oczy eksplodowały z moich oczodołów i rozrosły się, a w ich centrum tkwiły dwie atramentowoczarne pseudożrenice.

To nie mogło być prawdziwe. To nie mogło się znowu dzieć. Najpierw ćma w toalecie, a teraz to.

Całe pomieszczenie przekształcało się wraz z moimi myślami. Tapety falowały i łuszczyły się. Robaki wypełzały ze szczelin w ścianach – wijące się larwy, grube, mlecznoszare glisty i pokryte futrem tarantule. Wokół mnie rozrastał się ogród pełen wijących się, brzęczących insektów.



Krzyknąłem. Moja szczęka rozwarła się, aby wydać z siebie wrzask, a dźwięk ten rozdarł moje gardło niczym sztylet. Nie brzmiałem jak człowiek. Mój głos poszybował. Stał się wyższy, bardziej jęklivy, aż przestał być dźwiękiem i stał się odgłosem mlaskania mokrego języka i szczękaniem zębów. Moje człowieczeństwo się rozpadło, a wraz z nim wszystko to, czym byłem. Piszczalem jak owad schowany w wysokiej trawie.

Upadłem na podłogę, która roiała się od chrząszczy. Płytki popękały, gdy wylęgło spod nich robactwo. Wijące się karaluchy i mrówki pokryły moje nogi gęstym, czarnym rojem. Wizja zniknęła wraz z trzaśnięciem drzwi.

– Co, do cholery? – zapytała Wil. Nie chciałem, aby na mnie patrzyła. Nie chciałem, aby... – Stary, wszystko w porządku? Słyszałam krzyki. – Jej spojrzenie wędrowało po moich mokrych włosach, ale po chwili odwróciła wzrok. Na jej policzkach pojawił się rumieniec.

Dotknąłem linii swojej szczęki, sprawdzając, czy pod skórą nie kryją się jakieś potworności. Ale moje ciało wydawało się normalne. Łazienka też wyglądała normalnie. Tapeta na powrót przylegała do ścian, a kafelki pode mną choć brudne, nie były popękane. Odwróciłem się, szukając swojego odbicia w lustrze, ale nie zobaczyłem tam niczego niezwykłego. Nie miałem ani szczypców, ani wyłupiastych oczu jak robak.

Wszystko wróciło do normy. Było takie, jak przedtem.

– Ja... Przepraszam. Myślałem, że...

– Że co? – zachęciła mnie, abym kontynuował, ale ja tylko pokręciłem głową. – Że co? Że świat się kończy?

*Tak.*

– Nie... Nieważne – powiedziałem, zachwycając się dźwiękiem własnego głosu. Był tak prawdziwie ludzki. – Nie... Nie wiem.

Zmarszczyła brwi. Przez sekundę coś dziwnego pojawiło się na jej twarzy, ale podobnie jak wizja, to również szybko zniknęło.

– Boże, Clarke. Nie powinieneś brać prysznic, gdy masz hipotermię... Ale nieważne. Masz, przyniosłam ci trochę ubrań taty. Na litość boską, załóż coś na siebie.

Podawała mi stos ubrań, a ja wykorzystałem resztkę energii, aby je założyć. Przeciągnąłem ręce przez rękawy, założyłem zbyt szerokie spodnie od dresu i bluzę z wytłoczonym z przodu napisem: *Bass Pro Shops*.

– Dz... Dziękuję.

Próbowałem pójść za nią do pokoju, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Miałem wrażenie, że nie należę do mnie. Lewa stopa, prawa stopa, lewa...

Uderzyłem twarzą o podłogę. Ból wypełnił mnie w wybuchowym, krótkim przypływie. Skrzywiłem się, schowałem nos w dłoni i syknąłem, czując pulsujące ciepło.

– Hej, co się z tobą dzisiaj dzieje? Zachowujesz się jeszcze dziwniej niż zwykle. Wciąż jesteś pijany? – Zbliżyła się do mnie. Była za blisko. Jej nos zmarszczył się nade mną, jakby była psem tropiącym woń alkoholu.

Gdy jej twarz była zaledwie cale od mojej, zauważyłem wszystkie małe szczegóły, które wcześniej umknęły mojej uwadze. Grudki tuszu, jej nierówne rzęsy, mały pieprzyk na środku policzka i kolejny na linii szczęki, ostre zęby i to, że kilka z nich było wygiętych do wewnątrz. To te cechy, które nie powinny chwytać za serce, ale z jakiegoś powodu były ujmujące.

– Nie, nie sędzę. – Pokręciłem głową. Byłem w szoku, że moje palce wyglądały tak normalnie. – Ale coś jest nie w porządku. Coś jest naprawdę nie tak.

Nie zdawałem sobie sprawy, że moje kolano drżało, dopóki nie położyła na nim dłoni.

– Powiedz mi.

To nie było pytanie, tylko żądanie.

Moje usta były niewiarygodnie suche. Czułem jedynie ostry posmak krwi.

– Zamieniłem się w robaka – wyznałem. – A przynajmniej tak mi się wydawało, ale potem znowu stałem się sobą.

Zmrużyła oczy.

– Wziąłeś coś na imprezie, tak?

– Nie! Ja... Wiem, jak to brzmi, ale to prawda. Przysięgam. Nic nie brałem. To nie był pierwszy raz. Zwymiotowałem na przyjęciu, Wil.

Jej słowa przerwały ciszę:

– To przez stanie na beczce – powiedziała z uśmiechem i podała mi dłoń, abym podniósł się z brudnej podłogi.

Kolejny raz desperacko pokręciłem głową.

– Nie, to nie tak. Zwymiotowałem śmę. – Wszystko to, co chciała powiedzieć, zamarło na jej ustach, gdy zasłoniła je dłonią. – A teraz w twojej łazience widziałem, jak moja... moja skóra łuszczy się i... – Nie byłem w stanie odnaleźć właściwych słów, więc palcami pokazałem kształt szczypiec.

– Muszę ci przerwać, panie marzycielu. – Wil westchnęła głęboko, wskazała głową w stronę łóżka, abym na nim usiadł, i przestał gadać. – Nie wiem, czy masz halucynacje, czy jesteś na haju, czy co u licha, ale mogę ci obiecać, że nie zamieniłeś się w modliszkę w mojej łazience. – Postawiła kubek obok mnie na nocnym stoliku. – Proszę, wypij to i wytrzeźwiej, do diabła. Pomyślałam, że zaparzę ci coś ciepłego. To

kawa, wybacz. Wiem, że jej nie cierpisz, ale nie mamy nic innego. Dodałam reszkę cukru. Nie ma za co.

Ująłem kubek w dłonie i zadrżałem, czerpiąc z jego ciepła.

Pierwszy łyk był bolesny, ale mimo to kontynuowałem.

Tata pił kawę każdego poranka. Raz pozwolił mi spróbować. Pamiętam, że musiałem się naprawdę wysilić i skoncentrować, aby to przełknąć. Prychnął wtedy na moją kwaśną minę i wziął duży łyk.

– Możesz załagodzić smak śmietanką i cukrem, ale to sprawi, że kawa stanie się czymś, czym nie jest. Musi być gorzka, aby cię obudzić. – A potem skrzywił się, patrząc na filiżankę. – Nie musisz tego lubić. Po prostu trzeba to wypić.

Przełknąłem gorzki łyk.

Wil usiadła na łóżku obok mnie. Atramentowoczarne włosy ledwo muskały jej ramiona. Gdy byliśmy młodszy, gdy jeszcze spędzaliśmy razem czas, sięgały jej do pasa. Upinała je w ciasny warkocz, a ja często wyciągałem liście i gałązki, które ugrzęzły pomiędzy splotami.

Wciąż pamiętam, jak jej włosy owijały się wokół moich palców.

Przełknąłem ślinę.

Na każdym z uszu miała po tuzin różnych kolczyków. W zeszłym roku miała tylko trzy. Zwykle powiedziałyby mi o każdym kolejnym.

*Nie znasz jej. Stała się kimś obcym.* Dziś jej uśmiech był drwiący i gorzki, a kiedyś uśmiechała się szeroko i szczerze. Na obu policzkach miała subtelne dołeczki. Pamiętałem jej śmiech – miękki, liryczny i kłócący się ze wszystkim, czego można było oczekiwać od tak silnej dziewczyny.

Na jej twarzy pojawił się grymas. Zmrużyła brązowe oczy.

– A więc, czy możesz mi powiedzieć, co się tak naprawdę dzieje? Poza... cóż, tymi robakami... O co chodzi z twoją rodziną?

Pokręciłem głową.

– Nie mam pojęcia.

– Dlaczego taki idealny syn jak ty miałby uciekać z domu? – Jej głos był ostrym niczym gałęzie w lesie.

Może ona również chciała zaciąć mnie do krwi?

Nie mogłem zmusić się, aby to powiedzieć. Nie byłem w stanie powiedzieć tego na głos.

Cisza, która zawisła pomiędzy nami, była wystarczająco długa, aby Wil przeklęła.

– Zacznę naliczać ci opłaty za marnowanie mojego czasu.

– Opłaty? – powtórzyłem.

– Tak, Elwood. Opłaty. Nie będziesz marnować mojego czasu za darmo. Oczywiście będę musiała też uwzględnić obsługę hotelową – wskazała na kubek z parującą kawą – opiekę medyczną i pobyt w luksusowym apartamencie.

*To miejsce? Jako luksusowy apartament?*

– Nie mam pieniędzy – wypaliłem i po raz pierwszy w życiu to był fakt. Bez rodziców zostałem z niczym. Nie miałem pieniędzy. Nie miałem żadnych rzeczy. Zupełnie nic. Nic tylko strach, który wzbierał w moim wnętrzu.

– Oczywiście, że masz pieniądze, Clarke – wycedziła moje nazwisko, jakby to była zjadliwa zniewaga. – Twoja rodzina ma dość pieniędzy, aby kupić nasz motel i zburzyć go dla zabawy.

Nigdy nie lubiłem, gdy ktoś nazywał mnie „Clarke”. To nazwisko do mnie nie pasowało. Było zbyt duże dla kogoś tak małego. Odchrząknąłem i poczułem smak krwi.

– Niech będzie. Masz rację. Uciekłem z domu. – W końcu udało mi się to powiedzieć. Słowa nabrały kształtu w powietrzu i bałem się, że mogą zacisnąć palce na mojej szyi, bałem się, że zaczną mnie dusić. Była w nich definitywność. Nie mogłem się już wycofać. Nie mogłem tego naprawić. Uciekłem z domu i wiedziałem, że ten grzech odcisnie piętno na mojej skórze. – Tata mnie przyłapał. Wymknąłem się z domu pierwszy raz w życiu i złapał mnie na tym. Złapał mnie i...

*Podszedł do mnie, wściekłość kipiała z niego jak żar, jego usta były wykrzywione w grymasie, gdy niszczył wszystko to, co kochałem.*

– Zwołał resztę kościoła. Mówili o mnie, jakbym nic nie znaczył... Przepraszam. Naprawdę nie wiem. Był tam szeryf Vrees, a mój tata powiedział, że mnie nie kocha i... – Mój głos załamał się jak w okresie dojrzewania.

Cisza rozlała się wokół nas jak mgła na pojezierzach. Zawisała nad nami ciężka, gęsta i nieustępliwa.

– Co takiego? – zapytała Wil i nabrała głębiej powietrza.

– Chcieli się upewnić, że nie ucieknę, zanim Prudence nie urodzi. – Czknąłem i zakopałem się głębiej pod kołdrą. – Wil... Przysięgam, że nie wiedziałem, że mój tata chce kupić wasz motel. Nie miałem pojęcia. Uwierz mi.

Mdłe światło księżycy wlewało się przez okno do pokoju. Nie mogło jednak zrobić nic więcej.

– Prudence? Żona Vreesa?

– Tak. – Całym sobą wziętem głęboki wdech. Czułem, jak moja klatka piersiowa unosi się i puchnie. – Chcą mnie zabić. Mówili, że chcą coś ze mnie wyciąć i włożyć to w dziecko i... przepraszam, to za dużo.

– To wszystko było takie oczywiste – wyszeptała Wil. Miękki głos zupełnie do niej nie pasował. – Ogród Adama to jakaś popieprzona sekta. I przez cały ten czas, gdy męczyłam się z Vreesem, myślałam, że jest nieudolny albo że został przekupiony. Ale nigdy nie podejrzewałam, że on i jego żona mogą być w to zamieszani. Do jasnej cholery, Elwood, Vrees jest w to zamieszany! To gruba sprawa. To naprawdę gruba sprawa.

Na zewnątrz szalała zamieć. Słowa Wil smagały moją nagą skórę, która była tak skostniała, jak wiatr szumiący za szybą. Ojciec zawsze powtarzał, że zimno w najgorszy możliwy sposób przypomina nam o tym, że żyjemy. Rozpała w nas płomień energii, desperację, która jest zakorzeniona głęboko w nas. Zimno pokazuje nam, jacy naprawdę jesteśmy.

Bałem się, co mówiło o mnie.

– Wspominali coś o mojej mamie?

Pokręciłem głową.

– Nic nie słyszałem. – Wbiłem paznokcie w ramię. Ból rozkwitł i przyniósł mi ukojenie. Żyłem. Naprawdę żyłem.

Miałem wrażenie, że las zbliżył się do nas. Drzewa szumiały i szemrały pomiędzy sobą, a ja bałem się, że zaniosą moje słowa do kościoła. Chciałem cofnąć wszystko to, co powiedziałem.

Skuliłem się i zaplotłem ręce wokół kolan.

Czułem na sobie płonące spojrzenie Wil, ale nie odwróciłem się w jej stronę. Nie mogłem.

– Pomogę ci – powiedziała, a ton jej głosu się zmienił. – Obiecuję, że nie pozwolę, aby twoi rodzice cię znaleźli. Pomóż mi znaleźć brudy na swoją rodzinę i odnaleźć moją mamę, a ja będę cię ukrywać tak długo, jak będziesz tego potrzebować. Bez żadnych opłat i tym podobnych. A potem, gdy twoi rodzice zostaną wsadzeni za kraty, obydwójce będziemy szczęśliwi.

Zdrada rysowała się na mojej skórze w postaci gromady blizn. Powstawały za każdym razem, gdy popełniałem błąd i wypowiadałem imię Wil w domu moich rodziców.

– Nie mogę obciążyć mojej rodziny.

Spojrzała na mnie dokładnie tak, jak się spodziewałem... była ogromnie sfrustrowana.

– Powiedziałeś, że planują cię zabić. – Jej perspektywa była czarno-biała, ale w moim umyśle wszystko było zamglone jak podczas zamieci. Wszystko to było jedną, rozmazaną plamą dobra i zła.

– Nigdy nie sprzeciwiłem się swoim rodzicom.

– Zawsze musi być ten pierwszy raz, co nie? – Nie odpuszczała. – A poza tym nie za bardzo masz wybór, prawda?

Nienawidziłem tego, ale miała rację. Gdybym miał wybór, nie uciekłbym, a moim pierwszym odruchem po dotarciu do jej motelu nie byłoby schowanie się pod łóżkiem i czekanie, aż to wszystko przeminie.

Dom był jak rana od ostrego noża na moim gardle i kolekcja delikatnych, rozdartych skrzydeł.

– Dobrze. – To jedno słowo tak trudno przeszło mi przez usta. – Pomogę ci.

Opadłem na łóżko, gdy ścieżka mojego grzechu została przypieczętowana.

Materac ugiął się pod moim ciężarem. Chciałbym, aby pochłoniął mnie w całości, abym zniknął. Nie sprawdziłem, czy nie ma tam pluskiew, ale byłem zbyt wyczerpany, aby się tym przejmować. *Może jutro pomogę jej tutaj ogarnąć. Może dla własnego zdrowia psychicznego wysprzątam to miejsce na błysk. A może przerażenie zupełnie nade mną zapanuje i nie będę w stanie nic zrobić.*

– W takim razie załatwione. – Wil wpatrzyła się w sufit.

Miałem wrażenie, że patrzymy na gwiazdy i wskazujemy palcami konstelacje. Nad nami wisiał cały wszechświat luminescencyjnych naklejek.

– Wciąż uwielbiasz kosmos, co? – wyszeptałem pod nosem, starając się rozproszyc złe myśli.

– Nie mam na tym punkcie takiej obsesji, jak ty z tymi swoimi robakami, ale... jest coś urzekającego w tym, że można uciec od tego miejsca tak daleko, jak to tylko możliwe – mruknęła Wil, wskazując palcem na Wielki Wóz. – Wyjechałabym z tego głupiego miasta, gdyby nie mama. Kupiłabym bilet na pierwszy lepszy autobus, uciekłabym stąd i nigdy bym tutaj nie wróciła. – Pociągnęła nosem i odwróciła twarz. – To mama je dla mnie zrobiła. Byłoby o wiele łatwiej, gdyby po prostu poprzyklejała je jakkolwiek, ale ona ułożyła z nich dla mnie konstelacje.

– Twoja mama bardzo cię kochała. – Słowa same wyrwały się z moich ust. Zamrugąłem, wpatrując się w chropowaty sufit i powstrzymując łzy. Zastanowiłem się, ile jest azbestu w tym wszystkim i czy ściany są pomalowane farbą z ołowiem. – Nie powinienem był mówić tego, co powiedziałem na przyjęciu u Lucasa.

Milczała. Widziałem tylko, jak klatka piersiowa Wil unosi się i opada, i wiedziałem, że wewnątrz bije jej serce.

– Proszę, nie mów o niej w czasie przeszłym.

Otworzyłem usta, aby ją przeprosić, ale jednym spojrzeniem sprawiła, że zamilkłem.

– Nie musisz nic mówić, Elwood. Usłyszałam już wystarczająco dużo pocieszeń. – Jej zęby były zaciśnięte. – Gdybyś powiedział komuś o tym, co się tobie przydarzyło,

to czy „przykro mi” w jakikolwiek sposób by ci pomogło?

*Przykro mi, że twoja kolekcja została zniszczona. Przykro mi, że twoja rodzina cię nie kocha. Przykro mi za to, co się stanie, gdy cię złapią.*

– Masz rację, przy... Będę już cicho.

– W przeciągu jednego tygodnia straciłam wszystkich. Mamę, tatę na wszelkie możliwe sposoby, i ciebie.

– Nie miałem innego wyboru. – Mój głos zadrżał z desperacji, której się nie spodziewałem. – Oskarżyłaś moją rodzinę.

– I spójrz na to, gdzie teraz jesteś. Tutaj – warknęła, a jej ton stał się nagle ostrzejszy. A może to prawda była po prostu brutalna. – Myślisz, że spaliłabym ten most, gdybym nie musiała? – Teraz to jej głos się łamał.

– Kazałaś mi wybrać.

– A ty wybrałaś – urwała i otarła łzy z twarzy. – Boże, jak ja cię nienawidzę.

Wiatr wył, uderzając o szyby.

W tych kilku słowach było tyle jadu, że nawet ona się wzdrygnęła. Każde słowo było jak kula, która wbiła się w moją pierś. Nie było już nic do dodania – nawet gdybym chciał coś powiedzieć, ból był zbyt duży. Przez cały ten czas się oszukiwałem. W głębi duszy zawsze wiedziałem, że mnie nienawidzi, ale trzymając się na dystans, mogłem udawać, że jest inaczej. Mogłem karmić się wiarą, że pewnego dnia znów będzie między nami dobrze.

Moje powieki stały się ciężkie, a oczy były zmęczone od powstrzymywania łez. Koc był niczym wieko trumny, które unieruchamiało mnie swoim ciężarem. Na szczęście, gdy zasnąłem, nie miałem żadnych snów.

Byłem wdzięczny za ciemność.

# Rozdział dziewiąty

## Wil

Nie obudziłam się od promieni słońca ani śpiewu ptaków. Obudziłam się, gdy Elwood Clarke wpadł w panikę.

Poderwał się, a jego klatka piersiowa unosiła się z każdym gwałtownym, charkliwym oddechem. Koszulka, którą mu dałam, była mokra od potu. Krople ściekały po jego twarzy i przypominały poranną rosę na trawie. Musiałam przyznać, że jego włosy z samego rana nie wyglądały tak źle.

– To wszystko było prawdziwe – powiedział, oddychając z trudem.

– I wzajemnie. Dzień dobry – mruknęłam, rzucając mu niezadowolone spojrzenie.

Nawet w połowie drogi do szaleństwa wyglądał całkiem przyzwoicie. Jego rzęsy były absurdalnie długie. Nie mogłam się też dopatrzyć żadnych dowodów na to, aby kiedykolwiek miał pryszczę. Może rodzice zapobiegawczo dawali mu lek na trądzik. Powiodłam wzrokiem po grzbiecie jego nosa i krzywiźnie szczęki.

Gdy spotkałam go po raz pierwszy, uszy miał o wiele za duże w stosunku do twarzy, a jego ramiona były komicznie długie w porównaniu z resztą ciała. Wyglądał jak szczeniak o dużych łapach. Przez ostatni rok obydwójce się zmieniliśmy. On wyprzystojniał, a ja zbrzydłam. Moje włosy... cóż, moje włosy wyglądały jak zwykle. Nie mogłam stwierdzić, czy cera ostatnio mi się pogorszyła, bo to sugerowałoby, że kiedykolwiek była w dobrym stanie. Stres zadomowił się w moim mózgu i gruczołach łojowych.

Czarne doły pod oczami były bonusem do tego wszystkiego. Wyglądałam tragicznie.

Przeszył mnie dreszcz i ukierunkowałam swoją złość na lodowaty przeciąg, który wpadał przez okno. Każdej zimy próbowałam naprawić szczeliny rolką taśmy klejącej. Nie byłam jednak majsterkowiczem i nie znałam się na naprawie okien, ale taśma robiła swoje. Niestety ta w kropki nie była wystarczająco skuteczna. Było więc całkiem prawdopodobne, że gęsia skórka na moich ramionach zostanie ze mną już na zawsze.

Przerzuciłam nogi przez łóżko i podniosłam stopami bluzę, która leżała na podłodze. Przyglądałam się jej przez pięć sekund, sprawdzając, czy nie jest za bardzo ubrudzona, oraz czy nie śmierdzi, ale pozytywnie zdała test, więc założyłam ją na siebie. Na przodzie widniał napis: *Planet Hollywood – Orlando*.

Spoiler: nigdy nie byłam w tej restauracji. W przeciwieństwie do kogoś, kto pracuje w sklepie Goodwill.



– Tata mnie zabije – jęknął Elwood i skulił się, obejmując kolana. Niby przesadzał, ale szybko uświadomił sobie, że było w tym trochę racji. Jego tata mógł rzeczywiście go zamordować.

Nie mogłam jednak o tym myśleć, bo to podsycalo jedynie inny lęk, w który nie chciałam wierzyć – że moja matka nie została uwięziona, że nie czekała na ratunek, ale że od dawna była martwa. Część moich myśli zawsze była stłumiona przez nieustępliwy niepokój, że moje przecucia mogłyby okazać się prawdą. Za każdym razem, gdy patrzyłam na las i otaczający mnie świat, szukałam jakiegoś połączenia. „Jestem tutaj. Żyję”. Ale nigdy niczego takiego nie znalazłam. To, co mnie z nią łączyło, było naprężone, postrzępione i zniszczone, więc bałam się, że nawet nie zauważyłabym, gdyby zostało przerwane.

Na razie odepchnęłam od siebie tę myśl, bo była zbyt trudna.

– Twój tata nie będzie miał takiej szansy – powiedziałam i naprawdę miałam to na myśli. – Zapominasz, że to człowiek, którego nienawidzę najbardziej na świecie. Z przyjemnością stanę z nim do walki w twoim imieniu.

Mimo że Elwood był irytujący i okropny, musiałam przyznać, że go potrzebowałam. Słowa Cherry krążyły po mojej głowie w nieustających pętłach. Mając wystarczającą ilość dowodów i świadków, mogłabym to naprawić. Sprawa zaginięcia mamy zostałaby rozwiązana. Motel zostałby uratowany. Rodzice Elwooda i szeryf Vrees spędziliby resztę życia za kratami.

Elwood patrzył na mnie, a jego oczy były niepokojąco zielone. Instynktownie odwróciłam od niego wzrok.

– Zanim zaczniemy się nad tym zastanawiać, najpierw pomyślmy nad śniadaniem – zasugerowałam, ale on mi nie odpowiedział.

Był zbyt zajęty kompulsywnym drapaniem się po skórze. Robił to też w pierwszej klasie. Ilekroć był wtedy naprawdę zestresowany, zawsze ranił się aż do krwi. Dobrze wiedzieć, że niektóre rzeczy się nie zmieniają. W sumie wyglądał, jakby całkiem stracił rozum, więc pożegnałam się z myślą, że pójdzie ze mną do kuchni.

– Pójdę po coś do jedzenia. Zostań tutaj. Jeśli twój tata nagle wyskoczy spod łóżka, krzyknij, a ja przybiegnę skopać mu tyłek.

Stał się cud, którego mógł dokonać tylko sam Jezus – mój tata wstał przed trzynastą. Cóż, był ledwie przytomny. Siedział przy kuchennym stole i przypominał zombie, ale w sumie zwykle tak wyglądał. Jego włosy były rozczochrane i sterczały na boki. Miał na sobie szlafrok, który „kupiłam mu”, gdy miałam dziesięć lat. Tak naprawdę to mama go kupiła, ale pozwoliła mi się podpisać na liściku.

Jego spojrzenie było zamglone i rozbiegane, a oddech cuchnął whisky. Nie było to nic nowego. Nosił na sobie ten zapach, jakby był jego ulubioną marką wody

kolońskiej. Whisky & Brud – edycja limitowana.

Wydałam z siebie gardłowy dźwięk. Nie miałam zamiaru się z nim przywitać, wystarczyło, że mruknęłam.

– Wiem, że jesteś na mnie zła, myszko – wymamrotał, gdy wyminęłam go i podeszłam do ekspresu do kawy. Łypnęłam na niego, ale on nie spojrzał w moją stronę. Był zbyt zajęty oglądaniem rozdarcia na rękawie.

Ten szlafrok wyglądał świetnie, gdy miałam dziesięć lat. W tej chwili jednak przypominał coś, co wyciągnięto ze śmietnika. Odchrząknął – był to dźwięk niczym widelec wrzucony do młynka na odpady.

– Wydawało mi się czy rozmawiałaś z kimś zeszłej nocy? Odwiedził cię przyjaciel?

– Wydawało ci się. – Wzruszyłam ramionami. Technicznie rzecz ujmując, nie było to kłamstwo. Zapytał o „przyjaciela”, a nie o „byłego najlepszego przyjaciela, z którym aktualnie trwałam w separacji”. Choć nawet gdyby ujął to właściwie i tak bym go zbyła. To nie była jego sprawa. Nie mógł sobie wybierać, kiedy się o mnie troszczyć, a kiedy nie.

– Mógłbym przysiąc, że słyszałem...

Już miałam mu odpowiedzieć, że musiał mieć halucynacje, ale wtedy Elwood zdecydował, że to najlepszy moment, aby stanąć w drzwiach. Choć tata wcześniej unikał mojego spojrzenia, bez wahania spojrzał na Elwooda, który powłóczył nogami, jak nowo narodzone ciele.

Czekałam tylko, aż w głowie taty włączą się niewłaściwe trybiki. Elwood i ja. Tutaj. W piżamach. Wyraźnie sponiewierani. Elwood zupełnie przesiąknięty potem. Tata zakrztusił się własnym oddechem.

– Dz... Dzień dobry, panie Greene. – Na ciele Elwooda natychmiast pojawiła się wysypka od stresu. Czerwień kwitła na jego szyi, wspinała się na twarz i sięgała aż czubków uszu. Skurczył się w sobie i skulił ramiona, jakby mógł rozpuścić się za sprawą własnej woli. Możliwe jednak, że nie starał się wystarczająco mocno, ponieważ cisza się wydłużała, a on wciąż stał przed nami.

Otworzył usta, ale nie zdążył wypowiedzieć ani słowa.

Dźwięk otwieranych drzwi wejściowych odbił się echem w korytarzu, a Elwood podskoczył szybciej, niż udało mi się mrugnąć.

Czerwień zniknęła z jego twarzy, a w jej miejsce pojawiła się upiorna biel. Otworzył szeroko oczy i a dreszcz wstrząsnął całym jego ciałem.

– Jest tu ktoś? – Głos był głęboki, znajomy i irytujący. Po nim nastąpił podmuch wiatru i ostry trzask zamykanych drzwi, które skrzypnęły na zardzewiałych zawiasach. Wszędzie poznałabym ten głos. To był ojciec Elwooda. Każde słowo, które wychodziło

z ust pana Clarke'a, brzmiało tak, jakby było wypowiedziane kursywą. Brzmiał trochę jak Siri, gdyby Siri była zaprogramowana tylko po to, aby prawić o Bogu.

– Byłbym zaskoczony, gdybyśmy go tutaj znaleźli, Ezekielu – dodał inny, gardłowy głos.

Z drugiej strony szeryf Vrees nie przejmował się wymową. Brzmiał tak, jakby dławili go własne wąsy. Naprawdę chciałabym, aby tak było.

– Z trudem przyjmują jakichkolwiek gości. Szczerze powiedziawszy, to miejsce pasowałoby na parking.

– Nie ma go tutaj – powiedziałam bezgłośnie do taty. – Powiedz im, żeby stąd poszli.

Tata poświęcił całą sekundę na szeptane przekleństwa, ale potem westchnął i wstał. Następnie wykonał nieznaczny gest, zaganiając nas do spiżarni, i kolejny, nakazujący nam absolutną ciszę.

Elwood nie wahał się ani chwili. Wyglądał tak, jakby chciał wsiąknąć w deski podłogowe i nigdy nie wrócić do swojego ciała. Wszedł do spiżarni jako pierwszy, ja za nim. Wyjrzałam jeszcze za framugę, delikatnie skinęłam tacie głową, a następnie zamknęłam drzwi.

– Dzień dobry, szeryfie Vrees – zawołał mój tata. Nie mogłam sobie wyobrazić, jak musiał wyglądać, spacerując po korytarzu w piżamie. Jego głos był wystarczająco poważny, ale cały jego urok zniknął, gdy dodał: – Dzień dobry, Clarke. Przypuszczam, że wasza dwójka nie szuka tu pokoju?

Przestąpiłam z nogi na nogę, rozglądając się po przykrytych mrokiem półkach. Jak na spiżarnię było tu całkiem mało jedzenia. Mieliśmy kilka starych cheeriosów i kilka paczek zupy ramen. Poza tym zauważyłam puszkę szpinaku, a jej termin przydatności do spożycia minął dwa lata temu.

Kiedyś było tu zupełnie inaczej. Zanim depresja uderzyła w tatę niczym rozpędzona ciężarówka, pracował jako szef kuchni, a to miejsce nie było taką rudą jak dziś. Marzeniem taty było zrobić z tego motelu coś na kształt Bed & Breakfast. Każdego ranka wstawał bladym świtem, aby przygotować posiłki dla gości, a najbardziej szalony był fakt, że naprawdę kochał to robić.

Teraz, jeśli Cherry nic dla mnie nie ugotowała, większość moich posiłków była z mikrofali. Mrożone kurczaki, rozmoczone lasagne i żeberka, które smakowały i pachniały jak karma dla psów.

Gdy wszystkie jego ambicje umarły, spiżarnia stała się dla taty kolejnym miejscem do przechowywania naszych starych rzeczy. Była przepełniona pudełkami zapieczętowanymi zarówno przez taśmę klejącą, jak i kurz.

Nie pozostało tu za wiele przestrzeni. Klatka piersiowa Elwooda była przyciśnięta do moich pleców i z każdym jego oddechem czułam szalone bicie jego serca. Miałam wrażenie, że chciało schować się w moim ciele. Ścisnęłam mocniej jego dłoń.

Znieruchomiał.

– Szukamy mojego syna – oznajmił pan Clarke. – Jest tutaj? Może wymknął się gdzieś z twoją córką?

Słowo „córka” wypowiedział tak, jakby to była najgorsza zniewaga, jaką można sobie wyobrazić. I może faktycznie tak było. Nie byłam ulubienicą Pine Point.

– Z tego, co mi wiadomo – odpowiedział tata, a jego głos był szokująco delikatny – moja córka przestała rozmawiać z twoim synem ponad rok temu. – Jego słowa niosły ze sobą o wiele cięższy ładunek. Byłam pewna, że nie umknęło to niczyjej uwadze. Rok temu, gdy mama zniknęła, pierwsze oskarżenie padło na Clarke’a.

– Nie podoba mi się pański ton, panie Greene – odpowiedział Ezekiel Clarke ostrym głosem. Wyobraziłam sobie, jak się puszył i nadymał w naszym korytarzu. Ciemnoniebieski szalik owijał się ciasno wokół jego szyi, a dobrany starannie płaszcz opinał jego sylwetkę. Pewnie szydził z kurzu. – Mógł tutaj przyjść, aby zrobić mi na złość.

Nie mogłam sobie wyobrazić, aby Elwood mógł komukolwiek zrobić na złość.

– Widzi pan, aby brakowało któregoś klucza na haczykach? – zapytał tata. Musiałam przyznać, że odgrywał swoją rolę lepiej, niż się spodziewałam. – Nie ma go tutaj.

Byłam pewna, że później się to na mnie odbije, ale na razie wszystko szło dobrze.

– To bez znaczenia – kontynuował tata Elwooda, choć brzmiało to tak, jakby stracił część swojej wcześniejszej pewności siebie. – I tak musimy przeszukać to miejsce z góry na dół.

Palce Elwooda zacisnęły się na mojej dłoni. Pomyślałam, że złamię mi rękę, jeśli zrobi to jeszcze odrobinę mocniej. Szturchnęłam go w żebra, a on rozluźnił uścisk.

– Będzie ci łatwiej, Clarke, jeśli przeszukasz gruzowisko po tym, jak zburzysz ten motel – powiedział tata. Panował nad sobą znacznie lepiej niż ja. Gdybym tam była, już dawno uderzyłabym tatę Elwooda w twarz. – Marnujesz swój czas. Poza tym nie możesz tu przychodzić bez nakazu. Szeryfie Vrees, ty, spośród wszystkich, powinienesz dobrze o tym wiedzieć.

Vrees prychnął.

– A co, zamieniłeś się w prawnika, Greene?

Nastąpiła chwila ciszy.

– Jasne, nie będzie z tym problemu – powiedział pan Clarke. – To miejsce narusza wszystkie zasady higieny.

Tata coś odwarknął, ale jego słowa były zbyt niewyraźne, abym mogła je usłyszeć. Rozpoczęła się cicha kłótnia, po której nastąpiło gniewne tupanie eleganckich butów. Potem usłyszałam skrzypnięcie zawiasów i świst wiatru. Podmuch zamieci został przerwany przez trzask drzwi.

Minęła jedna sekunda. Potem druga, trzecia, czwarta i piąta.

Ojciec wrócił do kuchni i zamknął za sobą drzwi do korytarza.

– Już w porządku – powiedział, a Elwood natychmiast odsunął ode mnie dłoń. – Obydwoje możecie wyjść.

# Rozdział dziesiąty

## Wil

Elwood wyglądał, jakby miał za chwilę zwymiotować, a tata, jak zawsze niczego nieświadomy, zaczął robić naleśniki.

Aż mnie samą zdziwiło, że słowa „tata” i „gotowanie” pojawiły się w jednym zdaniu. Byłam raczej przyzwyczajona do „tata” i „jedzenie na wynos” albo „tata” i „mrożonki”. Od wieków nie jadłam normalnego posiłku.

– Wybaczcie, trochę zapomniałem, jak to się robi – powiedział ojciec, wskazując na coś, co powinno być naleśnikiem, a wyglądało bardziej jak czekoladowy wiór. – Zapomniałem, że się smażą.

Zmarszczyłam nos na widok gęstej chmury dymu i zdziwiłam się, że alarm nie zaczął dzwonić. Jeszcze, nie daj Boże, włączyłyby się zraszacze. Po tym, jak tata zrobił ostatniego naleśnika, wrzucił patelnię i resztę naczyń do zlewu. Wyglądało to jak krzywa wieża udekorowana patelnią zamiast bożonarodzeniową gwiazdą.

– Dzięki – mruknął Elwood, przyjmując talerz. Nawet lekko nie unióś kącików ust. Jego głos był tak skołowany, tak absolutnie martwy w środku, że z trudem udało mi się odeprzeć uczucie, jakie we mnie obudził.

– Nie ma za co. – Tata w przeciągłym westchnieniu wypuścił z płuc resztki powietrza. – Kiedyś gotowałam cały czas. Prawda, Wil?

Wciąż pamiętałam, jak rano przygotowywał śniadanie dla mnie i mamy – puszyste naleśniki ociekające czekoladą. Na kuchennym stole zawsze czekała na mnie szklanka soku pomarańczowego (stała dokładnie na tym samym blacie, na którym teraz gromadziły się zaległe rachunki). Można by rzec, że wszystko było normalnie.

– Jeśli któregoś dnia kogoś poślubisz – powiedziała kiedyś mama, zlizując sos holenderski z widelca – upewnij się, że ta osoba potrafi gotować.

A jeśli tata to słyszał, zawsze dodawał:

– A więc ten Elwood chodzi na zajęcia kulinarne, tak?

Zawsze kończyło się to tym, że uderzałam ręką w stół, a moje policzki się czerwieniły.

– Mm... hmm – mruknęłam ze śmiertelną powagą, przekrawając nędzny kawałek naleśnika, który leżał na moim talerzu. Z ciasta trysnęła czekolada. Nie miałam zamiaru nic więcej komentować.

Tata odchrząknął i raz jeszcze spróbował zagaić rozmowę:

– Nie sądziłem, że znowu się przyjaźnicie.

– Bo się nie przyjaźnimy – powiedziałam z pełnymi ustami.

– Och... W porządku. Cóż... – Tata zaczął stukać palcami o blat. Jeśli szukał ze mną jakiegoś porozumienia, to most, który go ze mną łączył, został już dawno spalony. W tej chwili ewentualna rozmowa wiązała się z wkroczeniem na wody pełne aligatorów, a wszyscy wiemy, że słowo „wysilek” nie istniało w słowniku taty. I faktycznie odwrócił się ode mnie i spojrzał na Elwooda.

– Wiesz, że nie możesz siedzieć tu przez wieczność. Też kiedyś uciekłem jako dzieciak z domu. W końcu twój tata...

Elwood zadrżał na wzmiankę o ojcu. Przełknął z trudem naleśnika i musiał popić go sokiem, aby się nie zakrztusić.

– Wiem – powiedział, już panikując. Kolory całkowicie zniknęły z jego twarzy. – Wiem, że mnie znajdzie.

*Po prostu cudownie.*

Tata nie był w stanie milczeć nawet przez pięć sekund i zaczął po raz trzeci:

– A więc... jeśli chodzi o brak kluczy na haczykach... cóż, zakładam, że spałeś w pokoju Wil. – Patrzył w przestrzeń pomiędzy mną a Elwoodem. Jego spojrzenie było zakłopotane, a oczy rozbiegane. Już wiedziałam, jaki okropny i żenujący kierunek planował obrać. – Mogę ufać waszej dwójce, że nie... hmm... że nie będziecie robić czegoś, czego nie powinniście?

*No i proszę. Wiedziałałam, że tak to się skończy.*

– Tato – jęknęłam. Teraz to ja zadławiłam się naleśnikiem. Moja chora podświadomość podsunęła mi obraz Elwooda, który wyszedł spod prysznic, z ręcznikiem luźno owiniętym wokół bioder, z mokrymi włosami, z kroplami wody spływającymi po jego klatce...

Potrzebowałam lobotomii.

– No wiesz, twoja mama i ja też byliśmy kiedyś młodzi, więc wiem, jak to wygląda – powiedział, wycofując się nieznacznie ze swojego wcześniejszego oskarżenia. Mimo wszystko odsunął od siebie talerz, jakby stracił apetyt. W takim razie było nas dwoje. – Nie chcę po prostu, żeby doszło do jakiejś wpadki.

Policzki Elwooda zapłonęły szkarłatem.

– Boże. Nie. To obrzydliwe, tato. – Wstałam, a moje krzesło szurnęło po podłodze. – Elwood jest tutaj, bo ukrywa się przed swoją rodziną. To wszystko. Dlaczego musisz wszystko tak komplikować?

Teraz to tata poczerwieniał. Zaciśnął usta i przygryzł wargę, aby nie powiedzieć już ani słowa więcej. Powinien był zrobić to wcześniej.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o śniadanie.

Gdy wróciliśmy z Elwoodem do pokoju, żadne z nas się nie odezwało.

To znaczy, szczerze mówiąc, co należało powiedzieć w takiej sytuacji? „Przykro mi, że twój tata na ciebie poluje. Przykro mi, że mój własny ojciec zasugerował, że jeśli nie będziesz ostrożny, to mogę zająć w ciążę. Przykro mi, że nie rozpląnąłeś się w powietrzu, tak jak chciałeś. Jeśli ogarniesz, jak to zrobić, proszę zdradź mi tę sztuczkę”.

W towarzystwie Elwooda milczało się po prostu beznadziejnie. Nie mogłam wczuć się w jego myśli. Graniczyło to z niemożliwością. Postawił fortecę wokół swojego umysłu, a ja mogłam jedynie stać przy bramie. Siedział w nogach łóżkach i wpatrywał się w brudny dywan u swoich stóp.

Gdy w końcu się odezwał, każda wypowiedziana przez niego litera ociekała strachem:

– Twój tata ma rację. To tylko kwestia czasu, zanim mój ojciec mnie znajdzie.

Tata naprawdę nie powinien był tego mówić. Odkaslnęłam, skrzyżowałam ręce na piersiach i starałam się wyglądać na twardszą, niż byłam w rzeczywistości.

– Mój tata rzadko kiedy ma rację. Powiedziałam, że nie pozwolę cię skrzywdzić i nie mam zamiaru się z tego wycofać. I ty lepiej nie planuj wymigać się ze swojej części umowy.

Moje słowa wcale do niego nie dotarły. Po pięciu sekundach wpatrywania się w podłogę, schował twarz w dłoniach.

– Całe miasto mnie szuka, a nie minął nawet dzień. Jestem stracony.

– Brednie – warknęłam. Jezu, jaki on był melodramatyczny.

– Ale czuję, że już jest po mnie.

Współczucie nie było czymś, co przychodziło mi łatwo. A na pewno z trudem mogłam je wyrazić. Słowa plątały się na moim języku i nie miałam pojęcia, co zrobić z rękami, ani jaki przybrać wyraz twarzy. Usiadłam obok niego i oparłam łokieć na kolanie. Akurat w tym miejscu miałam rozdarcie na jeansach.

– Ale tak nie jest, więc nie gadaj głupot.

Dobra, może to nie było za bardzo współczujące. Odkaslnęłam i spróbowałam raz jeszcze:

– Nic ci nie zrobią. Obiecuję. – O proszę, to brzmiało niemal przekonująco.

Ale najwyraźniej byłam w błędzie, bo gdy Elwood wypełził z kokonu uzalania się nad sobą, zauważyłam, że jego oczy były zaczerwienione i pełne łez. W końcu tama puściła i się rozpłakał.

Ten widok rozdzierał moją klatkę piersiową. Sprawiał, że czułam się niepewna i pusta, wręcz wypatroszona. Moje palce bezwiednie uniosły się w przypływie pamięci mięśniowej. Przesunęłam dłonią po jego włosach, a kciukiem zatoczyłam powolne okręgi na jego głowie. Robiłam tak, gdy między nami było inaczej. Gdy



powstrzymywał łzy zbyt długo, a jego emocje wypływały wszystkie naraz. Gdy mieliśmy tylko siebie.

Drgnęłam, cofnęłam rękę i usiadłam na moich zdradzieckich palcach. Nie ufałam samej sobie.

Czubek jego nosa się zaczerwienił. Patrzyłam, jak wytarł dowody swoich emocji w rękaw.

– Ojciec powiedział mi, że chłopcy nie powinni płakać – powiedział Elwood, gdy byliśmy w szóstej klasie. Jego twarz była wtedy napuchnięta od płaczu. – Ale ciężko to powstrzymać. Jak ty to robisz?

– Staram się o niczym nie myśleć i nic nie czuć – odpowiedziałam.

I teraz robiłam dokładnie to samo. Wszystko, co czułam, wepchnęłam w głąb siebie. Skupiłam się na zadaniu, które miałam do wykonania – chciałam dotrzeć do prawdy.

Odchrząknęłam, czując się dziwnie zakłopotana.

– Już dziś musimy zacząć szukać odpowiedzi, a na pewno nie znajdziemy ich w motelu. Wtedy, gdy wpadliśmy na siebie w lesie, planowałam, że włamię się do twojego domu.

Wybałuszył oczy. Wyglądał komicznie, ale lepsze to niż płacz.

– Czekaaj, czekaaj, chciałaś włamać się do mojego domu?

Z jakiegoś powodu moje nocne eskapady nigdy nikogo nie cieszyły.

– Coś w tym stylu, tak. Ale nawet byś tego nie zauważył. Potrafię być dyskretna. Widziałeś kiedykolwiek, żebym robiła wam zdjęcia?

Na szczęście byłam zbyt zajęta grzebaniem pod łóżkiem, aby zobaczyć jego minę. Byłam pewna, że oczy Elwooda zrobiły się jeszcze większe.

– Wil, chcesz mi powiedzieć, że mnie śledziłaś? Chwileczkę, wydawało mi się, że widziałem coś w krzakach dwa tygodnie temu. Myślałem, że to szop.

– Ech, mogłeś wziąć mnie za szopa.

Przestrzeń pod moim łóżkiem była zagracona przez masę różnych rzeczy.

Ale to i tak było bez znaczenia. Dobrze wiedziałam, gdzie leżało moje pudełko z dowodami. Kiedyś trzymałam w nim trampki, ale później stało się schowkiem dla miliona zdjęć obciążających rodzinę Clarke'ów.

– Nie jesteś ciekawym obiektem do śledzenia, Elwood.

– Prze... praszam?

– Przyjmuję przeprosiny. Ale nie martw się, moje soboty nie poszły na marne.

Aż podskoczył, gdy rozsypałam obok niego zawartość pudełka. Na mojej kołdrze wylądowały setki niewyraźnych zdjęć jego rodziny i musiałam przyznać, że sumarycznie wyglądały jak kawał dobrej roboty.

– Jasna chole... – Urwał i przygryzł wargę.

– Chciałeś powiedzieć „cholera”? – prychnęłam. – Nigdy nie słyszałam, żebyś przeklinał. Zaczęłam nawet przypuszczać, że wszczepili ci do mózgu chip kontroli rodzicielskiej.

Spodziewałam się, że będzie narzekać i wyklócać się ze mną, ale gdy nic takiego się nie wydarzyło, byłam zmuszona zmienić nastawienie. Rozbawienie natychmiast zniknęło.

– Dobra, wiem, że to nie jest najbardziej etyczna rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłam. Boże, nie patrz tak na mnie, Clarke. Nigdy nie zaglądałam ci w okna ani nic z tych rzeczy. – Nasze twarze płonęły szkarłatem, więc zmieniłam wątek. – Wszystkie zdjęcia robiłam z zewnątrz. Widzisz, tutaj jest twój tata składający ofiary ze zwierząt w lesie, twoja mama nosząca biżuterię mojej mamy. Twój tata wszedł któregoś wieczora do kościoła i nie wyszedł stamtąd, ale następnego ranka był z powrotem w domu. Przysięgam na Boga, że nie zasnąłam, a mimo to...

– A to? – zapytał Elwood, a jego zręczne palce chwyciły jedno zdjęcie, które powinnam była spalić.

– Daj mi to.

Zarumieniłam się, gdy podniósł fotografię i uniósł ją tak, że była poza moim zasięgiem. Wiedziałam, że żadne uderzenie nie będzie w stanie zmyć z mojej twarzy tej czerwieni, ale byłam zdeterminowana, aby jednak spróbować się jej pozbyć. Byłam pewna, że jeśli płomienny rumieniec jeszcze bardziej zaogni się na mojej twarzy, to służba ochrony lasów przed pożarami będzie musiała wszcząć alarm najwyższego stopnia.

– Nie chciałam tego fotografować. Oddaj mi to.

Na zdjęciu widoczny był smagany letnim wiatrem Elwood. Uśmiechał się szczerze i promiennie, a to był taki rzadki widok.

Siedział przed domem, w ogrodzie swojej matki, i niczym prawdziwa księżniczka Disneya, spoglądał na motyle fruujące nad jego głową... I nawet jeśli podobał mi się odcień jego skóry skąpanej w popołudniowym słońcu, to była to wyłącznie moja sprawa. On nie miał nic do tego.

Potrafił być taki irytujący.

– Jak długo mnie obserwowałaś?

– Och, nie bądź hipokrytą – mruknęłam, ale moje własne słowa jeszcze bardziej mnie zawstydziły. Miałam zamiar wyciągnąć ciężkie działa. Było jeszcze jedno pudełko po butach, które trzymałam pod łóżkiem. To, które już dawno powinnam była wyrzucić, ale nie miałam serca, aby to zrobić. Wyciągnęłam je na światło dzienne i, na litość boską, efekt był natychmiastowy.

– Ty... Wszystko to zachowałaś? – wyjąkał.

Spojrzałam na świstki papieru, marginesy zeszytów i pomarszczoną serwetkę – na wszystkim tym była moja twarz. Elwood dawał mi te rysunki jak kot, który przynosi świeże ofiary swoim właścicielom.

– Jak widać. – Przełknęłam ślinę. – Można by przypuszczać, że w końcu znudziłbyś się szkicowaniem mnie raz za razem. Na ile różnych sposobów można narysować przetłuszczone włosy i ten grymas, który jest na stałe przyczepiony do mojej twarzy?

Otwierał i zamykał usta jak ryba wyciągnięta z wody. Czekałam, aż zaprzeczy którejkolwiek z tych rzeczy, ale on milczał. Czego ja się spodziewałam? Że wyśpiewa pochwały na moją cześć? Że będzie miał jakiś schlebiający, cudowny powód, aby w kółko mnie rysować? Przez lata byłam jedyną osobą w szkole, która się do niego odzywała. To oczywiste, że byłam jego jedyną muzą. Przecież co innego mogło to oznaczać?

Odepchnęłam od siebie pudełko i – jeśli miałabym być szczerą sama ze sobą, co zdarzało się raczej rzadko – trochę mnie to ubodło.

– Nieważne. Nie jesteśmy tu po to, aby gadać o starych rysunkach albo o tej głupiej fotografii, którą trzymasz w dłoni. Jesteśmy tu, aby porozmawiać o twoim szalonym ojcu.

Chwyciłam pierwsze lepsze zdjęcie. Nie obchodziło mnie nawet które, chciałam tylko rozproszyć swoją uwagę. Spojrzałam na fotografię i miałam szczęście: udało mi się gładko zmienić temat.

– Jest też kilka zdjęć, na których jest w bibliotece. Wydaje się, że jest to jedno z jego ulubionych miejsc, poza kościołem i domem. Nie sądziłam, że to jego klimat. Wątpię, aby czytał Stephena Kinga. Nie jest w stanie wypuścić *Biblii* z rąk czy co?

Elwood w cudowny sposób odzyskał zdolność mówienia.

– Biblioteki to coś więcej niż książki, Wil. Są tam też rejestry. Pewnie sprawdzał kronikę miasta albo coś w tym stylu.

„Kronika miasta”. Te dwa słowa odgarnęły kurz z trybików w mojej głowie.

– Co byłoby zapisane w takiej kronice?

Nagle Elwood stał się tą samą osobą, którą był w klasie – prymusem chętnie zgłaszającym się do odpowiedzi.

– Wszystko. Bez wyjątku. To najlepszy sposób na zachowanie lokalnej historii. Są tam wszystkie ważne daty, narodziny, zgony, co tylko wpadnie ci do głowy. Mój ojciec jest bardzo skrupulatny, jeśli chodzi o rejestry.

Koła zębate w moim umyśle zaczęły się obracać.

– W takim razie już postanowione.

Choć jego umysł przed chwilą pracował jak torpeda, teraz nagle zwolnił.

– Co takiego?

– Musimy zdobyć tę księgę.

– Tata na pewno się domyśli, że to ja ją wziąłem. – Elwood podrapał się po policzku i natychmiast spojrział w stronę okna. Zasłoniłam rolety, ale część lasu Morguewood zaglądała przez szczeliny. Ta niegdyś znajoma kraina podczas zamieci stała się obca i dzika.

– Poza tym co, jeśli mnie zobaczy?

– To idealny czas, aby tam pójść – zapewniłam go. – Sam tak powiedziałaś. Nie możesz ryzykować, że ktoś cię zobaczy. Nie ma lepszego miejsca niż pusta biblioteka w wigilijny wieczór.

Przygryzł policzek od środka i zastanowił się nad tym.

– Jak chcesz się tam dostać?

– Mam rower.

– Więc chcesz, żebyśmy jechali oblodzonymi ulicami po totalnie otwartej przestrzeni?

Niech go szlag. To, co mówił, miało sens. Rozmasowałam skronie, analizując pozostałe opcje. Pójście tam na piechotę odpadało. Samochód taty był zardzewiałą kupą złomu, która w dodatku była głośna. Równie dobrze zamiast klaksonu, moglibyśmy puszczać imię Elwooda z głośników. Natychmiast zwróciliby na nas uwagę. Ale jak inaczej mogliśmy się tam dostać?

„Naprawdę, Wil, gdybyś czegokolwiek potrzebowała – jestem dla ciebie. Siostry Anarchii na zawsze, pamiętasz?”

– Chyba mam pomysł.

Moje palce przesunęły się po numerze Ronnie. Po wystukaniu cyfr, liczyłam każdy sygnał.

– Odbierz, odbierz, odbierz.

– Hejo?

Zdecydowanie nie był to głos, który chciałam usłyszeć. Lucas ziewnął po drugiej stronie słuchawki, jego głos był zachrypły od snu. Usłyszałam szelest pościeli, gdy zapewne przesunął dłoń na oczy.

Jasna cholera, spotkała się z nim.

– Wybacz, myślałam, że zadzwoniłam do Ronnie. Gdybym chciała z tobą porozmawiać, stanęłabym przed lustrem i trzy razy odśpiewałabym piosenkę piłkarską. – Byłam absolutnie wkurzona. Elwood gapił się na mnie jak jelenię wpatrzony w światła samochodu. Machnęłam na niego ręką.

Lucas natychmiast zmienił ton.

– Ty to masz tupet. Wciąż nie mogę uwierzyć, że popchnęłaś mnie w restauracji Earla.

– Dobra, nieważne. Nie zadzwoniłam, żeby rozmawiać o twoim posiniaczonym ego  
– przerwałam mu.

– Świnia – mruknął. Na szczęście nie rozłączył się natychmiast. – Po co w takim razie dzwonisz? – Nie brzmiało to jak pytanie, bardziej jak oskarżenie.

Miałam wrażenie, że jestem przesłuchiwana, a lampa świeci mi prosto w oczy. Wyobraziłam sobie, jak jego twarz się marszczy, gdy ściąga brwi w skupieniu.

– Chciałam porozmawiać z Ronnie. To w końcu jej telefon.

Z tym nie mógł się kłócić. Usłyszałam, że przełączył na tryb głośnomówiący.

– Kto to? – wymamrotała Ronnie. Wyobraziłam sobie jej twarz wciśniętą w jedną z poduszek Lucasa. Jej makijaż był prawdopodobnie rozmazany, a włosy rozczochrane, tak jak zawsze rano, zanim je rozczesze.

– Wil – mruknął Lucas.

Moje imię było dla niej jak kawa. Cholera, zadziało nawet lepiej niż kokaina. Szybko ją ocuciło.

–Wil! Hej! Wybacz! Mogę wyjaśnić. Lucas i ja... Po tym, jak cię podwoziłam, wiesz... napisał do mnie i...

– Wiem, to nie jest pierwszy raz, gdy się umówiliście. Już to znam.

Ronnie była tym typem osoby, która musiała popełnić błąd tysiąc razy, zanim wyciągnęła z niego lekcję. Tak samo było z jej prehistoryczną prostytutką, która nieustannie przypalała jej włosy. Zajęło jej wieki, zanim pozbyła się tego śmiecia i straciła przy tym sporo nerwów.

– Cóż... – brzmiała wciąż tak, jakby czuła się winna jak diabli. Starła się nawet zmienić temat: – Jak się masz?

Elwood przysunął się bliżej mnie, aby móc przysłuchać się rozmowie. Odsunęłam się od niego, bo nie chciałam, aby jego ramię mnie dotykało.

Wątpiłam, aby lokalna policja była na tyle wyspecjalizowana, aby założyć podsłuch w moim telefonie, ale wolałam nie ryzykować.

– Miałam nadzieję, że mogłabyś mnie gdzieś podwieźć – powiedziałam, co szczerze powiedziawszy, nie było nawet kłamstwem.

– Podwieźć cię? – zapytała. – Dokąd?

– Do biblioteki.

– Jest Wigilia. Biblioteka jest przecież zamknięta – powiedział Lucas i natychmiast prawdopodobnie został szturchnięty w ramię. Jęknął i mruknął pod nosem: – Auaaa.

Przez chwilę zapomniałam, że rozmawiali na głośnomówiący.

– Nie bądź chamem – rzuciła Ronnie.

– Lucas, jeśli chcesz, żebym podbiła ci oko, wystarczyło tylko poprosić – warknęłam, żeby zorientował się, że nie żartowałam. – Nie obchodzi mnie, czy jest

zamknięta, czy otwarta. Potrzebuję podwózki.

– A czy to nie może poczekać? – spróbował znowu Lucas. Pewnie chciał wrócić do tej bezbożnej czynności, którą przerwałam im, gdy zadzwoniłam. I to jeszcze w Wigilię, ze wszystkich możliwych dni.

Na marginesie musiałam jednak przyznać, że Ronnie naprawdę potrafiła wymykać się z domu.

– Nie – odpowiedziałam, obtaczając to słowo w lukrze fałszywej słodyczy. – To nie może poczekać.

Ronnie przełknęła głośno ślinę.

Usłyszałam szelest pościeli, gdy zapewne usiadła na łóżku.

– Dobra, Wil, będziemy tam za pięć minut.

– Co to znaczy „my”...?

Lucas rozłączył się, zanim zdążyłam dokończyć pytanie.

# Rozdział jedenasty

## Elwood

Lucas i Wil zdecydowali, że samochód był idealnym miejscem na rozpoczęcie trzeciej wojny światowej.

– Nie rozumiesz znaczenia słowa „subtelny”? – warknęła Wil, otwierając drzwi i wskazując palcem na Kevina, któremu uśmiech natychmiast spłynął z twarzy. Siedział na tylnym siedzeniu jak przemytnik. – Zatrzymamy się po drodze, żeby zgarnąć też Briana Schmidta czy on może już siedzi w bagażniku? Równie dobrze możemy zorganizować paradę miejską, po co się ograniczać?

– Och, mogę wyjść – odkaszlnął Kevin, ale Lucas nie miał zamiaru odpuszczać.

– Zignoruj ją, Kevin – powiedział. – A ty, Greene, wsiadaj i siedź cicho. Powiedziałaś, że chcesz dostać się do biblioteki. – Lucas zastosował jej taktykę. – Dlatego też zabrałem z nami Kevina. Gościa, który pracuje w bibliotece i ma klucze. Co? Wolałabyś, żebyśmy się tam włamali?

Prychnęła. Kiedy stało się jasne, że nie miała zamiaru się zapiąć, nieśmiało objąłem ją ręką i przeciągnąłem przez nią pas. Rzuciła mi miażdżące spojrzenie, po czym zwróciła się do Lucasa:

– Nie byłoby z tym problemu.

– Wątpię. Niektórzy z nas planują jakąś przyszłość. A skoro o tym mowa... – Lucas spojrział na mnie w lusterku wstecznym. Jego spojrzenie nie mogłoby być bardziej oceniające niż w tej chwili, nawet gdybym znalazł się na liście najbardziej poszukiwanych przestępców FBI. – Stary, co z tobą, do cholery?

Niemal szczękałem zębami, widząc wyraz jego twarzy. Jego blond loki zostały przygniecione przez czerwoną, wełnianą czapkę, a reszta jego ciała była schowana pod grubą kurtką firmy Patagonia. Spod zamka błyskawicznego wystawał fragment czerwonego materiału i byłem pewien, że nawet to było termiczne.

– Cóż – zacząłem, ale nie dokończyłem.

Wyglodniały podmuch wiatru uderzył o szybę, starając się wbić pazury w to, czego nie mógł dostać.

– Potrzebuję dokładniejszych wyjaśnień niż tylko „cóż”. Twój tata i szeryf Vrees wpadli do mojego domu, wszędzie cię szukając. Na litość boską, widniejesz nawet na plakatach jako zaginiony. Dziwię się, że w akcji nie ma jeszcze helikopterów. – Spojrzał w niebo, jakby w każdej chwili mogły się na nim pojawić. – Co się stało po

tym, jak podrzuciliśmy cię do domu? I dlaczego jesteś z nią...? Nie mów mi tylko, że znowu do siebie wróciliście.

– Jezu – jęknęła Wil, a ja starałem się nie koncentrować na tym, jak bardzo jej głos ociekał obrzydzeniem. – Powtórzę to jeszcze raz tobie i całemu światu... My nigdy nie byliśmy razem. A poza tym ty to masz tupet, żeby mówić takie rzeczy.

– Zamierzaliśmy ci powiedzieć – wtrąciła Veronica. Podkład, który miała na twarzy, był odrobinę zbyt ciemny dla tonacji jej skóry, a poza tym był rozproszony tak, jakby nałożyła go w pośpiechu. Miała na sobie jedną z tych pikowanych kamizelek i długą koszulę w czarno-białe paski. Lucas mówił o Vee niemal codziennie. A kiedy z nią nie rozmawiał, bezczelnie wpatrywał się w nią na szkolnych korytarzach. – Przysięgam.

– Och, nie wątpię – mruknęła Wil pod nosem w tym samym momencie, gdy Kevin położył dłoń na moim ramieniu.

– Ale poważnie, Elwood. Wszystko w porządku? – zagaił. – Martwimy się o ciebie.

Wystarczająco trudno było mi przyznać to przed Wil. Powtórzenie tych słów przed resztą znajomych, okazało się niemal niemożliwe. Odchrząknąłem.

– Uciekłem z domu.

Lucas, siedzący na miejscu kierowcy, zamrugał z niedowierzaniem, ale frustracja szybko wymalowała się na jego twarzy.

– Gdy powiedziałem, żebyś postawił się swoim rodzicom, chodziło mi o to, żebyś złożył podanie na uniwersytet, a nie, żebyś uciekał z domu. Nic dziwnego, że twój tata był na mnie taki wkurzony. Praktycznie oskarżył mnie, że cię porwałem.

Przed moimi oczami natychmiast pojawiła się twarz ojca. Wyobraziłem sobie, jak wbijał oskarżycielski palec w pierś Lucasa. Był niższy, ale wciąż był w stanie znaleźć sposób, aby nad nim górować.

– Nie chodzi tylko o to – powiedziała Wil w moim imieniu.

Zacisnęła zęby, jakby sam fakt, że siedziała w tym samym samochodzie co Lucas, wyprowadzał ją z równowagi. Ta dwójka zawsze była jak woda i olej albo jak dwa identyczne krańce magnesu, które odpychały się przez swoje podobieństwa. Kevin zażartował kiedyś, że Lucas był jedyną osobą, która mogła wypełnić lukę powstałą po odejściu Wil, ale nie sądziłem, żeby nawet on był w stanie ją zastąpić.

Gdy ponownie się odezwała, opowiedziała całą historię. Wszystko to brzmiało znacznie gorzej, kiedy słuchałem tego z czyichś ust.

Lucas milczał przez długą, pełną konsternacji minutę i spoglądał to na Veronicę, to na Kevina, jakby błagał, aby któreś z nich odezwało się jako pierwsze. Ale gdy tak się nie stało, jego ostre spojrzenie zatrzymało się na mnie.

– I ty w to wszystko wierzysz?



Gdy zamknąłem oczy, wciąż biegłem przez las, gałęzie uderzały we mnie, a strach wzburzał treść żołądka. Las nigdy nie zniknął, widziałem go pod powiekami. Drzewa, które przecinały chmury, pnie, które były szersze niż domy, i korzenie, które wystawały z ziemi jak palce. Im bardziej zagłębiałem się w to miejsce, tym większa ciemność panowała wokół mnie. A w centrum lasu nawet światło księżyca nie mogło przeniknąć przez liście.

Wtedy wszystko wydawało mi się tak realne, ale w tej chwili w samochodzie zaczęło rodzić się we mnie zwątpienie.

– Co to ma znaczyć? – zapytała Wil.

– Nie mówię do ciebie, Wil. Wiem, w co ty wierzysz.

– Och, uważasz, że go do tego namówiłam?

Lucas zacisnął palce na kierownicy.

– Szczerze powiedziawszy, tak. Wyciągnęłaś go z imprezy, powiedziałaś do niego Bóg wie co, a on potem wrócił do nas i przez resztę nocy wyglądał zupełnie jak duch, a teraz nagle wszystko stanęło na głowie. – Jego oczy odnalazły moje spojrzenie w lusterku wstecznym. – Bez urazy, stary. Byłeś pijany, a Wil podsunęła ci do głowy ten szalony pomysł. To mój błąd. Powinienem przystopować cię, żebyś tyle nie pił, wtedy myślałbyś racjonalnie. Ale chyba nie chcecie mi wmówić, że będziemy teraz wierzyć Wil, tylko dlatego, że przez rok bawiła się w Sherlocka Holmesa. Mówimy o twoich rodzicach, człowieku. Są świętoszkowaci i apodyktyczni, ale żeby posunąć się do morderstwa? Albo do prowadzenia sekty? To nie jest serial. To prawdziwe życie.

– Ostatnio gdy sprawdzałam, niewielka grupa ludzi, która praktykuje tajemnicze rytuały, jest definiowana jako sekta – wtrąciła Wil. – Ronnie, Elwood, powiedzcie mi, dlaczego nigdy wcześniej nie mówiliście o tym, jak wyglądają nabożeństwa. Wydawało mi się, że religijni ludzie uwielbiają rozmawiać o swojej wierze.

Veronica spojrzała na mnie porozumiewawczo.

– Chodzi o to, że tata Elwooda zawsze powtarza, abyśmy zachowali to dla siebie – powiedziała. – W OA każdy wie tylko tyle, ile jest mu niezbędne. – Skróciła nazwę Ogrodu Adama, jakby był to slang. – I tylko dorośli mają dostęp do pewnych faktów. Zasadniczo do osiemnastego roku życia masz tam po prostu siedzieć i słuchać. A potem, gdy osiągasz pełnoletność, w magiczny sposób stajesz się głęboko wierzącym. Jak mama. Nigdy wcześniej tego nie kwestionowałam. Myślałam, że to po prostu przez to, że ludzie się starzeją i nagle marzy im się zaprzyjaźnić z Jezusem. Ale to naprawdę dziwne.

– Dziwne, ale bez morderczych tendencji, Vee. – Lucas zastukał palcami w kierownicę. – Domyślam się, że twoja mama też jest teraz nagle częścią sekty.

Ciekawe, jak radzi sobie z tym, żeby pogodzić sprzedaż wypieków i tańczenie nago przy świetle pełni księżyca.

– Nie chcę sobie tego wyobrażać. – Veronica miała odruch wymiotny. Spojrzała na mnie i pomimo narzekań chłopaka jej twarz miała zaskakująco szczery wyraz. – Czy wspominali o tym, że moja mama też jest w to zamieszana? Wiem, że jest bardzo oddana kościołowi, ale nigdy nie sądziłam, żeby mogła kogoś zamordować.

– Veronica, to są bzdury – jęknął Lucas. Podniósł jedną rękę, aby rozmasować grzbiet nosa, ale Veronica huknęła na niego, aby trzymał obie ręce na kierownicy.

Skręciliśmy w jedną z ulic i miasto nagle zaroilo się od plakatów głoszących moje zaginięcie.

Były wszędzie. Na słupach telefonicznych, na oknach sklepów i prawdopodobnie zostały też wsunięte pod każde drzwi. Z dnia na dzień stałem się nieoficjalną maskotką miasta.

– A wiec... po to jedziemy do biblioteki? Chcesz sprawdzić, czy pan Clarke czytał ostatnio jakieś książki o Charlesie Mansonie? – zapytał Lucas.

– Nie zrobił tego – zapewnił ochoczo Kevin. – Gdyby ktoś z was się nad tym zastanawiał.

– No proszę i zagadka została rozwiązana. – Lucas klasnął w dłonie i po raz kolejny Veronica krzyknęła na niego, aby trzymał ręce na kierownicy.

– Nie, ty dupku – warknęła Wil. – Szukamy tam czegoś innego. Jeśli cała ta sytuacja jest dla ciebie aż taka zabawna, to wypuść nas tutaj i zaczekaj na nas na parkingu. I tak nikt cię tutaj nie chciał.

– Nie, idę z wami – mruknął. – Nie ufam ci. Kto wie, może jednak splądrujesz bibliotekę... A poza tym jestem tu dla Elwooda. – Nasze spojrzenia spotkały się w lusterku, a ja wróciłem wspomnieniami do naszego pierwszego spotkania, gdy jego melancholijne oczy zatrzymały się na mnie po raz pierwszy.

– Więc obydwójce zostaliśmy rzućeni w tym samym czasie? – zapytał wtedy, opierając się o ścianę z pustaków. Próbował się uśmiechnąć, ale jego usta zadrżały. Dmuchnął na mokry kosmyk włosów. Cała jego głowa była lepka po tym, jak Veronica rzuciła w niego kartonem mleka. – Co za dzień.

Chciałem otworzyć usta i wyrzucić z siebie jakąkolwiek odpowiedź, coś o tym, że Wil i ja nie byliśmy parą, ale moje złamane serce zacisnęło się i nie byłem w stanie wypowiedzieć ani słowa. Wszystkie wyjaśnienia utknęły mi w gardle.

Lucas uznał moje łzy za wystarczającą odpowiedź.

– I pomyśleć, że to dopiero pora obiadowa, co? – Zaburczało mu w brzuchu, a dźwięk sprawił, że ponownie uderzył głową o szafki. – Lekcja na dziś: Nigdy nie umawiaj się z dziewczyną, która zrywa z tobą tak, jakby toczyła walkę na jedzenie.

Miał szczęście. Mój żołądek skurczył się tak bardzo, że nie przypuszczałem, abym był w stanie kiedykolwiek coś zjeść. Wygrzebałem z plecaka papierową torbę i podałem mu ją.

Lucas uśmiechnął się nieznacznie i spojrzał na mnie. Wtedy naprawdę pierwszy raz na mnie spojrzał.

– Masz na imię Elwood, tak?

Spojrzałem na świat za oknem. Powiew wiatru zerwał niektóre z plakatów i uniósł je wysoko. Niektóre z nich wyzierały z kratek ściekowych, inne zostały nabite na gałęzie, a jeszcze inne przylgnęły do dachów.

W mojej głowie natychmiast pojawiła się mama Wil. W początkowych dniach po jej zaginięciu mój ojciec wydrukował tak dużo plakatów z jej wizerunkiem, że nie można było zrobić kroku przez miasto i nie zetknąć się z jej twarzą. Ulice były pełne jej czarno-białych zdjęć, na których miała tę samą zmartwioną minę. Jednak grymas ten wyglądał zupełnie inaczej niż u Wil – jej twarz była ponura i odległa.

– Ta kobieta nigdy nie była szczęśliwa, prawda? – zapytała moja mama, gdy złożyliśmy przy stole pierwszą partię ogłoszeń. – Jej myśli były zawsze gdzieś indziej. Prawdopodobnie marzyła o kolejnej wielkiej ucieczce.

Te słowa odbijały się echem w mojej głowie, gdy zszywałem kolejne stosy ulotek. Myślałem, że wiatr zdążył już porwać wszystkie moje dotychczasowe prace, ale myliłem się. To Wil je zerwała. Za każdym razem, gdy zauważyła twarz swojej matki, ściągała plakat i związała go w dłoniach, formując kulkę.

– Mama nienawidziła tego zdjęcia.

Wtedy wydawało mi się, że to był taki głupi powód, ale teraz przypominałem sobie jej słowa, gdy zobaczyłem swoją twarz na ulotkach. Każde zdjęcie wyglądało tak samo. Moje włosy były zaczesane do tyłu na żel, a uśmiech przypominał bardziej zaciśnięte zęby. Czerwone litery rozciągały się na mojej twarzy, głosząc jedno, przerażające słowo, które przysłaniało moje rysy: *ZAGINAŁ*.

Nienawidziłem tego zdjęcia.

Biblioteka Publiczna w Pine Point była malutka. Okrążał ją parking, na którym nie stał ani jeden samochód. Szyba frontowych drzwi była od góry do dołu pokryta rysunkami drzew i tęczy – czymś, co można było znaleźć w przedszkolnej sali. Każdy malunek wychodził poza linie. W pomiędzy to wszystko wciśnięty był kolejny plakat głoszący moje zaginięcie. Ktoś przykleił go dużym kawałkiem szarej taśmy do drzwi.

Zadrzałem, choć nie mogłem stwierdzić, czy to przez falę gorąca, czy może przez brak zimna. Za drzwiami czekał na mnie mroźny świat. Zamieć wyła wokół nas. Przestrzeń sali zakotwiczyła się w sobie samej. Półki ciągnęły się od ściany do ściany i nawet książki wyglądały na stare i zmęczone.

– No cóż, jesteśmy na miejscu. – Lucas włożył ręce do kieszeni. – I co teraz?

– Teraz znajdziemy książkę, po którą tu przyjechaliśmy – powiedziała Wil. Jej włosy były jeszcze bardziej potargane przez wiatr. – Prowadź, Elwood.

Spojrzała na mnie, jakbym był jakimś ogarem. Zmarszczyła brwi w zniecierpliwieniu, jakby czekała, aż opuszczę nos do podłogi i znajdę ślad, za którym moglibyśmy podążać.

Dokąd zawsze chodził tata? Tak trudno było mi wychwycić to specyficzne wspomnienie. Kryło się ono za innymi obrazami z tego miejsca, tymi, które natrętnie pragnęły zająć centralne miejsce w moim umyśle. We wspomnieniach ojciec wyrывał mi z rąk książkę fantasy i odkładał ją z powrotem na półkę. Potem obserwował, jak inny dzieciak oglądał ją kilka minut później. Kolejne echa pamięci: spoglądałem na rząd prehistorycznych komputerów ustawionych pod ścianą i zastanawiałem się, jakby to było, gdybym mógł się zalogować do jednego z nich i nie czuć na sobie spojrzenia ojca.

Pamiętałem ten dzień, w którym prawie, prawie złożyłem podanie na studia – wypełniłem formularz na komputerze, który stał na ostatnim biurku z lewej strony. Ponad tymi obrazami pojawiło się w końcu wspomnienie, którego szukałem.

– Tutaj – wyszeptałem. Nie stałem już na krawędzi przeszłości, ale zanurzyłem się w nią całym ciałem. Wspomnienie prowadziło mnie przez stosy książek i za biblioteczną ladę, obok wózków, kart katalogowych i tandetnych plakatów, które oblepiały ściany. Dywan, po którym stąpaliśmy, miał kolor trawy. – To tutaj zawsze przychodzi tata.

Niestety na drzwiach pogrubioną czcionką widniał napis *SCHOWEK*. Poczułem, jak gorący rumieniec wstępuje na moje policzki.

– Czy to nie tutaj woźny trzyma rzeczy do sprzątnięcia? Twój tata dorabia sobie na boku czy co? – zapytał Lucas. – Cóż, Kev, jakie magiczne książki są trzymane w schowku?

Kevin zmarszczył nos.

– Nie mam klucza do tego pomieszczenia. – Zabrzęczał pękiem, który trzymał w ręce. Były to cztery oddzielne pary połączone jednym, zardzewiałym brelokiem. Kevin przebierał nimi w dłoniach, mrużąc przy tym pod nosem: – Drzwi frontowe, tylne, sala konferencyjna...

– Wykopię je z zawiasów – powiedziała ochoczo Wil.

– O widzisz, właśnie po to tu jestem – jęknął Lucas. – Gdybym został w samochodzie, wykopałabyś dziurę w tych drzwiach albo zrobiła coś jeszcze innego.

– No i? – mruknęła.

– Jeśli chcesz, możesz przekreślić swoją własną przyszłość, ale nie mieszaj w to Elwooda.

– Lucas, proszę cię, przestań być takim chamem – warknęła Veronica. – Wil jest moją przyjaciółką.

– A Elwood jest moim przyjacielem. Jest mądry i...

– Czekaście! – Kevin przestał szeptać pod nosem i krzyknął, zwracając naszą uwagę. Ta taktyka zdecydowanie poskutkowała. Wszyscy natychmiast zamilkli, a on machał przed naszymi twarzami czwartym kluczem, jakby to miało nam wszystko wyjaśnić. – Drzwi frontowe, tylne, sala konferencyjna, i to! – Zastukał paznokciami w klucze. – Ludzie, to klucze pani Beasley. Ja... Nie mam pojęcia, dlaczego je mam, ale to zdecydowanie to. Na moim breloku są tylko trzy klucze. Za to ten powinien otwierać drzwi do schowka.

– To twoja decyzja, Elwood – powiedział Lucas, spoglądając na mnie. Gdyby zastanawiał się, jaką ścieżkę kariery wybrać, stwierdziłbym, że wyraz jego twarzy wręcz idealnie pasował do „zatrokanego dyrektora”. – Nie wiem, czy to można rozumieć jako włamanie, czy nie.

Wil wywróciła oczami.

– Jak można określić to jako włamanie, skoro mamy klucz?

Teraz już wiedziałem, jak to jest, gdy do jednego ucha szepta diabeł, a do drugiego anioł.

Z trudem przełknąłem ślinę. Nadszedł moment, w którym musiałem podjąć decyzję. Drżącym skinieniem głowy zaakceptowałem kolejny krok, a wtedy Kevin włożył skradziony klucz do zamka.

Być może Lucas miał rację. Czułem, że to, co robimy, było... nielegalne. Przystąpiłem z nogi na nogę. Świat wokół nas wydawał się wystarczająco opustoszały, ale wiedziałem, że prawda była inna. Gdzieś tutaj, poza zasięgiem naszego wzroku, musiała być ukryta kamera, jakieś oczy musiały być w nas wpatrzone, jakiś czujnik, który ryknie, gdy tylko postawimy stopę w kantorku.

Wiedziałem, że Bóg na nas patrzył.

Pociągnąłem nosem i wbiłem paznokieć w kciuk. Zeskrobałem warstwę naskórka i jeszcze raz nerwowo poruszyłem się, stojąc w miejscu. Czy to przestępstwo zasługiwałoby na więzienie? A może na grzywnę? A może uderzenie w nadgarstek? Biblioteki są budynkami publicznymi, tak? Więc włamanie się do jednej z nich było gorszym przestępstwem niż włamanie się gdziekolwiek indziej? Ale czy to naprawdę było włamanie, skoro mieliśmy klucz?

Co zrobi moja rodzina? Najpierw uciekłem z domu, a teraz włamałem się do biblioteki. A potem usłyszałem wewnątrz siebie ten sam, mroczny głos: czy *to ma*

*jakieś znaczenie?*

Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem jak wrota do mauzoleum lub do grobowca, który liczył sobie setki lat. I prawdopodobnie nad każdym z tych miejsc ciążyła klątwa.

– Patrzcie... To miejsce wcale nie wygląda jak składzik.

# Rozdział dwunasty

## Elwood

– Może trzymają rzeczy do sprzątanania w piwnicy? – powiedział Lucas i kliknął przełącznik. Stłumione, szare światło zalało przestrzeń, ale mimo to cienie wciąż lgnęły do najdalszych kątów. Za drzwiami znaleźliśmy drewniane stopnie, które skrzypiały i przesuwwały się pod naszymi stopami. Schody były kruche i przegniłe, a na każdej desce rozciągała się warstwa szlamu wyglądająca jak błony. Opustoszałe pajęczyny rozciągały się w szczelinach pomiędzy kamieniami.

– No pewnie – prychnęła Wil. – Ja też trzymam płyn do mycia okien w sekretnym miejscu zamkniętym na klucz.

Lucas mruknął coś pod nosem w odpowiedzi, ale byłem zbyt przerażony, aby go usłyszeć.

Z perspektywy mojego dzieciństwa zawsze wydawało mi się, że... to normalne, że coś tak ważnego zostało zamknięte i ukryte. Ale teraz czułem się tak, jakbym wstępował do paszczy bestii w poszukiwaniu jej serca. Miałem wrażenie, że postępuję absolutnie idiotycznie, wchodząc w coś złowieszczonego i śmiertelnie niebezpiecznego.

– Stary, będziesz chyba musiał porozmawiać ze swoją szefową, żeby zainwestowała w lepsze systemy bezpieczeństwa – powiedział Lucas do Kevina.

– Jestem pewien, że dobrze by to przyjęła. Hej, pani Beasley, przez przypadek ukradłem pani klucze i włamałem się do biblioteki... Następnym razem powinna być pani bardziej ostrożna. Na moją obronę muszę przyznać, że namówił mnie do tego Lucas Vandenhede – odpowiedział Kevin. – Łatwo będzie na ciebie zwalić, bo ona i tak cię nie lubi.

– A co ja zrobiłem tej kobiecie?

– Wiesz jej piętnaście dolarów za przetrzymywanie książek. Jestem niemal pewien, że przetrzymujesz jedną z nich, odkąd skończyłeś dziesięć lat.

Przestałem ich słuchać. Wciąż rozmawiali za moimi plecami, ale świat ucichł w obliczu tej księgi. Była w oddali, trzymana pod szkłem, prawdopodobnie po to, aby choć trochę chronić jej strony przed wilgotnym i chłodnym powietrzem. Wabiła mnie do siebie, jak ogień wabił ćmę.

Wil uśmiechała się od ucha do ucha, schodząc do przerażającego, podziemnego pomieszczenia.

– Przepraszam, co mówiłeś wcześniej, Lucas? Już zapomniałam.

Przełknął ślinę.

– Dobra, to nie jest schowek dla sprzątaczek, ale to jeszcze nic nie oznacza. Jakiej książki my w ogóle szukamy?

Ostrożnie przesunąłem palcami po tytule, a on odczytał go, spoglądając mi przez ramię: *Pine Point – Przeszłość i Teraźniejszość*. Nasza historia plamiła jej strony, a ja zawsze marzyłem o dniu, w którym sam mógłbym chwycić za pióro. A jednak stałem teraz tutaj – przedwcześnie otworzyłem stronę tytułową i przesunąłem palcami po wytartym grzbiecie, zanim jeszcze mogłem po nią sięgnąć.

Przeniosłem księgę na drugi stół, znajdujący się również w tym pokoju. Poczerniały od czasu i plam atramentu wyglądał na niemal tak stary jak sama kronika. Moje spojrzenie natychmiast zatrzymało się na wiecznym piórze. Tata miał niemal identyczne w swoim gabinecie. Zdobilo je matowe złoto, z wygrawerowanymi pnączami i tymi samymi łacińskimi słowami, które recytowano w kościele. Mój ojciec był ostatnią osobą siedzącą w tym pomieszczeniu, a w tej chwili ja stałem tu i całym sobą sprzeciwiałem się jego woli.

Starąłem się o tym nie myśleć.

– Wygląda, jakby miała się rozpaść, gdy tylko na nią dmuchniesz – powiedziała Veronica. – Ma pewnie ze sto lat. Albo jeszcze więcej.

Odwróciłem stronę tytułową. Kolejne kartki były pożółkłe, a wypełniające je pismo było cienkie, pochylone, zwężłe i trudne do odczytania. Kevin spojrzał mi przez ramię i odczytał pod nosem każdą linijkę.

– Pani Beasley zachowywała się, jakby ta książka nie istniała. Nie mogę uwierzyć, że leżała w piwnicy przez cały ten czas. Nie mogę też uwierzyć, że to miejsce w ogóle ma piwnicę. – Przełknął głośno ślinę. – Przeszkadzałoby ci, gdyyybyyyym...? – Przeciągnął sylaby, a reszta pytania pozostała niewypowiedziana.

Skinąłem głową, ale nie mogłem pozbyć się poczucia winy, gdy podniósł książkę. Wydawała się być czymś zbyt intymnym, aby mógł jej dotykać ktoś z poza rodziny Clarke'ów.

Kevin ostrożnie przesunął palcem po stronie.

– Miałaś rację, Vee. Oczywiście nie jestem ekspertem, ale ta książka jest zdecydowanie wiekowa. Można to nawet stwierdzić po papierze. – Przesunął wzrokiem po zdobionych krawędziach i dodał: – Brakuje stron. Trudno stwierdzić, czy zostały wyrwane, czy książka jest aż tak delikatna, że wiązanie samo się poluzowało. Jednak niezależnie od wszystkiego, powinniśmy obchodzić się z nią ostrożnie.

– Dobra, czyli to książka historyczna? – zapytał Lucas. – Bardzo stara książka historyczna. O to ci chodziło, tak?



Kevin skinął głową. Ale choć jego odpowiedź była wystarczająco satysfakcjonująca dla Lucasa, Wil chciała dalej drążyć temat.

– Co dokładnie miałeś na myśli, gdy powiedziałeś, że pani Beasley zachowywała się tak, jakby tej książki nie było?

Kevin ostrożnie oddał mi kronikę i schował dłonie do kieszeni.

– Twoja mama nigdy ci nic nie powiedziała?

– O czym?

– Miałem swoje podejrzenia, gdy wspomnieliście o bibliotece, ale aż do teraz nie byłem tego pewien. Twoja mama często tu bywała. Doprowadzała panią Beasley do szaleństwa. Ciągłe dopytywała się o akta miasta i tym podobne dokumenty. Pani Beasley dała jej plik starych gazet, ale twoja mama szukała czegoś więcej. Ciągłe upierała się, że powinno tutaj być coś jeszcze. Powiedzmy, że Beasley za nią nie przepadała. Ale ta księga była tutaj przez cały ten czas.

Spojrzałem z powrotem na kronikę, a Veronica zapaliła latarkę w telefonie, aby pomóc mi odczytać to, co było tam napisane.

Pierwsze słowa stanowiły mroczną prognozę dla Górnego Półwyspu. Rząd uznał naszą część stanu Michigan za „dzicz, która już zawsze pozostanie nieokiełznana”. Zupełnie pominęli rdzennych mieszkańców, dla których te tereny od wieków były domem. Władze uznały jednak, że ta ziemia nie nadaje się do zamieszkania, że klimat jest zbyt surowy i nie uda się założyć tutaj osady.

Ale potem odkryto tu złoża miedzi. Była to opowieść o chciwości i desperacji, które sprowadziły ludzi pragnących ograbić tę ziemię ze wszystkiego, co miała. Powiodłem palcami po ilustracji, czarno-białym zdjęciu dawnego Pine Point. Wyglądało na jeszcze bardziej wyludnione niż teraz. Pomiędzy drzewami widoczne były nieliczne domy o szachulcowej konstrukcji.

Zima zabrała ze sobą niemal wszystko. Racje żywnościowe spadły do krytycznie niskiego poziomu, a mieszkańcy ginęli w wyniku chorób i głodu. Sezon był niezwykle chłodny, bez wątplenia temperatury spadły mocno poniżej zera. Zima była również zachłanna. Wyciągnęła swoje palce aż do maja, a śnieg zaczął topnieć dopiero po kolejnej okrutnej zamieci.

– Mieszkańcy, którym przewodził religijny przywódca James Alderwood, zrobili wszystko, co było konieczne, aby zapewnić sobie przetrwanie.

– Niezwykłe! Co za całkowicie normalny i wcale nieprzerażający sposób na zakończenie opowieści – mruknęła Wil pod nosem. – Poza tym to ciekawe, że wyrwano stąd strony.

Miała rację. Tuż za tym niepokojąco brzmiącym zdaniem widoczne były strzępki po wyrwanych kartkach.

– Alderwood? – powiedziała Veronica, przyciągając moją uwagę. Mówiąc to, obracała kolczykiem w języku. Pamiętałem, jak codziennie przychodziła do klasy ze złotym krzyżykiem zawieszonym na szyi. – Brzmi podobnie jak twoje imię, co nie?

Odchrząknąłem.

– To moje pełne imię. Alderwood. Ale wszyscy skracają je do Elwood. – Przygryzłem policzek. Byłem już wystarczająco gnębiony przez to, że nosiłem takie stare imię. Mogłem sobie tylko wyobrazić, jakie piekło sprawiliby mi koledzy z klasy, gdyby wiedzieli, że nadano mi je po założycielu naszego miasta. – Mój wujek nazywał się tak samo.

To wyznanie również wydawało mi się krępujące.

– I co się z nim stało? – zapytał Kevin. Wnioskując po tonie jego głosu, domyśliłem się, że było to coś więcej niż tylko niewinna ciekawość.

Odpowiedziałem mu z delikatnością:

– Nie ma go już z nami. Umarł młodo. – Ziemia szumiała i szeptała pod moimi stopami, świat czekał, aż odkryję prawdę, którą on już znał. Zakłuło mnie w żołądku, gdy przewróciłem strony. W aktach urodzenia imię mojego wujka wytłoczono obok imienia mojego ojca, ale tylko jeden z braci wciąż oddychał. – Tuż przed moimi urodzinami.

„Zbliża się termin porodu Prudence”.

– To nic nie oznacza – powiedział Lucas, ale w jego głosie słychać było nutę, której wcześniej tam nie było. Trudno było być głosem rozsądku, gdy wątpliwości przenikały wszystko wokół nas. – Mógł umrzeć z jakiegokolwiek powodu. Był chory?

– Szczerze powiedziawszy, nie mam pojęcia.

Przewracałem strony kroniki, aż dotarłem do aktów zgonu. Tak wiele żyć zostało zredukowanych do jednej linijki tekstu. Widziałem nazwiska krewnych i dawnych bywalców nabożeństw, sąsiadów i ludzi, których nigdy nie miałem okazji spotkać.

Tyle osób... ale żadna z nich nie była moim wujkiem.

– Nie ma go tutaj. Nie ma miejsca pochówku ani aktu zgonu, ani nic podobnego.

Lucas pokręcił głową.

– Gdzieś musi być coś o nim napisane. – Wyciągnął komórkę. – Sprawdzę to w Google. Możesz przeliterować to imię?

Odchrząknąłem.

– A-L-D-E-R-W-O-O-D.

Szeptał pod nosem litery, gdy jego palce poruszały się po klawiaturze. Potem przewinął kciukiem na dół strony.

– Jest jakiś rok albo cokolwiek innego, co mógłbym dodać do wyszukiwania?

Podałem mu datę i słuchałem, jak wstukał cztery cyfry. Jego paznokcie uderzały o ekran.

Po chwili Lucas wydał z siebie jęknięcie.

– Tutaj też nic nie ma. Sprawdziłem stronę cmentarza. Mają zdjęcia nagrobków, akta zgonów i wszystkie inne dane. Ale nie mogę na niego trafić. Nie ma nawet nekrologu.

Zaprzeczyłem ruchem głowy.

– Był starszym bratem mojego ojca. Powinna być o nim jakakolwiek wzmianka. Jestem pewien, że powinniśmy znaleźć choćby dokumentację medyczną albo informację ze szpitala. Cokolwiek.

Moje zmysły wyostrzyły się, gdy Wil spojrzała mi przez ramię.

– Może tutaj też wyrwano strony?

– Wątpię – powiedział Kevin. – Wygląda na to, że dwie części zostały rozdarte i żadna z nich nie należy do aktów zgonu. Zobaczcie, pokażę wam.

Ponowie przewracał strony kroniki, prowadząc nas do innych brakujących fragmentów. Nie zauważyłem ich wcześniej. Kevin faktycznie miał rację. Na początku książki widocznych było kilka rozdarć – były to strony następujące po tych, które wyrwano.

Te fragmenty różniły się od sztywnych opowieści historycznych i kalkulacyjnych notatek.

Miały charakter *Starego Testamentu* – jednego, niekończącego się ciągu.

– I co jest tam napisane? – dopytała Wil.

Kevin odchrząknął i tak mocno zacisnął palce na książce, aż jego kostki zbieleły.

– Kiedy twój Bóg zażąda krwi – zaczął łamiącym się głosem, a jego pewność siebie nikła, im dalej czytał – będziesz ofiarowywał mu swoich synów. Ich krew nawodni twoje uprawy, a kości użyżnią ziemię. Bo choć życie nieodłącznie związane jest ze śmiercią, to ofiara jest źródłem wieczności.

Zesztywniałem aż do kości. Byłem bezradną gąsienicą wobec pasożytniczej modlitwy mojego ojca. Jego słowa składały jaja pod moją skórą i pożerały mnie od środka. Odczytał na głos mój wyrok śmierci, a ja uśmiechałem się do wszystkich.

Uśmiechałem się.

Twarz Lucasa poszarzała.

– Co to, do cholery, oznacza?

– Oznacza to, że Wil miała rację. Jestem tylko nawozem. Wiedzieli o tym od dnia moich narodzin. Moja matka nazaczyła mnie w chwili, gdy wyszedłem z jej łona. Chcą złożyć mnie w ofierze. – Odsunąłem się od kroniki i od okrutnej prawdy, którą w sobie kryła. – A po mnie przyjdzie pora na dziecko Prudence.

Ilu ludzi straciło w ten sposób życie? Jak chcieli to zrobić? Obudziliby mnie wcześniej rano i zaciągnęliby do lasu, kopiąc mnie i krzycząc? A może zlitowaliby się nade mną, dodaliby trucizny do mojego jedzenia i pozwoliliby mi odejść we śnie?

Nie. To miasto nie znało czegoś takiego jak litość.

– Hej, stary, nie możemy być tego pewni – powiedział Lucas. Ale nie było go wtedy ze mną w kościele. Ręka mojego ojca nie ciążyła na jego ramieniu, a szeryf Vrees nie groził, że zamknie go w celi. – Jaki miałby powód, żeby cię zabijać? Żeby zabijać kogokolwiek?

Kevin odkasznął.

– Nie mogliśmy przeczytać, co naprawdę musieli zrobić mieszkańcy, aby przetrwać. Wszystko to prawdopodobnie wynika z jakiejś chorej rzeczy, którą popełnili w przeszłości.

Upadłem na kolana i schowałem twarz w drżących dłoniach. Czarne myśli zalały moją głowę, ale teraz nie było od nich ucieczki.

Obrazy zapętały się w mojej wyobraźni. Widziałem różne sposoby, w jakie ojciec mógł mnie odnaleźć. Widziałem, jak moja matka trzyma mnie nieruchomo, gdy ojciec sięga po nóż.

Czym była kolejna blizna w porównaniu z byciem związanym i dźgniętym między żebra? Ziemia pulsowała w rytmie mojego serca. Była tak głośna, że mogłem ją słyszeć. Wszyscy mówili naraz i poderwali się ze swoich miejsc, a ziemia drżała nieustannie. Ale ja nic już nie słyszałem.

*Dum. Dum. Dum.* Dźwięk przenikał mnie jak echo drugiego serca, jak istota, która żyła i oddychała tuż pod moją skórą.

– Elwood! – krzyknęła Wil, a dźwięk mojego imienia wystarczył, abym jeszcze głębiej zanurzył się w sobie. – Weź się w garść. Nie pozwolę ci umrzeć. Nikt z nas nie pozwoli ci umrzeć.

Lucas gorączkowo pokręcił głową.

– Elwood... To nie jest... Nic tutaj nie ma sensu. – Zaczął chodzić w tę i z powrotem.

– Wil od zawsze nienawidziła twojej rodziny, a Kevin... wiesz, stary, kocham cię naprawdę, ale nie znam nikogo innego, kto tak uwielbiałby teorie spiskowe. Twój tata kiedyś w dziwny sposób skosił trawnik, a ty myślałeś, że to sprawka kosmitów. Wiem, że wszyscy jesteście chętni, aby w to uwierzyć, ale zapominamy, jak bardzo ta teoria jest naciągnięta. *Biblia* jest pełna takich dziwacznych powiedzonek. – Chwycił księgę i wskazał na jedną z fotografii.

Był to czarno-biały wycinek z gazety przedstawiający tartak Pine Point. Przed budynkiem stał rząd posłusznych pracowników.

– Znasz to powiedzenie: krew, pot i łzy i tak dalej. Ten fragment może oznaczać milion różnych rzeczy, a my wszyscy zaczynamy tracić zmysły w tej piwnicy. – Oblizał usta. – Wybacz. Takie rzeczy nie dzieją się w Pine Point. To faktycznie dziwnie, ale...

– Typowe – powiedziała Veronica. – Zawsze udajesz, że nie widzisz tego, co cię przeraża.

– Tak uważasz? – Zaciśnął zęby. – Niech będzie. Dobra, to jest dziwne. Wszystko to jest dziwne, ale nie chcę obciążać całego kościoła z powodu przesądów i pogłosek. Veronica, przecież twoja własna matka tam chodzi! Zapomniałaś o tym? – To ostatnie zdanie sprawiło, że spojrzała na niego i zmrużyła oczy. – Elwood, jeśli naprawdę się obawiasz, to powinniśmy postąpić rozsądnie i zgłosić to na policję.

Wil prychnęła.

– Och, do dobrego, starego Vreesa. Wybacz, zapomniałeś, że on jest w to umoczony? Jesteśmy z tym wszystkim sami.

Lucas był gotowy, aby jej odwarknąć, ale Kevin odchrząknął i powiedział:

– Elwood, przychodzi ci do głowy, gdzie mogą znajdować się wyrwane strony?

Z trudem mogłem zbudować spójne zdanie, a tym bardziej wyciągnąć ze swojego umysłu jakieś istotne fakty. Był w nim taki sam bałagan jak w moim pokoju – potłuczone szkło i połamane myśli. Czułem fizyczny ból, zagłębiając się we wspomnienia.

To nowe odkrycie sprawiło, że przeszłość stała się jeszcze bardziej wyostrzona i dwukrotnie bardziej postrzępiona. Każde wspomnienie, w którym rodzice nie tulili mnie do snu, gdy byłem dzieckiem; bajki, których nigdy mi nie przeczytali; ponure bożonarodzeniowe poranki, pochwały, których tak bardzo pragnąłem od ojca. Pragnąłem choć raz usłyszeć coś prawdziwego. Choć raz być wartym miłości.

Myślałem, że w końcu na to zasłużyłem, ale byłem w błędzie. Stałem obok ojca, gdy otworzył tabernakulum i włożył rękę do środka – precyzyjnie ją obok złożonej, żółtej kartki i sięgnął po kielich...

– Wiem, gdzie to jest. – Z trudem precyzyjnie słowa przez zaciśnięte gardło. – Mój ojciec trzyma je tam, gdzie jest sakrament. Widziałem wyrwane kartki w tabernakulum.

Veronica machnęła telefonem i światło latarki padło na stół.

– Możemy tam pójść w nocy.

Lucas rozmasował grzbiet swojego nosa.

– No pewnie, bo co innego można robić w Wigilię, jak nie włamywać się do kościoła – zadrwił.

Kevin spojrzał na niego jako pierwszy. Jego oczy lśniły.

– Wiesz, w sumie nie zaszkodzi sprawdzić. Nigdy nie będziemy mieć stuprocentowej pewności, dopóki tego nie zbadamy.

– To nie była sugestia. – Lucas aż otworzył szerzej usta. – Nie patrzcie tak na siebie. Nie będziemy włamywać się do kościoła.

# Rozdział trzynasty

## Wil

– Czy to odpowiedni rodzaj łożu do tej roboty?

Kevin szedł z brodą opartą na zakrzywionej rączce, jakby był jakimś stepującym tancerzem. Cóż... byłby nim, gdybym mogła wyobrazić sobie występ na Broadwayu, który byłby tak straszny, jak to, co robiliśmy. Nasza piątka zebrała się tutaj po zmroku. Byliśmy w pełni przygotowani, aby włamać się do kościoła potencjalnie morderczej sekty. Jedyne musical, jaki przychodził mi do głowy, to *Grease*, ale byłam niemal pewna, że ani Sandy, ani Danny nie śpiewali o składaniu rytualnych ofiar.

Musiałam jednak przyznać, że minęło trochę czasu, odkąd go oglądałam.

– Wymyślili jakąś nową wersję łożu? – zapytałam. Z każdym wypowiedzianym słowem wsuwałam ręce głębiej do kieszeni. Ciężko było nie czuć przejmującego zimna, gdy Lucas kazał nam przejść aż taki kawał drogi. Jego samochód został „bezpiecznie” zaparkowany i ukryty w lesie Morguewood. – Nie wiedziałam, że łoża mają swoje wersje, tak jak iPhony. Oczywiście, że będzie dobry do tej roboty.

– Ale jest masa różnych rodzajów, Wil – powiedział Lucas.

Nie tylko kazał nam chodzić po zimnie, ale teraz jeszcze zgrywał wszechwiedzącego.

– Nie wiedziałam, że przebywam w obecności Boga Łomów. Proszę, podziel się swoją nieskończoną mądrością z nami, gdyż jesteśmy ignorantami i głupcami.

Zadrzałam. Otaczające nas drzewa zrobiły to samo. Ich szkieletowe pnie i jałowe gałęzie wyglądały jak ręce, które wyrastały z martwej ziemi.

– Słuchaj, ja nawet nie chcę tu być – warknął.

– Więc wyświadczyć nam wszystkim przysługę i idź stąd. – Przemawiała przeze mnie frustracja. Wypowiedziałam te słowa, zanim mózg miał szansę za nimi nadążyć.

– Jestem tu dla Elwooda, nie dla ciebie. – Wydał usta i spojrzał na przyjaciela, jakby był jego posłusznym, małym golden retrieverem.

Wystarczył jeden nędzny rok, abym przestała być najważniejszą osobą dla Elwooda. Zadawolił się tym durniem.

Wszystko w nim się zmieniło. Dziecięcy tłuszcz niemal zniknął, jego rysy stały się nazbyt ostre. Skóra pod jego zielonymi oczami była sina od nieprzespanych nocy. Nie tylko ja stałam się cieniem samej siebie. Chciałam spojrzeć mu w oczy, ale on

zdecydował, że znacznie lepiej wykorzysta swój czas, wlepiając uparcie wzrok w ziemię i nerwowo skubiąc skórę.

– Elwood cię nie potrzebuje. – To dziecinne słowa. Ale było już za późno, aby je zatrzymać. Zdążyły wydostać się z moich ust.

Elwood zamarł na dźwięk swojego imienia i poczułam, jak jego spojrzenie pali moją skórę. Nie mogłam na niego spojrzeć. Nie mogłam spojrzeć mu w oczy, gdy moje policzki tak się czerwieniły.

– Wil...

Głos Lucasa był jednak wystarczająco głośny, aby zagłuszyć go, zanim zdążył dokończyć zdanie.

– Och, a czy on potrzebuje ciebie? Całkiem dobrze radził sobie przez ten rok.

Bałam się, że powie dokładnie te słowa. Teraz mogłam tylko zagryźć zęby i mieć nadzieję, że wyczerpanie nie nasączy mojego serca łatwopalnym płynem.

– Czy tak wygląda bitwa o opiekę nad dzieckiem? – Ronnie wcisnęła w poły kurtki dłonie opatulone w rękawiczki. Zawsze najgorzej znosiła mroźną pogodę, co było szczególnie widać po jej czerwonym nosie i sposobie, w jaki przebierała stopami. – Wil, będziesz spędzała z Elwoodem co drugi weekend, a Lucas...

– Ej, jesteśmy na miejscu! – syknął Kevin. – Zamknijcie się, zanim nas złapią.

To ostrzeżenie zakończyło ten dziwny spór i pozwoliło nam myśleć racjonalnie. Wszyscy znajdowaliśmy się na zewnątrz podczas zamieci i na dodatek byliśmy na terytorium wroga. Dobrze by nam zrobiło, gdybyśmy spięli się w sobie, tak jak powiedział Kevin. Reszta świata również była pogrążona w ciszy. Dało się słyszeć jedynie podmuchy lodowatego wiatru, które odbijały się od ścian kościoła. Omiatały drewniane belki, a w ich cieniach biała farba wyglądała na szarą.

Nagle, gdy przechodziliśmy ścieżką prowadzącą z cmentarza do tylnych drzwi kościoła, staliśmy się świadomi każdego kroku, chrzęstu lodu i zmarzniętej ziemi pod naszymi stopami. Robiłam co w mojej mocy, aby nie wpaść w panikę – chociaż wolałabym raczej umrzeć, niż przyznać się do tego przed kimkolwiek z grupy. Trudno było jednak nie dostać gęsiej skórki, gdy otaczały nas groby, a księżyc świecił nad naszymi głowami. Ukradkiem rzuciłam przez ramię złężnione spojrzenie.

Tuż za naszymi głowami w żelaznej tablicy wyryto napis: *CMENTARZ PINE POINT*. Cieniste, czerniejące litery wisiały wysoko i sygnalizowały zmianę. Ziemia, po której stąpaliśmy, nie należała już do żywych, a do umarłych. Podmuchy śniegu przemykały pomiędzy nagrobkami, zakopując je aż po sam szczyt. Linia drzew z każdym rokiem zbliżała się do bramy. Być może las śmierci rościł sobie prawo również do naszych zmarłych.



– W teorii to było znacznie mniej przerażające – wyszeptała Veronica, gdy przemykaliśmy się do tylnych drzwi. Cały jej styl bycia i przy tym ubierania się obracał się wokół strachu. Przestraszyłaby własną mamę, gdyby ta złapała ją na wymykaniu się z domu, i przestraszyłaby starszych ludzi, mijając ich na ulicy. Ale pod całą tą oprawą była tak naprawdę mięczakiem. Gdy uświadomiłam sobie, że Veronica była jak malutka chihuahua ubrana w kamizelkę z ćwiekami, ogarnął mnie nagły, niewytłumaczalny lęk, że prowadzę ją w stronę jastrzębiego gniazda.

W końcu dotarliśmy do najstarszych drzwi na świecie. Pomyślałam, że jeśli nam się poszczęści, to faktycznie uda nam się dostać do środka.

– Kto z nas robił to już wcześniej? Podnieście ręce. – Kevin skierował to pytanie do wszystkich, ale jego oczy były wpatrzone wyłącznie we mnie. Byłam jedyną osobą, która byłaby na tyle lekkomyślna, aby mieć w tym jakiejkolwiek doświadczenie. Z tym wyjątkiem, że niestety go nie miałam.

I dokładnie to mu powiedziałam.

– Może są otwarte – powiedział Lucas, ale nawet w jego głosie nie słyhać było nadziei. Położył dłoń na klamce, wymamrotał pod nosem coś, co mogło być równie dobrze modlitwą, jak i przekleństwem, a potem pociągnął za drzwi.

Ale one ani drgnęły.

Po chwili upartej rezygnacji, porzucił ją na rzecz łomu.

– Dobra, daj mi to. Wy pewnie naprawdę wyważylibyście drzwi albo coś w tym stylu. Tutaj trzeba sięgnąć po konkretne środki.

Zrobił wdech, jakby lekarz badał go stetoskopem, i przygotował się do popełnienia swojego pierwszego przestępstwa. Potem zaczął odliczanie, oddychając przy tym nerwowo.

Raz, dwa, trzy...

Gdy powiedział „Teraz!”, uderzył łomem w drzwi, wydając najgłośniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszałam.

Trzask metalu wbijającego się we framugę drzwi całkowicie nas zmroził. Sowa wleciała z wysokiej gałęzi, a cały świat rozbrzmiał dźwiękiem, który odbijał się od ścian jaskini jak echo krzyku.

– Na pewno było to słyhać po drugiej stronie Michigan – mruknął pod nosem Kevin. Nie było sensu szeptać po tym huku, ale nikt z nas nie chciał tego przyznać, ponieważ zaakceptowanie tego faktu oznaczało wzięcie pod uwagę, że ktoś nas usłyszał i zaraz tu będzie. – Musimy szybko wejść do środka i jak najszybciej się stąd wynosić.

– Zaraz chyba zwymiotuję – powiedział Elwood, niczego przy tym nie wnosząc do dyskusji.

Próbując zrobić coś rzeczywiście pożytecznego, zajrzałam do ciemnej szczeliny, którą Lucas zrobił w drzwiach. Wewnątrz był stary kaloryfer i masywny stół, na którym stał pojedynczy krzyż. Nic więcej. Ciężko było mi jednak stwierdzić, czego się spodziewałam – trupa zawiniętego w dywan czy czegoś innego?

Zadowolona, że po drugiej stronie nie było niczego przerażającego, wsunęłam rękę przez szparę i otworzyłam drzwi. Gdy usłyszałam kliknięcie zamka, cofnęłam nadgarstek, a Lucas pozwolił, aby zatrask opadł na bok.

Zrobiłam krok do przodu, ale ku mojemu zaskoczeniu Elwood mnie wyprzedził. Nie sądziłam, że będzie miał w sobie tyle odwagi, aby zrobić pierwszy krok. Przez całe życie czekał na moje decyzje: na to aż każdego półrocza wybiorę nam miejsce na lunch, na to aż pierwsza wybiorę zadania do projektów grupowych i nawet się nie poruszył, gdy w drugiej klasie pocałowaliśmy się pierwszy i ostatni raz...

Jezu Chryste. Moje policzki rozgrzały się do czerwoności.

*To nie jest odpowiednia pora na odgrzebywanie tego wspomnienia.*

Podążając za Elwoodem, cieszyłam się, że wokół nas było ciemno. Klepnęłam swoje policzki, aby pozbyć się rumieńca, i skupiłam się na zadaniu. Nie miałam zamiaru zagłębiać się w przeszłość. Wkraczaliśmy na teren świętej wojny.

Już samo przebywanie w tym miejscu było surrealistyczne. Gdy przejeżdżałam przez miasto, kątem oka zawsze widziałam niezmiennie złowrogi kościół – tak znajomy, jak zamarznięte słońce nad moją głową. Nie sądziłam, że kiedykolwiek postawię stopę na słońcu i nigdy też nie sądziłam, że kiedykolwiek wejść do kościoła.

– Więc jaki jest plan? – zapytał w końcu Lucas. Rozglądał się po wszystkich opustoszałych kątach pomieszczenia, jakby spodziewał się, że nagle pojawi się tam jakieś mroczne bóstwo. Każda zmiana ciężaru na tych drewnianych deskach zdawała się rozbudzać nowe dźwięki, a nasze nerwowe oddechy były jak bojowe okrzyki w ciemności.

– Plan jest taki, żebyśmy nie dali się złapać – odpowiedziałam i czułam ulgę, że w ogóle udało mi się wydobyć z siebie te słowa.

Całe moje ciało było napięte, a język drętwiał od szczękania zębów. Skinęłam głową w stronę Elwooda, udając, że pięć sekund temu nie wyobrażałam sobie jego ust na moich.

– Prowadź.

Skinął głową i skrzyżował ramiona na klatce piersiowej, jakby były nieprzeniknioną tarczą. Zamknął się niczym w pudełku, ale tym razem dokładnie wiedziałam, co jest w środku. Ściągnął brwi w jedną linię. Był napięty jak naprężona lina. Wiedziałam, że wystarczy jedno niewłaściwe pociągnięcie i jego popisowa determinacja pęknie.

Elwood przyłożył ucho do drzwi dzielących to pomieszczenie od kolejnego. Zadowolony z tego, że po drugiej stronie panowała cisza, chwycił za klamkę i nieznacznie uchylił drzwi, żeby zajrzeć do środka. Zaczepiliśmy oddech dopiero po tym, gdy Elwood skończył skanować spojrzeniem kościół. Otworzył szerzej drzwi i zrobił pierwszy, eksperymentalny krok.

O tej porze kościelne ławki były puste. Wciąż widoczne były na nich ślady lat użytkowania – odbarwienia po kilkuset niedzielach, które wierni spędzili właśnie w tych siedziskach. Byłam pewna, że gdyby ktoś rozsunał klęczniki, zobaczylibyśmy wgłębienia po zgarbionych ciałach, które kłaniały się Bogu – temu, który ani razu nie raczył mnie wysłuchać.

Zacisnęłam ręce po bokach. Złożyłam je do modlitwy tylko raz – po tym, jak moja matka zaginęła – ale bez względu na to, ile razy wypowiadałam „amen” nic nie sprowadziło jej do domu. To właśnie wtedy moje splecione dłonie zamieniły się w pięści. Bóg i prawo mogli przekreślić moją matkę, ale ja nie miałam zamiaru się na to godzić.

I nigdy tego nie zrobię.

– To powinno być tutaj – wyszeptał Elwood. Jego głos był ogłuszający w tej nieprzeniknionej ciszy.

Gdy przechodziliśmy obok ambony, nie byłam w stanie powstrzymać fali nudności, która wzburzyła się w moim żołądku. Ciągnęło mnie na wymioty na myśl o ojcu Elwooda, który stał w tym miejscu i traktował to otoczone chwałą podium jak królewski tron, jak symbol jego boskich przywilejów.

– Tabernakulum jest tutaj, za ołtarzem – powiedział Elwood, choć równie dobrze mógłby mówić po łacinie. Jeszcze nigdy wcześniej nie czułam się taką bezbożną poganką jak teraz. Zauważył moje zmieszanie i pośpieszył z wyjaśnieniami, oferując mi streszczenie chrześcijaństwa. – Do Eucharystii... do komunii, Wil. Ciało i krew.

– Ach, tak, to – odpowiedziałam. Wydało mi się to dość przerażające, ale postanowiłam tego nie dodawać.

– To stosunkowo prosty zamek – powiedział, wskazując na małe pudełko, które stało na podwyższeniu pod krzyżem. Było nakrapiane jasnymi plamami złotej farby. Po tym, jak przyjrzałam mu się bliżej, zauważyłam kwiatowe ozdoby wyryte w drewnie. Ktoś poświęcił naprawdę sporo czasu, aby stworzyć tutaj las bluszczu i ostrych gałęzi.

– Milion razy widziałem, jak mój tata to otwierał. Ale jest w tym pewien szkopuł.

Uniósł dłoń i obrócił nią o dziewięćdziesiąt stopni w jedną stronę, a następnie wykonał ten sam gest w stronę przeciwną do ruchu wskazówek zegara. Po kolejnym drgnięciu jego nadgarstka wymagany klucz został odblokowany.

– O tak.

– Zrozumiałam. – Gdy wyciągnęłam dwie wsuwki z włosów, tłusta grzywka natychmiast spłynęła po moim czole. Rozprostowałam pierwszy drucik i wsunęłam go w szczelinę, potem podważyłam to drugą wsuwką. Potrząsałam prowizorycznym kluczem w zamku i nasłuchiwałam trzasków każdego z drucików.

Nastąpiło kliknięcie za kliknięciem, aż nagle drzwiczki otworzyły się na oścież.

– To trochę przerażające, jak jesteś w tym dobra – powiedział Lucas.

– I mówi to chłopak, który z łatwością otworzył drzwi łomem.

To go uciszyło.

Elwood sięgnął ręką do otworu. W mroku, za lśniącym kielichem, leżała wyrwana strona. Wyciągnął ją i zamknął drzwiczki, skupiając całą uwagę na skradzionym fragmencie kroniki. Kartka była kilkukrotnie złożona i nosiła na sobie zagniecenia od upływu czasu, jaki spędziła w ukryciu.

Elwood obchodził się z nią delikatnie. Muskał papier palcami, jakby był to kolejny sakrament, święty artefakt zesłany z niebios.

Wygładził kartkę na ambonie, dociskając ją tak, jakby miał odczytać ją zgromadzonym. Stłoczyliśmy się za nim, aby móc lepiej się temu przyjrzeć.

– *Gdy mieszkańcy miasta umierali z głodu, ich przywódca, James Alderwood, oznajmił, że rozmawiał z aniołem – głosiło pierwsze zdanie. Pismo było tak cienkie i delikatne jak to z biblioteki. Wyteżyłam wzrok, aby móc przeczytać to pomimo mroku. – Święty posłaniec Boga wskazał mu drogę do zbawienia. Podobnie jak za dawnych czasów, i teraz konieczne okazały się ofiary, aby odżywić ziemię i wykarmić mieszkańców miasta. I tak mieszkańcy rozlali na śniegu krew jedyne go syna Alderwooda, a Bóg był zadowolony z tej ofiary. Dzięki ich darowi, w drzewa zostało tchnięte życie i narodził się nowy Eden. Błogosławieni ci, którzy podążają ścieżką Pana i ofiarowują swoich synów ziemi. Nakarmcie ziemię krwią, a ona będzie ożywiać waszą krainę przez nadchodzące lata, Eden zaś zostanie utrzymany w świętości. Jeśli oszczędzicie swoich synów, spadnie na was gniew Boga.*

– Od samego początku zabijali tutaj ludzi. Nie można temu zaprzeczyć. – Mój głos załamał się w połowie zdania.

Elwood milczał, niemal się nie poruszał.

Gdy moje serce zrozumiało tę treść tak samo jak umysł, zaczęło bić jak oszalałe. Brutalnie uderzało w moją klatkę piersiową, jakby chciało wywarzyć kruche drzwi. Ciarki przeszły mi po plecach.

Wszyscy milczeliśmy. Nikt nie wiedział, co powiedzieć i okazało się, że wcale nie musieliśmy się tym przejmować, bo świat, który kilka chwil wcześniej był tak boleśnie cichy, przestał istnieć. Grobowa cisza została przerwana przez odgłos kroków.

Ktoś nadchodził. I nie był sam.

Wszystkie kolory spłynęły z twarzy Elwooda. Kartka, którą trzymał, nie była już rozprostowana, a zmięta w uścisku jego drżącej pięści. Wypowiedział dwa ciche słowa, które wystarczyły, aby zmrozić krew w moich żyłach:

– Nocne nabożeństwo.

# Rozdział czternasty

## Elwood

Włamanie się do kościoła musiało być grzechem. I to w dodatku niebezpiecznym.

Po tym wszystkim, co odkryliśmy, jedyną rozsądną decyzją byłoby uciec daleko, daleko stąd. Wszyscy powinniśmy wskoczyć do samochodu Lucasa i odjechać – z tego miasta i z tego stanu.

Ale zamiast tego pochłonęło nas szpiegowanie. Siedzieliśmy w tylnym pomieszczeniu. Wil była zajęta majstrowaniem przy ustawieniach swojego telefonu i posłusznie ignorowała nasze szeptane prośby, abyśmy się pośpieszyli i stąd uciekli. Gdy miała absolutną pewność, że lampa błyskowa została wyłączona, drżącymi dłońmi chwyciła komórkę i zaczęła nagrywać. Kevin wymamrotał coś o horrorach ujętych w formie nagrań wykonanych przez postacie, ale Wil jego uwagę również zignorowała.

Przełknąłem gulę, która uformowała się w moim gardle. Nigdy nie uczestniczyłem w nocnym nabożeństwie. Zawsze sądziłem, że gdy w przyszłości wrócę do domu, uznają mnie za wystarczająco dojrzałego, abym mógł wziąć w nim udział... Ale najwyraźniej to miało się nigdy nie wydarzyć. Choć ten pomysł był przerażający, moja mroczna ciekawość wzięła nade mną górę. Ostatnio bardzo często pokazywała swoje oblicze. A ja miałem zamiar poddać się jej jeszcze raz. W tym momencie była dla mnie niczym bratnia dusza. Impulsywna, lekkomyślna przyjaciółka, która ciągnęła mnie od jednej złej decyzji do kolejnej.

Była niczym Wil.

Patrzyliśmy więc na tę scenę z pokoju przypominającego jaskinię, w której dudniło echo, mogące zdradzić nas w każdej chwili. Wiedziałem, że wystarczy jeden zły ruch, jeden niewłaściwy dźwięk i będzie po nas.

Mój ojciec stał wśród potworów.

Widziałem ludzi z czaszkami jeleni na głowach. Poroża wystawały z ich głów jak gałęzie. Musieli rozłamać szczęki tych zwierząt, aby je rozszerzyć. Potem zapewne odcięli żuchwy, pozostawiając przy tym górne zęby w przerażającym, sztucznym uśmiechu. Poza upiornymi maskami ich ciała były zasłonięte długimi, zielonymi sutannami. Wyszywany bluszcz spływał po ich bokach, a tkanina wydawała się być prawdziwym listowiem.

– Wszyscy wiecie, dlaczego was tutaj dziś wezwałem. – Głos mojego ojca był jak chrzęst karalucha, który umyka do ścieku. Przez lata żyłem jak Czerwony Kapturek, mieszkałem z wilkiem i podziwiałem jego ostre kły, jakby nie były one dla mnie śmiertelnym zagrożeniem. – Elwood musi zostać odnaleziony. Bez względu na wszystko.

– Nie zdziwiłbym się, gdybyś to ty go ukrył. – Warknął Vrees, podchodząc do mównicy, przy której stał mój ojciec. Rozpoznałem go po siwym zarostie i barwie głosu. Nie miał na sobie policyjnego munduru, ale sztywna postawa jego ciała była czymś, z czym nie rozstawał się ani na chwilę. – Chcesz nam wmówić, że po latach trzymania go pod kontrolą teraz nagle udało mu się uciec? Ześlesz na nas przekleństwo, Ezekielu. Z tego co mi wiadomo, rodzina Clarke'ów to przegniła gałąź. Twój ojciec...

– Nie wypowiadaj jego imienia, jeśli chcesz zachować język – syknął z wściekłością mój tata. A ja wierzyłem jego słowom. Wiedziałem, że gdyby w tamtej chwili nadarzyła się okazja, wyciągnąłby zza pasa nóż sprężynowy i natychmiast odciąłby Vreesowi język.

– Nikt się tutaj ciebie nie boi. Już nie. – Vrees przesunął się, aby stanąć obok swojej żony. Obejmowała spuchnięty brzuch, a na jej twarzy rysowało się wyraźne napięcie. – Trzymasz się tej władzy, jakby należała do ciebie. Prudence może urodzić w każdym momencie. Nie możemy ciągle odwlekać nieuniknionego. Ona urodzi nowe ziarno, a ty będziesz musiał ustąpić z tego stanowiska, bez względu na to, czy tego chcesz, czy nie.

– Wciąż jestem Prawą Ręką.

– Jesteś naszym potępieniem. – Szeryf odwrócił się do tłumu. Białka jego oczu lśniły spod maski jak dwa księżycy w pełni. – Wszyscy pamiętacie, co się stało ostatnim razem z bratem Ezekiela. Jak blisko byliśmy od katastrofy poprzez opóźnioną ceremonię. Ostatni Alderwood zaczął się przemieniać. Nie można było przewidzieć, co się wydarzy. Nie można było go kontrolować. Gdybyśmy go wówczas nie złapali, kto wie, czym by się stał?

– Eden był okrutny – zapłakała zamaskowana kobieta. Ją również poznałem. Pod jej monstrialną, sztuczną skórą, kryła się osoba, która uśmiechała się do mnie w szkolnym gabinecie. Pomogła mi z moim planem zajęć cztery lata temu. – Połowa ścian mojego domu została pokryta pnączami. Ciernie przebijały się nawet przez deski podłogowe.

– Las był głodny.

– Trzeba go nakarmić.

– Gdzie on jest?

Mój ojciec unikał ataków wiernych, którzy napadali na niego ze wszystkich stron. Pięści trzymał przy swoich bokach, ale byłem w stanie ocenić po jego sztywnej, wyprostowanej postawie, że zżerała go frustracja.

– Nie wiem, gdzie on jest!

Spojrzałem ponownie na członków kościoła. Ich kroki wywoływały powiew wiatru podobny do tego, który przemykał pomiędzy drzewami.

Gałęzie szeleściły. Las od zawsze obserwował i nasłuchiwał, ale nigdy nie wyjawiał sekretów mojego ojca.

– Twój brat został złapany, zanim było za późno. Jeśli szybko nie wydasz nam Elwooda, wyrosnie w nim las i wszyscy zginiemy. Widzieliśmy to już wcześniej. Ten chłopiec jest niebezpieczny.

*Niebezpieczny?*

Spojrzałem na swoje ręce z jednej i drugiej strony. Podziwiałem miękkość moich dłoni. Nie miałem zakrzywionych szponów, nic monstrualnego nie poruszało się pod moją skórą. To były te same ręce, które ściągały robaki z parapetów i kładły je z powrotem na ziemię. Nie spodziewałem się, że ktoś kiedyś opisze mnie słowem „niebezpieczny”. Tchórzliwy, słaby, mizerny – raczej tych określeń byłem skłonny oczekiwać.

Mój ojciec ponownie zaważczył o kontrolę nad zebranymi.

– Uwierzcie mi, wiem o tym. Dlatego tu jesteśmy. Trzeba go odnaleźć. Mark, gdzie są twoi ludzie?

– Stoją przy każdej wylotówce. – Wszystkie oczy były skierowane na Vreesa, który stał z rękami opartymi na biodrach. – Bez naszej wiedzy nikt tu nie wjedzie ani się stąd nie wydostanie. Elwood nie opuścił Pine Point. Jestem tego pewien.

Stojąca obok mnie Veronica stłumiła westchnienie, ale jej oczy nie były wpatrzone w mojego ojca. W tłumie zebranych stała jej matka. Rozpoznałem ją po blond lokach, które wypływały spod jej maski. Pamiętałem, jak uśmiechała się promiennie na porannym nabożeństwie i pozowała podczas szkolnej sprzedaży wypieków, ale nigdy nie wiedziałem jej w tym wydaniu.

– Prawdopodobnie jest z tą żmiją. Tą samą, która zaraziła moją córkę. Ta dziewczucha jest plagą tego miasta. Doprowadzi do tego, że będziemy gnić od środka. Jest taka sama jak jej matka.

Sądziła, że Wil była jakimś wynaturzeniem, jakimś demonem, a nie dziewczyną, na której policzkach robiły się dołeczki, gdy się uśmiechała.

– Może wyświadczy nam przysługę i pozbędzie się jej dla nas – kontynuowała mama Veroniki.



Wymieniłem z Wil zaniepokojone spojrzenia. Na masce, którą nosiła z taką ostrożnością, zarysowało się pierwsze pęknięcie. Pomiedzy jej brwiami pojawiła się zmarszczka, a usta wykrzywiły się w grymasie.

– To byłoby nam doprawdy na rękę – mruknął mój ojciec.

Przez całe życie uważałem ojca za Boga. Był absolutnym przykładem mądrości i świętości, dobitnym przypomnieniem o tym, że Boża miłość ma swoje granice i tylko nieliczni z nas będą mogli się ogrzewać w jej ciepłe. Za to na wszystkie przegniłe części naszego społeczeństwa spadnie Jego nieograniczony gniew.

Ale teraz nie widziałem w nim Boga.

Właściwie, to nigdzie Go już nie dostrzegałem.

– Hej – wyszeptał Lucas, jego głos był drżący z przerażenia. Nie było już miejsca na śmiech ani na wymuszone żarty. – Musimy się stąd wydostać. – Gdy nikt nie pośpieszył natychmiast z żadnym pomysłem, Lucas ostrożnie położył dłoń na moim ramieniu. – Elwood, nie możemy tu zostać. Musimy stąd uciekać.

Nie był w błędzie, ale nie mogłem się poruszyć.

Potem usłyszałem głos Wil:

– Chcę zaczekać i sprawdzić, czy wspomną o mojej matce.

Chyba nie byłem gotów na kolejne przerażające odkrycia. Czułem się jak zając, który znalazł się w polu widzenia drapieżnika – zupełnie znieruchomiałem.

– Jutro zasadzimy coś na posesji rodziny Greene’ów – zdecydował Vrees. Zaczął przechadzać się po pomieszczeniu, a im bardziej zbliżał się w naszą stronę, tym szybciej biło moje serce. – Wejdziemy tam. Możesz być tego pewien.

Kilka osób z tłumu prychnęło. Potem ponownie odezwała się mama Veroniki:

– A co z dziewczyną? Jest tak samo waleczna jak jej matka. Myślisz, że tak łatwo pozwoli ci go pojmać?

Moje dłonie spocily się ze stresu. Prawda zaczęła mnie dobijać. Nie miałem jeszcze pełnego obrazu zdarzeń, ale to, czego do tej pory się dowiedzieliśmy, mroziło krew w żyłach. Wiedziałem, że jeśli moja rodzina mnie dopadnie, czeka mnie śmierć. Wszyscy przede mną, którzy nosili imię Alderwood, zostali zamordowani i prawdopodobnie ten sam los spotka wszystkich, którzy będą to imię nosić po mnie. Nigdy nie byłem synem. Zawsze byłem tylko ziarnem. A teraz mój ojciec chciał zebrać plon.

Sądziłem, że jeśli będę idealnym dzieckiem, to ojciec będzie się bardziej o mnie troszczył. Ale teraz wiedziałem, że to były tylko mrzonki. Zawsze niszczył to, co było dla niego cenne. Kochał drzewa, a jednak ani razu nie zawahał się, aby wbić w nie topór.

Nawet jeśli mnie nie kochał, to istniała szansa, że będzie wielbił moje kości po tym, jak je spali.

– Dziewczyna nie będzie problemem – wtrącił mój ojciec. – Zawsze eliminowaliśmy zagrożenia.

Te trzy słowa odbijały się echem w mojej głowie. Brzmiały zupełnie nierealnie. To nie było możliwe. Ta scena odgrywała się przed moimi oczami jak przerażający, rzeczywisty sen, na który musiałem patrzeć do samego końca.

A potem mój ojciec wysyczał kolejne okropne wyznanie:

– Pozbyliśmy się tej cholernej Greene, więc możemy pozbyć się również jej córki. Kłopotliwa, uparta dziewczyna... Kto w tym mieście przejąłby się, gdyby nagle zniknęła? Jaka matka, taka córka.

Wil wzięła drżący wdech, gdy przerażająca prawda w końcu wyszła na jaw. Zabili jej mamę. Moja rodzina ją zabiła. Mój ojciec pozbył się jej ciała, a potem uśmiechał się, rozwieszając w całym mieście plakaty o jej zaginięciu. Okłamał mnie.

– Jaka matka mogła porzucić własną córkę? – pytał wtedy, wciąż mając na rękach świeżą krew. Nie było to przecież trudne, skoro została zakopana głęboko pod ziemią.

Przez cały ten czas zbywałem Wil, ale ona miała rację. Wil zbliżyła się do mnie za bardzo i została za to ukarana, a teraz nie mogła nawet pogrzebać własnej matki i...

To wszystko moja wina.

Jasna cholera. To moja wina.

Jej wyraz twarzy był jak dłuto, które wbijało się w moją twarz. Jeszcze nigdy nie doświadczyłem prawdziwego horroru. Tyle dni spędziłem, kuląc się przed moimi rodzicami, nie wiedząc, czego tak naprawdę się bałem.

Ale w kolejnych sekundach posmakowałem prawdziwego strachu.

Moje myśli wciąż wirowały wokół morderstwa, gdy cisza roztrzaskała się na drobne kawałki. Zadzwoił telefon Wil, a dźwięk dzwonka był niczym krzyk nocnej strzygi.

# Rozdział piętnasty

## Wil

O cholera.

*Cholera.*

Na ekranie telefonu wyświetliła się twarz mojego ojca. Ledwo rozpoznałam jego uśmiech. Widywałam go teraz tylko na starych fotografiach i na zdjęciu kontaktu w komórce – te wspomnienia były jak relikty dawnej epoki. A w tej chwili jego głupawy uśmiech miał wydać na mnie wyrok śmierci. Sądziłam, że o tej porze będzie pijany. Co się stało, że zadzwonił?

– Wyłącz to! – wyszeptała cała czwórka za moimi plecami. I Bóg mi świadkiem, że naprawdę się starałam, ale nie było to tak proste, jak mogło się wydawać. Odpowiedziałam im więc, żeby łaskawie dali mi spokój. Podrzucałam telefonem, jakbym grała sama ze sobą w dwa ognie i starałam się go wyłączyć. Dzwonek był jednak piekielnie głośny, a w kościele zapadła grobowa cisza. Boże, wiedziałam, że jesteśmy w tarapatach.

Zanim udało mi się go wyciszyć, tata zdążył się rozłączyć. Oczy wszystkich zebranych były wpatrzone w mrok i jeśli nie miałam halucynacji, dłoń Vreesa sięgnęła po coś, co trzymał za pasem.

Lucas miał rację. Powinniśmy byli uciec stąd, póki mieliśmy okazję.

– Ktoś tu jest – wyszeptał Ezekiel, a emocje którymi nasączony był jego głos, były tak samo przerażające jak jego zmrużone oczy i zaciśnięte zęby.

Był to opustoszały rodzaj zła. Ten diabeł nie był zrodzony z wściekłości, był czystą nicością. Ile to już czasu trwał bez własnej duszy? Stało się to przed czy po tym, jak zamordował moją matkę?

*O Boże. Na samą myśl ścisnęło mi żołądek.*

*Ona nie żyje, zawtórował z okrucieństwem mój umysł. Nie żyje i nie dam rady sprowadzić jej do domu.*

Najgorsze w tym wszystkim było to, że wcale mnie to nie zdziwiło. Powinnam być otepiona i wstrząśnięta tym odkryciem, a jednak...

W jakiś sposób... W jakiś sposób to przeczuwałam. Była to myśl, której nigdy nie chciałam brać pod uwagę. Mroczny głos, który zepchnęłam w głąb umysłu. Przez cały ten czas słyszałam jednak jego szept, który starał się powiedzieć mi prawdę. A teraz wszystko to stanęło przede mną w pełni i błagało, abym się z tym zmierzyła.

*Zabili ją, a teraz zabiją również ciebie.*

Dopiero gdy usłyszałam jęknięcie Elwooda, uświadomiłam sobie, że boleśnie ścisnęłam jego dłoń. Rozluźniłam swoje palce, ale tylko nieznacznie. Odwróciłam się i spojrzałam na najgorszą drużynę Scooby-Doo, jaką można było sobie wyobrazić. Miałam nadzieję, że patrzyli na mnie uważnie, gdy wypowiedziałam to jedno słowo:

– Uciekajcie.

Lucasowi nie trzeba było powtarzać tego dwa razy. Otworzył tylne drzwi na oścież i szarpnął Ronnie za rękę, desperacko pragnąc utrzymać ją przy sobie. Poleciała za nim jak bezwładna kukła. Kevin biegł tuż za nimi. W tyle zostaliśmy tylko my dwoje – Elwood i ja. Elwood wyglądał jak otępiony jeleni wpatrzony w światła samochodu.

Jedną ręką złapałam go za ramię, a drugą chwyciłam łom – bo niech mnie diabli, ale w tej sytuacji potrzebowałam porządnej broni. Potem dziękowałam Bogu za ten impuls, bo nie byliśmy już sami. Ezekiel wtargnął do środka. Miałam wrażenie, że patrzę na kata.

Ale ja miałam włącznie i nie miałam zamiaru poddać się bez walki.

– Elwood! – Gdy Ezekiel chwycił go za nadgarstek, na jego twarzy rysowała się czysta desperacja. – Gdzie ty, na Boga, byłeś? Nie masz pojęcia, co zrobiłeś!

Elwood był przerażony i rozproszony słowami swojego ojca, ale na mnie to nie zadziało. Zamachnęłam się i uderzyłam w niego, a on zawył z bólu. Jego palce rozluźniły się, dając mi szansę na uratowanie sytuacji. Traktowałam tę chwilę tak, jakby zależało od niej całe moje życie. I prawdopodobnie tak właśnie było.

Sterowany instynktem gadzi mózdzek przejął nade mną kontrolę. Chwyciłam Elwooda i wygramoliłam się przez tylne drzwi na cmentarz. Każdy mój oddech popychał mnie coraz bardziej do przodu.

– Zabijesz ich! – krzyknął w oddali Ezekiel. – Zabijesz nas wszystkich!

Zastanawiałam się, czy tak właśnie czuła się mama w swoich ostatnich chwilach. Wiatr uderzał w moje ciało ze wszystkich stron, skóra była skuta mrozem, a serce wyrywało się z klatki piersiowej.

Śnieg przykrył ścieżkę pod naszymi stopami. A przed nami wyrosła gęsta mgła. Kiedyś wydawało mi się to takie tandetne, gdy ludzie opowiadali, że czuli, jak ktoś wpatruje się im w plecy. Ale teraz moja perspektywa się zmieniła. Gdy bieглиśmy, czułam, jak czyjś wzrok parzył mój kark.

Samochód stał tam, gdzie Lucas go zaparkował. Jeszcze nigdy nie czułam takiej ulgi jak wtedy, gdy wsiadłam do tej hondy civic.

– Och, dzięki Bogu – krzyknęła Ronnie, która siedziała na przednim siedzeniu. Odwróciła się i chwyciła mnie za ramiona. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. – Powiedziałam mu, że musi poczekać. Nie mogliśmy was tutaj zastawić. To...

Nie pozwoliłam jej dokończyć. Nie mieliśmy na to teraz czasu.

– Gaz do dechy!

Ledwo zdążyłam wypowiedzieć te słowa, Lucas wystartował z piskiem opon. Lód zatrzeszczał pod kołami i przestraszyłam się, że przy takiej pogodzie wylądujemy w rowie przy pierwszym, źle wykonanym skręcie.

Zima nie była łaskawa i karała za najmniejsze błędy. Jechaliśmy tak, jakby od tego zależały nasze życia – i tym razem faktycznie tak było. To było pięć minut rajdu przez miasto w absolutnej ciszy. Po kolejnych pięciu minutach ktoś z nas odważył się wziąć głębszy wdech. Gdy Lucas wjechał na parking motelu, stres osiadł ciężarem w moim żołądku. Zauważyłam, że dwie kolejne litery zgasły na naszym szyldzie.

Wiedziałam, że tata nigdy ich nie naprawi, więc pozostaną martwe, aż ostatnia z liter wypali się i dołączy do pozostałych, pogrążanych w mroku.

A do tego czasu motel zostanie pogrzebany na dobre. Spojrzałam w stronę lasu. Na razie drzewa wydawały się nieruchome.

Lucas miał szczęście, że rzadko miewaliśmy gości. Pusty parking dawał mu duży bufor bezpieczeństwa, aby mógł nagle stracić kontrolę nad pojazdem. Na sam koniec, gdy zatrzymał się przed głównym wejściem i zdjął nogę z hamulca, szarpnęło nami gwałtownie do przodu.

Było mi niedobrze i nie miało to nic wspólnego z tym, jakim Lucas był kierowcą. Przed oczami miałam czarno-biały uśmiech mojej matki i napis: *Zaginiona*. Jej twarz była w każdym zakątku mojego umysłu. Ona nie żyła. W pewien pokręcony sposób powinnam być wdzięczna za to, że się tego dowiedziałam. Od dawna podejrzewałam, że rodzina Clarke'ów nie gra czysto. Każdą chwilę spędzałam na oskarżaniu ich o jej zaginięcie.

Powinnam czuć ulgę. Ale tak nie było.

Właściwie to chciałabym wciąż móc uznawać mamę za zaginioną. Tęskniłam za cieniem wątpliwości, który podsycił moje działania. Tym dającym bezpieczeństwo poczuciem: „A co, jeśli?”. Mówiłam sobie, że mama odeszła z własnej woli, może nie zniknęła na zawsze. Że pewnie wróci lada dzień – opalona, uśmiechnięta i z przepaszającym wyrazem twarzy. I będzie mnie to bolało, ale znów wszystko wróci do normy.

Ale martwi nie wracali do życia.

– Nie mogę tego zrobić – wypalił Lucas, oddychając ciężko. Jego zaangażowanie w to wszystko było zerowe, a mimo to tracił zmysły. – Nie mogę tego zrobić, do cholery. – Zastukał wściekle palcami w kierownicę. Ostatnie dwadzieścia cztery godziny odbiły się na jego zdrowiu psychicznym i było to widoczne za każdym razem, gdy drząc, nabierał powietrza w płuca. – Wiedziałem, że twoi rodzice są dziwni.

Wiedziałem, że mama Vee jest dziwna. Ale że jest to bycie dziwnym w stylu poświęć-swojego-syna-na-drugie-przyjście-Chrystusa? Nie, nie. Wypisuję się z tego. Nie dam sobie z tym rady, do cholery. – Wskazał ruchem głowy na zegarek. – Jest Boże Narodzenie. Powinienem być w domu z moimi rodzicami. Powinienem spać. Nie. Nie. Nie. Nie. Oni też pewnie należą do tej sekty, bo takie jest moje szczęście, co nie? Pewnie odprawiali mojemu dziadkowi jakieś sekciarskie rytuały.

Ronnie westchnęła głęboko. Milczała przez całą drogę, ale najwyraźniej nie dlatego, że nie miała nic do powiedzenia.

– Zapomniałam. Wszystko kręci się wokół ciebie. Nawet jeśli tak nie jest. Myślisz, że jesteś jedyną osobą, która przez to przechodzi?

Lucas prychnął, ale nie zaszczycił jej odpowiedzią na pytanie.

– Typowe – warknęła, a słowo to zadrzało w jej gardle. – Z jakiegoś powodu ty cierpisz, mimo że to ja dowiedziałam się, że moja mama i rodzice Elwooda...

– Nie mów tego. – Musiałam w pewnym momencie ugryźć się w język, bo krew zaczęła zalewać moje usta. – Proszę, nie mów tego.

Jej gniew przygasł na moją prośbę, a żal, który pojawił się potem, wyrażał więcej niż słowa.

Tymczasem Elwood milczał i tylko siedział obok mnie. Nie mógł nawet spojrzeć mi w oczy.

Kevin był pierwszym, który odezwał się po chwili ciszy.

– Co szeryf miał na myśli, gdy powiedział, że jesteś niebezpieczny, Elwood? – zapytał. – Ciągłe to powtarzali.

– Może chodziło mu o to, że nie jest bezpiecznie się z nim trzymać – mruknął Lucas, po czym wycofał się z tego sekundę później. Trudno, żeby zareagował inaczej, biorąc pod uwagę, że zauważył w lusterku wstecznym ogromne cierpienie, które wymalowało się na twarzy Elwooda. – Nie o to mi chodziło. Przepraszam; to nie twoja wina, stary. Musisz zadzwonić na policję stanową albo coś w tym stylu. Vrees musi mieć jakichś zwierzchników. – Oparł głowę na kierownicy. – Ale chodziło mi o to, że nie sądzę, abym był w stanie dłużej to kontynuować. Nie dam rady.

– Och, rozumiem. Nie dasz rady już się tym przejmować. – Każdą uncję emocji przekułam w gniew. Złość była dla mnie miłszą towarzyszką aniżeli smutek. – Wystarczająco już pomogłeś, aby dostać odznakę dobrego samarytanina, którą możesz przyczepić do kamizelki klubu skautów. Teraz już cię nie obchodzimy. Spoko. Nie ma problemu.

Siedzący obok mnie Kevin kilka razy zwilżył językiem usta, a potem położył dłonie na kolanach.

– Nie sądzę, żeby było rozsądnym, abyśmy się teraz rozdzielali. Zawsze, gdy tak się dzieje, ktoś...

– To nie jest cholerny horror, Kevin – warknął Lucas. – Po raz kolejny przypominam ci, że to bez znaczenia, co robisz w Hollywood. – Wskazał na ogromną zaspę tuż za oknem. – Czy to ci wygląda na Kalifornię? Nie. Wszystko to jest prawdziwe i wiąże się z prawdziwymi konsekwencjami. Ludzie zostali zamordowani, Kevin. Zamordowani.

Ostatkiem siły powstrzymałam się, aby nie uderzyć go prosto w szczękę.

– Tak jak moja matka?

Wytrzeszczył na mnie oczy.

– Nie to miałem na myśli. Wiesz, że nie o to mi chodziło, Wil.

Za późno. Posłałam mu swój najbardziej paskudny uśmiech.

– Okazuje się, że te plotki, które o tobie rozpowiadali, jednak są prawdziwe.

– O czym ty mówisz?

– O tym, że jesteś tak płytki, na jakiego wyglądasz. Zawsze obstajesz przy tym, co tak naprawdę cię nie obchodzi. Promujesz się na charytatywności. A gdy brakuje sponsorów, gdy gaśnie blask reflektorów, okazuje się, że masz to wszystko gdzieś i o nikogo nie dbasz. Ani o Elwooda, ani o Ronnie, ani o Kevina. Myślisz tylko o sobie.

– Otworzyłam gwałtownie drzwi i chwyciłam Elwooda za nadgarstek. – Masz rację, Lucas. To nie jest Hollywood. Tylko ty bawisz się tutaj w aktora.

Elwood wygramolił się za mną z samochodu.

Bez dramatyzmu Lucasa towarzyszyła nam tylko cisza.

# Rozdział szesnasty

## Wil

Tata był jedyną istotą w budynku.

Pustka uderzyła we mnie jeszcze mocniej niż wcześniej. Brak mamy odcisnął się głęboko we mnie. Wiedziałam, że nic nie zapełni tej luki, chyba że zrównamy to miejsce z ziemią. Ezekiel miał rację, aby zburzyć motel. Teraz nie byliśmy nawet cmentarzem, a zrujnowaną świątynią samotnej, zapomnianej kobiety.

Ale ja pamiętałam.

Mama trwała w każdym elemencie tego przegniłego miejsca. Wodziłam wzrokiem po nostalgicznych wzorach na ścianie, po wszystkich tych śladach, które po sobie zostawiła. Wtedy, gdy odświeżaliśmy te nudne, białe ściany, było nienormalnie gorąco, byliśmy umorusane farbą, a lemoniadę piłyśmy dzbankami. Mama, ja i moje niezdarne odciski dłoni. Większość mojego wkładu została zamalowana, ale zostawiła kilka moich odcisków w korytarzach. Stałam teraz przy jednym z nich – uniosłam dłoń, a moje długie palce zasłoniły ślad.

Gwałtownie odsunęłam rękę. Schowałam serce do kieszeni i ruszyłam w stronę pokoju taty, wyczekując momentu, w którym stanie się zbyt ciężkie, bym mogła je dźwigać. Czułam, że gdy powiem tacie prawdę, moje serce pęknie, a tama, którą budowałam, rozpadnie się na kawałki.

Oparłam dłoń na klamce, ale się nie zatrzymałam. Zerwałam plaster i otworzyłam drzwi na oścież.

Tylko że tata nie siedział w nogach łóżka i nie czekał, aż wypłaczę mu się na ramieniu. Nie. Trwał mocno pogrążony we śnie, a podłoga wokół jego łóżka była zaśmiecona, jak ta na przyjęciu u Lucasa. Chrapał, otoczony przez obronną linię pogniecionych puszek.

Nie dałam rady powstrzymać śmiechu. Był to dziwny, zdławiony dźwięk, który zamienił się w szloch. Łzy rozmazały obraz przed moimi oczami i nasączyły każde słowo.

– Oczywiście, że jest kompletnie pijany.

To zabawne, jak walka zdjęła ze mnie wszystkie bariery. Trzymałam się w ryzach przez tak długi czas i ze wszystkich sił ignorowałam tę wewnętrzną pustkę, ale teraz to wszystko było bez znaczenia. Moja rana zastała dźgnięta i rozdłubana, aż zaczęła boleć na nowo. Moje postanowienia upadły, a forteca została zrujnowana.



*Mama nie żyje.*

To zdanie nie było już okrutnym podszeptem z odmętów mojego umysłu. Było wszędzie. Nie mogłam go już dłużej ignorować. Mama leżała w ziemi, głęboko zakopana, wśród robaków, żuków i larw, była martwa. Zaczęła węszyć w niewłaściwym miejscu i natychmiast ją za to ukarano. I to samo stanie się z jej córką. Miałam w sobie tę samą zabójczą ciekawość, tę zawziętą duszę, która wyda na nas wyrok śmierci.

Mój ból się przemienił – samotne łzy nie ciekły już po moich policzkach. Moja twarz była wykrzywiona, usta rozwarte w krzyku. Korytarz zdawał się być zaciskającym się gardłem, a moje własne gardło było jak zaciśnięta pięść – było zbyt ciasne, aby oddech mógł się przez nie przecisnąć. Z pomiędzy moich ust uciekło tylko ciche, rozdzierające duszę zawodzenie. Tata nawet nie drgnął.

*Martwa. Martwa. Martwa, martwa, martwa, martwa, martwa.*

– Wil? – Dłoń Elwooda zawisła nad moim ramieniem. Jeszcze wczoraj bym go odepchnęła, ale w tej chwili wszystko było inaczej. Oparłam się o jedyne ciepło, jakie przy mnie było. Powinnam go nienawidzić, powinnam krzyczeć i wściekać się, przeklinać go za jego rodziców, za to co zrobili.

Ale nie mogłam.

Potrzebowałam go.

Zawsze go potrzebowałam.

Przełamał dzielący nas dystans, a ja schowałam zapłakaną twarz w jego ramionach.

To było pogrzebowe objęcie. Nie było w nim niczego miękkiego. Trzymałam się go tak kurczowo, jakby miał za chwilę zniknąć. Żal po stracie więził go w moich ramionach, a każdy kolejny szloch wstrząsał mną bardziej niż poprzedni. Emocje, które miesiącami ignorowałam, w tej chwili wyszły na powierzchnię. Mój oddech był przerywany falami szlochu. A Elwood przyjmował to wszystko. Jego dłoń odnalazła dom w moich włosach.

Odsunęłam się od niego dopiero, gdy moje łzy wyschły i byłam w stanie na niego spojrzeć. Blask lampy migotał na rysach jego twarzy i łagodził głęboki odcień jego włosów. Zimowy las przeniknął do jego korzeni, ale światło ponownie rozproszyło ciemność. I dostrzegłam w nim szeptę złota i czerwieni, które były jak rozbłyśki w soczystym brzoju.

Zbyt dużo czasu zajęło mi uświadomienie sobie, że się na niego gapiłam. I równie późno dotarło do mnie, że on wpatrywał się we mnie.

Stłumiłam w zarodku wszystkie szalone emocje. Odwróciłam wzrok z powrotem w stronę ojca i nagle dostrzegłam coś, co wcześniej przeoczyłam.

– Co to jest? – Znałam odpowiedź na to pytanie, jeszcze zanim je zadałam.

Nie był to estetyczny prezent, ale wymagał więcej pracy, niż myślałam, że tata jest w stanie wykonać. Wyciągnęłam pakunek z jego rąk i wbiłam palec w ozdobny papier. Tata nawet się nie poruszył, gdy go otwierałam.

Na górze było napisane: *Wesołych Świąt, Myszko. Pomyślałem, że po tak długim czasie, powinnaś to mieć. A więc to dlatego zadzwonił.*

– Myślałam, że to wyrzucił. – Ogarnął mnie dziwny stan nieważkości i poczułam ucisk w klatce piersiowej, przez który nie mogłam już wypowiedzieć ani jednego słowa. Coś takiego zdarzyło mi się wcześniej tylko raz. W dniu, w którym mama zniknęła, a tata szlochał. Cała jego dusza rozdzierała się na pół i umierała. Teraz czułam się tak samo. – To klucz do gabinetu mamy.

Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem niczym wrota krypty. Były zardzewiałe i niemal zabetonowane kurzem. Zapach w gabinecie przywodził podobne skojarzenia.

– Musimy zamknąć ten cholerny pokój – powiedział tata ostatnim razem, gdy tutaj stał. – Gromadzi zbyt wiele wspomnień. Nie mogę się ich pozbyć.

Nie był w błędzie. Można zadzwonić po specjalistów, aby wyczyścili dom z pluskiew, ale z duchami przeszłości nic nie da się zrobić. Można naprawić sufit i wyczyścić dywan, ale nie można naprawić złamanego serca.

Włącznik nie zadziałał natychmiast. Światło zamigotało, jakby zapomniało, jak świecić. W pokoju panował absolutny bałagan, który pozostawiła po sobie moja mama: półki zalane woskiem świec, zniszczone książki, na wpół pościelone łóżko i zasłony, które blokowały promienie słońca.

Mama spędzała tutaj więcej czasu niż gdziekolwiek indziej. Nigdy tak naprawdę nie porzuciła dziennikarstwa. Mimo tego, że zmieniła ścieżkę kariery po moich narodzinach, to wewnętrzne dążenie do znalezienia odpowiedzi nigdy jej nie opuściło. Musiała wiedzieć „dlaczego”. Dla niej każda osoba była tajemnicą, a życiowe historie były supłem, który trzeba było rozwiązać. I tak jak każdy dobry dziennikarz, nie chciała spocząć, dopóki nie rozwiązała sprawy.

– Przychodziłeś porozmawiać z moją mamą?

– Tak. – Mimo że stał na drugim końcu pokoju, usłyszałam, jak przełknął ślinę. – Przez jakiś czas. Pomogła mi, gdy moje oceny się pogorszyły.

– To było dla mnie tak zadziwiające – wyznałam. – Zawsze miałeś same szóstki.

Niepewnie usiadł na podłodze obok mnie i podciągnął kolana do klatki piersiowej.

Trzymał się tak, jakby jego kończyny miały odpaść od reszty ciała, jakby były niepasującymi elementami układanki.

– Zawsze wiedziałem, że nie pójdę na studia, ale aż do pierwszej klasy łatwo było mi to ignorować. Potem wszystko się zmieniło. Ludzie dostawali różne oferty

w mailach, rozmawiali o planach na życie i o tym, dokąd chcieliby pojechać. A ja po raz pierwszy zacząłem myśleć o swojej przyszłości.

Na moment rozciągnęła się pomiędzy nami cisza, a potem Elwood podniósł na mnie wzrok. Wpatrywał się we mnie, gdy przysunęłam się do niego.

– A potem powiedziałaś mi, że ty również chcesz stąd wyjechać. Marzyłaś o wielkim świecie i chciałaś, żebym zobaczył to wszystko razem z tobą i... i nie mogłem uciec od tych myśli. Zacząłem się zastanawiać, co ja tak naprawdę robię. Po co mam się tak męczyć?

Uniosłam głowę i wpatrzyłam się w sufit, podczas gdy jego słowa przenikały przeze mnie. Tutaj, w przeciwieństwie do mojego pokoju, nie było gwiazd. Nie było nic, do czego można by wyciągnąć palce i myśli pełne marzeń. Nigdy nie wyobrażałam sobie, jak to jest spojrzeć w górę i zobaczyć tylko pustkę. Żadnego śladu poza tym życiem, które mamy tutaj.

– Najpierw rozmawialiśmy o ocenach, ale potem poruszyliśmy też inne tematy – kontynuował Elwood. – Nie miałem zbyt wielu osób, którym mogłem się zwierzyć. Nie mogłem podzielić się tym ani z rodzicami, ani z Bogiem, ani z wierzącymi w kościele. Tak wiele myśli zamknąłem w sobie, że nie mogłem podzielić się nimi nawet z tobą, a twoja mama... ona rozumiała to i nic na mnie nie wymuszała.

Przygryzłam wargę.

– Mama zawsze była w tym dobra.

„Jesteś zdenerwowana, myszko” – wciąż słyszałam jej głos. Był słodki jak miód. Potrafiła mówić tak miękko, że jej słowa nie miały w sobie żadnej ostrości. Były szeptane i delikatne. Tamtego dnia na nic nie narzekałam. Śmiałam się, a ona przerwała mi w połowie żartu.

Tata siedział przy stole, niczego nieświadomy. Pamiętam, jak się we mnie wpatrywał, usiłując zobaczyć to co ona, ale bezskutecznie.

– Nie wydaje się zdenerwowana – powiedział.

– Ukrywa to – odpowiedziała mama. – Powinieneś już potrafić to rozpoznawać, kochanie. Myszka zawsze się śmieje. Nawet wtedy, gdy coś ją zrani.

Mama zawsze dostrzegała sedno sprawy. Moja dusza mogła być zamknięta na kłódkę, a ona wciąż potrafiła czytać ze mnie jak z otwartej książki. Nic więc dziwnego, że tak samo potrafiła rozszyfrować Elwooda.

– Naprawdę mi pomogła – powiedział, ale po chwili uśmiech zniknął z jego twarzy.

– A potem wezwała moich rodziców.

– Przypuszczam, że rozmowa nie poszła dobrze.

Nie umknęło mojej uwadze, że skrzywił się na to wspomnienie.

– To byłoby niedopowiedzeniem. Powiedziała mojemu tacie, że układa mi życie i rujnuje moją szansę na decydowanie o własnej przyszłości. Powiedziała o moich pogarszających się ocenach i o tym, że przykładałbym się lepiej do nauki, gdyby tylko dali mi na to szansę. Powiedziała, że naginałem się do ich zasad kosztem własnych marzeń.

– Cała mama.

Elwood skupił wzrok na kącie pokoju, który był pokryty pajęczynami.

– Nie sędzę, żeby ktokolwiek tak otwarcie sprzeciwił się mojemu tacie. On... nie przyjął tego dobrze. Jest w stanie udawać tak długo, aż nie wyczerpie się jego cierpliwość. – Potem Elwood dodał niższym głosem, naśladując swojego ojca: – „Będę wychowywać swojego syna tak, jak uznam to za stosowne. Jest wychowywany tak, jak nakazuje Pan. Powinna się pani skoncentrować na swojej własnej niegrzecznej córce, pani Greene”.

Oczami wyobraźni widziałam, jak moja matka mierzy Ezekiela wzrokiem. Jego złożone dłonie stanowiły barierę pomiędzy dwoma światami. Elwood spuścił wzrok.

– Skończyło się to tym, że powiedziała: „To nie Bóg chce ułożyć mi życie, ale ty.” I właśnie po tych słowach wypadł z jej gabinetu. Powiedział, że nie mogę spotykać się ani z nią, ani z tobą. Nie mogłem zrezygnować z ciebie. Ale twoja mama? Ona nigdy nie zrezygnowała ze mnie. Wiedziała, że coś jest nie tak. Czuła to podskórnie. I nigdy nie ustała w staraniach, aby mi pomóc.

Wpatrzyłam się w podłogę. Czy to dlatego miała na jego punkcie obsesję? Wynikało to z jej potrzeby, aby każdego uratować? Wiedziałam, że słoje w drewnie nie udzielą mi odpowiedzi na te pytania. Ale potem coś zauważyłam. Być może odpowiedź nie leżała tuż przede mną, ale dostrzegłam mały uszczerbek w panelach – nieznaczne wgłębienie w podłodze, które ledwo można było spostrzec. Kucnęłam przy nim i włożyłam palce w otwór. Deska uniosła się i podskoczyła jak sekretna krypta. Skrzywiłam się, gdy uderzyła we mnie chmura kurzu i odłożyłam luźną deskę na podłogę obok mnie. Przede mną było małe, tajemnicze wgłębienie.

Wewnątrz leżało pogniecione pudełko, a w nim pojedyncza kasetka VHS i plik spiętych, pożółkłych kartek. Wyciągnęłam to z ukrycia.

*Przeprowadzka do Pine Point miała być dla nas nowym początkiem. Dokonałam tego wyboru po tym, jak zaszłam w ciążę. Nie mogłabym skupić się na wychowywaniu Wilhelminy, podczas gdy nieustannie byłam absolutnie pochłonięta każdą nową sprawą i zatracalam się w poszukiwaniach. A przynajmniej taki był plan.*

*Ale tak jak większość planów w moim życiu, ten również się rozpadł. Życie, które sobie ułożyłam, legło w gruzach po tym, jak poznałam rodziców Elwooda. Spotkałam już ludzi*

*takich jak Ezekiel Clarke. Nie jest pierwszym człowiekiem skrywającym tajemnicę – i nie ostatnim. Wyczułam, że ma jakiś sekret, gdy tylko przekroczył próg mojego gabinetu.*

*Nie powinnam była podążać za tym śladem. Myślałam, że nauczyłam się pilnować własnego nosa, ale okazało się, że było zupełnie inaczej.*

*Poszłam do kościoła Elwooda. Wiem, że jestem w tym mieście nowa, ale ci ludzie patrzyli na mnie jak na świeckiego potwora. Kazanie Ezekiela było krótkie i zwięzłe, a lekcja trafna: nie wtrącaj się w sprawy drugiego człowieka. „Każdy jest odpowiedzialny za swoje własne zbawienie”. Jego ton był ostry i surowy. Przez cały ten czas jego oczy były wpatrzone we mnie. Nigdy nie słyszałam biblijnych gróźb, ale te słowa na pewno mogłyby być jedną z nich.*

*Inni wiedzą, że powinni wycofać dłoń, gdy dotkną płomieni. Ale ja potrafię jedynie chodzić po rozgrzanych węglach.*

Odłożyłam kartki i spojrzałam na prehistoryczny telewizor, który stał naprzeciwko łóżka mamy. Wyglądał jak pudło.

Włożyłam taśmę do środka, ekran śnieżył. Po chwili jednak film zaczął się odtwarzać i zobaczyłam słoneczny dzień z przeszłości.

Mama wołała do mnie, gdy biegłam przez podwórko. Nie miałam więcej niż osiem albo dziewięć lat. To był odległy czas, gdy całe dnie spędzałam na świeżym powietrzu, moja skóra była opalona, włosy rozjaśnione słońcem, a policzki pełne letnich piegów.

– Dlaczego mama by to ukryła?

To był zwykły film.

Żdźbła trawy otaczały moje kostki, a z głośników wydobywał się chichot.

– Mamo, mamo! Patrz! Zobacz, co potrafię! – krzyknęłam, po czym wykonałam nieudaną próbę zrobienia gwiazdy.

– Będiesz kiedyś olimpijką, myszko! – powiedział tata i kamera na chwilę skierowała się na jego młodą i beztroską twarz. Jego uśmiech był wolny od zmarszczek zmartwień, a jego oczy były jasne i pełne nadziei. Poczułam ukłucie w sercu. Jego szczęście było najbardziej odległym wspomnieniem. Potem ekran został zagarnięty przez kolejną falę zakłóceń. Rozpoczęło się odtwarzanie nowego filmu. Lato przeminęło i zabrało ze sobą słońce. Obraz był zacieniony, a przestrzeń oświetlona tylko przez blask księżyca.

Mama się nie uśmiechała. Jej twarz miała napięty wyraz.

– Mam zamiar zrobić coś bardzo niebezpiecznego – wyszeptała.

*Jaka matka, taka córka.*

Oko kamery skierowało się w ciemność. Na ekranie pojawił się krąg znajomych twarzy. Wierni otaczali to samo drzewo, przed którym wcześniej uciekałam – największe drzewo w całym lesie Morguewood. Po jego gałęziach spływa krew

łożonej ofiary. Ścieżki czerwieni wiły się od zagłębienia w pniu, aż do korzeni ukrytych głęboko pod ziemią. Oddech mamy był płytki i szarpany.

Słysząc było pomruki i wypowiedane słowa, ale mikrofon nie był w stanie ich wychwycić. Wkrótce przerodziło się to w modlitwę śpiewaną ze wszystkich stron. W odpowiedzi na podniesione głosy zebranych, drzewo ożyło.

Z ciemności wystrzeliły pnącza, które owinęły się wokół kostek Prudence Vrees. Wbiły się w jej ciało i wypaliły kajdany na jej skórze. Ten ruch był tak szybki i szokujący, że mimo iż kamera go zarejestrowała, zajęło mi chwilę uświadomienie sobie, co się stało.

Potem nastąpiła cisza. Przyprawiające o mdłości ujęcie przesunęło się z lepkiej od potu dłoni mojej matki na zaspę śniegu. Szamotała się z obiektywem, ale obraz był zamącony i nieostry.

Na ekranie widoczny był wściekły ojciec Elwooda. Jego gniew był wyraźny, mimo że rysy twarzy miał rozmazane.

– To jakaś pomyłka! – ryknął w mrok nocy do każdego, kto chciał go słuchać. Do szeryfa Vreesa, wiernych i Boga. – Nie ma mowy! Nie ma mowy, żeby Pan wybrał ciebie.

Vrees stanął przed swoją żoną. Dobrze znałam kształt jego ciała – był szeroki i duży, zajmował zdecydowanie zbyt wiele miejsca.

– Kim ty jesteś, żeby kwestionować słowo Boże?

– Jestem Prawą Ręką! Jestem Jego rzecznikiem! Jestem...

– Człowiekiem – dokończył za niego Vrees. – Koniec końców jesteś człowiekiem, a teraz Bóg wybrał innego. Pan przekazał teraz to, co wszyscy już wiedzieliśmy... Ja jestem bardziej prawowity, bardziej pobożny i bardziej zrównoważony. Najwyższy czas na zmianę, Ezekielu. Twój chłopiec niedługo stanie się mężczyzną. Pan ofiarował ci osiemnaście lat. A teraz zadecydował, że nadszedł czas, aby dopełnić dzieła i zacząć od nowa.

Ale jego słowa zupełnie nie docierały do pana Clarke'a. Niemal spłynęły po nim jak woda.

– Nie mam zamiaru ustąpić przed kimś takim jak ty. Musimy odprawić ceremonię raz jeszcze. To jakaś pomyłka, jestem tego pewien.

– Jesteś szalony – warknął Vrees. – Znasz prawdę równie dobrze jak ja. Gdy ziarno zostanie wydobyte z Elwooda, nie będziesz miał już zbyt wiele do powiedzenia. Zostanie zaszczerpione w moim synu, a nie w twoim. Pan wybrał mnie, abym dostąpił tego zaszczytu, i będziesz musiał zaakceptować ten fakt. Może wykorzystaj czas, aby skupić się na swojej wierze, co?

To miała być chyba jakaś forma religijnego przytyku.

– Wracamy! – Ezekiel szarpnął matkę Elwooda za ramię, ignorując jej pełne bólu jęknięcie. – Koniec z tym.

Uśmiech Vreesa był cienki niczym wstążka i niezwykle podobny do poderżniętego gardła.

– To dopiero początek.

Potem scena nagrania znowu zamieniła się w zakłócenia.

Przypomniałam sobie te wszystkie chwile, gdy jako dziecko naprawdę bałam się połknąć pestkę – myślałam, że wyrośnie we mnie arbuz.

Ciemny zakątek mojego umysłu podsunął mi inny obraz. Zobaczyłam Elwooda rozchyłającego wargi i błotnisty pęk korzeni wyrastający z jego rozwartego gardła. Liście wyrastały z każdego otworu: z uszu, oczu, nosa i ust, aż jego ciało zostało przysłonięte krzewami. Zanim zdążyłam się opamiętać, położyłam dłoń na jego klatce piersiowej, w miejscu, w którym powinno znajdować się jego serce. Szukałam na nim kępek korzeni. Nie ma mowy, żeby miał w sobie ziarno. Nie ma szans, żeby to była prawda, a jednak...

Poczułam silne uderzenie. Burzliwe *badum, badum, badum*, które dudniło o jego żebra. To nie ziarno, ale jego serce biło pod moją dłońią jak szalone.

Elwood cofnął się nerwowo i desperacko zachłysnął powietrzem.

– Szlag. – Nieważne, ile razy przeklnie, te słowa z jego ust nigdy nie przestaną mnie zaskakiwać. – Nie dam sobie z tym rady, Wil. Jasna cholera. Nie, nie, nie. O czym oni mówili? Chcą coś ze mnie wydobyć? I włożyć to w kogoś innego?

Przyzwyczaiałam się do udawania, że jestem silniejsza, niż czułam się w rzeczywistości. Maskę na mojej twarzy była wyszczerbiona i zniszczona, ale miałam nadzieję, że wciąż zachowywałam wystarczające pozory.

– Nie skrzywdzą cię, Elwood. Najprawdopodobniej to tylko twoje serce, co nie? To ma znacznie więcej sensu, niż bajka o tym, że masz w sobie ziarno demona.

Zamarł na dźwięk mojego głosu i otworzył szeroko oczy, słysząc ostatnie słowo.

Gdy ponownie się odezwał, w jego oczach malowało się dziwne zrozumienie.

– Powiedzieli, że jestem niebezpieczny. Czasem mam takie myśli... Staram się je od siebie odpędzić albo modlić się, gdy są natrętne, ale nieustannie do mnie wracają. To myśli o rzeczach, których nigdy bym nie zrobił. Brutalne, straszliwe podszepty w mojej głowie. Ja... Widziałem Briana kilka dni temu i przez okropną, krótką chwilę wyobrażałem sobie jego zniekształcone ciało.

Odchrząknęłam.

– Jestem pewna, że każdy z nas kiedyś fantazjował o zabiciu Briana Schmidta.

Nie zaśmiał się.

– Wil. Mam też wizje. Pamiętasz o tym, co wydarzyło się w łazience? Opowiadałem ci.

Sposób, w jaki zmienił się jego głos, wystarczył, aby mną wstrząsnąć. W świetle wciąż był Elwoodem, którego znałam, ale tutaj, w ciemnościach, nie byłam do końca pewna, na kogo patrzyłam. Było w nim coś niezaprzeczalnie szalonego, coś co trzaskało wokół niego jak płomień.

– Myślę, że zasiali we mnie coś złego.

– Nie. – Zerwałam się na równe nogi. Dostrzegałam teraz wszystkie, nawet najmniejsze szczegóły, które zmieniły się w jego wyglądzie. Napotkałam jego spojrzenie i zauważyłam, jak bardzo rozszerzyły się jego źrenice. Tęczówki Elwoda zostały pochłonięte przez czernią. Żyłki, które rozciągały się pod jego skórą, zabarwiły się zielenią... niczym pnącza winorośli. Noc malowała go w mrocznych barwach.

Wyglądał potwornie.

– Myślałeś kiedykolwiek o tym, żeby mnie zabić? – zapytałam. Mój głos był ledwo słyszalnym szeptem.

Otworzył szeroko oczy, moje pytanie wyrwało go z odrętwienia.

– Nigdy! Nigdy bym... – Zauważył wyraz moich oczu i coś w nim pękło. Ten sam żal był wymalowany na mojej własnej twarzy. Elwood zadrżał przy przemianie. Wstrząsnął nim silny dreszcz. Następnie krzyknął przez zaciśnięte zęby.

Potem wszystko się zaczęło.

Deski podłogowe zaczęły trzaskać. Elwood wbił paznokcie w drewno, otwierał usta, ale żadne słowa nie wychodziły spod jego warg. Emanowała z niego ta sama niebezpieczna energia co wcześniej – była tuż pod jego skórą. Coś tak potężnego, że mogłam wyczuć to, nawet tego nie widząc. Zupełnie jak zwłoki w lesie. Jak larwy i robaki, które wiją się pod wzdętą skórą martwego jelenia. Nie trzeba ich widzieć, aby wiedzieć, że tam są. Po prostu się to czuje.

Nagle, spod opuszków jego palców eksplodowała zieleń. Pęki traw przedarły się przez szczeliny w podłodze i rozrosły się wokół nas w jednym, gwałtownym rozkwicie. Ściana zapadła się pod ciężarem bluszczu. Sufit pokrył się listowiem i wyglądał jak surrealistyczny trawnik, a potem i on zapadł się częściowo i rozsypał na kawałki. Róg pokoju, w którym stało stare biurko mamy, wygiął się i zaczął pękać. Spadały na nas części sufitu. Jeden z odłamków rozciął mój policzek.

Widok krwi wyrwał Elwoda z transu.

– Wil! – krzyknął, ponownie odzyskując głos. Rzucił się do mnie biegiem i dotknął mojej szyi zimnymi palcami. – Nic ci się nie stało?

Nie chciałam się od niego odsunąć, ale nie mogłam powstrzymać tego odruchu. Stał przede mną chłopak, którego znałam, ale jeszcze kilka sekund temu był kimś zupełnie



innym. Nie miałam pojęcia, czym był.

Odsunął ode mnie dłonie. Łzy napłynęły do jego oczu, a moje serce ścisnęło się na ten widok.

Spróbował się ode mnie odsunąć, ale chwyciłam go za nadgarstek.

Jeszcze nie wiedziałam, co chcę mu powiedzieć, ale to było bez znaczenia. Mój głos został zagłuszony przez kolejny, gwałtowny łoskot walących się ścian i kruszących się fundamentów. Wiedziałam, że sufit wkrótce zupełnie się zawali. Całe skrzydło motelu zostanie zniszczone w dziwnym buncie natury. Czarne jak noc źrenice Elwooda zaczęły się kurczyć, ale wciąż przysłaniały prawdziwy odcień jego oczu. W jakiś sposób i z jakiegoś powodu udało mu się tego dokonać. Rozpalająca go mieszanka strachu i złości była wystarczająca, aby siać spustoszenie.

– Musimy się stąd wynosić.

Wybiegłam z pokoju i ruszyłam po schodach, ciągnąc go za sobą.

Mój wzrok był skupiony wyłącznie na wyjściu. Chwyciłam za klamkę, a drzwi otworzyły się z zardzewiałym krzykiem. Zamieć rozpostarła wokół mnie swoje wygłodniałe ramiona.

Ledwie zdążyliśmy zrobić kilka kroków w śniegu, gdy część motelu, która należała do mojej mamy, została zniszczona. Słyszałam ogłuszający trzask zapadającego się dachu. Podłogi waliły się jak kostki domina, stając się rozmazaną smugą w nocnych ciemnościach.

Rośliny były mięsożerne. Pochłonęły całe pomieszczenie, a gdy skończyły, nie pozostał nawet szkielet budynku.

W ciągu kilku minut przed nami nie było niczego, poza gruzowiskiem i kołyszącą się trawą. A potem, równie szybko, źdźbła obumarły pod wpływem zimna. Na ich miejsce nic już nie wyrosło.

Elwood to zrobił.

Zniszczył połowę motelu.

Gabinet mojej matki został pochłonięty przez ziemię, podobnie jak jej ciało.

Odciągnęłam go jak najdalej od reszty budynku, która wciąż była nienaruszona. Wątpiłam, aby pomimo tego całego hałasu mój ojciec choćby przewrócił się na drugi bok. Może naprawdę nic go już nie obchodziło, ale chciałam, aby był bezpieczny. Musiałam o to zadbać.

Drżące palce Elwooda odnalazły moje ramię. Obrócił mnie w swoją stronę i przez jedną, wdzięczną, ulotną chwilę patrzyłam tylko na niego.

– Przepraszam – wyszeptał zszokowany. – Przepraszam. Naprawdę tak bardzo cię przepraszam. Nie chciałem. Ja...

Gdzieś głęboko we mnie zaczęło budzić się ciepło, które po chwili rozbłysło i zagarnęło resztę mojego ciała. Żal pochłaniał mnie całą. Nie było na to lekarstwa, ale zrobiłabym wszystko, żeby móc choćby spróbować. Wszystko, żeby móc zablokować moje podstępne myśli i rozedrgane bijące serce.

Więc zrobiłam jedyną rzecz, która przyszła mi do głowy.

– Zamknij się – powiedziałam błagalnym głosem. Nie miałam czasu samej sobie wyjaśniać znaczenia swoich myśli, a co dopiero Elwoodowi. Był równie zaskoczony jak ja. Wpatrywał się intensywnym wzrokiem w swoje dłonie, do tego stopnia, że nie byłam nawet pewna, czy mnie słyszał. – Nie chcę teraz o niczym myśleć. Odwróć jakoś moją uwagę, inaczej oszaleję.

Tata miał wady. Ja miałam swoje. Myślałam o wszystkich tych rzeczach, które pozwalały mi nieustannie unikać żałoby. O opróżnionych przeze mnie butelkach, o dymie, który wciągałam do płuc, o soczystych pocałunkach z facetami, którzy tak naprawdę nic mnie nie obchodzili. Wszystko to miało sprawić, abym poczuła coś innego. Wszystko, co miało odgonić ode mnie te myśli. Raz za razem.

– Co takiego? – wyszeptał, ale nie chciałam spojrzeć mu w oczy.

Zrobiłam krok do przodu, a Elwood cofnął się, aż oparł plecy o korę drzewa. W gabinecie mojej matki stał się potworem, ale ja byłam zdeterminowana, aby uczynić go człowiekiem. W tej chwili był tylko chłopakiem.

Coś nawoływało mnie, abym zmniejszyła przestrzeń pomiędzy nami, abym zamknęła ten dystans. A ja byłam bezradna wobec tego głosu.

Wiedziałam, że to mnie nie naprawi. Nic na tym świecie mnie nie naprawi. Ale jeśli to, co chciałam zrobić, oznaczało, że na kilka minut, przestanę czuć ten nieustanny żal, to niech tak będzie.

Usta Elwoda były blisko moich. Jego oddech był jak jesienny wiatr.

– To nic nie znaczy – powiedziałam, a potem pocałowałam go gwałtownie.

# Rozdział siedemnasty

## Elwood

Całowała mnie Wilhelmina Greene.

Gdy poczułem jej zapach, moje wnętrze eksplodowało ciepłem. Nic, co wydarzyło się w ciągu ostatnich dziesięciu minut, nie miało sensu. Wszystko zmieniało się tak nagle i tak chaotycznie, że nie mogłem na niczym skupić uwagi. Gdy rzeczy przelatowały obok mnie, nie widziałem nic, poza przebłyskami ruchu i smugami powietrza. Byłem świadom tego, co się wydarzyło: pocałunku i tego wrażenia rozżarzonych węgli w moich wnętrznościach, gdy trawy zagarnęły deski podłogowe. Byłem świadom tego obrzydliwego łoskotu, gdy budynek zrównał się z ziemią i tego, że Wil patrzyła na mnie z lękiem.

– To nic nie znaczy – powiedziała, po czym pocałowała mnie gwałtownie.

Ale ten pocałunek znaczył wszystko. A przynajmniej dla mnie.

Była blisko. Tak blisko, że chciałem krzyczeć. Rozkoszowałem się szalonym rytmem jej serca. Tym, jak jej klatka piersiowa unosiła się tuż przy mojej.

Jej usta były dokładnie tak miękkie, jak je zapamiętałem. Wspomnienie naszego pierwszego pocałunku nigdy nie zatrze się w mojej pamięci. To był pierwszy rok liceum, siedzieliśmy pod trybunami i obserwowaliśmy kołyszące się sosny. Spojrzała w moją stronę, jej pociemniałe oczy były skupione na mnie.

– Całowałeś się z kimś kiedyś?

Przełknąłem kawałek jabłka z takim trudem, że niemal zakrztusiłem się na śmierć.

– O... oczywiście, że nie... A ty? – Nigdy w życiu rumieniec nie palił moich policzków tak bardzo jak wtedy.

– Nie. Ale chcę sprawdzić, co w tym takiego jest. A ty?

To było wówczas takie proste. Pocałowała mnie, żeby sprawdzić, jak to jest. Niezręczne cmoknięcie w wargi. Całe pięć sekund próby z zaciśniętymi ustami i szeroko otwartymi oczami. Po wszystkim wytarła rękawem ślad moich warg.

– Nie rozumiem, dlaczego wszyscy tak się tym zachwycają.

Ale ja wiedziałem. Myślałem o tym każdej nocy i każdego poranka, i w każdej sekundzie dnia.

Moje ręce musiały być opętane, bo wplotłem palce we włosy Wil i przyciągnąłem ją bliżej. Może to mój umysł przyćmiony brakiem snu, a może to głód ukryty głęboko

w sobie, a który w tej chwili eksplodował na powierzchnię. Jakikolwiek próby sprzeciwienia się tej sile były skazane na porażkę. Nie mogłem tego powstrzymać.

Przejęła inicjatywę i złączyliśmy się w jedną, szaloną plamę światła, kolorów i dźwięków. Ziemia dudniła w rytm mojego serca, kwiaty tryskały z niej przy każdym pocałunku. Zostały zasiane i wyrosły na bazie mojego pożądania. Płatki w kolorze siniaków, pnącza, które układały się na kształt ciała Wil. To był pocałunek, który trwał całą wieczność, a jednak skończył się zbyt szybko.

Odsunąłem się, zahipnotyzowany jej widokiem. Jej usta były soczyście czerwone, a twarz idealnie mieściła się w moich dłoniach. Musnąłem kciukiem jej policzek. Jej oczy zawsze były brązowe, ale w tej chwili ten odcień się pogłębił. Zdawały się być bezdenne.

Wiatr rozwiał jej włosy, kosmyki zatrzepotały wokół niej. Marzyłem o tym, aby naszkicować ją po raz ostatni – byłby to kolejny portret do mojej kolekcji. Zawsze była enigmą o ostrych rysach, nie było w niej miękkości. Pamiętałem stosy podartych kartek porzucanych grafitem. Żadne płótno nie było wystarczająco mocne, aby ją utrzymać.

Wil oderwała się ode mnie z przerażeniem.

Cofnęła się o krok, ale ja mogłem skupić się jedynie na czerwieni jej ust. Były opuchnięte i nabrzmięte od moich zębów.

– Jasna cholera. Nie powinniśmy tego robić.

Poblądłem.

– Jesteśmy zmęczeni – kontynuowała. Wypowiadała słowa powoli i stanowczo.

Podniosłem wzrok na księżyc. Mgła myśli unosiła się tuż nade mną. Czujne oko Boga spoglądało na mnie z niebios. Znów usłyszałem trzask rozpadających się fundamentów, ale teraz ścianami były moje żebra – serce nie miało szans przetrwać pod tymi gruzami. Czułem na nim każdy siniak, każdą ranę po katastrofie.

Ona się ciebie boi, wyszeptał głos w mojej głowie.

– To nic nie znaczyło – powtórzyła Wil. Kwiaty zwiędły i obumarły, gdy usłyszałem jej słowa. – To był błąd.

– Błąd? – wyszeptałem. Czułem smak popiołu na języku.

Ona cię nienawidzi.

Spojrzała na mnie, ale unikała mojego wzroku.

– Chciałbyś, żeby to coś znaczyło?

Nie może nawet spojrzeć mi w oczy, prawda?

Nie bądź egoistą. Tylko ją skrzywdzisz. Zniszczysz ją.

– Nie – wyszeptałem, choć było to boleśnie nieprawdziwe. – Masz rację. To był błąd.

Skinęła głową i włożyła ręce głęboko do kieszeni.

– W takim razie zapomnijmy o tym. Powinniśmy ruszać, Elwood. Znam kogoś, kto może nam pomóc. Vrees i twój tata pewnie nas teraz szukają. Jeśli zostaniemy tu dłużej, ryzykujemy, że reszta motelu też się zapadnie i coś stanie się mojemu tacie. Nie chcę go w to mieszać.

Nie chce, żebyś był blisko niego.

Powinienem jej powiedzieć, żeby uciekła. Powinienem jej powiedzieć, żeby o mnie zapomniała, żeby pozwoliła mi samemu zmierzyć się z moim przeznaczeniem. Ale ostatecznie byłem tak bardzo, bardzo samolubny. Wystarczająco samolubny, aby trzymać ją mocno, gdy odjeżdżaliśmy stamtąd rowerem.

Gdy ogień pomiędzy nami wygasł, zimno powróciło ze zdwojoną siłą.

Rower jęknął, gdy na nim usiedliśmy. Tragedia czekała na nas z zapartym tchem, pomiędzy na wpół napompowanymi oponami i ulicami pokrytymi lodem.

– Powinniśmy nosić kaski – powiedziałem po części ze szczerą troski, ale też trochę po to, aby przerwać ciszę.

– Trzymaj się mnie mocno i wszystko będzie dobrze.

Światło latarni uformowało wąską ścieżkę, która wiodła przez puste ulice. Delikatny blask lamp przebijał się przez oślepiający, srebrny połysk śniegu. Na rowerze było dziesięć razy zimniej. Wiatr wył prosto na nas, szukając najlepszego sposobu, aby przedrzeć się przez nasze ubrania.

Gdy dotarliśmy do wzgórza, droga zrobiła się kręta. Zatrzymaliśmy się chwiejnie, więc wyciągnąłem nogę, aby nas podtrzymać.

– Będziemy musieli przejść ten kawałek. W przeciwnym razie, gdy będziemy zjeżdżać z góry, nabierzemy prędkości i rozbijemy się na dole – powiedziała.

– Nie sądziłem, że zależy ci na bezpieczeństwie – skomentowałem.

Wywróciła oczami, ale w kącikach jej ust pojawił się lekki uśmiech. Byliśmy tak blisko normalności, jak to było możliwe.

Obydwoje chwyciliśmy kierownicę i prowadziliśmy rower, idąc po jego przeciwnych stronach. Schodzenie ze wzgórza było równie trudne, jak wspinanie się na nie – a może było nawet gorsze. Wil potknęła się przy ostatnim kroku i straciła równowagę. Chwyciłem ją w ostatniej chwili. Ledwo mogłem oddychać, gdy jej plecy przylegały do mojej piersi.

– Ostrożnie – wyszeptałem.

– Dałabym sobie radę. – Poruszyła się nieznacznie i oparła dłoń na biodrze. – O proszę, ty upadniesz następny i wtedy będziemy kwita.

– Nie zamierzam tego testować. Jestem pewien, że coś sobie złamię.

Już miała wsiąść na rower, ale ją ubiegłem.

– Poczekaj, pozwól mi. Tak będzie sprawiedliwie, prawda?

Wymruczała coś w odpowiedzi, ale zmęczenie dawało jej się we znaki. Widziałem to po niej. Nie wyklócała się ze mną. Pedalowałem i ze wszystkich sił starałem się nie skupiać ani na jej dłoniach splecionych na mojej klatce piersiowej, ani na jej głowie, która spoczywała pomiędzy moimi łopatkami. Doskonale do siebie pasowaliśmy.

Jazda na rowerze nie pozwalała nam na ucieczkę od lasu. Byliśmy niebezpiecznie blisko drzew, które ogradzały Pine Point z każdej strony. To miasteczko mogło zagarnąć dla siebie szczyptę cywilizacji, ale lasy nigdy nas nie opuściły.

W oddali, gdzieś pomiędzy martwymi gałęziami, dostrzegłem ruch. Z kniei wyłoniła się wściekła twarz mojego ojca, jego nozdrza poruszały się w ciemności.

Nie mogłem od niego uciec, prawda? Wyśledził mnie nawet w tym miejscu. Miałem nieodparte wrażenie, że mógłbym uciec na koniec świata, a on i tak byłby tuż za mną.

– Elwood – wypowiedział moje imię jak rozkaz. Zatrzymałem rower. Mój umysł spanikował, a ciało znieruchomiało. Zrobił krok do przodu. Wiedziałem, że Wil uderza mnie w plecy i błaga, abym ruszył, ale nie byłem w stanie. – Chodź ze mną po dobroci, a wszystko ułatwię.

Nic tutaj nie było łatwe. Ani trochę. Ale w jego głosie było coś, co nakazywało mi odpuścić kontrolę i przestać walczyć. Coś, co nakazywało mi zrobić to, co zawsze robiłem wobec mojego ojca. Poddać się.

– Elwood! Nie słuchaj go!

Głos Wil wyrwał mnie z transu, a jej przerażenie popchnęło mnie do działania. Poruszyłem się szybciej, niż którekolwiek z nas mogło się tego spodziewać. Rower pędził. Pedalowałem jak szalony, aż poczułem subtelny zapach palonej gumy.

– Skręć ostro w lewo – warknęła Wil prosto do mojego ucha. Jej gorący oddech rozlewał się po mojej skórze. – Teraz!

Pędziłem w przeciwnym kierunku i na jej polecenie rzuciłem się do przodu. Mój ojciec krzyczał za nami, ale ja byłem od niego szybszy. Wkładałem w tę ucieczkę więcej siły niż wtedy, gdy biegłem przez las. Moje mięśnie były wyczerpane, ale zmuszałem się, aby wciąż pędzić.

Podmuchy śniegu wznosiły się i uderzały w nas niczym fale rozbijające się o brzeg.

Nie byłem pewien, jak długo trwała ta ucieczka, ale miałem wrażenie, że zajęła mi połowę życia. Wil prowadziła mnie przez kręte uliczki, przekrzykując wycie wiatru. Na światłach prosto („Naprawdę się zatrzymujesz? Elwood, widzisz tutaj jakieś samochody?”), tuż obok drzewa, na którym wyrzeźbiona jest twarz kobiety – i tak dalej, i tak dalej. Jechaliśmy tak długo, aż niemal padłem ze zmęczenia prosto w zaspę.

– Chyba go zgubiliśmy – powiedziała, gdy minęliśmy światła.

– Na razie – dodałem, a moje ramiona opadły nieznacznie. Wypowiedzenie każdego słowa było dla mnie udręką. – A teraz powiedz mi, gdzie jest ten dom?

– Cóż... Rozglądaj się za Abe Lincolnem<sup>12</sup>. Wtedy skręcisz. – Potem odchrząknęła i wyjaśniła: – Jedziemy do domu przyjaciółki rodziny. Jedna z jej sąsiadek ma złomowisko. Wygląda jak kupa śmieci. Ma gigantycznego Abe'a. Są święta, więc pewnie przebrała go za Świętego Mikołaja. Przychodzi tutaj tylko po to, żeby przebrać go w strój, który akurat pasuje do okoliczności.

I rzeczywiście tak było. Gdy przejechaliśmy na drugą stronę ulicy, Abe wskazywał nam drogę cukierkową laską. Był przykryty śniegiem, ciężko było go rozpoznać. Reszta trawnika była równie okropna. Większość zakryła biała pierzyna, ale niektóre fragmenty złomu wciąż wystawały z zasp.

– Cherry mieszka w tym domu z ciemnym dachem.

– Zdajesz sobie sprawę, że wszystkie dachy są teraz białe? – zapytałem delikatnym tonem, na co ona jęknęła w odpowiedzi.

– Podążaj za moim palcem – powiedziała i drżącą ręką wskazała na trzeci dom z rzędu.

817 Phoenix Wood Lane.

Wjechaliśmy na podjazd i zeszliśmy z roweru. Próbowałem ostrożnie go odłożyć, ale i tak zatonął w morzu śniegu.

Wydeptaliśmy ścieżkę w zaspach. Moje jeansy były przemoczone, a zimno wdzierało się do butów i przesiąkało przez skarpetki, aż te stały się wilgotne.

– Nie zatrzymuj się – powiedziała Wil. – Wolałabym dostać się do środka, zanim odpadnie mi nos albo zanim twoi rodzice nas zabiją.

W końcu dotarliśmy do frontowych schodów. Odgarnąłem tenisówkami część śniegu na tyle, że byłem w stanie zauważyć wycieraczkę. Miała kolor intensywnego fioletu, który przełamywały dwa słowa: NIE ZAPRASZAM.

# Rozdział osiemnasty

## Wil

Drzwi do domu Cherry były solidne.

Gdyby było inaczej, już rozpadłyby się na pół. Uderzałam w nie z całej siły. Na zewnątrz było po prostu lodowato. Nie dało się tego znieść. Wiatr smagał moje policzki, aż przybrały kolor piekącej czerwieni. Starłam się walczyć z własnymi włosami, ale one wciąż plątały się wokół mnie w nieładzie. Nawet oddychanie nie było łatwe.

– No dalej, Cherry!

Odkąd dotarliśmy do jej domu, mój telefon bez przerwy wibrował.

Jedno nieodebrane połączenie... Dwa nieodebrane połączenia... Piętnaście nieodebranych połączeń.

Tata: *Gdzie jesteś? Wil!*

Tata: *[IMAGE\_0164]*

Tata: *Natychmiast do mnie oddzwon! Wilhelmina!!!!*

Wiem, że to plasowało mnie jako Najgorszą Córkę Wszechczasów, ale nie mogłam w tej chwili wysłuchiwać jego szalonego tonu. Wszystkie te nieodebrane połączenia na telefonie mamy, ta sama nerwowa energia, która biła od niego jak prąd elektryczny.

Obiecałam sobie, że później się na nim skupię.

Za drzwiami rozległ się tupot łapek, drapanie o drewno i przeciągłe „miauuu” kota Cherry – Starlight. Potem nastąpiła sekunda zawahania. Cherry spojrzała na nas przez wizjer, upewniając się, czy aby na pewno nie jesteśmy właścicielem sklepu na rogu, który w końcu ją złapał. Następnie przesunęła zasuwę. Zmyła makijaż, ale resztki niebieskiego cienia do powiek wciąż przylegały do jej skóry, jakby wsiąknęły w nią już na zawsze.

Chwyciła Starlight pod ramię. Kot spojrzał na Elwooda i zmrużył swoje zazwyczaj wyłupiaste oczy. Zastanawiał się, czy powinien go nienawidzić, czy nie.

– Wil! – Głos Cherry oscylował pomiędzy zaskoczeniem, dezorientowaniem i zmartwieniem. Odchrząknęła, a jej wzrok na ciężką i pełną niepewności chwilę opadł na Elwooda. Jej uśmiech nieznacznie zmaleł i zamienił się w surową linię warg. Rzuciła mi ostre spojrzenie... Dobrze pamiętałam jej ostrzeżenie. Jednak powinna już



wiedzieć, że słuchanie się poleceń i rad nie było moją mocną stroną. Odkaszlęła i powiedziała: – Macie szczęście, że moje tabletki nasenne nie działają.

– No dalej, wpuść nas, proszę. Nie mamy na to czasu – powiedziałam, rzucając pośpieszne spojrzenie przez ramię.

Podążyła za moim wzrokiem na przestrzeń za trawnikiem, w stronę zimnej i opustoszałej ulicy. Przez chwilę wpatrywała się w linię drzew, aż nagle spojrzenie jej czujnych, niebieskich oczu przeniosło się na Elwooda. Coś na kształt przerażenia wymalowało się na jej twarzy. Wpatrywała się w niego z intensywnością naukowca, który ogląda okaz przez mikroskop.

– Czym ty jesteś?

– Człowiekiem. – W jego głosie słychać było pełne drżenia wahanie.

Skrzywiła się na te słowa. Nie była przekonana, ale mimo wszystko ustąpiła. Strzeliła palcami i spojrziała na mnie.

– Skoro tak twierdzisz. Wejdźcie. Mógłbyś być Wielką Stopą, ale skoro Wil ci ufa, to ja również. – Zaprosiła nas do środka, wykonując gest kościstym nadgarstkiem. Drzwi stanowiły pożądaną barierę pomiędzy nami a przejmującym zimnem. – Obiecuję, że Starlight nie gryzie zbyt mocno... cóż... na pewno ugryzie cię przynajmniej raz, ale w ten sposób okazuje czułość. – Jej głos był dziwnie napięty, ale nie było w nim już strachu.

Aby rozładować napięcie, uniosłam ramię i wskazałam na ślad na mojej skórze.

– Daj się ugryźć i dołącz do klubu. – Mój żart nie okazał się najlepszy.

Dom Cherry był jej idealną karykaturą – pod sufitem wisiały saszetki suszonych kwiatów i ziół, a wyraziste dywany leżały obok siebie jak niedopasowane elementy układanki. Ściany były pełne osobliwości. Na jednej z nich wisiało lustro, przypominające kocie oko – znalazła je w śmieciach swojej zmarłej sąsiadki – szklana gablotka z rzeczonymi kamieniami i ładnymi roślinami oraz kapliczka z portretami Morticii Addams.

– O mój Boże – powiedział cicho Elwood.

Szturchnęłam go w żebra, ale prawdę mówiąc, nie mogłam go winić.

Dom Cherry był absolutnie szokujący.

– Usiądźcie tutaj. Wyglądacie jak dwa sople lodu. – Zaprowadziła nas w stronę ciemnofioletowych poduszek. Kanapy można było zobaczyć w domach normalnych ludzi, ale Cherry taki mebel byłyby nie do pomyślenia. Zamiast tego usiedliśmy na szeszlunku przyozdobionym wijącym się, drewnianym oparciem. Był wyłożony aksamitem, a jego wykończenia pomalowano na złoto. Jedynym powodem, dla którego wiedziałam, co to jest, był fakt, że odbyliśmy na ten temat poważną rozmowę.

– Znalazłam tę małą damę w drodze na wysypisko. Ludzie nie mają gustu.

Cherry nie miała telewizora. Twierdziła, że słyszy niski impuls zakłóceń elektrostatycznych z odległości mili. W jej salonie był tylko szeszlony, stół na kawę zrobiony z ciemnego drzewa orzechowego, wiktoriańskie krzesło i kilka małych stolików, które stały tam tylko po to, aby pomieścić ogromną liczbę świec.

– Pamiętaj, żeby zamknąć drzwi – przypominałam jej.

– Nie martw się o to, dzieciaku. Mam ochronę. – Jej śpiewny głos dobiegł z kuchni.

– Dobra, sama to zrobię – powiedziałam i przesunęłam zasuwę.

Gdy ponownie dołączyłam do Elwooda, światło zadrgało. Blask skwierczał i migotał w żarówkach, aż małe świece zapłonęły w szkle. A potem nastąpiła ciemność. W ciągu kilku sekund rozświetlona przestrzeń zanurzyła się w mroku.

Starlight zeskoczył z ramion Cherry. Potem usłyszeliśmy przekleństwo dobiegające z kuchni. W całym domu padł prąd. Gdyby to było jakiekolwiek inne mieszkanie, zwłaszcza takie, w którym zazwyczaj zaciąga się zasłony, zatonęlibyśmy w ciemnościach. Ale ratowały nas długie, szpiczaste świece ułożone na przemian w odcieniach czerwieni i czerni oraz te zamknięte w przydymionych szklankach. Była to na tyle duża kolekcja, że każdego strażaka mogłaby przyprawić o zawał serca. Mnie jednak wydawało się to kojące. Przypominało mi o mamie.

– Wszystko u was w porządku? – zawołała Cherry z drugiego pokoju, jej głos był przenikliwy i zmartwiony. Obydwoje wymamrotaliśmy coś w stylu: „Tak, dziesięć milionów świec robi robotę”. Cherry zamruczała w odpowiedzi. Była zadowolona, że żadne z nas nie zrobiło sobie krzywdy w ciemności.

Starlight zaczął węszyć. Przygotowałam się, że zaraz zrobi się opryskliwy i syknie na któreś z nas – sądziłam, że może nawet skoczyć i zaatakować mnie znienacka – ale tak się nie stało.

– Zignoruj go, a zostawi cię w spokoju – mruknęłam.

Gdy adrenalina opadła, na jej miejsce pojawiły się wątpliwości. Elwood nie był człowiekiem – nie do końca. Było w nim coś innego. Bardzo chciałam zapomnieć o tym, co wydarzyło się w domu.

Pamiętałam, że ściany pokryły się pnączami i trawą, zostały zaatakowane przez rośliny. Widziałam, jak oczy Elwooda płonęły czernią, a usta wykrzywiały się w krzyku. Nie wyglądał jak chłopak. Wyglądał jak bestia.

Pokręciłam głową, odpędzając od siebie ten obraz, a potem przyłgnęło do mnie inne wspomnienie. Pocałowałam go. Pocałowałam Elwooda Clarke'a. Przyparłam go do drzewa i pocałowałam go.

Moje policzki płonęły takim szkarłatem jak włosy Cherry.

– Tutaj, kotku – zawołał Elwood, zupełnie nieświadomy mojego stanu. Kot przysunął się bliżej niego w jednym, energicznym susie. Przygotowałam się na to, że Starlight rzuci się na jego twarz, ale tak się nie stało. Zamiast tego, kot wiercił się w kółko na jego kolanach, delikatnie wbijając w niego pazurki i ugniatając go, aż w końcu się na nim położył. Jeśli słuch mnie nie mylił, słyszałam cichy pomruk – głęboki i pełen zadowolenia.

Elwood jedną ręką drapał futerko za uszami kota, a drugą masował jego brzusek. Starłam się odnaleźć w sobie właściwe słowa, ale wydałam z siebie jedynie żalony skrzek:

– Zapomniałam, jak bardzo kochasz te zwierzęta.

– Spędziłem połowę życia, błagając rodziców o kota. – Mówiąc to, zaczęła głaskać Starlight bardziej intensywnie, jakby starał się przegonić myśli. Potem podniósł ton, naśladując głos swojej matki: – Zwierzęta są brudne, Elwood. – Odkaszlnęła, odpędzając od siebie jej ton. – Ale spójrz na niego, wcale nie jest brudny. Nosi nawet sweterek.

Faktycznie, Starlight miał na sobie szorstki, świąteczny kubraczek z napisem: *WESOŁYCH ŚWIĄT, TY PARSZYWY ZWIERZAKU*. Boże Narodzenie już minęło, a Starlight wgrzyzał się w materiał, jakby przy odrobinie wysiłku mógł go zerwać.

– Co nie? – kontynuował Elwood, a kiedy w końcu... w końcu podniósł na mnie wzrok, przełknęłam ślinę, a moje dłonie zadrżały. Na jego twarzy pojawił się rumieniec i zauważyłam, jak jego wzrok ponownie opadł na moje usta.

– Być może jesteście głodni. – Cherry przerwała napięcie, zaznaczając swoją obecność, przez co obydwójce niemal wyskoczyliśmy ze skóry. Postawiła przed nami miskę z prażonymi korzeniami mniszka lekarskiego i podejrzanie wyglądającymi jagodami.

Nie miałam pojęcia, dlaczego oczekiwałam orzeszków ziemnych albo mrożonej pizzy.

– Jesteś pewna, że nie są trujące? – zapytałam, spoglądając z powątpiewaniem na garść jagód. Były równie czerwone, jak wszystko inne, co posiadała.

Wzruszyła ramionami, włożyła jedną z nich do ust i przełknęła.

– Jeszcze mnie nie zabiły.

Chyba byłam gotowa podjąć to ryzyko. Wgrzyłam się w jagodę, a Elwoodowi zostawiłam zwęglone korzenie.

– Niemożliwe – westchnęła Cherry, spoglądając tuż obok mnie na Elwooda. – Starlight rzadko podchodzi do obcych. Przekupiłeś go czymś?

– Elwood jest kocim zaklinaczem – powiedziałam ze śmiertelną powagą.

Zamrugała w odpowiedzi.

– Cóż... – powiedziała, sięgając po korzeń mniszka, który następnie wrzuciła do ust, aby się w niego wgrzyźć. – A więc ty jesteś Elwood. Syn sławetnego Clarke’a. Ja nazywam się Cherry Delacroix. Jestem osobistą opiekunką i zastępczą babcią Wil.

Elwood podskoczył na dźwięk własnego imienia. Starlight wydał z siebie sfrustrowane miauknięcie i poprawił się na jego kolanach. W ramach przeprosin Elwood zaczął go mocniej głaskać.

Gdzieś w głębi domu Cherry zegar z kukułką wybił pełną godzinę.

– Jesteś dokładnie taki jak w opowieściach Wil. I tak samo mówiła o tobie jej matka. Wiedziałam kim jesteś, gdy tylko otworzyłam drzwi. Miałaś rację, Wil. Jest całkiem przystojny, czyż nie?

Moja twarz natychmiast się zaczerwieniła. Niemal upuściłam filiżankę na podłogę.

– Przestań kłamać, Cherry!

Elwood spurpurowiał i zachłysnął się powietrzem, słysząc moją błyskawiczną reakcję.

Cherry uniosła kąciki ust w delikatnym uśmiechu.

– Nie martw się, mój drogi. Ta dziewczyna jest uparta, ale nie ślepa. – Zanim miałam szansę coś na to odpowiedzieć, Cherry z głośnym trzaśnięciem odstawiła szklankę na spodek. – Dobra, przejdźmy do sedna.

To uciszyło nas obydwoje. Z trudem przełknęłam ślinę. Potem raz jeszcze.

Dłonie Cherry były pomarszczone i kościste, lakier na jej paznokciach wyblakł, a na każdym palcu były odpryski.

– Nie uwierzysz nam w to, co ci powiemy – zaczęłam.

– Zobaczmy.

Nabrałam głęboko powietrza, a potem wypuściłam je z płuc. Skupiłam się na oddechu, na tym, jak moja klatka piersiowa rytmicznie opadała i się unosiła. A potem opowiedziałam jej wszystko, co się wydarzyło. Była to długa opowieść, przerywana jedynie przez nerwowe wtrącenia Elwooda. Cherry słuchała nas uważnie. Ani razu nam nie przerwała, aby skomentować, że brzmimy jak szaleńcy. Kiwała głową, jakbyśmy przedstawiali jej absolutnie normalną historię.

Gdy skończyłam mówić, a przynajmniej gdy zrobiłam przerwę na oddech, Cherry odczekała chwilę, po czym powiedziała:

– Intuicja twojej matki była niesamowita. Uważałam, że to, co robiła, było niebezpieczne i ostrzegałam ją, żeby trzymała się od tej sprawy z daleka. Ale to jest coś, w czym jesteście do siebie takie podobne. Jesteście niemożliwie uparte. Wiedziała, że jeśli tylko zorientuję się, w czym macza palce, to natychmiast jej tego zabronię. – Usta Cherry zadrżały z emocji. Podałam jej plik kartek, a ona przesunęła

palcami po piśmie mamy. Coś złagodniało w wyrazie jej twarzy. – I spójrz, gdzie ją to zaprowadziło.

Za oknem salonu niebo było pełne gwiazd, a światło księżyca wpadało przez szpary pomiędzy zasłonami.

– Mama to zaczęła, a my musimy to zakończyć, Cherry. Pomożesz nam go uratować?

Cherry rozmasowała swoje skronie, starając się odpędzić narastający ból głowy.

– Jeśli nie masz nic przeciwko, chciałabym porozmawiać z Elwoodem sam na sam. Wiesz, jak to jest. Jeśli w pomieszczeniu unosi się zbyt wiele aur, dostaję potwornej migreny. Niby jest was tylko dwójka, ale... Boże... wasza energia jest taka intensywna.

– Ale ja... – zaczęłam.

– Chcesz, żebym wam pomogła, co nie? – zapytała zaczepnie.

– Tak – jęknęłam. Spuściłam głowę, jakbym znowu miała pięć lat, a Cherry kazała mi pójść do mojego pokoju.

– Może zajmiesz się czymś na dole? – zasugerowała i lekceważąco machnęła na mnie ręką. – Co powiesz na drzemkę? Boże, naprawdę potrzebujesz snu. Twoje cienie pod oczami są jeszcze gorsze niż moje, a jestem od ciebie ponad dwa razy starsza.

– Kochana jesteś, dzięki. W takim razie pewnie posiedzę sama w piwnicy, podczas gdy ty spróbujesz uciąć sobie pogawędkę z demonem Elwooda.

Posłała mi całusa, na co ja wywróciłam oczami i wyszłam z salonu. Przerazenie ogarnęło mnie dopiero, gdy byłam w połowie schodów.

*Demon Elwooda.*

# Rozdział dziewiętnasty

## Elwood

Pani Delacroix była jak wiktoriański duch, który nawiedzał ten dom. Miała intensywnie czerwone, zaczesane i starannie ułożone włosy. Bez względu na to, ile razy na nią spoglądałem, miałem wrażenie, że nie jest prawdziwa.

– Widzisz to, co jest we mnie?

– Tak – odpowiedziała bez zawahania. – Gdy spoglądasz na las, wygląda to tak, jakby nagle się zapalało. Trochę jak pies, który drapie w drzwi, aby go wypuścić.

Podświadomie uniosłem rękę do klatki piersiowej i potarłem o nią palcami, jakbym faktycznie mógł wyczuć pazury ducha.

– Jak mam to z siebie wyciągnąć? – wyszeptalem. Wciąż nie byłem pewien, czy to coś mnie słyszało, czy nie, ale byłem przekonany, że zagrożenie było bardzo realne. Pani Delacroix nic nie odpowiedziała. Zamiast tego przeszła do kuchni. Podążyłem za nią i usiadłem na krześle, które dla mnie odsunęła.

Kuchnia nie była aż tak zagracona jak salon. Była znacznie mniejsza, a przestrzeń została zagospodarowana na ziołowy ogródek. Niektóre rośliny wisiały w doniczkach, a ich pnącza wyciągały się w stronę parapetu, w poszukiwaniu światła. Inne stały w rzędach wzdłuż ścian. Na blacie znajdowała się cała armia maleńkich słoiczków. Każdy z nich był wypełniony po brzegi świeżo zebranych ziołami.

– Nie jestem pewna, czy znam odpowiedź na to pytanie – powiedziała. Na jej twarzy malowało się zamyślenie.

Jej słowa zabolaly mnie bardziej, niż mógłbym się tego spodziewać. Staralem się tego po sobie nie pokazać, ale moja reakcja musiała być oczywista. Pani Delacroix opanowała swoje emocje i posłała mi wymuszony uśmiech.

– Myślę, że w tej sytuacji powinniśmy napić się herbaty. Co powiesz na boliwijską czarną?

Odwróciła się, zanim zdążyłem odpowiedzieć, i zaczęła krzątać się wokół miedzianego czajnika. Usłyszałem, jak odkręciła kran, potem rozległo się kliknięcie odpalanej kuchenki.

– Wil o mnie opowiadała? – To pytanie padło z moich ust, zanim zdążyłem je powstrzymać.

Pani Delacroix nie odwróciła się w moją stronę, ale jej plecy zdrząły od śmiechu. Ciepły blask padł na jej włosy, sprawiając, że przybrały niemal pomarańczowy odcień.

Nie zauważyłem tego wcześniej, ale ukryła w nich tuzin małych koralików. Odbijały światło i lśniły w jej lokach.

– Bez końca – powiedziała. To wystarczyło, aby moje wnętrzości zapłonęły. – Bardzo jej na tobie zależało. Tyle mogę ci powiedzieć. Choć wściekłaby się na mnie, gdyby dowiedziała się, że ci o tym powiedziałam.

*Zależało.*

– Chcę, żeby pomiędzy nami znowu było normalnie – wyznałem, wodząc palcem po słojach w drewnie widocznych na stole. – Przedtem byliśmy tak blisko. Nigdy wcześniej się nie kłóciliśmy, ale... Obwiniła moją rodzinę o porwanie. Powiedziałem jej, że jeśli nie wycofa tego oskarżenia, to nie będę mógł się z nią przyjaźnić. I... cóż, myślę, że widzi pani, dokąd to nas zaprowadziło. Od początku miała rację, a teraz wszystko legło w gruzach.

– Obydwoje podjęliście decyzje, które uważaliście za słuszne – wyszeptała pani Delacroix. Czajnik zagwizdał równo z jej słowami. Zanim zdążyłem zmienić wyraz twarzy, ona kontynuowała: – Zdradzę ci sekret, dzieciaku. Nie jestem jeszcze starą wiedźmą, ale mam na tyle lat, aby znać się na pewnych sprawach. – Wyłączyła kuchenkę i przygotowała dla nas dwie niepasujące do siebie filiżanki. Potem zaczęła, aż herbata się zaparzy, aby podać ją do stołu.

Skinąłem głową w podziękowaniu i powiodłem palcem po uchu filiżanki. Były na niej namalowane muchomory – równie czerwone, jak jej włosy – a na ich kapeluszach siedziały ciemnozielone żaby.

– Dorastając, każdy z nas popełnia milion błędów, ale zawsze znajdzie się ten jeden, który nas dręczy. Coś, czego bardzo żałujesz, ale nie możesz tego naprawić ani zmienić. Wy dwoje myśleliście tylko o sobie. Nie ma w tym nic złego, ale nic dobrego również z tego nie wynikło. – Przerwała, aby zrobić duży łyk. – Każdy z nas widział drzewa, które wyrosły w dziwnych miejscach. Wygięte i wypaczone przez ich otoczenie. Błędy pomagają nam dojrzewać. Ani ty, ani Wil nie jesteście tymi samymi ludźmi, którymi byliście rok temu. I za rok również będziecie inni. Ja jestem kimś innym niemal każdego ranka. – Mrugnęła do mnie. – Zakładając oczywiście, że uda mi się zasnąć pomimo bezsenności.

– A więc wciąż jest nadzieja? – wyszeptałem.

– Nadzieja nie umiera – odpowiedziała i nonszalancko wzruszyła ramionami. – Mimo że te słowa brzmią wyświechtanie.

Powiodłem palcami po krawędzi filiżanki. Herbata falowała jak powierzchnia stawu, w który ktoś cisnął kamień.

– Dziękuję, proszę pani. Potrzebowałem to usłyszeć.

– Przestań mówić do mnie „pani” albo „pani Delacroix”. To nonsens. Mów do mnie po imieniu.

Skinąłem głową, a ona uśmiechnęła się szczerze.

– Zabawne – powiedziała niespodziewanie, wpatrując się w odbicie w swojej filiżance. – Gdy się smucisz, rośliny wokół ciebie więdną i obumierają, ale gdy tylko znajdujesz ukojenie, one na powrót odżywają. Rozejrzyj się po kuchni.

Podniosłem głowę, przygotowując się na to, co zobaczę. Pnącza oderwały się od ściany i zaczęły rosnać w moją stronę. Wyciągały się, a ich czubki niemal dotykały mojej skóry. Każde z nich śpieszyło się, aby mnie objąć, owinać się wokół mojego ciała i zagarnąć mnie dla lasu.

Gdy zadrzałem, one również drgnęły i opadły bezwładnie, by następnie na powrót przylgnąć do ściany.

– Byłbyś świetnym ogrodnikiem, dzieciaku – parsknęła Cherry.

Nie powstrzymałem śmiechu, a rośliny dołączyły do mojej radości. Pąki kwiatów otwierały się i zamykały jak małe usta. Widząc to, natychmiast ucichłem i z powrotem spojrzałem na filiżankę. Herbata miała kolor głębokiego bursztynu. Był to wystarczająco ciepły odcień, aby odpędzić zimno, które zadomowiło się w moim ciele. Przylgnąłem do tego wrażenia, a dreszcz przebiegł po moich ramionach. Pierwszy łyk był łatwy. Miał orzechową, głęboką barwę, trochę jak gęsty las, który rozciągał się dookoła nas.

– A więc przypuszczam, że powinniśmy rozłożyć karty tarota, czyż nie? – Cherry zastukała długimi paznokciami w ceramiczną filiżankę, wzbudzając serię głośnych dźwięków. – Powiedz mi najpierw, o czym myślisz?

Miałem nieśmiałe podejrzenia, że miała wgląd w mój umysł.

– O zbyt wielu rzeczach, aby móc ująć to słowami – wyznałem, starając się zrozumieć mętlik w głowie. Pierwszym obrazem w moich myślach była jednak uśmiechnięta pani Greene. Widziałem jej notatnik z fioletowymi spiralami i jasne wstążki, które codziennie upinała we włosy. Nie zauważyłem, jak z każdym dniem uśmiech zniknął z jej twarzy. Nie zauważyłem, jak strach rósł w jej oczach. Wiedziała o mnie. Przez cały ten czas wiedziała. – Czuję się... winny. Pani Greene umarła przeze mnie.

Cherry spuściła wzrok na stół.

– Sophie wiedziała, w co się pakuje. Sama dokonała tego wyboru.

– Nieustannie się zastanawiam, czy to wszystko zniknie, jeśli wystarczająco mocno się skupię – powiedziałem.

Zauważyłem, że kwiaty wokół mnie uniosły się nieznacznie i zaczęły więdnąć. Płatki pomarszczyły się i opadły na podłogę. Umarły. Umarły przeze mnie. Część



domu Wil została zrównana z ziemią przez mój dotyk. Pamiętałem strach w jej oczach.

– Możesz z tym porozmawiać? – zapytała Cherry, odwracając moją uwagę od zniszczeń, które spowodowałem.

– Porozmawiać?! – krzyknąłem. – Nie chcę z tym rozmawiać. Chcę, żeby to zniknęło.

Ta świadomość dotarła do mnie w bibliotece. Była jak iskra. To subtelne bicie serca, które dudniło równo z moim. *Badum, badum, badum*. Wówczas miałem wrażenie, że nie jest to coś poza moją kontrolą. A potem przypomniałem sobie tę sytuację na imprezie, gdy miałem zawroty głowy i zwymiotowałem ćmę. Następnie, gdy stałem w łazience Wil i patrzyłem w lustro. Widziałem robactwo, które wpełzało ze ścian, a moja twarz przemieniała się w coś obcego. Wówczas to była tylko mała sadzonka, coś co jeszcze nawet nie wyrosło z ziemi. Coś, co nie nabrało jeszcze siły.

W motelu było zupełnie inaczej. To coś rosło i stawało się nienasycone. Dwa ciała, które dzieliły jedną skórę. Czułem, jak rozpalało się i rozkwitało. A gdy przejęło nade mną kontrolę, pojawiło się poczucie nicości. Wystarczyła sekunda, aby wbiło moje palce w podłogę i zniszczyło wszystko, co stanęło mu na drodze.

Jedna nieszczęsna, tragiczna sekunda. Potwór nie potrzebował nic więcej.

Cherry wzięła duży łyk.

– Czy ci się to podoba, czy nie – zaczęła – to coś żyje w tobie, Elwood. Powinieneś przynajmniej dowiedzieć się, z kim dzielisz ciało.

*Z kim dzielę ciało.* Ta myśl, przywołała niepokojące wyobrażenie – z mojej szyi wyrastała druga głowa, połowa mojego ciała należała do mnie, a druga była zupełnie poza moją kontrolą.

– Nie chcę – warknąłem. Przekląłem samego siebie za to, że czułem złość. Dawniej moja cierpliwość nie miała końca. Mogłem być kopany, uderzany, mogli się nade mną znęcać. Brian Schmidt dręczył mnie latami, a ja to wszystko tolerowałem. Pochylałem głowę i liczyłem na to, że wszystko szybko ucichnie. A teraz wściekłość wypływała ze mnie niczym z puszek Pandory, i nic nie wskazywało na to, aby niedługo miała się skończyć.

Bąłem się, co mógłbym zrobić, gdyby Brian ponownie mnie uderzył. Może straciłbym nad sobą panowanie. W przeciągu sekundy ogarnęłaby mnie ciemność. Jedna sekunda ciemności – tylko tyle było trzeba, aby pnącza zaczęły wić się po jego ciele.

– Myślę, że to bardzo ważne, abyś to zrobił. – Cherry lekko wzruszyła ramionami. Wydawała się nie zważać na mój wybuch i przypuszczałem, że to dzięki Wil. – Mogę

pomóc ci odkryć, co się w tobie kryje, ale to nie będzie łatwe. No dalej, może dasz się przekonać?

Zmusiłem się do delikatności. Zmusiłem się do zachowywania się jak osoba, za którą się uważałem.

– Nie rozumiesz, to jest niebezpieczne.

– I stanie się jeszcze bardziej, jeśli nie nauczysz się tego kontrolować – powiedziała.

Odsunąłem się od niej gwałtownie. Zagryzałem usta tak mocno, aż poczułem na nich smak krwi.

– Nie wiem nawet, jak miałbym to zrobić.

Cherry jednym zamaszystym ruchem nakazała mi zamknąć oczy.

– Wyobraź sobie, że jesteś na zewnątrz i prosisz, aby ktoś wpuścił cię do środka. Tak jak wtedy, gdy stałeś przed moimi drzwiami.

Pod powiekami widziałem jedynie wirującą ciemność.

Wyobraziłem sobie bestię, która czai się za ciężkimi, drewnianymi drzwiami – potwora uwięzionego w odmętach mojego umysłu. Ciemność wdzierала się przez szczeliny i gromadziła się u moich stóp. Zza bariery dochodził trzepot potwornie dużych skrzydeł.

Dźwięk nie ustawał, jego głos był niezrozumiałym, owadziim brzęczeniem. To trwało tylko kilka sekund, ale sekundy zaczęły przypominać minuty, a potem godziny. Czekałem, aż wydarzy się coś więcej, aż przeszłość wypłynie na powierzchnię i uwięzi mnie pod swoim ciężarem. Aż ciemność zagarnie mnie całego i wszystko zrujnuje.

Ale jakimś cudem tak się nie stało. Mrok wycofał się, a drzwi pozostały nienaruszone.

Zaczerpnąłem powietrza i gwałtownie otworzyłem oczy. Wreszcie byłem wolny. Minęła dłuższa chwila, zanim byłem w stanie coś powiedzieć, a gdy w końcu odnalazłem słowa, wydyszałem:

– Nigdy więcej tego nie zrobię.

Cherry nie patrzyła w moją stronę. Rozkładała na stole rząd kart. Wyglądały niemal jak normalna talia, ale wiedziałem, że są specjalne. Rewersy kart zostały ręcznie pomalowane w kolorze burzowej szarości, która była tylko nieznacznie jaśniejsza od czerni.

– Dlaczego w międzyczasie nie mielibyśmy zapytać kart o tę sytuację? – powiedziała. – Śmiało, zadaj pytanie.

Przygryzłem wewnątrz policzka i docisnąłem dłoń do klatki piersiowej, starając się ukoić rozszalałe serce.

– Jakie pytanie miałbym zadać? – Tak wiele wątpliwości plątało się po mojej głowie.

Oparła twarz w zagłębieniu dłoni.

– Jakie tylko chcesz. Ale dla twojego dobra może przejść do sedna.

Przełknąłem ślinę.

– Co się ze mną stanie? – Patrzyłem na nią, szukając wsparcia, ale Cherry w odpowiedzi skinęła jedynie głową. Nie zrobiła nic, co wskazywałoby na to, czy postąpiłem dobrze, czy źle.

Machnęła ręką w stronę talii.

– A teraz najważniejsza część. Wybierz, które karty do ciebie wołają i przysuń je w moją stronę.

Wołają? Spoglądałem na nie przez chwilę. Wszystkie wyglądały identycznie. Nie było na nich żadnych zagięć, odprysków farby ani nic innego, co by je rozróżniało. Drgnąłem w stronę tej, która leżała po mojej lewej, ale wówczas moje palce znieruchomiały w akcie zawahania. A co jeśli za dużo nad tym myślę? Co jeśli przez przypadek wybiorę jakąś fatalistyczną kartę?

Zamknąłem oczy, wyciągnąłem rękę i przesunąłem w przód losowe karty.

Potem Cherry powiedziała mi, abym otworzył oczy i spojrział na talię.

– Już? – zapytała zamyślnym tonem.

– Już.

Następnie odwróciła je wierzchem do góry. Jedną po drugiej. Zamiast patrzeć na karty, obserwowałem, jak jej oczy stopniowo robiły się coraz większe, jak gdyby patrzyła na coś złowieszczego.

– Dzieciaku, to Wielkie Arkana.

– Czy... czy to źle? – W końcu zadałem to pytanie, które cały czas chodziło mi po głowie. – Muszę wybrać kolejne karty?

– Nie. Te karty wybrały cię nie bez powodu. Wiesz, kilka Wielkich Arkanów to zasadniczo nic złego... Karty mają dziś wiele do powiedzenia. Zapewne problem wielkiej wagi wymaga kart, które niosą podobny przekaz. – Oparła paznokieć na pierwszej karcie, którą odwróciła. Obrazek wyglądał całkiem przyjemnie. Zauważyłem na nim błękitne niebo, zieloną trawę i dwa psy, które czekały na chmury.

– Księżyc – wyjaśniła, stukając w tytuł karty. – Wybrałeś tę kartę jako przedstawienie swojej obecnej sytuacji.

– Co to oznacza? – Skoro to było odzwierciedlenie mojej obecnej sytuacji, nie mogło być niczym dobrym. Czekałem, aż Cherry wypowie dokładnie te słowa.

– Oznacza, że krążysz w kółko, że jesteś zagubiony.

Moja matka spaliłaby tę talię, gdyby dowiedziała się, że o cokolwiek się jej zapytałem. Przełknąłem z trudem ślinę.

– Tarot nigdy nie kłamie – powiedziała Cherry i zaśmiała się, ale jej ton był dziwnie opiekuńczy. – Teraz czas na kartę problemu – powiedziała i wskazała na kolejną z nich. – Ta odzwierciedla wyzwanie, któremu starasz się sprostać.

Nie musiała mi tego wyjaśniać. Wpatrywałem się w nieszczęsną kartę i bez problemu mogłem ją rozszyfrować. Przedstawiała kościotrupa, który przechodzi po zwłokach na polu bitwy. Pod spodem widniał tytuł: *Śmierć*.

– Nieważne. Nienawidzę tego. – Skrzywiłem się, jeszcze zanim Cherry zdążyła powiedzieć cokolwiek na ten temat. Śmierć nie mogła oznaczać niczego dobrego.

– Karty Śmierci nigdy nie należy lekceważyć – przyznała, choć przyłapałem ją na tym, że wywróciła oczami, widząc mój dramatyzm. – Ale nie zawsze oznacza ona fizyczną śmierć. To jest... hmm... swego rodzaju metamorfoza. A poza tym w połączeniu z Księżycem oznacza światło na krańcu tunelu, pewnego rodzaju rozwiązanie. Ale tak, w skrócie można powiedzieć, że musisz sobie poradzić z nadchodzącą transformacją.

Transformacja brzmiała jeszcze gorzej niż śmierć. Wyobraziłem sobie, jak moja skóra odchodzi od kości, usta wydłużają się w ostre szczypcy, a oczy stają się wyłupiaste. Ciemność zagarniała każdą cząstkę mnie.

Cherry kontynuowała, jakby to nic nie znaczyło.

– Twoja przeszłość jest wyrażona jako odwrócone Dziesięć Pucharów. W skrócie jest to po prostu złamana rodzina. Zabawne, że odwróciłeś tę kartę dołem do góry, bo normalnie oznacza ona „szczęśliwy dom”. Najwyraźniej nie jest tak w twoim przypadku. Twoja przyszłość jest wyrażona jako Głupiec.

– Dlaczego te karty mnie nienawidzą?

Uśmiechnęła się, słysząc moje pytanie.

– Głupiec oznacza nowy początek – wyjaśniła. – Oznacza, że musisz zrobić nowy krok w jakimś kierunku. Teraz tkwisz w potrzasku, ale musisz dokonać wyboru. A ten wybór jest koniecznością. Następnie mamy kartę, która ma ci doradzić, co powinieneś zrobić. Odwrócona Ósemka Mieczy. Teraz, gdy masz jaśniejszy obraz swoich problemów, musisz... z czymś się zmierzyć.

– A jak to się zakończy? – zapytałem, wpatrując się w ostatnią kartę.

Wieża wyglądała najgorzej ze wszystkich kart. Została przedstawiona dokładnie tak, jak sugerował tytuł. Widziałem wysoką wieżę, w której kopułę uderzał piorun, i ludzi wypadających przez otwarte okna.

– Katastrofą. Gdy to wszystko się skończy, dojdzie do wielkiej zmiany. Twoje życie nie będzie już takie samo.

Słowa Cherry odbijały się echem w mojej głowie, gdy schodziłem po schodach. Roztańczony, pomarańczowy blask świec wyznaczał ścieżkę do pokoju gościnnego.

Wkrótce wszystko się zakończy. Tak powiedziały karty. Wszystko dokona się w chaosie i płomieniach, moje ciało w ogóle nie należało już do mnie. Moje życie obumrze i rozpocznie się coś nowego. Demon przejmie kontrolę.

Zajrzałem do piwnicy. Całe pomieszczenie, od podłogi aż po sufit, było pomalowane na czerwono. Koronkowe firanki spływały na podłogę niczym krew, toaletka zawijała się, jakby miała parę rogów, a na ścianach wisiały czerwone obrazy przedstawiające płatki kwiatów i wiktoriańskie sukienki. Pokój był wręcz klaustrofobiczny.

I oczywiście Wil wcale nie spała. Siedziała w nogach łóżka i patrzyła na mnie wyczekująco.

– No i? Co powiedziała?

– Jestem niebezpieczny. – Mój głos się załamał. Za mocno zacisnąłem gardło, aż zamieniło się w bolesną ranę. – Ale już to wiedzieliśmy. Uciekanie było błędem, Wil. Wkrótce wydarzy się coś złego. Coś naprawdę, naprawdę złego... I wiesz co? Nie da się tego zatrzymać. – Kolejne zdanie z trudnością precyzyjnie przeliczyło się przez moje boleśnie suche usta. – Może powinienem wrócić?

Zerwała się na równe nogi, podeszła do mnie i oparła dłonie na moich żebrach.

– Twoja rodzina chce cię zabić, El. Zapomniałeś już o tym?

„El”. Dawno nie słyszałem tego zdrobnienia.

Kolejne słowa wypowiedziałem na wpeł szlochając. Był to urywany dźwięk pełen frustracji.

– Może nie bez powodu. Jestem niebezpieczny. Wiesz o tym. – Czarne szpony gładziły moje myśli, krążąc pomiędzy nimi w drażniącym rytmie. Cuchnący oddech demona był tuż przy moim uchu i przypominał mi, że jesteśmy jednością.

– Co, do cholery, powiedziała ci Cherry?

Moje palce już nie drżały, ale gwałtownie dygotały.

– Rozłożyła dla mnie tarota. Karty były złe, Wil, naprawdę złe. Prawdopodobnie nie mogły być gorsze. Ale to nie jest najważniejsze. Widziałaś, co zrobiłem z częścią motelu. Bałaś się mnie. Nie możesz temu zaprzeczyć.

Pobladła.

– Twoje życie ma większą wartość niż to, co powie kilka kart. A jeśli chodzi o motel... To nie byłeś ty. A przynajmniej nie prawdziwy ty. To jeszcze nie koniec.

– Zakończenie było znane od samego początku. To, co powiedziałem Kevinowi i Lucasowi, było prawdą... Moje życie nigdy nie należało do mnie. Od kiedy tylko się urodziłem, wszystko zostało zaplanowane przez moich rodziców. Taki jest po prostu mój los. – Głowa zaczęła mi ciążyć, więc schowałem ją w dłoniach. Czułem słony smak potu, który spływał po mojej twarzy. – Powinienem się już do tego przyzwyczaić, ale to wciąż trudne. Nigdy nie przestałem marzyć o normalnym życiu.

Nigdy nie byłem na meczu, na imprezie, niczego nie doświadczyłem. Wracalem do domu i uczyłem się całymi godzinami. I po co? Przecież i tak nie pójdę na studia! Nie mogę nic zrobić. Jestem tylko istotą, którą pragnęli stworzyć moi rodzice.

– Żadna z tych rzeczy nie sprawiłaby, że stałbyś się normalny – wtrąciła Wil. Na jej twarzy malował się grymas. – Normalność nie istnieje...

– Skąd możesz wiedzieć? – Słowa padły z moich ust, zanim zdążyłem je przełknąć. Precyzyjne się przez szczeliny w moich zębach. Zasłoniłem usta dłonią, ale nie mogłem uciszyć samego siebie. Znowu przemawiał przeze mnie ten obcy charakter. Nie przywykłem do tego, że nie miałem żadnej kontroli nad wypowiedzianymi przeze mnie zdaniami. Zawsze czekałem i ważyłem każde słowo, ale teraz moje najgłębsze myśli jakby zerwały się z łańcuchów. – Nie chciałem tego powiedzieć... Przepraszam...

Gdy ponownie się odezwała, jej głos był tak nasączony jadem, że aż się cofnąłem.

– Czy to normalne, że moja matka została zamordowana? Czy to normalne, że mój najlepszy przyjaciel zostawił mnie w momencie, gdy najbardziej go potrzebowałam? Czy to normalne, że troszczę się o niego, mimo że powinnam go nienawidzić?

Dopiero po dłuższej chwili byłem w stanie odpowiedzieć:

– Powiedziałaś, że mnie nienawidzisz. Powiedziałaś, że to, co się między nami wtedy wydarzyło, nie miało żadnego znaczenia.

– Skłamałam – syknęła. – Uwierz mi, nie chcę, żeby to było dla mnie ważne. Wtedy wszystko byłoby o wiele prostsze. Ale... tak po prostu nie jest.

Wil zrobiła krok do przodu, a ja się cofnąłem.

*Nie podchodź.*

Nie mogłem sobie pozwolić, aby mnie to pochłonęło. Nie mogłem tu zostać, miałem w sobie potwora. Pozostanie tutaj oznaczało katastrofę.

– Proszę, Wil. – Błądziłem wzrokiem po jej ciele. Jej kończyny były kruche jak gałązki, skóra na szyi była tak delikatna, tak łatwo pękłaby pod zębami bestii. – Nie chcę, żeby coś ci się stało. Ja... Myślę, że...

*Kocham cię.*

Mój świat zaczął przemieniać się wraz z prawdą. Istniała we mnie od tak dawna, ale stłumiłem ją głęboko w sobie. Teraz, gdy słowa zawisły w powietrzu, czułem się taki odsłonięty. Miałem wrażenie, że moje serce nie leżało już schowane za żebrami, ale rosło na zewnątrz. Należało do Wil. Gdyby tylko zechciała, mogłaby je ze mnie wyrwać i zatopić w nim zęby. Byłem taki bezbronny.

Moja klatka piersiowa aż piekła od bliskości jej ciała. Oddychanie tym samym powietrzem było jak katonga. Nie ufałem sobie ani trochę. W moim wnętrzu zbierała się burza, a Wil z łatwością mogła zostać przez nią pochłonięta. Mogłem ją zranić.

Ale tak łatwo byłoby się w tym zatracić. Zamknąć dzielący nas dystans i pozwolić jej robić, co tylko chce. Nie być już dobrym chłopakiem, ale tym, kim ona chciała, abym się stał.

– Nie powinniśmy – wyszeptałem, ale moje słowa zamiast do niej, były skierowane do tego drżącego uczucia wewnątrz mnie. Do tego nieustannego poczucia grzechu. Nie powinienem tego robić. Spędziłem lata, starając się odepchnąć od siebie to wrażenie, tylko po to, aby ono raz za razem wypływało na powierzchnię. Nigdy nie byłem w stanie tego w sobie zdusić. – To nie...

– Jeśli jeszcze raz powiesz, że to jest niebezpieczne, to naprawdę oszaleję – warknęła. Jej ciało ściśle i pewnie przylgnęło do mojego. Zbyt ściśle i zbyt pewnie. Była przy mnie całą sobą, a ja potrzebowałem jej jeszcze bliżej. Ale jednocześnie chciałem, aby odsunęła się ode mnie jak najdalej. – Bałam się wtedy w motelu. Masz rację. Ale teraz... Teraz już się nie boję, El. Znam cię. Znam cię od zawsze.

Pocałowałem ją mocno i brutalnie.

Pocałowałem ją i poczułem smak krwi. Potem jej zęby boleśnie wbiły się w moją wargę, jej język przesunął po moim języku. Nasz pocałunek był pełen desperacji, wygłodniały, mrozący krew w żyłach, a przy tym był perfekcyjny.

Pocałowałem ją i pragnąłem więcej. Tak wiele więcej, niż mogła mi zaoferować. Ale wiedziałem, że wezmę tylko to, co była w stanie mi dać.

# Rozdział dwudziesty

## Wil

Zmieniał się w każdej sekundzie. Jego ciało było jak rozpadająca się klatka. Byłam o krok od potwora. Wystarczył jeden zły ruch, abym wypuściła go na powierzchnię.

Patrzył na mnie, a ja dostrzegałam jedynie rozkwitające sińce pod jego oczami i przekrwione żyły, które otaczały jego tęczówki. Pod delikatną skórą pokrywającą jego klatkę piersiową czułam coś, co przypominało cierni. Moje usta przyłgnęły do jego gardła. Wgryzłam się w gładką szyję i wykorzystałam do tego wszystkie emocje, które gromadziłam w sobie przez lata. Te pochłaniające, rujnujące mnie uczucia, do tej pory głęboko ukryte.

Przyłgnął do mnie. Poczułam drżenie jego ramion i zauważyłam połyskujące krople potu na jego gardle. Ciekawe, co Cherry pomyślałaby o jego aurze? Wyglądała, jak wirująca czerń z przebłyskami mętnego błękitu połączona z pulsującą czerwienią.

Całowanie go było proste.

Lata temu zapytałam go:

– Lubisz kogoś?

Niczego nieświadoma, opierałam wtedy głowę na jego kolanach i wpatrywałam się w chmury. Były puszyste i pękate, a jedna z nich wyglądała jak Teksas.

– Są jakieś miłostki, o których powinnam wiedzieć? – dodałam.

Moje dłonie pokryte były odciskami, a skóra jego rąk była miękka. Lubiłam je dotykać. Lubiłam, gdy przeczesywał moje włosy. Gdy chwycił kilka kosmyków i plótki małe warkoczyki. Zadrżał, słysząc moje pytanie, emocje wędrowały pomiędzy opuszkami jego palców a skórą mojej głowy, były niczym prąd. Jego uczucia uderzyły we mnie mocniej niż moje własne.

– A ty?

– Ja zapytałam pierwsza – odparłam.

– Może... – Poczułam, jak przełknął ślinę. – Tak, myślę, że tak.

Teraz nie rozmawialiśmy. Opadł na plecy, a ja pochyliłam się nad nim. Odkrywałam jego ciało, domagając się więcej i więcej. Mój. To słowo znowu pojawiło się w mojej głowie. Wydaje mi się, że usłyszałam je, gdy pierwszy raz go spotkałam. Mój.

Uniosłam brzeg jego koszuli i spojrzałam na jego znamię – wzdłuż jego klatki piersiowej widniał idealny półksiężyc. Dotknęłam go bez zastanowienia, przesuając palcem od jednego krańca do drugiego.



Reszta jego ciała była poraniona w inny sposób. Na klatce piersiowej, ramionach i plecach miał tak wiele blizn. Odwrócił ode mnie wzrok, gdy przyglądałam się każdej z nich. To jego rodzice mu to zrobili. Chcieli go zniszczyć, ale im się nie udało. Składałam pocałunki na każdej z blizn, a Elwood drżał pod moim dotykiem. Cichy dźwięk wydobył się z jego ust. Rozłożył palce i zacisnął je na materacu.

Miałam wrażenie, że to delirium. Że za chwilę się obudzę, wykopię dół i pogrzebię w nim to wspomnienie. A może to był koszmar? Tak czy inaczej, nie chciałam tego przerywać.

Spojrzałam na niego, zauważając wszystko to, co się w nim zmieniło, i wszystko to, co pozostało takie samo.

Był w nim pewien rodzaj ostrości, coś szalonego, coś, co ukrywało się głęboko w jego w sercu.

– Więc... – Westchnął. Jego głos był niższy niż zwykle. Sprawił, że to słowo było o wiele bardziej kuszące, niż powinno być. Syk, który wydobył się z jego ust jak wąż pełzający po niskich gałęziach, był jak błaganie, abym zakosztowała jabłka. Elwood był owocem, do którego nie powinnam była się zbliżać, a mimo to moja dłoń wyciągała się w jego stronę, pragnąc go dotknąć i posmakować.

– Więc? – powtórzyłam.

– Musisz coś wiedzieć – powiedział cicho. Każde słowo pulsowało na mojej nagiej skórze. Odsunęłam się. Jego źrenice się rozszerzyły, aż oczy stały się całkiem czarne.

– Powiedziałam ci już, że nie obchodzi mnie, że to jest nie...

Nie pozwolił mi dokończyć. Uciszył mnie, muskając palcem moje usta.

– Gdy pierwszy raz cię spotkałem... – zaczął, wolną rękę trzymając na moim udzie i obsypując pocałunkami moją szyję – ...pomyślałem, że jesteś najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałem.

– Byliśmy w drugiej klasie – parsknęłam, próbując ukryć, że zaparło mi dech w piersiach. Jego wyznanie ścisnęło mnie za gardło.

– Wiem – wyszeptał, a mój śmiech sprawił, że jego puls przyśpieszył. – Ale pamiętasz walentynki? Miałem prezent tylko dla ciebie. Dla nikogo innego.

– Jak mogłabym o tym zapomnieć? – Starłam się nie patrzeć mu w oczy. – Położyłeś na mojej ławce żywego chrząszcza i zapytałeś, czy zostanę twoją żoną.

– Jeśli dobrze pamiętam, odpowiedziałas „tak”.

– Żeby cię uciszyć.

– Potem w siódmej klasie... – kontynuował, a ja w tym czasie zdjęłam z niego koszulkę. Jego palce kreśliły niewidzialną ścieżkę wzdłuż płatka mojego ucha. Jego dotyk był delikatny jak piórko. – Myślałem, że umrę, gdy Riley Moorson zaprosił cię

na randkę. Nienawidziłem go i nie mogłem odgadnąć dlaczego. Poczułem taką ulgę, gdy mu odmówiłaś. Miałem wrażenie, że na nowo nauczyłem się oddychać.

Wkrótce moja koszulka również znalazła się na podłodze. Słowa ugrzęzły mi w gardle.

– A potem pojawiły się sny.

– S... sny?

– Każdej nocy – powiedział drżącym głosem. Jego słowa były nasączone pożądaniem. Usta Elwooda przeniosły się z mojego podbródka na obojczyk, a potem na klatkę piersiową. – Bez wyjątku.

– Jakie sny? – zapytałam, ale chyba znałam odpowiedź.

– Takie, przez które musiałem się modlić – wyznał, a jego głos był głębszy niż kiedykolwiek wcześniej.

Kłamstwo, które powtarzałam sobie przez lata w końcu wyszło na jaw.

*Tylko przyjaciel, tylko przyjaciel, tylko przyjaciel.*

– A potem, gdy zapytałaś mnie, czy kogoś lubię... – Westchnął i wplótł palce w moje włosy, tak samo jak tamtego dnia, choć tym razem zacisnął na nich dłoń. – Nie powiedziałem ci tego wtedy, ale myślałem o tobie. Zawsze byłaś tylko ty. A gdybyś teraz mnie o to zapytała, powiedziałbym, że cię kocham.

Ujął moją twarz w dłonie. Jego pocałunek był jeszcze bardziej nienasycony niż przedtem.

Ledwo za tym wszystkim nadążałam. Mój umysł wciąż przetwarzał jego ostatnie dwa słowa.

– Nie musisz odpowiadać tym samym – zapewnił mnie. Jego delikatny głos wywołał u mnie gęsią skórę. – Chciałem tylko, abyś to wiedziała – powiedział.

A potem zobaczyłam ten jego głupkowaty, chłopięcy uśmiech. Uśmiech, który był potwierdzeniem, że choć tak wiele się w nim zmieniło, niektóre elementy zawsze pozostaną takie same.

Noc nie miała zamiaru się zatrzymywać, a wiatr wył jeszcze głośniejszy niż wcześniej. Elwood stał się mój w każdym znaczeniu tego słowa. Nasze usta, dłonie i ciała leżały splątane. *Kocham go*. Moje serce było gotowe, aby wypowiedzieć te słowa, ale usta wciąż się wahały. Jeszcze nie.

Ale pokazałam mu to, trzepotając rzęsami tuż przy jego ramieniu, całując jego skroń i we wszystkich kolejnych momentach, gdy nasze serca biły jak szalone, a ja wtulałam twarz w jego plecy.

*Kocham cię. Naprawdę, naprawdę cię kocham.*

# Rozdział dwudziesty pierwszy

## Elwood

Gdy tylko zasnąłem, las przyciągnął mnie do siebie.

Drzewa – niegdyś piękne – teraz były brutalne. Zza kory dobiegały krzyki, a pnie były skąpane w nieziemskim odcieniu błękitu. Ciało Wil leżało skulone na listowiu, ściśnięte pod ogromem zielonych pnączy. Bluszcz wgryzał się głęboko w jej delikatną skórę.

Rozejrzałem się, szukając bestii, która jej to zrobiła, ale odnalazłem jedynie własne odbicie. Podobnie jak wtedy – w motelu – tak i teraz wystarczyła tylko sekunda. Wystarczył tylko jeden moment, kiedy potwór był poza moją kontrolą, aby Wil została sponiewierana tak, że nie dało się jej rozpoznać. Las był gotowy, aby ją pochłonąć. Jej ciało było bardziej zielone niż blade, całe pokryte trawą.

Potem sen się przekształcił. Moja podświadomość uniosła się nad sceną i zmusiła mnie, abym spojrzał z góry na to, czym się stałem. Moje odbicie było gorsze, niż się spodziewałem. Ludzka głowa zwisała bezwładnie z szyi, skóra była niebieska jak u wisielca, usta rozwarte, a oczy zwrócone w stronę czaszki. Bestia przejęła kontrolę nad całym moim ciałem. Nie była już pasożytem, ale właścicielem. To musiało się tak skończyć, prawda? Miałem przed sobą tylko dwa scenariusze – albo umrę z ręki własnego ojca, albo będę żył wystarczająco długo, aby się w tym zatracić.

Wil i ja byliśmy ze sobą związani na wszystkie najgorsze sposoby – pnącza wyrastały ze mnie tylko po to, aby się w niej zatopić. Były stworzone do zabijania i tylko na to czekały. Wiedziałem, że Wil umrze, jeśli winorośla zacisną się na niej choć odrobinę mocniej. Ostatkiem sił otworzyła oczy i spojrzała na mnie.

– Zabij mnie. Za... zakończ... to.

I tak też zrobiłem. Zabiłem ją.

Księżyc wisiał na niebie i rzucał światło na dokonaną transformację.

Obudziłem się z drżeniem. Wil wciąż spała, a głęboki sen sprawił, że jej twarz nabrała łagodniejszego wyrazu. Chciała uchodzić za silniejszą, niż była. Za bardziej twardą, odważniejszą. Ale patrząc na nią teraz, nie widziałam żadnej z tych cech. Widziałem porcelanową lalkę o malowanym, delikatnym uśmiechu i o nieznacznie zmarszczonych brwiach. A ja śniłem o... O Boże.

„Myślałeś kiedyś o tym, aby mnie zabić?”

Jedno z pnączy wiło się w stronę jej gardła – takie samo, jakie widziałem w koszmarze. Ale to było w tym pokoju, było prawdziwe i gotowe, aby wycisnąć z niej życie.

– Nie! – Wyciągnąłem do niej ręce, ale nie dosięgałem jej. Pnącze zmieniło kierunek, słysząc dźwięk mojego głosu. Wyciągnęło się w moją stronę. Miało głęboki odcień wilgotnej zieleni. Jedna z odnóg owinęła się wokół mojego nadgarstka, a druga w pieszczotliwym geście przeciągnęła po moim policzku.

Odepchnąłem to od siebie, a moje przerażenie sprawiło, że roślina opadła na ziemię. Potem w mgnieniu oka obumarła, zwijając się w sobie jak martwy pająk. Leżała na podłodze jak coś, co wypełzło z głębin piekła.

Czerwień rozpościerała się na mojej skórze. A we mnie dudniło przekonanie, że tak mogło wyglądać gardło Wil.

Gdybym spał dłużej, pnącza by ją pochłonęły, a wszystko to byłoby moją winą. To, że jej matka umarła, było moją winą. To, że jej motel się zawalił, było moją winą.

Byłem potworem. Nie mogłem nad tym dłużej zapanować. I byłem tak niebezpieczny, jak głosił kościół. Wcześniej zatraciłem się w pożądaniu, ale teraz nie mogłem pozwolić na to, aby moje uczucia wzięły nade mną górę. Musiałem nad nimi zapanować dla dobra Wil.

Zrobiło mi się niedobrze. Uniosłem drżącą dłoń do ust, powstrzymując odruch wymiotowania na dywan.

Nie. Nie chciałem jej skrzywdzić. Kochanie jej było egoistyczne. Było niebezpieczne. Gdy dotknąłem jej w motelu, pobladła jak duch. Odsunęła się ode mnie wtedy z przerażeniem. Nie miało znaczenia, jak bardzo zarzekała się, że wszystko jest w porządku. Nie miało to znaczenia, bo znałem prawdę. W głębi serca naprawdę się mnie bała.

I miała do tego pełne prawo.

Moje ciało było tykającą bombą zegarową.

Gdy wybuchnie, będę musiał być tak daleko od Wil, jak to tylko możliwe.

*Kocham ją.*

I właśnie z tego powodu musiałem zrobić coś nie do pomyślenia. Postanowiłem, że wrócę do ojca, poświęcę swoje życie dla niej. Bo, koniec końców, jakie znaczenie ma to, czy przeżyję, jeśli jej życie będzie w niebezpieczeństwie? Pozostając tutaj, doprowadziłbym do jej śmierci. Nie można trzymać w domu lwa i udawać, że to zwykły dachowiec. Istnieją stworzenia, które mogą zwrócić się przeciwko nam w mgnieniu oka – ja byłem jednym z nich.

Nie było w tym nic zabawnego, a jednak czułem, że chce mi się śmiać. Moja rodzina miała rację. Przerwanie tego cyklu, uratowanie samego siebie... Żadna z tych rzeczy

nigdy nie mogła się ziścić, prawda? Zostało we mnie zasiane ziarno, a korzenie zagłębiły się w moim ciele i urosły. Rodzina wbije mi ostrze w pierś, a moja krew i moje kości zostaną złożone pośród mchu i ziemi. Nie chciałem umierać. Chciałem móc biec tak szybko, aby uciec od samego siebie. Uciec od własnego życia, od własnego ciała i od tego straszego losu.

Ale wiedziałem, że nic nie powstrzyma demona, który we mnie istniał. Gdy jego transformacja się dopełni, moja przemiana stanie się czymś gorszym niż śmierć. I od tego nie było ucieczki. Spróbowałem przygotować się na to, co miało nadejść, ale i tak czułem podchodzące do gardła mdłości. Wybrałem śmierć.

Przeszukałem pokój w poszukiwaniu czegoś do pisania. Po cichu podszedłem do toaletki, szukając długopisu i kartki.

Jednak znalazłem jedynie cienie do powiek we wszystkich możliwych odcieniach błękitu; bezużyteczne, wyschnięte eyelinery; do połowy puste buteleczki z podkładem; róż w kolorze gumy balonowej i kilka tysięcy czerwonych szminek. Chwyciłem pierwszą lepszą szminkę i przyjrzałem się jej. Wyglądała na nową, jeszcze nieużywaną, bo czubek wciąż miała nienaruszony.

Podszedłem bliżej lustra i zacząłem pisać nią jak długopisem. Wydawało mi się to tak okropnie tandetne, że byłem o krok od zakończenia wiadomości XOXO i złożeniem śladu ust na lustrze.

Szminka pękła wraz z końcem wiadomości. Chciałem jeszcze tak wiele przekazać, ale już nie dało rady. Spojrzałem na Wil po raz ostatni i wiedziałem, że ten obraz będzie musiał wystarczyć mi do końca życia.

Ostrożnie oparłem palce na klamce i delikatnie ją nacisnąłem.

Jakimś cudem drzwi otworzyły się po cichu. Malowane oczy – te z portretów wiszących na ścianach – śledziły każdy mój ruch, jakby zastanawiały się, czy na pewno postępuję słusznie.

Ale ja wiedziałem, że nie miałem innego wyjścia.

Nadchodziła zmiana. Katastrofa była nieunikniona. Jeśli obie ścieżki prowadziły do złego zakończenia, powinienem móc wybrać, którą z nich będę kroczyć.

Wspiąłem się po schodach do przedpokoju. A potem – gdy od drzwi frontowych dzieliło mnie tylko pięć kroków – usłyszałem głos dobiegający od strony kanapy:

– Wychodzisz? – zapytała Cherry, niemal zupełnie mnie tym unieruchamiając. Wstrzymałem oddech i odwróciłem się, aby na nią spojrzeć. Mówiła takim tonem, jakby rozmawiała o deszczu, jakby przywoływała nadchodzącą burzę.

Moje palce zastygły na klamce.

– Będziesz próbowała mnie zatrzymać?

Pociągnęła nosem.

– Czy to przez karty?

– Obydwoje wiemy, co nadchodzi. – Cherry wpatrywała się we mnie przenikliwym wzrokiem. – Nie pozwól, aby Wil poszła za mną – poprosiłem, niemal błagając. – Powiedziałaś mi, że każdemu z nas wolno popełnić jeden poważny błąd. Proszę. Pomóż mi nie popełnić kolejnego. Nie wiem, kim się wkrótce stanę. – Słowa, wreszcie wyzwolone z okowów mojego umysłu, prędko wydobyły się z moich ust.

Prychnęła, wstała z fotela i otworzyła mi drzwi.

– Nie jesteś tutaj więźniem. – To zdanie przyniosło mi ogromną ulgę. – To, co robisz, jest lekkomyślne, ale to twoja decyzja. Nie mogę niczego obiecać, ale porozmawiam z Wil. Choć obydwoje wiemy, że nie jest mistrzynią w słuchaniu czyichkolwiek rad.

– Dziękuję – wyszeptałem, przygotowując się, aby przekroczyć próg. Aby opuścić jej bezpieczny dom i wyruszyć w ciemną noc. Aby porzucić resztkę mojego człowieczeństwa.

– Na twoim miejscu wstrzymałabym się z podziękowaniami – powiedziała, a na jej twarzy malowało się poczucie winy. – Obawiam się, że pozwolenie ci odejść będzie moim największym błędem.

Chciałem jej odpowiedzieć, ale las zaczął mnie nawoływać, a ja odpowiedziałem na wezwanie drzew i rzuciłem się w mrok.

## Rozdział dwudziesty drugi

### Wil

– Jak ci się spało...? – Głos ugrzązł mi w gardle. Spodziewałam się, że zobaczę ciemne włosy Elwooda i jego zaspane spojrzenie, ale nie było go obok mnie. Zniknął.

Niemożliwe. Pomyślałam, że pewnie poszedł na górę do Cherry, że popija ciepłą herbatę z czarnego bzu, siedzi przy kuchennym stole i czeka, aż do niego dołączę.

*Albo odszedł.*

Gorzka myśl ponownie zawitała w moim umyśle i przypomniała mi o wydarzeniach minionej nocy. O tej chwili, w której czułam się tak, jakbym szczerze go kochała.

Moja skóra była lodowata, a gardło się zacisnęło. Miałam wrażenie, że owinęła się wokół niego dłoń widmo. Wiatr ucichł, a zamieć nie stanowiła już niekończącej się zasłony bieli. Wszystko dobiegało końca.

A potem mój wzrok padł na wiadomość na lustrze:

*Przepraszam, Wil. Proszę, nie szukaj mnie.*

*E*

Podobnie jak w przypadku mamy, pismo Elwooda również było unikatowe. Kursywa mamy była otwarta, pętle szerokie jak bańki mydlane albo rozpostarte jak hamaki rozwieszane w letnim słońcu. Pismo Elwooda było ciasne i niezachęcające. Puste przestrzenie nie przypominały kółek, a raczej wąskie zakończenia igielnych uszu.

– Ty dupku – przeklełam pod nosem, gdy dotarła do mnie prawda. Trzasnęłam drzwiami i weszłam na górę, przeskakując po dwa stopnie naraz. Niemal wbiłam siebie drzazgę, przeciągając dłonią po poręczu.

– Wil – powiedziała Cherry na przywitanie, choć w jej głosie nie było ani szczypty energii. Jej spojrzenie było wyczerpane, a oczy przekrwione. Musiała nie spać całą noc. A przynajmniej na tyle długo, aby zobaczyć, jak Elwood odchodzi. Prawda była wypisana na jej twarzy.

– Wiedziałaś – oskarżyłam ją, czując gulę w gardle. – A mimo to go nie zatrzymałaś. Zdajesz sobie sprawę, jakie to dla niego niebezpieczne?

– Myślisz, że o tym wszystkim nie wiem? – Otworzyła usta. Moje oskarżenie ją przytłoczyło. Widziałam odpowiedź w jej oczach, jeszcze zanim się odezwała. – Był zdecydowany, aby odejść.

Przebiegłam obok niej i chwyciłam kurtkę oraz szalik z wieszaka. Nie miałam w głowie jeszcze żadnego planu – nic poza tym, że chciałam stąd wybiec i zacząć go szukać. Moja kurtka wciąż była wilgotna, ale wiedziałam, że i tak będzie lepsza niż nic. Raz jeszcze owinęłam wokół siebie szalik. Nie obchodziło mnie, jak zimno było na zewnątrz, nie obchodziło mnie, jak długo będę go szukać. Potrzeba ocalenia go popychała mnie do przodu, była silniejsza niż cokolwiek innego. Miłość. To było takie lekkie uczucie – przylgnęło do każdej mojej myśli, do każdej akcji, którą podejmowałam, a przy tym wsiąkało coraz głębiej w zakamarki mojego umysłu.

Nigdy nie miałam okazji mu tego powiedzieć.

Nagle ręka zacisnęła się na moim ramieniu. Cherry desperacko przyciągnęła mnie do siebie, odciągając od drzwi.

– Co? – warknęłam, choć moje ciało zastygło. Byłam niczym nieruchomy posąg w jej uścisku. Moje serce było równie oziębłe. – Nie mogę stąd wyjść? Nie pozwolisz mi zamarznąć, tak jak pozwoliłaś na to Elwoodowi?

Cofnęła się, jakbym ją spoliczkowała. Jej ręka odsunęła się ode mnie i opadła.

– Najpierw jesteś mi winna rozmowę. Tak samo jak Elwood.

– Co niby masz mi do powiedzenia? – zapytałam, czując się ogromnie głupio, że zaufałam tej dwójce.

– Mam sporo do powiedzenia, jeśli zechcesz mnie wysłuchać.

Każda sekunda oczekiwania przynosiła niebezpieczeństwo. Domyśliłam się, że zapewne już go złapali. Ale jeszcze nigdy nie widziałam, aby Cherry była tak zdeterminowana. Wwiercała we mnie swoje spojrzenie, a jej oczy miały odcień intensywnego błękitu.

– Niech będzie – ustąpiłam. Ramiona Cherry opadły, gdy usłyszała moje słowa, napięcie częściowo zniknęło z jej ciała. – Masz minutę.

– W porządku. Usiądź.

Poszłam za nią do kuchni i opadłam na krzesło, które stało najbliżej mnie. Otaczające nas ściany były pokryte roślinami. Wokół było jeszcze więcej pnączy, niż pamiętałam. Zwisały w najróżniejszych nienaturalnych pozycjach.

– Elwood to zrobił – powiedziała Cherry, wyławiając ze śmieci odłamki szkła.

Potem machnęła kawałkiem czegoś, co kiedyś było talerzem. Był to postrzępiony odłamek w kształcie ciasta. Malowany po bokach wzór niebieskich spirali był wciąż całkiem wyraźny. Ale nie na tym skupiłam swoją uwagę. Z porcelany wyrosła roślina. Po drugiej stronie odłamka rozciągały się serpentyny korzeni. W pewien dziwny sposób wyglądało to tak, jakby kwiat nosił kawałek szkła jako sukienkę. Po prostu rozpościerał się na wskroś.



– To również. – Wskazała na wolne krzesło naprzeciwko mnie, to, które zostało w całości pochłonięte. Żaden fragment nie pozostawał odsłonięty, żadna część nie pozostawała wolna od zachłannego listowia.

– Zupełnie jak w motelu – powiedziałam na bezdechu.

– Ten chłopak należy do lasu. Myślę, że wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek z nas.

– Nie usiadła przy stole. Zamiast tego oparła się całym ciężarem ciała o ścianę. Jej głowa opadła na zieleni. Przez ułamek sekundy bałam się, że Cherry zatopi się w pnączach, że liście owiną się wokół niej i ją uwiężą. – Bardzo mu na tobie zależy, jeśli tego nie zauważyłaś.

„Kocham cię, Wil”.

Cherry rozchyliła usta, aby coś dodać, ale odwróciłam się od niej i wpatrzyłam się w kuchenny stół.

Stała na nim pusta filiżanka po herbacie. Zajrzałam do środka, a na dnie porcelany zobaczyłam liście – złączyły się w jeden duży okrąg. W środku widoczna była wyraźna luka, a w niej uformował się duży kształt, przedzielony trzema wyraźnymi plamami.

Zobaczyłam dwa puste oczodoły i ziejący krater nosa.

– To czaszka – wyszeptałam. Przypadkowe ułożenie liści nie powinno aż tak wytrącić mnie z równowagi. Szybko odstawiłam filiżankę z powrotem na stół. – Na spodzie jest czaszka.

– Co takiego? – Cherry pobladła. Nie patrzyła już na mnie. Wyciągnęła pomarszczone palce i chwyciła filiżankę. Podniosła ją, aby lepiej przyjrzeć się zawartości. – Liście nie powinny się tak ułożyć... Zaraz po tym, jak odszedł, wróżyłam z fusów. Zobaczyłam wówczas wzór w postaci ropuch. Oznaczało to, że na pewno na jego drodze pojawią się przeszkody, ale sam będzie w stanie stawić im czoła. Musiał dowiedzieć się, kim jest.

– A teraz? – zapytałam, choć byłam pewna, że nie chciałam znać odpowiedzi.

– A teraz... nadchodzi śmierć.

Moje krzesło zazgrzytało o podłogę, gdy wstałam. Przysunęłam je z powrotem do stołu, wyprostowałam się i mocno oparłam dłonie na blacie.

– Skoro tak, to marnujemy czas. Być może już jest martwy. – W mojej głowie pojawiło się milion makabrycznych obrazów. Wszystkie skupiały się na Elwoodzie. Wymyślałam niezliczone scenariusze, a każdy z nich był gorszy od poprzedniego. Nie mogłam sobie jednak wyobrazić, że udaje mi się go uratować. Gdy starałam się przywołać ten obraz, w moim umyśle pojawiła się uciążliwa pustka.

Ale to było bez znaczenia. Musiałam stąd wyjść. Wiedziałam, że plan działania wymyślę potem. Cherry nie miała jednak zamiaru odpuścić.

– Wil!

Odwrociłam się w jej stronę po raz ostatni.

– Co teraz? Jeszcze więcej znaków śmierci?

Mój wzrok padł na klamkę. Wyobraziłam sobie, jak palce Elwooda zaciskają się wokół niej, jak otwiera drzwi i wbiega w zamrznięty las. Tak łatwo przychodziło mi oszukiwanie samej siebie, wmawianie sobie, że wciąż widziałam ślady jego obecności, które wsiąknęły w przestrzeń pokoju i wisiały w otaczającym mnie powietrzu.

– Uważasz, że uratujesz go sama? Jesteś tylko ty przeciwko całemu wrogiemu miastu. Nie pomożesz Elwoodowi, próbując samej to wszystko dźwigać. Nie rób tego!

– Rzuciła się, aby chwycić mnie za ramię, ale wyrwałam się z jej uścisku.

Cherry miała rację, ale nie chciałam jej słuchać. Nic dobrego nie wynikło z polegania na innych.

– Sprawa mamy jest wystarczającym dowodem na to, że jeśli chcę, żeby coś zostało wykonane porządnie, to muszę zrobić to sama.

Krzyknęła coś za mną, ale już jej nie słuchałam. Moją odpowiedzią było jedynie trzaśnięcie drzwiami.

Wiedziałam, że muszę zrobić to po swojemu.

# Rozdział dwudziesty trzeci

## Elwood

Pomodliłbym się, gdyby most łączący mnie z niebem nie został spalony. Teraz moje korzenie sięgały piekła. A piekło znajdowało się o krok od mojego ojca.

Wyprostował się, gdy usłyszał, że wróciłem. Drzwi kościoła odśpiewały zapomniany hymn, a każda luźna deska zanuciła szarpaną melodię. Jeszcze kilka dni temu ta muzyka byłaby również we mnie, a ja czciłbym tę samą ziemię. Ale ten czas już minął. Wiedziałem, że była tak samo podła i przegnita jak mężczyzna, który stał przede mną. Gdy odwrócił się w moją stronę, jego lisie oczy rozbłysły mrocznym zdumieniem. Przez cały ten czas rozmyślał, jak dostać się do kurnika, a teraz okazało się, że ofiara sama do niego przyszła.

Tylko że ja nie czułem się ofiarą. Cokolwiek we mnie rośło, było na tyle potężne, że mogło rzucić las na kolana, mogło wyrywać korzenie z głębin ziemi i wskrzeszać martwe rośliny. Mógłbym przywołać świerki z głębi lasu, sprawić, aby pokłoniły się przede mną niczym przed królem, jak wierni przed Bogiem. I właśnie ze względu na tę moc musiałem to zrobić.

– Jestem gotowy, aby się poddać – powiedziałem, starając się, aby mój głos brzmiał spokojnie.

Ojciec ruszył w moją stronę, obie ręce trzymał za plecami. Jego zaskoczenie zniknęło, zamiast tego podszedł do mnie z chłodną kalkulacją. W jego obecności świat wydawał się bardziej mroczny, a w powietrzu unosił się smród lasu.

Patrzył na mnie oceniająco. Potrafił patrzeć tak, jakby zupełnie mnie nie widział, jego wzrok jedynie ślizgał się po mojej skórze jak ostrze.

– Wiedziałem, że wrócisz.

Ależ oczywiście, że tego się spodziewał. Jego potulny syn wreszcie wrócił z podkulonym ogonem i jest gotów podłożyć się do kolejnego uderzenia. Był czas, gdy podziwiałem jego pewność siebie. I sam również chciałem taki być – chciałem nosić na sobie jego cechy niczym za duży płaszcz. Teraz jednak miałem ochotę roztrzaskać to pod podeszwą buta.

Moja wściekłość sprawiła, że z desek podłogowych zaczęły wyrastać ciernie.

– Nic o mnie nie wiesz.

– Doprawdy? – Jego wzrok padł na kolce. – Wiem, że jesteś zbyt ciekawski. Zbyt łatwo dajesz się zwieść pięknym słowom żmii... Powiedz mi, gdzie jest ten twój mały

waż?

Wszystko musiało być wypisane na mojej twarzy. Gdy tylko o niej wspomniał, determinacja zapłonęła w moich oczach, a usta rozwarły się nieznacznie.

*Spraw, aby była bezpieczna. Chroń ją za wszelką cenę.*

– Masz już mnie. Nie potrzebujesz jej – odezwałem się.

Jego śmiech był bardziej oślizgły niż plama oleju.

– Jej matka nie poddała się tak łatwo. Wyrwała się i walczyła jak nieujarzmiona bestia. Założę się, że jej córka jest taka sama. Są wojowniczkami. Trzeba im to przyznać.

– Nie waż się jej dotknąć! – Ziemia drżała przy każdym wypowiedzianym przeze mnie słowie, fundamenty popękały.

Uśmiech zniknął z jego ust. Delektowałem się tym, jak mocno zacisnął zęby i wybałuszył oczy. Spijałem każdą kroplę jego strachu.

Po chwili ciszy zebrał się w sobie. Jego głos był napięty, a ton rzeczowy:

– Potrzebujemy tylko ciebie. Zgódź się na to po dobroci, a oszczędzimy ją i jej żalosego ojca. Gdy ich motel zostanie zrównany z ziemią, nie będą mieli dokąd się udać. Wyjadą z miasteczka i nawet jeden włos nie spadnie z jej ślicznej główki. Z drugiej strony, ty... zabiłbyś ją, gdybyś został.

Nie wiedziałem, czy mogłem mu zaufać, ale nie wiedziałem też, czy miałem jakikolwiek wybór. Wszystkie te wątpliwości dręczyły mnie bez końca i prześladowało mnie wyobrażenie bluszczu owijającego się wokół gardła Wil. Ostatecznie to była słuszna decyzja. Jedyna, jaką mogłem podjąć.

To był powód, dla którego wyciągnąłem swoje nadgarstki i pochyliłem głowę.

– Zabij mnie w takim razie. Miejmy to już za sobą. – Nie wiedziałem, jaką śmierć dla mnie przygotowali. Czy czekała na mnie pętla, ostrze gilotyny przecinające skórę, a może milion kamieni, które przygniotą pierś. Powtarzałem sobie, że bez znaczenia był fakt, co stanie się z kościołem po mojej śmierci. Zależało mi tylko na bezpieczeństwie Wil.

Ale ojciec nie zamachnął się na mnie.

– Jeszcze nie czas. Chodź za mną.

Skinieniem głowy wskazał, abym ruszył za nim. Obydwoje wiedzieliśmy, że pójde dobrowolnie jak więzień, który chętnie siada na krześle elektrycznym. Droga do ołtarza nie była długa. Nie było tutaj dość miejsca dla mieszkańców miasteczka i ich dzieci, nie wspominając już o samym Bogu. Mój ojciec szarpnął za mównicę. Zawsze wydawała mi się czymś tak świętym, aż nazbyt istotnym, aby można było szturchnąć ją ubłoconym butem. Okazało się, że przez cały ten czas, podczas każdego kazania, na

którym byłem, mój ojciec stał tuż przy tajnej komnacie znajdującej się pod jego stopami.

Szarpnął za klapę, otwierając ją, a potem krok po kroku poprowadził mnie w głąb ziemi.

Stanąłem na zamarzniętym, ubitym gruncie. Kontrastował on z płomieniami strachu, które paliły moje wnętrze. Wokół niewiele było widać, przestrzeń oświetlało tylko kilka świec, które wisiały nad naszymi głowami. Powoli sączył się z nich воск, a jedna z kropel niemal spadła na moje ramię. Cofnąłem się gwałtownie, a potem rozejrzałem się. Był to jednak błąd.

Po mojej lewej stronie leżał szkielet. Czaszka była pęknięta, złamana na pół, jakby ktoś uderzył ją czymś ciężkim. Odkoczyłem tak daleko, jak tylko byłem w stanie, ale wpadłem na kolejne szczątki. Ten tunel był nimi usiany.

– Co to jest?

Na twarzy mojego ojca pojawił się paskudny uśmiezek. Podszedł do mnie na tyle blisko, że poczułem na sobie jego oddech. Uniósł mój podbródek i zmusił mnie, abym na niego spojrzał. A ja ujrzałem więcej, aniżeli chciałem – obłąkane, przekrwione oczy, zmarszczki pokrywające jego skórę i brudne półksiężycy dziąseł.

– Na pewno się domyślasz. – Jego słowa wspięły się po mojej skórze i wpełzły do moich uszu. Coś kapało z glinianego sufitu, a po ścianach spływała wilgoć. Krople lądowały w kałuży, która rosła tuż przede mną. – Te tunele rozciągają się pod całym lasem. Wszystkie te drzewa należą do nas. Zawsze tak było.

Słyszając to, miałem wrażenie, że zanurzam się w lodowatej wodzie, która pochłania mnie od stóp do głów. Nagle zrozumiałem, dlaczego w lesie unosił się taki smród. Dlaczego w całym mieście panował przytłaczający, zgniły odór zmieszany z wilgocią ziemi. Ojciec chciał pogrzebać mnie w głębinach, jeszcze niżej, niż sięgały korzenie drzew – w miejscu, do którego nie docierało słońce.

Przyprowadził mnie na mój grób.

– Dlaczego? – zapytałem błagalnym głosem, a mój strach wywołał na jego twarzy szeroki uśmiech, który wyglądał jak ostrze noża. Wcześniej, gdy staliśmy razem w kościele, szala władzy na krótką chwilę przechyliła się na moją stronę. Ale teraz ojciec był podekscytowany, że udało mu się odzyskać kontrolę. – Jestem twoim synem. Jak mogłeś? Jak mogłeś patrzeć mi w oczy i wiedzieć, że tak to się skończy?

Milczał, przez chwilę trawił moje słowa, a potem wybuchnął śmiechem. Zgiął się wpół, w kącikach jego oczu pojawiły się łzy. Otarł je i postarał się złapać spokojny oddech.

– Zawsze zastanawiałeś się, jaki jest cel twojego życia. A ja odpowiadałem ci, że każdy z nas ma jakieś powołanie. A teraz, chłopcze, poznałeś swoją ścieżkę. To jest

twoje ostateczne powołanie, Alderwoodzie. Twoje i wszystkich innych. – Nagle przestał się śmiać. Na jego twarzy malowała się wściekłość. – Gdybyś tylko był wystarczająco godny. Gdybyś tylko był lepszym synem. Gdybyś pokładał większą ufność w Bogu... Być może wówczas twoja matka zostałaby wybrana na drugiego syna. Ale nie, teraz nadeszła kolej Vreesa. On będzie nową „Prawą Ręką Boga”. Ot tak straciłem osiemnaście lat władzy.

Pchnął mnie na ścianę tak mocno, że straciłem oddech. Przez te wszystkie lata byłem przekonany, że wyglądamy dokładnie tak samo, ale teraz różnice pomiędzy nami były wyraźniejsze niż kiedykolwiek. Nasze oczy miały ten sam zielony odcień, ale jego były zamglone, nie było w nich miejsca, aby móc chwytać promienie słońca. Zrobiłem wszystko, co mogłem, aby powstrzymać ciemność, a on przyjął ją z otwartymi ramionami.

– Wiesz, jak bardzo się starałem, abyś mnie pokochał?

Mimo że jego twarz była ukryta w cieniu, zauważyłem, że skrzywił się, gdy unieruchamiał mnie kajdanami, więząc w żelaznych pętach. To nie był ból, ale jego imitacja. Łagodniejszy rodzaj wściekłości.

– Pamiętasz historię Hioba? Ponad wszystko jestem sługą Pańskim – powiedział to tak, jakby te słowa miały teraz jakiś sens. Jakbym w jakiś sposób miał to pojąć. – Jednak w przeciwieństwie do Hioba ja znałem twoje przeznaczenie. Od dnia, w którym twoja matka cię poczęła. Miłość nigdy nie wchodziła tutaj w grę.

W tamtej chwili chciałem się roześmiać.

– Nawet gdybyś mógł to zrobić – powiedziałem, przygotowując się na ból – nie sądzę, abyś wiedział, jak kochać.

Nie odpowiedział, ale wyraz jego twarzy mówił wszystko. Zmarszczył się w gniewie, a jego usta wykrzywiły się, ukazując błysk zębów.

– Czy nie wykarmiłem cię? Nie chodziłeś ubrany? Czy nie pozwalałem ci oddawać się twoim absurdalnym pasjom? – Mój ojciec zaczął krążyć w mrokach, jego wściekłość narastała. – Nie mogłem cię pokochać, ale troszczyłem się o ciebie i to powinno być wystarczające.

Po raz pierwszy w życiu spojrzałem mu prosto w oczy. Chciałem, aby zobaczył w nich światło, którego nie udało mu się stłamsić.

– Bezczyne chwile pomiędzy wybuchami wściekłości nie mają nic wspólnego z miłosierdziem. Nie jest nim również brak bólu.

– Och, jesteś taki pyszny – odpowiedział, szydząc ze mnie. Odwrócił wzrok, a jego spojrzenie padło na moje kajdany. Może widział je na mnie przez całe moje życie. – Czy to jest zatem twoja definicja miłosierdzia? To, że umierasz po to, aby zapewnić tej dziewczynie bezpieczeństwo?

– Kocham ją.

– Jakież to słodkie – wypluł te słowa, jakby były kwaśne.

– A twój brat? – zapytałem, podpuszczając go. – Ten, który miał w sobie ziarno, zanim trafiło we mnie. Kochałeś go?

Na kamiennym wyrazie jego twarzy pojawiło się pęknięcie i zauważyłem, że przeszył go ból wspomnień. Opanował się dopiero po chwili.

– Nie mów o nim. O niczym nie masz pojęcia, Elwood. Nic nie wiesz.

– Nikt na tym świecie nie ma dla ciebie znaczenia, prawda?

Prychnął, a potem usłyszałem szelest materiału. Odsunął swoją szatę i odsłonił zniekształconą krzyżówkę starych ran rozciągających się na jego skórze. Każda następna pręga była jeszcze bardziej przerażająca niż poprzednia – blizny, które zbladły z biegiem czasu, ale nigdy nie zniknęły.

– Taka jest cena miłości, Elwood – powiedział ochryplym tonem przesiąkniętym urazą. – Kochałem mojego brata i próbowałem opóźnić jego los. Oto, co mi z tego przyszło. On i tak umarł, a ja zostałem ukarany. Pan dał mi ciebie jako drugą szansę. Ostatnie błogosławieństwo i przekleństwo zamknięte w jednym, rozczarującym dziecku.

Zacisnąłem zęby.

– Nie mów mi o bliznach.

– Przekazałem ci jedynie te same lekcje, które przekazano mnie – powiedział i ponownie zasłonił swoje ciało.

– Nie, to nieprawda. – Rozdrażnienie sprawiło, że wybuchnąłem śmiechem. Jednak nie był on radosny. – Wyładowywałeś na mnie złość. Nie jestem twoim synem, jestem twoją karą, pamiętasz? To wszystko, co kiedykolwiek dla ciebie znaczyłem.

Moje oskarżenie sprawiło, że zaniemówił. Czekałem, aż mnie uderzy. Spodziewałem się, że poczuję ostry ból na szczęce. Myślałem, że za chwilę splunę krwią. Ale nic się nie wydarzyło. Ojciec drżał w niewysłowionej wściekłości, a jego dłonie aż dygotały.

– Ta dziewczyna cię zmieniła – powiedział, gdy odzyskał głos.

Wychowano mnie na ostrzu noża – chciano ograbić ze mnie wszystko, aż pozostaną zupełnie pusty.

Moje serce powinno być tak samo okropne i wymizerowane jak serce mojego ojca, ale to jedyny element mnie, który pozostał niezmienny.

Mój strach przemienił ojca w kogoś, kim nie był. Dałem mu pazury i kły, i moc rozerwania mnie na strzępy. Ale on nie był potworem, jakim go uczyniłem. Był złośliwym, mściwym, a przede wszystkim słabym człowiekiem.

To ja dałem mu tę moc.

A teraz chciałem ją odzyskać.

– Nie, tato – odparłem. – To ty mnie zmieniłeś, ale nie w taki sposób, w jaki chciałeś.

– Gdy wrócę, nie będziesz mógł liczyć na litość – warknął niczym zraniona bestia.

Zdmuchnął świece, jedną po drugiej, i pogrążył mnie w całkowitej ciemności. Nie widziałem absolutnie nic, a bez światła z każdą mijającą chwilą coraz bardziej czułem się tak, jakbym był uwięziony w trumnie.

Podłoga skrzypiała pod jego stopami. Słyszałem, jak jego dłonie przesuwają się po poręczach. A potem wreszcie dobiegł do mnie stłumiony dźwięk otwieranych drzwi. Następnie trzask ryglowanych zamków i oddalające się kroki.

A potem nie było już nic.

Tylko cisza.



# Rozdział dwudziesty czwarty

## Wil

Moje myśli były jak wirujące szambo.

Za każdym razem, gdy mój świat się rozpadał, ja się śmiałam. Moje oczy były mokre od łez, a mimo to żartowałam – ale nie śmiał się nikt poza mną.

Tym razem żal i miłość złączyły się, tworząc nową, okropną emocję. Ból pojawił się sekundę po tym, jak uświadomiłam sobie, że go kocham. Gdy przyłożyłam ucho do piersi Elwooda, bicie jego serca mnie przestraszyło. Serca są w końcu takie kruche. Tak łatwo jest je zatrzymać. *Pewnego dnia go stracę, pomyślałam. Świat wykradnie go prosto z moich objęć.*

Brnęłam przed siebie pomimo śniegu. Lód oblepiał moje mokre rzęsy. Nie widziałam zupełnie nic, wokół była tylko mgła. Nie miałam pojęcia, co znajdowało się przede mną.

Otwarte serce było dla żalu niczym zaproszenie. Wczorajszego wieczoru moje emocje wezbrały, a dzisiaj były jeszcze głośniejsze. Nie mogłam stracić Elwooda. Nigdy nie otrząsnęłam się po odejściu mamy. Byłam jak popękane odłamki, które trzymały się razem tylko na mocy nikłej nadziei. Wiedziałam, że kolejna strata sprawi, że rozpadnę się z pierwszym podmuchem wiatru.

Uderzyłam się w twarz. Ktoś musiał to zrobić. Ból był dokuczliwy, ale właśnie tego potrzebowałam. Nie miałam czasu na nurzanie się w wyobrażeniach. Jeśli pozwoliłabym sobie na te rozważania, padłabym ofiarą własnego mroku i nigdy nie udałoby mi się z niego wydostać. Mama mówiła, że mroczne myśli są jak przepływające nocą statki. Można po prostu patrzeć, jak się oddalają – nie trzeba wyruszać na głębiny za każdym z nich.

Nigdy nie byłam dobra w słuchaniu jej rad.

Linia drzew rozstąpiła się, gdy zbliżyłam się do lasu Morguewood. Przynajmniej tym razem las wydawał się opustoszały. Nie dostrzegałam w nim żadnych zamaskowanych postaci ani bladych czaszek, do których doczepione zostały masywne poroża. Nie było też Elwooda.

Świat stawał się bardziej zimny, im bardziej się w niego zagłębiałam. Wolałabym, aby moja desperacja otępiła zmysły, ale wszystko wydawało się dziesięć razy bardziej intensywne. Przedtem podmuchy wiatru po prostu uderzały mnie w policzki, a teraz miałam wrażenie, że smagają mnie ostrza.

Przyszłam tutaj bez żadnego planu.

Zaśmiałam się. Elwood mógł być przecież wszędzie. Mogłam błędzić po tym lesie godzinami, a i tak go nie znaleźć. Co ja sobie myślałam?

Spojrzałam na moje spierzchnięte, czerwone palce i dotarło do mnie, jak mała naprawdę jestem.

Mój śmiech przeszedł w czkawkę, a czkawka przeszła w głośny szloch. Rozpacz przedarła się przez drzewa, a każdy krzyk sprawiał, że ptaki wzbijały się w stronę trupio bladego nieba.

Byłam sama.

*Ale to dobrze. Nie przeszkadza mi samotność. Nikt nie może mi pomóc.*

Mogę to zrobić tylko ja sama. Zdałam sobie sprawę, jak gorzkie były te kłamstwa, które sobie wmawiałam. Prawda od zawsze czekała na to, aż ją zobaczę. Bez niczyjej pomocy nic nie mogłam zrobić.

Cherry miała rację.

*Jasna cholera, ona miała rację. Nie poradzę sobie z tym sama.*

– Wil!

Niemal wyskoczyłam z własnej skóry. Odwróciłam się i zobaczyłam przód samochodu. Honda Lucasa buchała parą w chłodne powietrze. Wcześniej byłam w błędzie, gdy stwierdziłam, że nigdy aż tak bardzo nie cieszyłam się na widok tego samochodu.

Teraz, gdy na niego patrzyłam, miałam wrażenie, że to istny cud. Drzwi otworzyły się, a Lucas wskazał gestem na siedzenie pasażera. Wpadłam do środka i niemal roztopiłam się pod wpływem ciepła, które dmuchało z wentylacji.

Pocierałam wściekle palcami i zastanawiałam się, czy kiedykolwiek odzyskam w nich czucie.

– Lucas – wyszeptałam, brzmiąc nazbyt entuzjastycznie jak na kogoś, kto kilka godzin wcześniej nazwał go płytkim i bezużytecznym.

Jego włosy były potargane przez wiatr, a oczy podkrążone.

– Jeździłem w kółko, próbując was znaleźć. – Przełknął ślinę. – Nie było was w motelu, ale zauważyłem ślady roweru i ja... Wszystko spaprałem.

Jego głos był ochrypły. Wbił paznokcie w kierownicę.

Nie poczułam ulgi. Przed moimi oczami miałam załamany wyraz twarzy Elwooda. Lucas zasiał w nim ziarno wątplenia, które wykiełkowało za wcześnie. A teraz odszedł na dobre. Nigdy nie byłam cierpliwa, ale tego dnia moja wytrzymałość była na skraju wyczerpania. Wciekłość była lepsza niż żal. Wściekłość była potworem, którego sama stworzyłam.

– Tak myślisz?

„Nie tym tonem”. Głos mamy wybrzmiał w mojej głowie. Wciąż mnie pouczała, choć przecież już nie żyła. Zacisnęłam oczy i próbowałam sobie wyobrazić, że się nade mną pochyla, że kładzie dłoń na moim ramieniu. Mówiła: „Gdy się złościsz, to tak, jakbyś płonęła. Musisz ochłonąć, bo inaczej poparzysz siebie i osoby, na których ci zależy”.

– Masz rację – powiedział Lucas i westchnął. Nie był jednak w stanie spojrzeć mi w oczy. Zamiast tego skupił się na drodze i prowadzeniu samochodu. – Masz rację, schrzaniłem. I to bardzo. Vee jest u Kevina i żadne z nich nie chce mieć ze mną nic wspólnego. A ty i Elwood... Chwileczkę! – Odwrócił się ze zdziwieniem. – Gdzie on jest?

W moich ustach uformowała się złośliwa odpowiedź, ale wspomnienie matki wciąż było wyraźne. Łatwiej było komuś poradzić, aby ochłonął, niż faktycznie samemu to zrobić. A teraz było to utrudnione jeszcze przez fakt, że nienawidziłam Lucasa. „Jeśli kogoś nie lubisz, spróbuj spojrzeć na niego z perspektywy innej osoby. Jeśli przyjrzesz się wystarczająco dobrze, w każdym odnajdziesz dobro”.

Przypomniałam sobie, kim był Lucas. Dla mnie był palantem z kompleksem Boga, ale był też chłopakiem Ronnie i przyjacielem Elwooda. Widziałam, jak Ronnie na niego patrzyła, gdy myślała, że ja spoglądam gdzie indziej. Widziałam, jak Elwood śmiał się na korytarzu z jego żartów.

– Odszedł – wyznałam cicho i z bólem serca. Zanim to słowo padło z moich ust, dojechaliśmy na podjazd przed znajomym domem.

Zaledwie kilka dni temu ziemia dudniła tu od basów, a na każdym calu ulicy stały samochody. Ludzie tłoczyli się w jego salonie, a przemiana Elwooda dopiero się rozpoczęła. Teraz jego dom przypominał opuszczone gniazdo os – zapadnięte, martwe i ciche. Zamiast dźwięków życia dookoła panowała wszechobecna, niepokojąca głusza.

– Co masz na myśli mówiąc, że odszedł? – zapytał Lucas, wyciągając kluczyk ze stacyjki.

Po tym pytaniu pękło moje serce. Całe życie ukrywałam je przed światem, a teraz łzy ciekły po mojej twarzy – i to przed Lucasem, ze wszystkich możliwych ludzi akurat przed nim.

– Po prostu odszedł – wymamrotałam. – Uciekł... – Czknęłam płacząco, a potem zaskoczyłam samą siebie. – Proszę, nie zostawiaj mnie znowu. Potrzebuję twojej pomocy. Nie mogę pozwolić, aby coś mu się stało.

Lucas w zaciśniętą pięść wykrzyknął przekleństwo. Tym razem jego gniew był skierowany tylko na niego samego. Wiedziałam jednak, że do niczego nie dojdziemy, jeśli będzie się tym ciągle biczować. Wyraz jego twarzy złagodniał, gdy zauważył moje

łyzy, a jego dłoń wykonała dziwny taniec poruszając się w tę i z powrotem, jakby nie był pewien, w jaki sposób mnie pocieszyć.

Machnęłam ręką i otarłam własne łyzy. Płkanie przy Lucasie było już wystarczającym ewenementem. Nie potrzebowałam, żeby głaskał mnie po głowie i mówił, że wszystko będzie dobrze.

Jego dłoń zawisła w powietrzu na kolejną sekundę, po czym opadła na jego kolana.

– Tym razem nie odejdę – obiecał. Moje ramiona nieznacznie się rozluźniły. – Miałaś rację. Zachowywałem się jak zadufany w sobie dupek. Przepraszam. Przede wszystkim muszę przeprosić Elwooda, ale wobec ciebie, Wil, też zachowywałem się okropnie.

Przeprosił mnie? Przez cały ten rok życzyłam mu śmierci.

W myślach usłyszałam głos matki: „Widzisz? Nie jest taki zły, prawda?”.

Oderwaliśmy od siebie spojrzenia i zamiast tego skupiliśmy się na różnych fragmentach otoczenia.

– Nienawidziłam cię – wyznałam. Spojrzał na mnie zaskoczony, ale ja uparcie wpatrywałam się w swoje kolana. – Ukradłeś mi Elwooda. Rozśmieszałeś go tak, jak myślałam, że tylko ja jestem w stanie to zrobić. I nawet wtedy, gdy Ronnie była ze mną, wciąż na ciebie zerkąła. Nienawidziłam cię nie za to, kim jesteś, ale za to co masz.

Nie przypominało to rozmowy, którą spodziewałam się z nim przeprowadzić. Musiałam z przykrością stwierdzić, że moja mama chyba jednak miała rację. Wypowiadając te wszystkie słowa, zdjęłam ołowiany ciężar z własnych ramion.

Przeczesał dłonią włosy i wybuchł pozbawionym rozbawienia śmiechem.

– Ja przez cały ten czas byłem zazdrosny o ciebie.

– Co takiego? – wypaliłam. Przecież byłem ostatnią osobą, której można było czegokolwiek zazdrościć. Moje zrujnowane życie w podupadającym motelu wydawało się godne pożalowania. Nie przychodził mi do głowy ani jeden jego element, którego z chęcią nie oddałabym komuś innemu.

– Myślisz, że Elwood był skupiony na mnie? Połowa naszych rozmów dotyczyła ciebie. A przez drugą połowę czasu siedząc na drugim końcu stołówki, bezczelnie zerkął w twoją stronę. A Vee? Veronica zawsze traktuje mnie chłodno, gdy jesteś obok. Kiedy jesteśmy tylko we dwoje wszystko wygląda zupełnie inaczej, a potem, gdy spotka się z tobą, mam wrażenie, że zaczyna mnie od nowa nienawidzić. To dlatego zacząłem wtedy na ciebie krzyczeć... Byłem sfrustrowany, zły i zazdrosny. Naprawdę nie powinienem był poruszać tematu twojej mamy ani Elwooda. To był cios poniżej pasa.

Przełknęłam pierwsze zdania, które przyszedły mi na myśl.

Mama powtarzała: „Nie chodzi o tę pierwszą myśl, ale o kolejną”.

– Nie powiedziałaś niczego, co nie byłoby prawdą. Jestem furiatką, mam okropny temperament i chciałam, aby wszyscy byli równie nieszczęśliwi jak ja. To nie było kłamstwo... Rozumiem to.

Obydwojgu nam napłynęły do oczu łzy. A cisza, która nastąpiła potem, nie była nasączona niewypowiedzianym jadem, jak w przeszłości. Zapanowało pomiędzy nami ciche zrozumienie.

– Rozejm? – zapytał, uśmiechając się jednym kącikiem ust.

Zawahałam się, gdy wyciągnął rękę w moją stronę. Jego dłoń zadrżała i niemal zdążył ją opuścić, ale chwyciłam za nią w ostatniej chwili. Była ciepła.

– Rozejm. – Zacisnęliśmy dłonie, a uśmiech Lucasa napełnił mnie nadzieją, której tak bardzo potrzebowałam. – Sprowadźmy Elwooda do domu.

# Rozdział dwudziesty piąty

## Elwood

Mijały godziny.

Czas dłużył się w nieskończoność. Nie byłem w stanie stwierdzić, jak długo tu tkwiłem. Wokół mnie podłoga była wyściełana zwłokami, które nawet po śmierci kurczowo trzymały się swoich tajemnic. Bałem się, że nagle się przebudzą, staną na kościstych nogach i zbliżą się do mnie. Choć w rzeczywistości może bym się z tego nawet ucieszył. Szybka śmierć była lepszą opcją – czystym cięciem.

Głód drapał o moje żebra i zastanawiałem się, ile czasu upłynie, zanim umrę. Ludzie mogą przeżyć bez jedzenia trzydzieści dni albo dłużej. Bez wody – dziesięć. Ale nie chciałem tyle czekać. Nie mogłem czekać tak długo. Nie chciałem, aby moja klatka piersiowa się zapadła, a skóra zgniła. Nie chciałem być przytomny, gdy przyjdzie po mnie śmierć. Skuliłem się w sobie, podciągając kolana tak blisko, jak pozwalały mi na to łańcuchy. Tutaj, na dole, nie było przynajmniej kęsającego wiatru, ale to wcale nie sprawiło, że było mi przyjemnie. Niektóre części mojego ciała zdrętwiały i wątpiłem, abym kiedykolwiek odzyskał w nich czucie.

Jeśli wszystko poszło zgodnie z planem, Wil była tak daleko stąd, jak to możliwe. Miałem nadzieję, że Cherry zabrała ją jak najdalej od tego przeklętego miejsca.

Wbiłem palce w stwardniałą ziemię, aby cokolwiek poczuć. Bród wgryzł się pod każdy z moich paznokci, aż do skóry. Moje nadgarstki i kostki były poranione. Metalowe łańcuchy wrzynały się głęboko w moje ciało, podobnie jak sącząca się pustka w żołądku. Rozżalenie w postaci łez spływało mi po policzkach, a potem skapywało z brody, by następnie wypalić ziemię.

*Jestem Elwood. Jestem Elwood. Jestem Elwood.*

Za każdym razem, gdy wypowiadałem w myślach to zdanie, słowa traciły na znaczeniu. Którym Elwoodem byłem? Czy byłem demonem żyjącym wewnątrz mnie? Ciemnością wirującą w moim brzuchu? A może byłem chłopcem, który nie spał do późna, zajmując czas pęsetami, szpilkami i skrzydłami?

Moje nieszczęście zaczęło się przemieniać i nabierać kształtu. Żal i wściekłość kroczyły ramię w ramię, a ja szamotałem się pomiędzy nimi. Chciałem się wyrwać, krzyknąć i przeklinać.

– Ukaż się – powiedziałem błagalnym głosem. Przed moimi oczami znowu pojawiły się te drzwi. Tym razem jednak nie pukałem. Byłem gotów, aby je wywarzyć. Chciałem

zobaczyć, jak deski rozpadają się na drobne kawałki. Byłem gotów na wszystko, co czaiło się po drugiej stronie. Miałem dość czekania na nieuniknione. Chciałem, aby to wydarzyło się na moich warunkach.

Ale nie stało się zupełnie nic.

– Ukaż się! – krzyknąłem i zacisnąłem zęby, przywołując całą siłę, jaka mi pozostała.

A potem rozległo się pierwsze pukanie. Ciężkie walenie o delikatne drewno. Sięgnąłem w stronę klamki, ale drzwi nie były już zamknięte. Rozwarły się z gwałtownym podmuchem, jednak nie po to, aby ukazać bestię, a leśną polanę. Pomiędzy drzewami przemykała ćma – była niczym palec, który wskazywał mi drogę.

Podążyłem za nią. Moje nagie stopy przesuwają się wśród zarośli, opadłych liści, gałązek i pełzających owadów.

Nogi – nieudręczone – prowadziły mnie przez zmęczony las, jakby należał on do mnie.

Jakbym już kiedyś kroczył tą ścieżką. Ale ten las nie był mój. Ani trochę.

Śnieg sięgał mi do kostek. Biel pokrywała wszystko, opływała nasiąkniętą nocą kory i owijała się wokół najwyższych gałęzi. A ponad tym światem na niebie wisiał księżyc w pełni.

Im dalej szedłem, tym przestrzeń coraz bardziej pogrążała się w ciszy. Słyszałem tylko własny oddech i trzaski gałęzi pękających pod moimi stopami. Zatrzymałem się i dokładniej przyjrzałem temu, co zobaczyłem przed sobą.

Zauważyłem odcisk skrzydeł na korze. Stworzenie musiało mieć biblijne rozmiary, ale diabelską naturę.

– To tutaj wszystko się zaczęło – wyszeptał głos.

Był jak grzechot pośród drzew, jak wiatr pędzący pomiędzy gałęziami, jak odległe pohukiwanie sowy. Wszystko i nic, i wszystkie te drobne rzeczy pomiędzy.

Krzyk oderwał się od kory i zaczął rozbrzmiewać po lesie. Nie był martwy, ale bez wątplenia nie był też żywy – uwięziony w przerażającym „pomiędzy”. Każdy cal mojego ciała zastygł i mogłem tylko nasłuchiwać.

Słyszałem mokre dźwięki, jakby opony przejeżdżające po żebrach, wybuchy krwi tryskającej z tętnic. Ale również przeraźliwy zgrzyt paznokci o ziemię i jakby odcinanie kończyn z taką łatwością, jak nóż przechodzi przez gardło zająca. Dźwięki wirowały i dudniły jak echo, rozbrzmiewając wokół mnie bez przerwy. Były jak melodia, która nie miała końca. Melodia, która nieustannie się zapętlała.

A potem zobaczyłem to wszystko. Czterech mężczyzn złapało chłopca. Mocno krwawił, a czerwień jego posoki barwiła trawę. Kalala ją. Krzyki wyzierały się z jego duszy.

– Nie płacz – wyszeptał mężczyzna, który stał najbliżej niego. Miał włosy w tym samym co chłopiec kolorze miodowego blond, to samo martwe spojrzenie, ten sam wychudzony, pusty wyraz twarzy. Głód zadomowił się w jego policzkach i zapadniętej klatce piersiowej. Ojciec wykrwawiał własnego syna jak świnie. Łzy spływały po jego starej twarzy i kapały z podbródka. – Tego chce Pan.

Ale to nie powstrzymało krzyków. Ustały dopiero wtedy, gdy chłopiec się wykrwawił. Jego płacz urwał się wraz z bulgotem krwi, gdy kolory zniknęły z jego skóry. Wszystko się skończyło. Czekałem, aż coś się wydarzy, ale nic się nie zmieniło. A przynajmniej nie natychmiast.

Potem odkaszlnął. Cichy bełkot przeszedł w ogłuszający kaszel. Jego ciało znieruchomiało.

To było ziarno.

Mężczyźni trzymali je w dłoniach, a ich oczy były pełne łez radości.

Wówczas obok mnie na powrót pojawiły się drzwi – uformowały się w korze, w drzewie, które rosnęło najbliżej mnie. Klamka sama się przekręciła, drzwi się rozwarły, a po drugiej stronie czekała na mnie nowa scena. Zobaczyłem znajomy las, znajomą rodzinę.

Drzewo wyrastało z zimnej ziemi. Było najwyższe w całym lesie, jego korona sięgała nieba, a kora była pokryta czerwienią i czernią. Wśród gałęzi wisiał mężczyzna. Krew sączyła się z jego piersi jak sok z wnętrza klonu. Jego krzyk nie był osamotniony, splatał się z przenikliwym krzykiem mojej matki, która rodziła mnie na ten świat.

Mój zmarły dziadek zanurzał dłonie w klatce piersiowej swojego syna i wrywał ziarno z ciała mojego wujka. Była to mała, brązowa łupina, rozmiarem podobna do kleszcza. Obrócił ją pomiędzy palcami, po czym skierował się w moją stronę.

Moi rodzice trzymali niemowlę nieruchomo, gdy dziadek wycinał na jego skórze półksiężyc. Z rany zaczęła sączyć się krew, ale gdy tylko ziarno zostało zakopane w mojej piersi, rozcięcie się zrosło.

Potałem palcami tę samą bliznę na mojej skórze.

– Radujcie się – wykrzyknął dziadek do moich rodziców i do reszty ciekawskiego lasu. Ostatnim razem, gdy go widziałem, miałem sześć lat, a on był martwy. Jego zimne, białe ciało leżało w trumnie. Knykcie mojego ojca były nieludzko blade, gdy rzucił na wieko trumny pierwszą garść ziemi. – Rozpoczął się nowy cykl. Jesteśmy niczym nasiona na wietrze.

Scena rozmazała się, a świadomość została gwałtownie pchnięta z powrotem do mojego ciała. Uderzyłem głową o twardą ścianę. Mroczki i białe, migoczące plamki zatańczyły przed moimi oczami, gdy czaszka pulsowała z bólu.



Spojrzałem na bliznę na klatce piersiowej, a oddech ze świstem uciekł z moich płuc. Skóra stała się przezroczysta, a w miejscu serca dostrzegłem ziarno.

# Rozdział dwudziesty szósty

## Wil

– Nie sądzę, abyśmy potrzebowali kuszy.

– Jesteś pewna? – zapytał Kevin.

Skrycie cieszyłam się, że miałam tu zarówno jego, jak i Ronnie. Piętnaście minut spędzonych na oczekiwaniu na ich przybycie nie zakończyło się ani kłótnią, ani niczym w tym stylu, ale i tak było to... niezręczne. Lucas i ja spędziliśmy ten czas, starając się omijać drażliwe tematy. Prowadziliśmy czcze pogawędki, nie chcąc zrujnować naszego chwiejnego sojuszu. Dzięki Bogu, Kevin i Ronnie rozładowali część tego napięcia.

Salon Lucasa był wystarczająco przestronny, ale nikt z nas nie siedział tu po to, aby czuć się komfortowo. Pominęliśmy fotel z podnóżkiem i miękką kanapę. Zamiast tego wybraliśmy zimną, twardą podłogę. Lucas nie marnował czasu i wyciągnął sprzęt myśliwski swojego taty – miał arsenał godny małego sklepu.

Gdy Kevin wyciągnął ręce z kieszeni płaszcza, zauważyłam, że miał na sobie beużyteczne rękawiczki bez palców. Pod kurtką miał pstrokatą koszulkę St. Ignace Mystery Spot<sup>13</sup>, której brzegi włożył w spodnie. Kontynuował z lekkim uśmiechem:

– Nie chcemy być przecież jedynymi bez kuszy. Uwierz mi, wolałabyś nie przychodzić na taką walkę nieuzbrojona.

Przyjrzałam się mu uważnie.

– Nie mogę powiedzieć, abym kiedykolwiek uczestniczyła w bitwie z kuszami.

– Cóż, na pewno nie chcesz mieć wówczas tylko noża.

Podczas lekcji zawsze uważałam, że jego poczucie humoru było irytujące, ale w tej chwili wydawał mi się nawet zabawny. Radziłam sobie z emocjami poprzez krzyczenie w poduszkę i uderzanie pięściami w materac, a on – niezależnie od tego, jak bardzo było to oczywiste – działał na mnie dziwnie kojąco, szczególnie po tym, jak samotnie wpatrywałam się w las Morguewood.

– Nie możemy wycelować tego w moją mamę. – Tymczasem Ronnie zupełnie nie wiedziała, jak sobie z tym wszystkim poradzić.

Z każdą kolejną sekundą zdawała się tracić rozum, ale nie mogłam powiedzieć, że ją za to obwiniałam.

Lucas spróbował kojąco położyć dłoń na jej ramieniu, ale odsunęła się od niego, więc wsunął rękę do kieszeni.

– Nie wiemy, jaka będzie sytuacja. Twoja mama może próbować nas poważnie skrzywdzić. Lepiej być przygotowanym na wypadek, gdyby chciała nas zaatakować. Zawsze można użyć jej jako zwykłego kija albo tarczy. Jest solidna. Należy do naszej rodziny już od jakiegoś czasu.

– Jej? Masz na myśli kuszę? To jest ta nieuchwytna kobieta, o której mówisz? – zapytał Kevin.

Lucas błysnął białymi zębami niczym prezenter telewizyjny.

– Tak, to Bessie.

Ronnie prychnęła, ale się ugięła. Nigdy nie była w stanie długo się na niego złościć. Rzucił na nią zakłęcie Wybielonych Zębów. Bez względu na to, czy były to czary, czy nie, uparła się jednak na jeden warunek:

– Możesz to wziąć, ale nie chcę, żeby zostało to wycelowane w twarz mojej mamy. Rozumiesz? Masz mieć to po prostu przy sobie. – Potem spojrzała na powiadomienie na swoim telefonie. – Wil, twój tata jest zdesperowany. Teraz zaczął do mnie pisać.

– Potem się tym zajmiemy. Na razie go zignoruj.

Chcąc choć raz być przydatna, odwróciłam się w stronę szafki pod telewizorem i zaczęłam przeglądać jedną z szuflad w nadziei, że znajdę długopis i kartkę. Po chwili szperania, odnalazłam stare menu z Iron Mountain i częściowo wyschnięty długopis firmy Bic. Brzegi karki były pogniecione i pobrudzone czymś żółtym, ale tył był czysty, a to było dla mnie wystarczające.

Wyglądziłam kawałek papieru, a gdy był już w zasadzie pozbawiany zagięć, zaczęłam szkicować. Po kilku pociągnięciach długopisem, nieśmiałym ruchem nadgarstka wyciągnęłam kartkę przed siebie.

Była to dość prymitywna mapa, ale wciąż mapa. Drzewa otaczały nasze miasto ze wszystkich stron. Wykonałam punktowe imitacje mojego rodzinnego motelu, komisariatu policji i każdego małego zakątka w Pine Point.

– Obstawiam kościół. – Wzruszyłam ramionami i pozwoliłam, aby długopis wypadł z mojej dłoni i stoczył się na linoleum. Aby zaakcentować ten fakt, zakreśliłam go w dużym kółku. Był monumentalny, mroczny i niemal całkowicie pochłonięty przez las. – Ale z tego, co wiem, może być też w piwnicy Clarke'ów.

Kevin zmrużył oczy, przyglądając się mojemu rysunkowi.

– Czy to byłoby aż takie proste? Wiedzą, że byliśmy w kościele. Widziałem dość horrorów, aby wiedzieć, że to może być pułapka.

– Wątpię, aby składali sakralne ofiary w restauracji Earla – zażartowałam, nie chcąc przyznawać, że nie wszystko miałam przemyślane. Jestem raczej typem osoby, która najpierw działa, a potem myśli o konsekwencjach.

Oczywiście po tym, jak wypowiedziałam te słowa, przed moimi oczami stanął nowy, przerażający obraz. Ten, w którym comiesięczna loteria mięsna u Earla przybrała znacznie mroczniejszy obrót. Strzałka ruletki nie wskazywała na steki ani na kotlety wieprzowe, ale na przywiązanego do rożna Elwooda, a wszyscy zebrani rywalizowali o kawałki jego ciała.

– Cóż... Co ty, w takim razie, uważasz? Gdzie on mógłby być?

– Czy to nie ty śledziłaś ich dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu? Powinnaś wiedzieć, gdzie się spotykają.

Niemal odwarknęłam pod wpływem impulsu, ale przecież nie był w błędzie. Tak naprawdę byłam prawie że zameldowana w krzakach pod domem Clarke'ów. Mama zawsze uważała, że coś jest nie tak z tą rodziną i uważnie się im przyglądała, więc ja po prostu kontynuowałam tradycję Greenów.

Wyciągnęłam telefon z tylnej kieszeni i zmusiłam ich do spojrzenia na mój koszmarne mały ekran. Biorąc pod uwagę, że ostatni rok liceum niemal dobiegał końca, moja galeria powinna być pełna zdjęć, które przypominałyby mi o młodości: przyjaciół o identycznych uśmiechach, pozowanych selfie, na których staram się nie wyglądać jak troll, fotografii, na których włączę się wraz z Ronnie po Marquette<sup>14</sup>, albo tych, na których odmrażamy sobie tyłki nad Jeziorem Górnym.

Ale zamiast tego w moim telefonie znajdowały się zdjęcia zupełnie innego rodzaju. Seria ujęć, na których Ezekiel wychodzi z domu; monotonne sceny z życia codziennego, których nie pokwapiłam się pokazać Vreesowi, ale nie mogłam się zmusić, aby je usunąć; fotografie, na których Ezekiel stoi zakrwawiony w lesie Morguewood, trzymając królika...

Nie sądziłam, że do mojego umysłu spragnionego snu przyjdzie jakikolwiek pomysł.

Ale przyjrzałam się temu zdjęciu, a potem powiększyłam ekran na drzewo, które stało za Ezekielem. Pień był masywny, a w jego centrum znajdowało się wgłębienie.

– Tamtej nocy spotkałam w tym miejscu Elwooda. Do jednej z gałęzi przybito królika.

Wzdrygnęłam się. W moich wyobrażeniach zamiast zająca zobaczyłam zniekształconą twarz matki. Jej usta zamarły wykrzywione w niemającym końca krzyku, a krew spływała po jej skórze i wsiąkała w korzenie.

Ronnie zmarszczyła nos.

– Ja też widziałam to drzewo. Zostało przedstawione na jednym z fresków w kościele. Jest naprawdę ogromne.

– A więc – zapytał Kevin, drapiąc się po policzku i zostawiając na nim czerwoną rysę – nasz plan polega na tym, że przeszukamy las w poszukiwaniu upiornego,

starego drzewa? –Zachichotał, ale jego strach był bardziej widoczny niż przedtem. Ledwo był w stanie dokończyć zdanie, bo wyraźnie miał ściśnięte gardło.

– Na to wygląda – odpowiedziałam.

Zabrałam się za podsumowanie tego, co mieliśmy: kusza (niech będzie), latarka, marker, porządną nóż do cięcia liny, dzwonek do drzwi...

Chwileczkę.

Zesztywniałam na dźwięk dzwonka. Inni wokół mnie również zamarli.

Ezekiel i jego szalona banda morderców nie dzwoniliby do drzwi, prawda? Czy seryjni mordercy zrobiliby coś takiego? Zapukaliby grzecznie i zapytali: „Przepraszam, możemy wpaść i was uprzejmie zadźgać?”.

Kevin na pewno znałby odpowiedź na to pytanie, ale nie zamierzałam mu go zadawać. Wyszeptałby mi cały zestaw odpowiedzi. Moglibyśmy być krok od śmierci, a gdybym zapytała go: „Hej, ile razy widziano Mothmana<sup>15</sup>?”, jego ostatnie słowa brzmiałyby: „Co najmniej sto!”.

Napotkałam spojrzenie Lucasa i zawisło pomiędzy nami niewypowiedziane porozumienie.

*Weź kuszę i poruszaj się tak cicho, jak to możliwe.*

Nigdy nie spodziewałam się, że będę kooperować z Lucasem, ale musiałam przyznać, że dobrze współgraliśmy. Podążyłam za jego milczącymi wskazówkami, podeszłam do drzwi, a potem wskazałam mu, aby cofnął się i podał mi kuszę. On mógłby się zawahać, ale we mnie było tyle złości, że nie miałam zamiaru się cofać. Lucas chwycił z kolei rękojeść noża i przyłgnął do ściany.

*Raz.*

Uniosłam palec, a drugą dłoń oparłam na klamce.

*Dwa.*

Zawsze aż tak się pociłam? Moje ciało było mokre od strachu i adrenaliny.

*Trzy.*

Drzwi się otworzyły, a ja w tym samym momencie wymierzyłam kuszę w twarz intruza. Już miałam pociągnąć za spust, gdy...

– Tata?

*Jasna cholera.*

Wycelowanie śmiertelnej broni w ukochaną osobę może nie być najlepszym sposobem na przywitanie. Poza tym ciężko będzie to wyjaśnić, biorąc pod uwagę, jak bardzo pobladł. Wytrzeszczył oczy na widok ostrej jak brzytwa strzały i dopiero wówczas przypomniałam sobie, aby opuścić broń.

– Och, cześć – powiedziałam zmieszana.

Tata przestąpił z nogi na nogę. Teraz, gdy nie był w bezpośrednim niebezpieczeństwie, jego ramiona opadły.

– Co ty tutaj robisz? – zapytałam.

Wyglądał na nieco zawstydzonego. Choć ja pewnie miałabym podobną minę po tym, jak ktoś wymierzyłoby we mnie z kuszy.

– Namierzyłem twój telefon. – Machnął swoją komórką, wyjaśniając sytuację. Na ekranie była widoczna mała, migająca kropka GPS. – Gdy zobaczyłem, co stało się z połową motelu, bardzo się zmartwiłem, że coś ci się stało. Zadzwoiłem do Cherry. Pisałem do twoich znajomych. I dzwoniłem też do ciebie ponad pięćdziesiąt razy. Niemal przyprawiłaś mnie o zawał serca!

– Namierzyłeś mnie? – Nie wiedziałam, dlaczego ten fakt miał być bardziej oburzający niż to, co przed chwilą zrobiłam, ale wciąż byłam w szoku. Tata nigdy wcześniej się tak nie zachowywał. To miasteczko było żenująco małe. Wiedział, gdzie mnie szukać... a przynajmniej tak mu się wydawało. Od ponad roku zupełnie się mną nie interesował. Strata mamy sprawiła, że stał się kimś obcym.

Kiedy na powrót stał się ojcem?

Zmniejszył dystans pomiędzy nami i objął mnie w miażdżącym uścisku. Nie odpowiedziałam tym samym. Nie mogłam.

– Powiedziała mi, co planujesz – powiedział. Jego głos był zachrypnięty i niewyraźny. Zaszlochał, łzy spłynęły po jego twarzy. Tata nie płakał przy mnie od dnia, w którym zaginęła mama. Zamiast czuć smutek, wolał nie czuć nic. Wybrał absolutną pustkę. Ale w tej chwili wszystkie te emocje, które w sobie tłumił, wybuchły i wypłynęły na powierzchnię ze zdwojoną siłą.

– Wpadła w panikę, Wil. Powiedziała, że zamierzasz sama zmierzyć się z rodziną Clarke'ów. – Jego głos drżał. – I powiedziała mi prawdę. O Elwoodzie.

Nagle wszystko ucichło. Przez jedną krótką chwilę nikt inny nie istniał.

Widziałam tylko pogrążoną w żalu twarz mojego ojca. Jego palce zaciskały się mocno na mojej skórze, a w uszach dudniło mi mroczne znaczenie jego słów.

– Jeśli przyszedłeś mnie powstrzymać, to jest za późno – powiedziałam. Nie obchodziło mnie, że każde słowo było niczym pocisk wycelowany w jego pierś. Nie miałam zamiaru z nim wracać. Nie mogłam tego zrobić. Wiatr się wzmógł, a jego wcześniejsza pewność siebie została porwana z kolejnym podmuchem.

– Proszę. – Jego głos stał się cichszy, mniej nasączony żądaniem, a bardziej błaganiem. Jego usta zadrżały. Był zrozpaczony. – Proszę, nie rób tego. Możemy wyjechać z tego okropnego miasta. Znajdę jakąkolwiek pracę, zamieszkamy gdzieś indziej...

– Nie. – Byłam spokojniejsza, ale nie miałam zamiaru się ugiąć. – Nie mam wyboru. Nie mogę go stracić.

– A ja nie mogę stracić ciebie – odpowiedział, a jego słowa osłabiły mój upór. Zmusiłam się, aby nie zmienić raz obranej ścieżki.

– Muszę to zrobić. Nie możesz mnie zatrzymać.

Gdy to powiedziałam, pobladł jeszcze bardziej. Widziałam, jak przez jego głowę przewijały się inne pomysły. Miał świdrujące spojrzenie; miałam wrażenie, że jego oczy przenikają mnie aż do szpiku kości.

– W takim razie pójdę z tobą.

– Nie musisz tego robić. – Nie byłam jednak jedyną upartą osobą w rodzinie. Po sposobie, w jaki zaciskał zęby, mogłam stwierdzić, że nie było w tej kwestii pola do dyskusji.

– Idę – powtórzył, nie pozwalając mi się z nim kłócić.

Musiłam przyznać, że byłam w szoku, jak bardzo był uparty. I czułam nawet... dumę?

– Ma pan szczęście, panie Greene, w moim samochodzie jest pięć miejsc – wtrącił Lucas, skutecznie wrywając nas z tego wzruszającego momentu. – A im szybciej tam dotrzemy, tym lepiej.

Nie musiał nic wyjaśniać. Cały ten stracony czas już zawisł nade mną jak czarna chmura, ale nie miałam zamiaru pogrążyć się w wątpliwościach.

*Znajdę cię, Elwood. Obiecuję.*

# Rozdział dwudziesty siódmy

## Elwood

Natura jest brutalna.

Niektóre osy polują na swoje ofiary w rabatkach kwiatów, by następnie posiekać je na kawałki swoimi żuwaczkami. Inne owady żyją pod ziemią, gdzie wciągają swoje ofiary, aby ich potomstwo mogło się nimi pożywić.

A w tym wszystkim był również mój ojciec.

Przyszedł patrzeć, jak wiję się ze strachu, zanim mnie pożre. W jego oczach byłem tylko nieszczęsną ćmą, która latała zbyt blisko płomienia. A ćmy są przecież typowymi ofiarami modliszek. Nigdy wcześniej o tym nie pomyślałem, ale teraz to wszystko stało się jasne. To był naturalny bieg rzeczy, że miałem zginąć z jego ręki. I nawet Bóg nie ingerował w świat przyrody. W końcu to on go zaprojektował.

– Więc gdzie jest moja matka? – zapytałem. – Myślałem, że nie ominie takiego widowiska.

Ojciec skrzywił się w odpowiedzi.

– Nie jest tym zainteresowana.

– Nigdy wcześniej nie miała z tym problemu.

Moja matka, *papilio troilus*. Motyle również potrafią być agresywne. Dla przykładu: ich gąsienice od czasu do czasu wykazują kanibalistyczne zwyczaje. Eliminują konkurencję, zabijają swoich krewnych i próbują pozostać przy życiu.

Ojciec odpalił zapałkę i zapalił jedną z pochodni umocowanych do ściany. Światło przecięło niesamowitą ciemność, a zimno sprawiało, że mój oddech zamienił się w trwałą, nieznikającą chmurę. Wyprostował się i otrzepał kurz ze swojej szaty. Zamrugnął powoli, wpatrując się we mnie wyłupiastymi, sadystycznymi oczami.

– A więc pora umierać? – Zasmakowałem każdej sylaby tego pytania, każdej przegniłej krzywizny liter. Ciemna łupina ziarna prześwitywała przez moją skórę. Towarzyszyła jej ścieżka zielonych korzeni, które oplatały moje żebra. Ziarno nie było już ukryte głęboko we mnie. Moja skóra z każdą sekundą stawała się coraz bardziej przezroczysta.

– Przyszedłem, aby cię zasadzić – odpowiedział ojciec, a jego szorstka dłoń pogładziła moje włosy. Zadrzałem pod jego dotykiem, zwłaszcza, gdy ujął moją twarz. Jego kciuk zatrzymał się przy moich oczach. Mógł je z łatwością wydłubać. – W końcu jesteś ziarnem.



Zacisnąłem dłonie w pięści.

– W takim razie zaczynamy.

Ojciec skinął głową i odpiął mnie z kajdan. Gdy jedno więzy ustąpiły, na ich miejsce pojawiły się kolejne. Moje ręce zostały mocno związane za plecami.

Potem ruszyliśmy dalej ciemnym tunelem. To właśnie stąd przez cały ten czas dochodził odór zgnilizny. Tutaj w podziemiach był silnie duszący. Tyle kości ukrytych w skutej lodem ziemi, ciało, które zamieniły się w nikły proch. Musiały być ich setki, jeśli nawet nie więcej.

– To nawóz – wyszeptał, jakby było w tym coś śmiesznego. – Cmentarze są puste i nikt o tym nie wie. Ciało marnowałyby się w trumnach. Tutaj dobrze nam służą.

Walczyłem z żółcią, która podeszła mi do gardła, coraz mocniej zbierało mi się na wymioty. A może to łaskocząca łodyga, która wystrzeliła w górę.

– Jak daleko ciągną się te tunele? – zapytałem. Mój głos brzmiał dziwnie. Był szorstki. Był mniej jak dźwięk, do którego przywykłem, a bardziej jak trzask gałęzi.

– Jako w niebie, tak i na ziemi – odpowiedział tajemniczo mój ojciec, ale nie patrzył na mnie, tylko przed siebie. – Jesteśmy korzeniami tego lasu.

To było dziwne doświadczenie – być tak głęboko pod ziemią. Szczyt tunelu ocierał się o moją głowę. Gdybym był choć trochę wyższy, musiałbym się schylić. Miejsce było ciasne dla dwóch osób, szczególnie, że zśliśmy obok siebie. Ojciec przechodził po zmarłych, jakby byli kamykami na drodze. Ja, z szacunku, starałem się ich omijać.

Nie wszystkie ciała były jednak obce. Spojrzałem na jedną z par oczu, a blask pochodni, którą trzymał mój ojciec, rozświetlił znajome zagłębienia w jej twarzy. Upadłem na kolana, mimo że ojciec starał się mnie podtrzymać.

– To matka Wil.

Zmroziło mi krew, gdy ojciec stał nieruchomo obok mnie. Jego śmiech był okropny.

– Rozpoznajesz ją?

Jej matka nie zamieniła się jeszcze w szkielet, bo leżała na lodowatej ziemi, ale czas mimo wszystko odcisnął na niej piętno.

Niegdyś gęste włosy teraz stały się rzadkie i kruche, a różowa skóra napięła się i nabrała szarawej barwy. Była tak niesamowicie podobna do Wil, że każda cząstka mnie rozpadła się na kawałki.

Była zbyt młoda, aby umrzeć w ten sposób. To przeze mnie jej ciało zostało uwięzione pod ziemią, ukryte w głębokiej jaskini, w miejscu, gdzie Wil nigdy jej nie znajdzie. Przyszła mi do głowy egoistyczna myśl, ale zapragnąłem, aby nigdy się to nie wydarzyło. Nie chciałem, aby Wil się tutaj znalazła. Nie chciałem, aby zobaczyła, co stało się z kobietą, którą tak bardzo kochała.

Z kobietą, która umarła przeze mnie.

– Za bardzo się wtrącała – prychnął ojciec. – Jaka matka, taka córka.

Kamień przebił się przez moje jeansy, a krew, która wypłynęła z rany przypomniła mi o tym, że wciąż żyłem. W miejscu, w którym panowali zmarli, moje serce cały czas biło. Ale już niedługo.

Ojciec podniósł mnie z powrotem na nogi, a jego uścisk był jedyną rzeczą, która trzymała mnie w pionie.

Bez tego prawdopodobnie bym odpłynął.

Tata też był zimny. Czujęm gęsią skórę na jego ramieniu, gdy mnie prowadził. Szliśmy dalej i dalej. Sekundy zamieniły się w minuty, a dyskomfort zmienił się w ból. Moje ciało było przemarznięte, a skóra tak lodowata, że niemal czułem ułudę ciepła. Tunel nie miał końca, aż nagle mój ojciec gwałtownie się zatrzymał.

Stanęliśmy przed prowizoryczną drabiną, której kolejne szczebelki połączone były przecierającymi się sznurami. Bez używania rąk ledwo byłem w stanie utrzymać równowagę, dlatego tata podtrzymał mnie, opierając jedną dłoń w dole moich pleców.

Tkwiąc w jaskini pełnej okropności, przygotowałem się na to, co mnie czekało.

# Rozdział dwudziesty ósmy

## Wil

Oznaczanie ścieżki markerem firmy Sharpie było w stylu Jasia i Małgosi.

Kevin powiedział dokładnie to samo, a Ronnie zmrużyła na niego oczy.

– Czy ta dwójka nie została niemal zjedzona żywcem? To ostatnia rzecz, o której chcę teraz słuchać.

Zapaliłam latarkę, ale w porównaniu ze światłami samochodu, dawała ona tylko nikły blask. Oświetlała ścieżkę na kilka kroków w przód, a cała reszta świata pozostawała pogrążona w ciemnościach. Zima przemieniła las Morguewood w labirynt bieli, a noc zajęła się całą resztą. Był to ten rodzaj lasu, z którego się nie wychodzi. Taki, który najpierw wabi, a potem więzi. Śnieg przykrył zwłoki zwierząt, a lód częściowo odsłaniał ich żebra. Byłam przerażona, jak bardzo przypominały ludzkie kości.

Kevin zdjął zatyczkę z markera i oznaczył kolejne drzewo dużym znakiem X. Zrobiliśmy ich już dziesiątki.

– Ważne jest, że na koniec umarła zła wiedźma – mruknął pod nosem, ale Ronnie nie miała zamiaru go słuchać. – Wsadzili ją do pieca.

Wstrząsnął mną szczególnie nieprzyjemny dreszcz, więc odpowiedziałam:

– W tych okolicznościach „piec” brzmi naprawdę cudownie.

Tata szedł w milczeniu obok mnie, słyszałam tylko skrzypienie śniegu pod jego butami. Zostawialiśmy za sobą ślady, które po kilku minutach zniknęły. W tych warunkach ani ślady stóp, ani okruszki nie miały znaczenia – nie w mieście, w którym trzeba było umieszczać znaczniki widoczności na hydrantach. Zastanowiłam się na moment, ile czasu musiałyby upłynąć, zanim śnieg zupełnie pochłonałby moje ciało, gdybym teraz tu usiadła.

Ślady stóp taty już zniknęły, ale znaki X jeszcze nie wyblakły.

Trudno powiedzieć, ile czasu spędziliśmy, przemyskając pomiędzy drzewami. Ustaliliśmy, że połowę drogi przez las pokonamy samochodem, a pozostałą część pokonamy na piechotę, aby nie przyciągnąć niczyjej uwagi. W teorii brzmiało to jak dobry, przemyślany plan. Teraz jednak wydawało się to być strasznym błędem. Las ciągnął się w nieskończoność. Ronnie potarła swoje ramiona, jakby chciała rozpalić ogień.

Szliśmy dalej przed siebie, ale narastała pomiędzy nami nerwowa atmosfera. Niespokojne myśli paliły mnie w klatce piersiowej i płynęły w moich żyłach, odpędzając część zimna.

Nagle cisza została przerwana przez dźwięk skrzypiącego śniegu i szuranie rękawiczek ocierających się o korę. Wszyscy zamarliśmy i wstrzymaliśmy oddech. Lucas drgnął i mocniej chwycił kuszę, a ja wyłączyłam latarkę.

Chłopak uniósł drugą rękę i gestem nakazał nam trzymać się za nim. Jeszcze się nie poruszyłam, ale miałam nadzieję, że miał świadomość, że jeśli ktoś nas zaatakuje, rzucę się na wroga jak dzikie zwierzę.

Potem znowu usłyszeliśmy hałas i z ciemności wyłoniła się sylwetka.

To była Patricia Clearwater.

Przywykłam, że miała włosy zaczesane do tyłu i chodziła w strojach w stylu Barbie – jak typowa matka z samorządu rodzicielskiego. Ale w tej chwili wyglądała inaczej. Rozpoznałam ją dopiero, gdy zdjęła z twarzy czaszkę – jakby zrzucała z siebie drugą skórę. W jej oczach nie było ciepła. Spojrzenie miała tak samo wrogie, jak szalejąca wokół nas zamieć.

– Veronica – powiedziała, a jej głos był jednocześnie miękki i ostry. Niczym delikatna furia. – Odsuń się od nich.

Ronnie nawet nie drgnęła. Byłam dumna, gdy zauważyłam, że lekko uniosła podbródek. Bunt przeważał nad jej strachem. Przez ostatni rok bardzo się zmieniła, nie była już płochliwa, nie dawała się zastraszyć. Spojrzała na Lucasa. A dokładniej na broń, którą trzymał w dłoniach. O dziwo nie poleciła mu, aby ją opuścił. Jeszcze nie.

– Gdzie on jest, mamgo?

Spojrzenie Patricii przesuwano się to na nas, to na córkę. Najpierw zatrzymała swój wzrok na mnie, a potem na moim ojcu.

– Ben – skierowała się do niego. Dziwnie było usłyszeć z jej ust imię taty. – Straciłeś już żonę. Teraz jesteś gotów zaryzykować życiem własnej córki? Co za głupota. Masz szansę, aby stąd odjechać.

Oczy taty były przekrwione i mokre. Rozchylił usta, ukazując zaciśnięte zęby. Kostki na jego dłoniach pobieleły.

– Grozisz mi?

Przełknęła ślinę, słysząc jego gniew, ale nie ustała w swoich próbach.

– Mówię tylko, abyś odszedł. Nic nie może przeszkodzić w ceremonii. W lesie jest pełno policji. To musi się wydarzyć.

– Co za pech – warknęłam, będąc na skraju płaczu. Zrobiłam krok do przodu i byłam gotowa uderzyć tę kobietę w twarz, gdyby Ronnie nie podniosła ręki.

Po jej smaganych wiatrem policzkach płynęły łzy.

– Jak mogłaś? Po tym wszystkim, co się stało. Jak mogłaś zrobić coś takiego? Opowiadałaś mi o miłości, o żalu za grzechy i o wszystkich tych bredniach. A potem robiłaś te wszystkie okropności. Jesteś potworem! – Jej głos z każdym wypowiedzianym słowem stawał się coraz wyższy.

– Veronica – jęknęła pani Clearwater. Widziałam, że wciąż tkwiła w niej resztką człowieczeństwa, bo gdy patrzyła na swoją córkę, w oczach malowała się jej stracona nadzieja. Ten obraz, gdybym patrzyła na twarz kogoś innego, łamałby serce. – Nie rozumiesz. Nie chcę cię w to mieszać. Kiedyś myślałam, że to zaszczyt zostać wybraną, ale potem, gdy wybór padł na kogoś innego... po śmierci twojego taty, wiele lat później... czułam ulgę, że nie zostałam uznana za wystarczająco godną Wezwania. Nie byłabym w stanie patrzeć, jak dorastasz i się starzejesz. A potem pomyślałam, że pewnego dnia będziesz mieć własne dzieci i wiedziałam, że nie mogę cię w to mieszać. Chciałam pozwolić ci na bunt i na to, abyś odeszła, abyś nigdy nie musiała zaznać bólu serca, gdy twoje dziecko zostanie wybrane. Ale ten chłopiec... on nie jest tym, kim myślicie. Został do tego wybrany i nie ma już odwrotu z tej ścieżki. Nie macie pojęcia, kim on może się stać. – Spojrzała na mnie. Jej wzrok był szalony. – Jest niebezpieczny. Coś takiego nie może istnieć. Gdybyśmy go uwolnili, rozpętałyby w tym mieście piekło. Zabiłby nas wszystkich.

– Zasługujecie na taki los – warknęłam, wierząc w każde wypowiedziane słowo. Chciałam uwolnić Elwooda, nawet jeśli miałoby się to równać z moją śmiercią. – Zapominasz, że wciąż jest chłopakiem. Kogo obchodzi to przeklęte miasto? Jeśli ten cały las ma zniknąć, to niech tak będzie. Można znaleźć inne miasto, inną pracę. Można zrobić wszystko, ale nie to. Zabiłabyś chłopca, aby uratować las Morguewood?

– Nie mamy wyboru. Musimy to zrobić. Tego żąda Eden. – Jej twarz była wykrzywiona w dziwnej kombinacji współczucia i nienawiści. – Jeśli to się wkrótce nie wydarzy, wszystko będzie stracone, Wil. Twoja matka nie była w stanie tego zrozumieć i, jak widać, ty też nie jesteś. Nie masz pojęcia, co się stanie. Jesteś gotowa pokochać potwora?

*Czy faktycznie jestem na to gotowa?*

– Jest nas piątka, a ty jesteś sama, mamó. Nie możesz nas zatrzymać. – Mówiąc to, Ronnie skinęła głową w stronę Lucasa. Rozstąpiliśmy się wokół pani Clearwater niczym Morze Czerwone. – A teraz się odsuń.

Wyraz twarzy Patricii wyrażał upór, ale jej determinacja szybko się rozpadła. Kobieta upadła na kolana przed Veronicą, rozpaczliwie zaciskając dłonie na kostkach córki.

– Proszę, nie idź tam – zapłakała. – Umrzesz przez tę dziewczynę. Błagam cię, nie idź tam. Jestem twoją matką, proszę.

Gdy Ronnie na moment zamarła, przestraszyłam się, że to koniec. Błagalne spojrzenie matki i palce wbijające się w jej skórę mogły wszystko zrujnować. Zagryzła wargę na kilka sekund bolesnego namysłu, a jej klatka piersiowa unosiła się i opadała.

– Nic już dla mnie nie znaczysz – powiedziała i odsunęła się od matki.

Pani Clearwater nie podniosła się ze śniegu. Pomyślałam, że może w końcu dowiem się, ile czasu potrzeba, aby śnieg pogrzebał kogoś żywcem podczas tej zamieci. Trudno jest się poruszyć, gdy serce aż tak boleśnie kurczy się w piersi.

Nienawidziłam jej – naprawdę. Gardziłam nią i całą resztą tej sekty za to, co zrobili mojej matce. Za to, co zaplanowali dla Elwooda i za to, co z chęcią zrobiliby mnie. Ale wciąż w głębi serca czułam wobec niej dziwne współczucie.

Jednak nie na tyle duże, aby podnieść ją na równe nogi.

A potem, gdy kontynuowaliśmy wędrówkę przez las, pytanie, które mi zadała, wciąż odbijało się echem w mojej głowie.

Jesteś gotowa pokochać potwora?

Myślę, że tak.

# Rozdział dwudziesty dziewiąty

## Elwood

Świat na górze był równie mroczny, jak ten na dole. Księżyc jeszcze nie wyłonił się zza chmur. Ukrywał się za gęstą, mglistą zasłoną bieli. Wiedziałem jednak, że niedługo skąpie nas w swoim blasku.

Drzewo, do którego mnie przyprowadzili, było najwyższe w całym lesie. Sam pień był ogromny, niemal tak szeroki jak czterech czy pięciu ludzi. Stał wśród kołyszących się sosen niczym zapomniane bóstwo. Ale pamięć o nim nie zniknęła. Wciąż był czczony. To tutaj przyszedłem na świat i tutaj miałem umrzeć.

– Przemieniasz się zbyt szybko – upomniał mnie ojciec, sycząc słowa przez zaciśnięte zęby. – Ta twoja ludzka powłoka nie wytrzyma długo, zanim wykiełkujesz.

Prudence leżała na ziemi na grubym futrze. Była osamotniona w swojej agonii, a jej mąż nie zawracał sobie głowy tym, aby ją wesprzeć. Podobnie jak ja, ona również była tylko środkiem do celu. Spojrzała na mnie, gdy odeszły jej wody, a jej oddech zamienił się w zamarznięty pióropusz bieli.

– Dziecko się rodzi. Szybko!

Ojciec pchnął mnie na twardą korę. Potem pojawiły się liny i ręce, które chwyciły moje ciało. Następnie więzy zacisnęły się boleśnie. Sznury wgrzyzały się w moje żebra, całkowicie mnie unieruchamiając.

Zima przeciągnęła kłami po moim ciele, okradając mnie z oddechu.

Chłód doprowadzał mnie do szału. Wyrywałem się, czekając, aż twarz mojego ojca się przemieni. Czekając, aż wybuchnie głębokim, dudniącym z głębi piersi śmiechem – takim, który będzie przypominać trzask walącego się drzewa. „Musisz mnie szanować”, powiedziałyby, wbijając paznokcie w moje ramię. Skinąłbym głową, a on w końcu poluzowałby węzły i uwolniłby mnie. Jego wykrzywione palce sięgnęłyby w moją stronę, aby rozwiązać pęta. Rozerwałyby je i zabrałyby mnie do domu. Zabrałyby mnie do domu i nie pozwoliłyby mi umrzeć, nie pozwoliłyby mi zamarznąć przywiązany do drzewa. To wszystko okazałoby się tylko lekcją.

*Badum. Badum. Badum.* Ziemia dudniła echem leśnego serca. Czuję to bardziej wyraźnie niż kiedykolwiek wcześniej. A przy tym wciąż słyszałem trzepot skrzydeł w moim wnętrzu. Ze wszystkich stron zaczęły nadlatywać ćmy. Wzbiły się z wierzchołków drzew, aby wylądować na moim ciele. Przełamały mrok nocy odcieniami krwistej czerwieni i ciemnego brązu.

Mój ojciec wyciągnął nóż ze skórzanej pochwy. Ostrze było zabarwione na czarno, bo od wieków plamiła je krew. Pomimo tego, jak stara była ta broń, kraniec wyglądał na bardzo ostry. Wiedziałem, że ostatni raz używano go na moim wujku. To była najgłębsza więź, jaką kiedykolwiek z nim czułem. Tata pochylił się nade mną, a jego głos był szeptem niesionym przez wiatr. Jego oddech opadł na mój policzek niczym dym.

– Z ziemi powstałeś i w proch się obrócisz.

A potem wbił ostrze prosto w moją pierś.



# Rozdział trzydziesty

## Wil

Zobaczyliśmy chłopca przywiązanego do drzewa. Jego ciało było zakrwawione. Rozpoznałam jego opadnięte ramiona i potargane włosy. Tak samo jak w dniu, w którym zniknął, w tej chwili również miał na sobie postrzępione, wyblakłe od słońca jeansy i wypłowiałą koszulę w kratę. Ale tym razem jego ubranie nasiąknęło złowieszczą, szyderczą czerwienią.

– Elwood!

Lecz było już za późno. Chmury rozstąpiły się, a jego skóra została rozświetlona przez mleczną poświatę księżyca. Wtedy krzyk rozdarł powietrze.

# Rozdział trzydziesty pierwszy

## Elwood

Ból, który nadszedł, był cichy.

Spodziewałem się, że będę bardziej cierpieć. Ostrze, które przecięło moją skórę, było niczym muśnięcie palca. Widziałem, że wbiło się głęboko, że krew trysnęła z rany, a krople spadły na twarz mojego ojca. Widziałem to wszystko, ale nic nie czułem. Jeśli nóż pragnął wydobyć ze mnie coś więcej, to bez wątpienia rozczarowałem go. Byłem pusty i nie zamierzałem z tym walczyć. Chciałem posłusznie oddać się drzewom.

Światło księżycy spłynęło po moich plecach, obmyło moją skórę i zatopiło resztę świata w ostrym, śmiercionośnym błękiecie. Zalewało mnie jak kwas. Każdy szept srebra, który mnie dotykał był niczym żar. Pogrążył mnie w bólu tak głębokim, tak przenikliwym, że jedyne, co mogłem zrobić, to wyć. Dźwięk rozdarł moje płuca i natychmiast wypadł z moich ust. A gdy raz wybrzmiał, nie miał końca.

Moja skóra zaczęła się łuszczyć. Była zbyt ludzka, aby wciąż do mnie należeć. Skrzydła ćmy wyzierały z mojego kręgosłupa. Były niczym plama nadpalonej jesieni na tle czarnego lasu. Pierzaste czułki wyrastały z moich skroni.

– Elwood! – Głos Wil dobiegł spomiędzy drzew. Obraz przed moimi oczami zaczął się rozmazywać, ale mimo to dostrzegłem ją niczym miraż w ciemności. Była moim aniołem śmierci. Utkwiłem w niej wzrok, skupiając się tylko na niej. Ból tymczasem narastał. Chciałem, aby była ostatnim obrazem wyrytym w mojej pamięci.

Demon zaczął się przeze mnie przedzierać.

Kontury Wil rozmazały się i zniknęły w plamie szarości. W jednej sekundzie widziałem ją z najdrobniejszymi szczegółami, a w kolejnej już jej nie było. Zniknęły jej rysy i sylwetka. Zostałem sam.

Zamknąłem oczy na znany mi świat.

Zamiast tego otworzyłem je na głód – na pochłaniające, miazdzące pragnienie.

Ziemia mnie wzywała. Przed moimi oczami ukazał się każdy zakątek lasu. Szare wilki z pyskami skierowanymi w stronę księżycy, zające w zaspach świeżego śniegu, puchacze śnieżne siedzące na wysokich gałęziach drzew, które obserwowały świat szeroko otwartymi oczami. Wiedziały, że lepiej się do mnie nie zbliżać.

Ale nie wszystkie stworzenia się mnie bały.

Ludzie otoczyli mnie ze wszystkich stron. Przede mną kołysały się postacie, których ciała przypominały ultrafioletową mozaikę, były niczym jasne światło na czarnym płótnie. Podążyłem za gwiazdami. Konstelacje przyciągały mnie do siebie. Skupiłem się tylko na nich, blokując nieustanny szum świata, aż widziałem tylko pulsujący blask i krople potu, które były niczym świeża rosa.

– Ezekielu! Co ty zrobiłeś?

Ciepło drżało i wirowało. Słyszałem słowa, ale ich nie rozumiałem. Były zniekształcone, niegdyś znałem ich znaczenie, ale teraz wszystko było stracone. Jediną rzeczą, którą wciąż pamiętałem, była nienawiść. To, co czułem do stojących przede mną ludzi, było jak pogrzebany cierń. Wówczas jeden z nich otworzył usta i ponownie odezwał się do mnie swoim niespójnym, bełkotliwym językiem.

Słyszałem szum czegoś, co zostało stworzone przez człowieka. Był to nienaturalny i przeszywający dźwięk.

– Potrzebujemy wsparcia. Pośpiesz się, on już...

A potem wszystko ucichło.

Jego strach był słodki jak nektar. Zlizałem go z ust, a krople nieustannie kapały, kapały i kapały. Spiłem je i stwierdziłem, że to chyba krew.

Tak szybko go zabiłem? Czy jego życie skruszyło się tak nagle?

Ale cierń nadal tam tkwił. Odwróciłem się do kolejnego z ludzi i wciągnąłem jego zapach.

– Och Boże... Panie w niebiosach, usłysz moją modlitwę... Elwood, synu. Cofam to wszystko, co powiedziałem. Nie chciałem... – Dźwięk zakończył się chrzęstem.

Teraz pode mną leżało ciało, którego serce wciąż wybijało słaby rytm. Chwyciłem je i wbiłem w nie zęby. Pożarłem je w całości. Ludzkie ciało niczym nie różniło się od ściętego drzewa albo bryły lodu.

Było tak samo bezużyteczne. Tak samo ciche.

Byłem głodny. Absolutnie wygłodniały. Pusty, bezdenny, spragniony więcej i więcej.

Przenikliwy pisk przeciął powietrze. Pomiędzy mężczyznami, których pożarłem, była też kobieta. I było też niezwykle dziecko – takie na którym czułem zapach lasu. Kolejna skóra, w którą miałem się ubrać, w której miałem zostać uwięziony.

Nie. To musiało skończyć się tu i teraz. Chciałem otworzyć usta i uciszyć jego płacz. Chciałem być na zawsze wolny. Chciałem... Ale wtedy coś we mnie uderzyło. Było lodowate.

Rzuciłem się w stronę napastnika i nasłuchiwałem. Przeliczałem ciała – świeże, wijące się i przerażone. Jedno, dwa, trzy, cztery. Pięć oszalałych serc.

*Badum, badum, badum, badum, badum.*

– Wil!

Znowu coś we mnie uderzyło. Dziecko zostało zapomniane, ale mój głód był nienasycony. Zaczęli uciekać.

Ale ja byłem szybszy. Moje skrzydła wzbijały się w niebo, a ich trzepot był jak nocne grzmoty. Księżyc oświetlał moją ścieżkę. Nie mieli szans, gdy zaatakowałem. Moje szpony rysowały wstęgi na zamarzniętej ziemi. Złapałem mężczyznę, wbiłem w niego zęby i wgryzłem się do kości. Z jego piersi wydobył się krzyk, a ja radowałem się tym dźwiękiem. Pragnąłem słyszeć go nieustannie.

– Pośpiesz się, Lucas! On chwycił tatę! Rzuć mu nóż. Albo cokolwiek!

Już miałem wbić się głębiej, gdy usłyszałem czyjś ruch, a potem poczułem ukłucie w boku. Ryknąłem przeszyty bólem, a potem uderzyłem w napastnika, odrzucając go od siebie. Potem rozległ się krzyk i trzask czaszki uderzającej o drzewo.

– Tato!

Kolejna kłująca bryła śniegu uderzyła mnie w bok. Ataki nie ustały, aż nie spojrzałem na stojącą w oddali dziewczynę. Rozległo się głośne kliknięcie, potem zamigotało światło i nagle spomiędzy drzew wyłonił się księżyc – mniejszy niż wcześniej, ale... och... jakże jasny.

– Tutaj, Mothmanie!

Odwróciłem się i rzuciłem pędem w stronę nowego księżyca. Był niesiony przez dziewczynę, która biegła coraz dalej i dalej.

Ale wiedziałem, że nie mogła przede mną uciec. Byłem wiatrem, który szumiał w gałęziach drzew. Byłem pęknięciami lodu, spod którego wyzierają strumyki, i każdym cierniem lasu. Człowiek nie mógł mnie prześcignąć.

Dziewczyna przebiegła a przez polanę, uchyliła się pod gałęziami i przeskoczyła kłody. Robiła, co mogła, aby mnie zgubić. Gdy za nią biegłem, z mgły umysłu wyłoniło się wspomnienie, które przebiło się przez panujący we mnie głód:

*Ta sama dziewczyna patrzyła na mnie miodowymi oczami. Była dużo młodsza, ale miała identyczny uśmiech i piegi. Jej włosy były rozwiane, gdy rzucała we mnie śnieżką.*

*– Aua! – jęknąłem, na próżno próbując wytrzeć moje ulizane przez zimę włosy. Zadrzałem z zimna, a ona zachichotała. – Dlaczego to zrobiłaś?*

*Była ładna. Prawdopodobnie ładniejsza od jakiejkolwiek dziewczyny, którą kiedykolwiek widziałem. Ładniejsza niż księżyc i czerwcowe kwiaty, a nawet ładniejsza od motyla, który czasem siadał na moim parapecie.*

*– Nazywam się Wil-ah-mean-a! – zaśpiewała.*

*– „Mean<sup>16</sup>” całkiem pasuje.*

*– Możesz mówić do mnie Wil! Tata nazywa mnie myszką.*

*– Wil – powiedziałem. Spodobało mi się brzmienie jej imienia. – Będę twoim przyjacielem, jeśli obiecasz, że nie będziesz już rzucać we mnie śnieżkami.*

– *Umowa stoi.*

Otrząsnąłem się z dziwnego wspomnienia. Nie miałem zamiaru zwalniać tempa. Pozostali ludzie byli nasączeni strachem, ale na tej dziewczynie nie czułem odoru przerażenia. Ślina toczyła się z moich ust, a krew pulsowała w całym ciele. Wyciągnąłem rękę w jej stronę, ale wymknęła mi się o włos. Była szybka. Głód palił mnie od środka, popychając mnie dalej i dalej.

I znowu wspomnienie:

– *O mój Boże, żartujesz – powiedziała Wil, ale nie była zdenerwowana. Śmiała się. Trzymałem w dłoniach dwie plecione bransoletki z mniszka lekarskiego. Były ze sobą połączone na łądygach. Wsunąłem jedną z nich na jej nadgarstek, trzymając Wil za rękę dłużej, niż to było konieczne. Potem udałem, że zaplotłem nasze palce. Cofnąłem gwałtownie dłoń, gdy dziewczyna wydała z siebie cichy dźwięk, a następnie pośpiesznie założyłem własną bransoletkę.*

– *Podobają ci się? – zapytałem, na co ona zachichotała. – To bransoletki przyjaźni.*

– *Myślę, że wytrzymają najwyżej dzień. Te rzeczy nie są trwałe.*

*Pokręciłem głową. Promienie słońca tak pięknie odbijały się w jej włosach.*

– *Te się nie popsują.*

– *Obiecujesz? – prychnęła.*

– *Obiecuję.*

*Wyciągnęła w moją stronę mały palec, a ja zaplotłem go ze swoim. Chciałem, abyśmy trzymali się w ten sposób już zawsze.*

Znowu to samo. W mojej głowie szumiało to dziwne uczucie. Spojrzałem na tę dziewczynę, ale nie czułem wobec niej współczucia. Czułem... coś innego.

Zdecydowałem, że powinienem to nienawidzić, czymkolwiek ta emocja była. Podmuchy wiatru smagały moją skórę, a gałęzie uderzały mnie w ramiona. Wiedziałem już, co zrobię, gdy ją dopadnę. Wbiję w nią pazury i będę ryczał w niebiosy. Połamię ją i pożrę. Może wówczas mój głód ustanie, a wspomnienia znikną. Musiałem połknąć jeszcze jedno ciało i zbliżyć się do księżyca.

Zima kradnie jej zapach. Pochyliłem się do ziemi i głęboko wciągnąłem jej woń. Serce dziewczyny pachniało jak goździki i cynamon.

*Wspominam kształt jej nosa i kontur rzęs – moje serce biło jak oszalałe przy każdym pociągnięciu ołówka. Gdy czuła się bezpieczna, jej rysy stawały się w piękny sposób łagodne. Włosy spływały po jej plecach – pamiętałem kaskady małych warkoczyków, które oplatały moją dłoń.*

*Oparłem się o metalowe trybuny. Przy kolejnym pociągnięciu ołówka utkałem motyle w jej włosach. Tuzin monarchów zdobiło ją niczym klejnoty. Wiedziałem, że później je pokoloruję w tonacjach ognistej pomarańczy.*

*Mój szkicownik był wypełniony aż po brzegi – i to któryś z kolei. Szkicowałem skrzydła i czułki, tułowia i żuwaczki, ale poza tym szkicowałem Wil i Wil, i Wil, i Wil.*

*Dość tego.*

Zakląłem na te wspomnienia. Tylko osłabiały moją koncentrację. Nie mogłem się zatrzymać.

Chciałem ją dopaść. Po raz pierwszy zakwitł w niej strach, a ja napełniłem nim swoje płuca, delektując się jego smakiem.

Nie był jednak tak rozkoszny, jak się spodziewałem. Aż miałem ochotę go wypluć.

– Elwood! – Znowu ten dźwięk. Wykrzykiwała to słowo ponad podmuchami wiatru.

Nie była niczym więcej niż przebłyskiem ciepła. Rozmazaną plamą czerwieni pośród wszechogarniającej czerni. Zamachnąłem się, ale ona znowu zrobiła unik. Być może mogła uciec przede mną, ale nie przed lasem. Przywołałem korzeń, a ona potknęła się o niego. Leżała pode mną, jej plecy przylegały do kory, a reszta jej ciała była przykryta przez śnieg.

Jej krew trysnęła na lód. Wreszcie. Pachniała niebiańsko.

*Moja kolekcja nie została zbudowana tylko dzięki temu, co udało mi się znaleźć. Niektóre z okazów musiałem sprowadzić z odległych krajów, w których słońce częściej gościło na niebie, a lasy nie były tak wrogie.*

*Drzewa gęsto stały obok siebie, ale były jednocześnie tak ciche. Chodziłem pomiędzy nimi i szukałem zmarłych. Chciałem ich odbudować. Czasami znajdowałem zwinięte skrzydła albo sponiewierane ciała, ale najczęściej wracałem z pustymi rękami.*

*Zajrzałem do paczki. Wszystko było starannie zabezpieczone, owinięte i podwójnie zaklejone, a ponad to przykryte warstwą ochronnego materiału. Moja acherontia antropis leżała ze złożonymi skrzydłami, była otulona ochronnym woskiem.*

*Rozerwałem pakunek, nie będąc w stanie powstrzymać ekstatycznego uśmiechu. Była idealna.*

*Motyle i ćmy, które przychodziły w paczkach, były sztywne i skostniałe. Trzeba było ostrożnie rozchyłać ich skrzydła. Delikatnie ułożyłem mój nowy okaz w wodzie. Wiedziałem, że niedługo będzie gotowa.*

*A ja byłem cierpliwy.*

– Musisz mnie posłuchać, Elwood! Czymkolwiek to jest, to nie jesteś ty. – Jej głos przebił się przez moje myśli.

Słyszałem ją po raz pierwszy, ale wciąż wszystko dookoła mnie było niewyraźne. Obraz wirował i się rozmazywał. W jednej sekundzie wszystko rozumiałem, a w drugiej moje myśli się rozplywały.

Jej serce waliło jak oszalałe.

A księżyc żądał, abym wyrwał je z jej piersi.

*Badum. Badum. Badum.*

Odsunąłem się, zazgrzytałem zębami i machnąłem pazurami. Pragnienie było tak silne, tak pierwotne, że nie mogłem się mu przeciwstawić. Byłem bezradny wobec tej siły, a potem...

– Kocham cię!

A potem... zamrugałem. Mgła cofnęła się na sekundę, może dłużej. Poruszyłem się, wpatrując się w miodowe oczy i zaciśnięte szczęki.

Moje ścierpnięte usta walczyły z wypowiedzianym słowem, a uwięziona we mnie ludzka dusza poruszyła się po raz pierwszy. *W... W... Wi...*

– Wil?

# Rozdział trzydziesty drugi

## Wil

Chłopak, którego znałam, w końcu się pojawił. Ten, o którym nigdy nie zapomniałam.

Wydał z siebie niesamowity skowyt, a dźwięk ten sprawił, że martwe rośliny wokół nas na nowo ożyły. Ich korzenie drgnęły, starając się poruszyć w przód.

Jeśli dobrze rozegrałam moje karty, reszta osób była już bezpieczna. Odciągnęłam Elwooda na tyle daleko, aby dać im szansę na ucieczkę. Pewnie jakąś milę stąd Cherry stara się uruchomić samochód, aby popędzić do szpitala. Dziecko Prudence wciąż mogło przyjść na świat jako zwykły człowiek, a nie jako „sakralna ofiara”. Mogliśmy przerwać ten cykl. Musieliśmy to zrobić.

Słyszałam, jak w oddali tata krzyczał moje imię, ale nie chciałam odwracać się w tamtą stronę. Będzie miał szczęście, jeśli ten upadek skończy się dla niego tylko wstrząśnieniem mózgu. Wciąż nie mogłam uwierzyć, że przyszedł tutaj ze mną. Zabolało mnie serce na tę myśl. Straciłam już mamę. Strata taty byłaby gwoździem do mojej trumny.

Gdy tylko Elwood został pochłonięty przez transformację, rozpoczęła się rzeź. Jego tata i szeryf Vrees zostali zabici. Rozerwani kończyła po kończyń. Wszystko to widziałam. Rozdarła klatki piersiowe i krew brocząca śnieg.

Czułam słony pot spływający po mojej twarzy. Równie łatwo mógł zabić także mnie. Może dalej mógłby to zrobić.

Ale w tej bestii wciąż był Elwood. Nie mógł zniknąć.

Przypominał bardziej motyla niż człowieka. Jego ciało było dziwne, owinięte krętymi pnączami i kępkami mchu. Jego żebra chowały w sobie tuzin ociekających krwią serc – żadne z nich nie wyglądało, jakby należało do niego. Wyglądały, jakby zostały skradzione. Jakby były ludzkie.

I te wspaniałe, nieziemskie skrzydła.

Pochylił się ku mnie i spojrzał na mnie mlecznobiałymi oczami.

Poczułam, jak podmuch jego oddechu opadł na moją szyję. Był gorący i lepki. Rozłożył masywne skrzydła zbudowane z tysięcy maleńkich, zielonych liści.

Wydobyłam z siebie resztkę odwagi. Wzięłam jeden, głęboki, drżący wdech. Moje płuca rzeziły na zimnie. To, co pozostało z Elwooda, było wciągane pod powierzchnię. Wiedziałam, że wkrótce zniknie.

Musiałam go uratować, zanim przepadnie.



Zacisnęłam oczy. Nie chciałam patrzeć na to, czym się stał. Chciałam zachować w pamięci jego obraz – ten bez skrzydeł, bez kości, bez skradzionych serc i bez czuzków. Pod zamkniętymi powiekami zobaczyłam delikatnego, nieśmiałego Elwooda Clarke’a, tego, którego znałam od zawsze. Elwooda, który tak zacięcie mówił o swojej pasji do motyli. Elwooda, który chował w mojej szafce swoje szkice – te których wstydził się mi pokazać. Pamiętałam, jak jego oczy rozbłysły, gdy pewnego dnia rozmawialiśmy o ucieczce z miasteczka.

Więc opowiedziałam mu o tym wszystkim. Z najmniejszymi szczegółami. O każdym wspomnieniu zamkniętym szczelnie w moim sercu. Przypomniałam mu o jego dziwactwach, które tak bardzo uwielbiałam. O pisanych do niego listach, których nigdy nie wysłałam („Drogi Elwoodzie: Po pierwsze, jak mogłeś?”). O tej przejmującej pustce, którą czułam, gdy go nie było. Jakby wyrwał ze mnie najważniejszą częśćkę i uciekł. Powiedziała mu, że może właśnie to miał na myśli tata, gdy powiedział, że radzenie sobie bez matki było dla niego czymś wręcz niemożliwym.

Elwood zawsze był częścią mnie. Zawsze był najważniejszym elementem.

– I niech mnie diabli, jeśli ten potwór mi ciebie odbierze – dodałam na koniec. Moje usta drżały, gdy wbijałam paznokcie w ziemię. – Kocham cię.

Świat znieruchomiał, gdy usłyszał moje wyznanie. Miałam wrażenie, że obydwójce zostaliśmy zawieszeni w czasie, że unosiliśmy się w powietrzu. A potem jego potworne części poruszyły się, zaczęły falować i się przemieniać.

Opadały kawałek po kawałku, a Elwood drżał jak gąsienica wyłaniająca się z kokonu. Na powrót stał się człowiekiem, choć nie w pełni. Las wewnątrz niego wciąż tętnił życiem. Jego oczy były roziskrzone i bardziej zielone, niż je zapamiętałam, jakby zdjęto z nich zasłonę. Był żywy i pełen mocy, która emanowała wokół niego w postaci pulsującego obłoku. Wiatr przeczesywał jego włosy, podmuchy przesmykiwały pomiędzy jego palcami, a on zmieniał ich kierunek opuszkami palców.

Żadna z tych rzeczy nie miała dla mnie znaczenia. Po prostu wpadłam mu w ramiona.

# Rozdział trzydziesty trzeci

## Elwood

Po raz pierwszy poczułem na wargach metaliczny posmak ich krwi. Brudziła moje usta, pokrywając każdy ząb warstwą czerwieni. Zacząłem charkać i pluć, ale smak wciąż się utrzymywał i przylegał do języka. Moje paznokcie zmieniły się w czarne szpony, które zakrzywiały się na każdym palcu. Gdy odsunąłem się od Wil, zauważyłem, że moje dłonie były splamione obrzydliwym, przerażającym szkarłatem.

– Zraniłem cię? – zapytałem, wstrzymując oddech. Czułem się tak, jakbym przebudził się z koszmarnego, okropnego snu. Odwróciłem się i spojrzałem na nią. Miała rozcięte kolano, materiał jej spodni był w strzępkach. – Proszę, powiedz mi, że nie ja to zrobiłem.

Prawda przedzierała się przeze mnie tak samo, jak i ja przedarłem się przez mojego ojca. Wspomnienia wyrosły wokół mnie. Były niczym gorzkie chwasty, których nie mogłem wyrwać. Przypominały mi o tym, co zrobiłem. O tym, czym byłem.

Nie mieli szans, aby odeprzeć mój atak. Nie było nadziei na zatrzymanie tego, co się rozpoczęło. Polowałem na nich, śledząc ich puls. Ojciec płakał i krzyczał, ale ja zupełnie go nie słyszałem. Nie widziałem go. Mój umysł był przykryty mgłą, która zagłuszała krzyki i sprawiała, że nie dostrzegałem potwora będącego we mnie.

– To nie byłeś ty – powiedziała. Poczułem, że przesunęła kciukami po moich policzkach, ocierając łzy, zanim te zdążyły spaść na ziemię. – To nie ty.

Obejmowała mnie, a ja kuliłem się w jej ramionach. Chciałem móc ukryć się na zawsze. Świat wokół mnie nieustannie się przemieniał, a ona była jedyną ostoją.

– Zmieniam się, Wil. – Nawet teraz nie byłem pewien, co przyniesie przyszłość. Mój oddech opadł na jej twarz. Na języku czułem posmak sosen i ziemi. Wil sprowadziła mnie do mojego ciała, ale nie wiedziałem, jak długo to potrwa. Nawet jeśli udało mi się uciec przed bestią, to i tak nie mogłem uniknąć tego, co zostało we mnie zasiane. Ziarno zdążyło już rozkwitnąć. Wkrótce stanę się kimś zupełnie innym.

Transformacja – tak określiła to Cherry. Być może miała rację i śmierć nie była faktyczną śmiercią. Może miała spalić moje dawne życie, aby z jego popiołów mogło narodzić się coś nowego. Bestia, która żyła we mnie, nigdy tak naprawdę nie była bestią. To tylko chłopiec, który został skalany ciemnością i przelewaną od stuleci krwią.

– Wiedz, że cię kocham. Bez względu na wszystko.

– Nic się nie stanie – wyszeptała przez łązy, ale obydwójce wiedzieliśmy, że to nieprawda. Coś nadchodziło.

Docisnąłem usta do jej ust i trwałem w tym pocałunku tak długo, jak tylko mogłem. W moich ostatnich sekundach zbliżyłem wargi do jej ucha i wyszeptałem obietnicę. Delektowałem się tym, jak otworzyła szerzej oczy, gdy świat wokół się przemieniał, gdy ja się przemieniałem.

Bicie mojego serca zostało zastąpione nowym rytmem, trzepotaniem, które przypominało delikatny ruch skrzydeł wzlatającego kolibra.

Obraz przed moimi oczami był niezachwiany, nawet gdy moją istotę pochłaniały tysiące maleńkich ciem.

A wtedy, gdy las zaczął mnie do siebie nawoływać, a młode drzewa wyszeptały moje imię, zrozumiałem, że tak właśnie miało być. Ścieżka była zawsze wyznaczona. Gdy moje stopy drgnęły, ziemia zaczęła drzeć i pękać. Zacisnąłem palce i zmieniłem kierunek wiatru, a on posłusznie spełnił moje życzenie. Wystarczyło jedno przeciągłe westchnienie, abym strząsnął śnieg z wierzchołków drzew.

I w końcu po tych wszystkich latach zrozumiałem, kim jestem.

Mam na imię Elwood i zostałem zrodzony z ziemi i lodu, a moim przeznaczeniem było ofiarowanie mojego serca tym drzewom. Byłem tu, gdzie miałem być.

# Rozdział trzydziesty czwarty

## Wil

Głos Elwooda odbijał się echem w mojej głowie, a jego ostatnie słowa wybrzmiewały niczym modlitwa. „Znajdź mnie pośród drzew. Będę na ciebie czekać”.

To ostatnie, z czym mnie zostawił, zanim rozpadł się z podmuchem wiatru. Wszystko wydarzyło się tak szybko, że ledwie zdążyłam to zauważyć. W jednej sekundzie stał przede mną i uśmiechał się w taki sposób, że moje serce pękało na kawałki, a w następnej już go nie było. Zarys jego sylwetki trwał w powietrzu jak zamarznięty, niebieski ślad wryty na tle świata. Wiatr uniósł go wysoko, a ja załamalam się i upadłam na śnieg.

Nie tak miało się to skończyć. Miałam uratować go przed bestią. Miałam móc go objąć i osłonić. Mieliśmy mieć normalne życie. Do diabła, może nawet moglibyśmy wrócić do szkoły i zdążyć na bal maturalny. Wszystko byłoby znowu jak dawniej. Jak przed zamiecią. Jak przed zniknięciem mamy. Wszystko na powrót byłoby dobrze.

Ale teraz wszystko się zmieniło.

Płakałam, klęcząc na lodzie, a łzy zamarzały na moich policzkach. Miałam zamiar przeskakać cały las, aby go znaleźć. Ale co takiego bym zobaczyła? Opuszki moich palców płonęły bólem, ale niemal tego nie czułam. Ogarnęła mnie nieopisana fala żalu, która pochłonęła mnie tak samo jak rok temu. Uczucie miało początek w moim gardle – jakby palce zaciskały się na mojej skórze i blokowały oddech. Chciałam walczyć i zaczerpnąć powietrza, ale nie dawałam rady. Każda sekunda dłużyła się jak minuta. W końcu ucisk się rozluźnił, a ja zaczerpnęłam bolesnego, krótkiego oddechu. Ten jednak przerodził się w zduszony krzyk, który rozdzierał mnie od środka.

Zmusiłam się, aby wstać. Ruszyłam przez gęsty las, niemal nie czując zimna, które ocierało się o moją nagą skórę. Świat trwał w fałszywym poczuciu spokoju. Śnieg mienił się błękitem w świetle księżyca, a wycie wiatru zupełnie ucichło. Jeśli ojciec Elwooda wciąż gdzieś tutaj był, to na pewno został w całości pochłonięty przez zamieć.

Reszta grupy nie odeszła.

Tata leżał na ziemi i jęczał cicho. Jego głos był stłumiony agonią. Zatrzepotał powiekami, jakby nie był pewien, czy może pozwolić sobie na sen. Na jego głowie malowała się plama zaschniętej krwi – zaczynała się na linii włosów, a kończyła pod brodą. Zawsze był wojownikiem. Po prostu nigdy wcześniej tego nie dostrzegłam.

– Gdzie on jest? Co się stało? – Lucas starał się zrozumieć to, czego był świadkiem. Patrzył na mnie, szukając wyjaśnień, ale nie mogłam mu ich dać. Sama wciąż starałam się to pojąć. Jego ciało było poobijane, a na policzku widniało paskudne zadrapanie. Jego włosy były zmierzwiłone i poplamione krwią.

Obok Lucasa zauważyłam Kevina i Ronnie. Oni również nie wyglądali dobrze, a ich ciała były naznaczone ciemnofioletowymi sińcami. Kevin miał podbite oko, a Ronnie rozciętą wargę. Cherry zaparkowała samochód i wysiadła z niego, aby na boku zająć się Prudence. Dziecko było całe czerwone. Gdy owijano je w ciepłe koce, krzyczało dając znak życia.

Moja odpowiedź wybrzmiała wraz ze szlochem:

– Odszedł.

Odwróciłam się w stronę rysującego się w oddali Pine Point. Chciałam zmieścić to miasto z powierzchni ziemi.

Nie minęła minuta, gdy nagle las zaczął falować. Był pobudzony gwałtownym prądem, tą niepowtarzalną energią. Winorośla pełzły po ziemi, a gałęzie wystrzeliwały niczym wyciągające się dłonie. Wydawało się, że cały las zyskał świadomość. Pochwycił to, co zostało z kościoła stojącego kilka metrów dalej, wbił leśne palce w fundamenty i pociągnął je w kierunku otwartych ust kniei. Patrzyliśmy, jak wszystko znikało. Drzewa pochłonęły kościół w całości. Z ciemności dobiegały trzaski pękających cegieł i tłuczonego szkła.

Wszystko wróciło z powrotem do ziemi. Wszystkie koszmary rozplynęły się w powietrzu, zostały rozbite kawałek po kawałku. Nie widziałam go, ale w jakiś sposób czułam, że Elwood tego dokonał.

Gdy jego moc została wyzwolona, w przeciągu kilku sekund Elwood obrócił część motelu w proch. Zajęło mu minutę, aby to samo zrobić z kościołem i swoim domem. Las pożerał to, co nigdy nie powinno istnieć.

# Rozdział trzydziesty piąty

## Wil

Zawsze nienawidziłam szpitali.

Spojrzałam na sterylnie białe ściany i na znudzone, puste spojrzenie recepcjonistki. Potem wsłuchałam się w turkot zardzewiałych kółek, które toczyły się po linoleum. Poruszyłam się na siedzeniu, machając nogami w przód i w tył. Hol był w większości opustoszały. W jednym kącie siedział starszy mężczyzna narzekający na wypadnięty dysk, a w drugim jakaś mama, która gładziła po głowie swoje maleństwo. Dziecko pociągnęło zaczerwienionym, zasmarkanym nosem.

I byłam tutaj również ja. Siedziałam najdalej, jak tylko mogłam, i piłam nieprzyzwoite ilości napojów energetycznych. Byłam wyczerpana, ale jednocześnie zbyt pobudzona, aby choćby myśleć o śnie. To było okropne połączenie. Oczy wciąż piekły mnie od niewypłakanych łez. Przeszłam z poczucia bolesnego żalu do całkowitego odrętwienia. Nie byłam pewna, która opcja była gorsza.

Żadna z tych rzeczy nie powinna mieć miejsca.

Podeszła do mnie pielęgniarka w średnim wieku. Jej włosy były związane w opadnięty, postrzępiony kucyk. Wyglądała na tak wykończoną, jak ja się czułam.

– Wilhelmina Greene? Chodź ze mną.

Podążyłam za nią przez labirynt korytarzy. Byłam niemal pewna, że kobieta mogła się nimi poruszać nawet we śnie. Biorąc jednak pod uwagę jej szkliste spojrzenie i półprzymknięte powieki, musiałam się zastanowić, czy aby już tak nie było. Zaprowadziła mnie do jednej z sal i wskazała gestem, abym weszła do środka.

Na szyi miał kołnierz ortopedyczny, a jego lewa stopa była uniesiona ponad resztę ciała – była cała połamana.

Od linii włosów aż do ucha biegł rząd szwów. Usiadłam na skraju jego łóżka, a pielęgniarka spojrzała na kartę pacjenta.

Tata bez wysiłku przeszedł w tryb „rodzic”. Myślałam, że już dawno zapomniał o tej roli.

– Cieszę się, że nic ci nie jest. Mogłaś zostać poważnie ranna.

– Naprawdę masz zamiar mnie teraz pouczać? – mruknęłam. Moja bezceremonialna uwaga wyraźnie nie przypadła mu do gustu. Ja myślałam jednak tylko o tym, jak łatwo mogłam go stracić. Mógł być martwy, tak jak mama. Warknęłam łamiącym się głosem: – To nie była twoja sprawa. Nie powinno cię tam być.

Pielęgniarka po cichu się odsunęła i wyszła na korytarz, jakby chciała schronić się w bunkrze atomowym. Nie winiłam jej za to. Też z chęcią bym się ukryła.

– Twoje dobro zawsze będzie mnie obchodzić.

Miałam go zapytać „Od kiedy?“, ale nawet nie zdążyłam otworzyć ust. Podniósł się z łóżka i objął mnie w miażdżącym uścisku.

– T... tato, połóż się, jesteś poobijany. Musisz na siebie uważać.

– Myślałem, że umarłaś – wyszeptał mi do ucha ochryplym głosem. Zaszlochał, a po jego policzkach popłynęły łzy. – Pokój twojej mamy zniknął w mgnieniu oka. Wszędzie cię szukałem, ale nie mogłem cię znaleźć. Myślałem, że cię straciłem.

Wzbierał we mnie żal, gdy patrzyłam, jak płakał. Starłam się szybko mrugać, aby ukryć własne łzy.

– Dlaczego nie dbałeś o mnie w ten sposób, gdy tak bardzo cię potrzebowałam? – zapytałam, choć te słowa przyniosły więcej bólu. Raniły nas obydwój, sprawiały, że ja czułam się wypatroszona, a on nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Mama nigdy nie miała pogrzebu, więc pochowałam ją w ogłoszeniach o zaginięciu. Tata z kolei pogrzebał samego siebie w swoim pokoju. – Straciłam was obydwój w tym samym czasie.

Spędzałam dni, tygodnie i miesiące na poszukiwaniu odpowiedzi, a wszystko po to, aby uciec od żałoby. Ale żal był zawsze blisko mnie i tylko czekał na spokojny moment, aby móc zaatakować. Biegłam przed siebie nawet wtedy, gdy uginały się pode mną kolana, a klatka piersiowa paliła bólem. Ale tata poddał się już na samym początku.

To ja starałam się płacić rachunki i co rusz znajdować kolejną pracę, podczas gdy on leżał nieruchomo we własnym pokoju. Nie był martwy, ale nie pragnął niczego innego, jak tylko umrzeć. Płakałam, krzyczałam i błagałam, ale ojciec, którego znałam, odszedł i żadna liczba ogłoszeń o zaginięciu mamy nie była w stanie przywrócić go do życia.

– Nie było cię – powtórzyłam. Łzy popłynęły po moich policzkach i nie miałam już szans, aby je powstrzymać. – Nie było cię, gdy tego potrzebowałam. Zostawiłeś mnie samą. Więc nie zachowuj się teraz tak, jakby ci zależało.

– Nigdy nie przestałem o ciebie dbać, ja po prostu... – Wplótł palce we włosy. Widziałam, że starał się poskładać w całość swoje myśli. – Zależało mi aż za bardzo. Na tym polegał ten problem. Zależało mi tak bardzo, że nie mogłem oddychać, chodzić ani jeść. Rozumiesz mnie, myszko? Twoja mama była najlepszą częścią mnie. Była najważniejszym elementem. Gdy zniknęła, wszystko inne również się skończyło. Odeszła, gdy byłaś malutka. Powiedziała, że to życie nie było dla niej. Wtedy się załamalem. A gdy znowu zniknęła? Myślałem, że odeszła na zawsze. A teraz nigdy... –

Stłumił szloch, zagryzając dłoń. – Za każdym razem, gdy na ciebie patrzyłem, widziałem życie, jakie z nią stworzyłem. Za każdym razem myślałem, że to ja powinienem być zniknąć. Nie oszukujmy się, twoja mama byłaby w tym dużo lepsza niż ja. Poradziłaby sobie z tobą. Nie czułem, że jestem wystarczająco dobry.

– Mama? Kobieta, która płakała na pogrzebach obcych ludzi? – zapytałam i gdy usłyszałam własne słowa, dotarło do mnie, że ona byłaby w tej roli dziesięć razy gorsza. Wiedziałam to od zawsze, ale dopiero teraz po raz pierwszy prawda miała szansę wybrzmieć. Po raz pierwszy przyznałam to sama przed sobą. – Nie, mama była zbyt delikatna, aby mogła poradzić sobie z takim żalem. To by ją zniszczyło.

Tata próbował powstrzymać łzy, ale przy tylu otwartych ranach nie było to łatwe zadanie.

Powrót do normalności był czymś niemożliwym. A przynajmniej do takiej normalności, jaką dotychczas znaliśmy.

– Mnie również to zniszczyło – wyszeptał. Jego głos był tak kruchy, że aż chwycił mnie za serce.

Wtuliłam głowę w jego pierś. Gdy byłam dzieckiem, wydawało mi się, że jest ogromny. Ale przez te wszystkie lata ja urosłam, a on pozostał taki sam.

Drgnął i przestraszyłam się, że znowu się w sobie zamknie, ale wtedy jego zmęczona dłoń opadła na moją głowę. Nie widziałam jego twarzy, ale czułam, że płacz wstrząsał całym jego ciałem.

– Przepraszam – wyszeptał, trzymając usta przy moim czole. – Nie musisz mi wybaczać. Nie proszę cię o to. Ale wiedz, że cię przepraszam. Przepraszam za to, że zostawiłem cię z tym wszystkim samą. Tak bardzo zatraciłem się w swoim żalu, że w rezultacie twój smutek uczyniłem dwukrotnie cięższym. Tak bardzo, bardzo cię przepraszam, myszko. Och, wybacz. Wiem, że wolisz, żeby teraz zwracać się do ciebie po imieniu.

Przygryzłam mocno policzek, starając się powstrzymać płacz. Wypłakałam tego dnia już tyle łez, że powinno mi to wystarczyć do końca życia.

– Nie – powiedziałam, chowając twarz w jego koszulę, po czym odsunęłam się. – „Myszka” jest w porządku.

– Twoja mama byłaby z ciebie taka dumna. – Ujął moje dłonie, upewniając się, że jego słowa do mnie docierają. – Naprawdę.

Łzy napłynęły do moich oczu, a potem popłynęły po twarzy.

– Z ciebie również byłaby dumna, tato. – Tylko tyle mogłam z siebie wydusić. Wszystkie inne słowa paliły mnie od środka.

– Lekarz powiedział, że minie tydzień, zanim będę mógł wrócić do domu. Wygląda na to, że będę musiał jeść sporo szpitalnego jedzenia. – Skinął głową w stronę resztek



leżących na tacy. Wyglądały tak okropnie, jak to, co podawano w szkolnej stołówce. – Gdy stąd wyjdę... Ja... Myślałem o tym, żeby znowu zacząć gotować.

– Naprawdę? – zapytałam i znowu oparłam głowę o jego pierś. Nasłuchiwałam cichego szeptu jego serca.

– Tak, najwyższy czas do tego wrócić. Nie sądzisz? – Uśmiechnął się jednym kącikiem ust.

– Zrobisz naleśniki nadziewane czekoladą? – zapytałam głosem pełnym nadziei.

– I z podwójną bitą śmietaną – obiecał.

Uśmiech wciąż przychodził mi z trudem, ale starałam się, jak mogłam.

# Rozdział trzydziesty szósty

## Wil Miasteczko Horrorów

Nie było nic bardziej dziwnego niż widok własnego domu w CNN. Dziennikarka odczytała z telepromptera losy naszego miasteczka. Jej twarz miała poważny wyraz, a spojrzenie było nieruchome.

– Dwudziestego szóstego grudnia miasteczko Pine Point w stanie Michigan zostało nawiedzone przez trzęsienie ziemi o magnitudzie osiem i jedna dziesiąta. W wyniku ogromnych zniszczeń śmierć poniosło dwóch mieszkańców, a jeden młody mężczyzna wciąż jest poszukiwany, choć uznaje się, że on również nie żyje. – Na ekranie pojawiło się zdjęcie Elwooda. Była to przycięta wersja fotografii, na której siedział w ogrodzie, a ciepłe promienie słońca opadały na jego skórę. Zdjęcie wyświetlało się przez chwilę, po czym zostało zastąpione przez ujęcia z miejsca zbrodni. – Ale to, co rozpoczęło się nieszczęsnym zrzędzeniem losu, szybko przerodziło się w koszmar lokalnej społeczności. Następstwa trzęsienia ziemi odsłoniły liczne podziemne tunele, które były wypełnione setkami ciał. Wszystko to znajdowało się pod obecnie zniszczonym kościołem Ogrodu Adama. FBI określiło tę sektę jako szczególnie niebezpieczną.

W telewizorze mignęły ruiny kościoła. Roztrzaskane i dziwnie powyginane deski oraz całkowicie zawalona wieża. Po chwili ujęcia gruzowiska zniknęły, a zamiast nich pojawiły się schody przed salą sądową. Pani Clearwater wpatrywała się w oko kamery, starając się z całych sił przyłgnąć do swojego prawnika. Na kolejnym ujęciu scena zmieniła się – przedstawiała panią Clearwater z uniesioną dłonią przed złożeniem przysięgi.

– Teraz, pięć miesięcy później, rozpoczęła się kolejna seria rozpraw członków Ogrodu Adama. Oczekujemy, że zagłębimy się w sedno tej przerażającej sprawy i odkryjemy korzenie tego kościoła. Więcej informacji przekaże państwu nasz reporter Chett Adams, który jest na miejscu i rozmawia z miejscowym chłopcem, Brianem Schmidtem.

Kamery pokazały najpierw ciężarówkę do przewozu drewna, która jechała wiejską drogą, a potem strumień kawy, która wlewała się do (zaskakująco) czystej filiżanki w restauracji Earla. Wkrótce na ekranie pokazał się Brian. Jego włosy były nasiąknięte blaskiem światełek.

– Brian, jak radzisz sobie z tym, co się tutaj wydarzyło? – zapytał Chett i, mój Boże, ten człowiek wyglądał zupełnie nie na miejscu na tle wypchanego niedźwiedzia.

– Och, jest mi bardzo ciężko, Chett. Nie mogę spać w nocy. Pomyśleć, że byłem bardzo blisko takiego czegoś...

Wyłączyłam telewizor. Irytujący głos Briana zniknął.

– Stawiają w centrum uwagi byle kogo, prawda? – wymamrotała Cherry, stojąc przy kuchennym stole. Jasne odrosty na jej włosach lśniły niczym imprezowe serpentyny wirujące wokół jej głowy. – Ten dzieciak był już w wiadomościach kilka razy. Zarzeka się, że był częścią waszej małej grupy i że pomógł wszystko rozwiązać. A dziennikarze spijają jego słowa.

– Zachowuje się tak, jakby przez cały ten czas nigdy nie dokuczał ani Elwoodowi, ani mnie – jęknął Kevin. Biorąc pod uwagę sposób, w jaki nasz solenizant odchylił się do tyłu, miał szczęście, że siedział na jedynym krześle, którego wszystkie cztery nogi były solidne. W przeciwnym razie wpadłby do śmieci. – Ten typ ciągnął mnie za spodnie w ósmej klasie, a teraz twierdzi, że jesteśmy kumplami?

– Wiesz co? Niech sobie gada – powiedział Lucas na tyle głośno, aby było go słyhać ponad syknięciem puszki. Trudno było traktować go poważnie, bo miał na głowie urodzinową czapkę Mothmana, ale biorąc po uwagę, że wszyscy mieliśmy na sobie coś związanego z tą tematyką, nie mogłam tego skomentować. – Mam dość tych wywiadów. Nie mogę wyjść z domu, bo jakiś reporter zaraz celuje kamerą w moją twarz. Jeśli Brian chce się w tym babrać, to niech się tym zajmuje.

– Och, myślisz, że ty masz ciężko? – jęknęła Ronnie. Czapeczka na jej głowie była lekko przekrzywiona, przedstawiała potwora z Loch Ness narysowanego zwykłym, czarnym markerem. Nie było tu zbyt wielu imprezowych gadżetów, więc musieliśmy się zadowolić zwykłymi kapeluszami i naszą własną wyobraźnią. – Pomyśl sobie, jak to jest być córką jedynej członkini Ogrodu Adama, która chce o tym rozmawiać... Wiem, że powinnam się cieszyć, że mama w końcu próbuje zadośćuczynić, ale nie mogę przez to wszystko normalnie żyć. Chcę tylko, żeby zostawili mnie w spokoju.

– Przykro mi, kochanie. – Wyraz twarzy Lucasa złagodniał, gdy potarł palcami skórę Ronnie. Pocałował ją w policzek, a ona przysunęła się bliżej niego, a potem...

– No i straciłam apetyt – powiedziałam, bo dostawałam alergii, gdy inni ludzie okazywali sobie przy mnie czułości. Nie dość, że było to cholernie niezręczne, to jeszcze gdy patrzyłam na ich miłostki i romanse, myślałam tylko o Elwoodzie.

– Nie wolno ci tracić apetytu – wtrącił tata. Biorąc pod uwagę, że bez zarostu jego twarz wyglądała na chłopięcą, a głos zabrzmiał jak piskliwe westchnięcie, można by pomyśleć, że na powrót stał się dzieckiem. A już z pewnością obchodził się z piekarnikiem tak, jakby był zabawką. Dopiero przy tysięcznej próbie udało mu się

ponownie nauczyć gotować i nie zwęglić jedzenia. – Naprawdę bardzo się napracowałem nad tym ciastem, więc lepiej, żebyście je zjedli.

– Ciasto ze sklepu też byłoby dobre – zażartowałam.

Dziwnie było na powrót się z nim droczyć. Sprawy między nami wciąż były napięte. Wyciągnął w moją stronę gałązkę oliwną, ale wciąż była to wątła obietnica. Wiedziałam, że mieliśmy przed sobą jeszcze długą drogę, zanim uda nam się wrócić do normalności, o ile to w ogóle było możliwe. Ale to był dopiero początek.

– Bzdury – powiedział, kładąc na stole ogromne ciasto obtoczone kremem. – Czy wypiek ze sklepu mógłby wyglądać w ten sposób?

Przygotowany przez niego tort był szary, z czerwonymi światłami UFO i dwoma kosmitami Twinkie na samej górze. Napis głosił: *SPEŁNIENIA MARZEŃ NIE Z TEGO ŚWIATA, KEVIN.*

– Nie, myślę, że to niemożliwe – parsknęłam.

Nie miało znaczenia, czy ja byłam nim zachwycona. Oczy Kevina rozbłysły i uśmiechnął się, pokazując szereg zębów.

– Jest idealny, panie G. Mogę wziąć tego Twinkie... och, to znaczy kosmitę... z samej góry? – Tata skinął głową, na co Kevin odgryzł zielonemu potworowi głowę. – Dziękuję wam. Naprawdę nie wiem, co powiedzieć. Po prostu cieszę się, że wszyscy tu jesteście.

Do tej pory tylko obracałam widelec między palcami, ale w tej chwili wbiłam go w drewno tak mocno, że pobiełały mi kostki.

– Prawie wszyscy – wyszeptałam. Nienawidziłam tego, jak mój głos się załamał.

*Są urodziny Kevina. Nie płacz. Nie płacz, nie płacz, nawet nie myśl o tym, żeby się rozpłakać.*

Ale było już za późno. Łza spłynęła po moim policzku. A za nią popłynęły kolejne. Ronnie natychmiast do mnie podeszła i objęła mnie mocno.

– Nie płacz, Wil – wyszeptała. – Nadal możesz się z nim spotkać dzisiaj po...

Być może to była najgorsza część. Bez względu na to, jak bardzo chciałam tam pójść i się z nim zobaczyć, bałam się naszej rozmowy o przyszłości. Przez cały ten czas byłam tak bardzo skupiona na znalezieniu zabójcy mamy i zapewnieniu bezpieczeństwa Elwoodowi, że nie zastanowiłam się nawet nad tym, czego ja chciałam. Świat był na wyciągnięcie ręki. Tak bardzo pragnęłam stworzyć mapę wszechświata podobną do gwiazd, które były przyklejone do sufitu mojej sypialni. Tak bardzo pragnęłam wyjechać z Pine Point.

– Nie wiem, jak zareaguje na moją wiadomość. Nie chcę go zranić.

Wtedy Lucas mnie zaskoczył. Podniósł się i w milczeniu ukroił trochę tortu zrobionego przez tatę. Kawałek wyglądał dość niechlujnie na papierowym talerzu, ale

wieńczył go drugi z kosmitów.

– Proszę – powiedział. – Coś słodkiego, żeby złagodzić cios. Chciałem zostawić mu jeden kawałek.

Na mojej twarzy pojawił się uśmiech. Otarłam łzy i spojrzałam na ofiarę z kremu maślanego, która dodała mi więcej siły, niż miałam w sobie w ostatnich miesiącach.

– Dzięki, Lucas.

Posłał mi swój charakterystyczny uśmiech, a ja po raz pierwszy nie pałam do niego czystą nienawiścią.

– Od czego ma się przyjaciół, co nie?

\*\*\*

Drzewa rozstępowały się, gdy szłam przez las Morguewood. Gałęzie trzaskały, a ciernie znikły ze ścieżki. Las był dla mnie niezwykle łagodny i chował swój dziki charakter, przemieniając się w prawdziwy obraz serca Elwooda. Nie był już gęsty, ciemny i niebezpieczny, ale pełen kwiatów – tętnił życiem.

Lato roztopiło lód. Widziałam kwiaty groszku pachnącego, tak zwane zielsko motyli i wiele innych dowodów tego, że słońce ogrzewało ziemię. Cisza została przerwana przez orkiestrę świerszczy i letnich cykad. Motyle leniwie przelatywały wśród rabatek.

Idąc drogą, która prowadziła do drzewa Elwooda, zerwałam kilka samotnych kwiatów. Jego pień wyciągał się w stronę nieba, a korona starała się sięgnąć chmur. To drzewo kiedyś wydawało się złowieszcze, ale teraz, w blasku słońca, wyglądało zupełnie inaczej.

Las wokół mnie był pełen dźwięków. Ptaki śpiewały, nawołując się w gęstwinach, a wiewiórki przemykały po gałęziach.

– Elwood? – odchrząknęłam, a potem dodałam głośniejszym głosem, krzyżąc w stronę wysokich gałęzi: – Przyniosłam ci kawałek ciastka!

– Czekałem na ciebie. – Za moimi plecami rozległ się znajomy głos.

Podskoczyłam i odwróciłam się. Elwood wszedł na polanę. W tej wersji jego poroże sięgało nieba, jego oczy były szeroko otwarte, a źrenice przypominały nieziemskie klejnoty. Bluszcz spowijał go niczym skóra. Podszedł do mnie powoli, a ja uspokoiłam nerwy, aby nie podskoczyć ani nie wzdrygnąć się na jego widok. Przyzwyczajenie się do tego wszystkiego zajęło mi trochę czasu. Myślałam, że jego przemiana dokonała się już wcześniej, ale byłam w błędzie. To właśnie tym był naprawdę – w głębi serca. Jego skrzydła miały wspaniałą odcień lata.

Z każdym krokiem przechodził kolejną transformację i coraz bardziej przypominał chłopca, którego znałam. W końcu bluszcz zniknął, a do kości przyłgnęła skóra. Jego

oczy napełniły się wspaniałą leśną zielenią. Przypominał człowieka tak bardzo, jak to było możliwe. Spojrzał na mnie, a ja dostrzegłam w nim cały las.

Nie obchodziło mnie, czym był. Rzuciłam się w jego stronę, wpadłam mu w ramiona i niechcący cisnęłam w niego tacką z ciastem.

– Ty głupku. – Westchnęłam, wbijając paznokcie w jego plecy. Dopiero po chwili zdałam sobie sprawę z tego, co zrobiłam. – O Boże, przepraszam, zrujnowałam twoje ciastko.

Starł kleks lukru ze swojego policzka.

– Czy to krem maślany?

– Według przepisu taty.

– Przekaż szefowi kuchni, że jest doskonały.

Było to tak niewiarygodnie normalne, że nie powstrzymałam śmiechu. Przez cały ten czas byłam bardzo zdenerwowana, a teraz rozmawialiśmy o czymś tak nieistotnym jak lukier.

– Nie powinnaś być teraz na przyjęciu? – zapytał, a na jego twarzy pojawił się delikatny uśmiech. Bardziej przypominał chłopaka, który był gotowy pójść na bal maturalny aniżeli ducha lasu. Nie potrafiłam stwierdzić, czy było to głupkowate, czy raczej ujmujące.

Szczęście zniknęło z mojej twarzy. Na jego miejscu pojawiło się poczucie winy.

– Wyszłam wcześniej. Chciałam z tobą porozmawiać.

Ścisnął moją dłoń. Jego dotyk był ciepły. Był ludzki. Ziemia pod jego stopami wygładziła się, ukazując krętą ścieżkę. Ruszyliśmy nią i doszliśmy na pustą polanę.

Z każdym krokiem powietrze stawało się coraz cieplejsze – tak ciepłe, że rozpięłam mój wiosenny płaszcz i zdjęłam go z siebie. Położyliśmy się na trawie i utkwiliśmy wzrok w chmurach koloru pudrowego różu. Słońce chowało się za horyzontem, skrapiając niebo ostatnimi promieniami.

Powinnaś opowiedzieć mu o swoich planach, ale jeszcze na moment się z tym wstrzymałam. Zamiast tego zapytałam:

– Jak się czujesz w tej nowej formie?

– Nie potrafię tego opisać – rzekł. Obrócił się na bok i wyciągnął rękę, aby móc bawić się kosmykiem moich włosów. – Ale to wszystko nabrało dla mnie znaczenia. Nigdy wcześniej nie czułem się tak kompletny. Gdybyś wcześniej zapytała mnie o to, kim jestem, nie potrafiłbym ci odpowiedzieć. Ale teraz... – Uśmiechnął się szerzej, niż wcześniej. – Teraz już to wiem. Jestem lasem. Każdym drzewem, każdym źdźbłem trawy. To wszystko jest mną. Zawsze tak było, choć nigdy tego nie wiedziałam. To mój dom. Las mnie przyjął, bo byłam pierwszą ofiarą, która dobrowolnie się mu oddała.

Ułożyłam się wygodniej na ziemi i wtuliłam się w miękką, kołysaną wiatrem trawę.

Gdy zgasły ostatnie promienie słońca, pojawiły się świetliki, które rozstąpiły się we wszystkich kierunkach niczym wybuchające fajerwerki. Były piękne, a ciemność wokół nich tylko dodawała im uroku. Tańczyły ponad nami i żaden z nich nie wychodził poza niewidzialną barierę. To było miejsce, w którym kończyła się zima, a zaczynała wiosna.

Chciałam odwzajemnić jego uśmiech, ale gorzkie pytanie wciąż nie dawało mi spokoju.

– Mógłbyś opuścić ten las, gdybyś kiedykolwiek tego zapragnął?

Moje słowa sprawiły, że radość zniknęła z jego twarzy. Otworzył usta, ale potem na powrót je zamknął.

– To skomplikowane, Wil. – Spojrzałam na niego pytająco, więc spróbował wyjaśnić to raz jeszcze: – Po pierwsze nie mam już ludzkiej powłoki i...

– A więc jesteś tu uwięziony?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– To nie tak. Powiedziałem ci już, że nie jestem w stanie tego wyjaśnić. Nie chcę stąd odejść. To mój dom. To nawet więcej niż dom.

Zapadła pomiędzy nami cisza. Spojrzał mi głęboko w oczy i nagle zrozumiał, co chciałam powiedzieć.

– Chcesz odejść. To właśnie o tym bałaś się powiedzieć?

– Tak. – Przed tym wszystkim wykrzyczałabym to ze wszystkich sił. Bez chwili zawahania. Zawsze patrzyłam na gwiazdy przyklejone do sufitu i marzyłam o dniu, w którym dowiem się, co kryje się poza granicami tego miasteczka. Teraz samo przyznanie się do tego marzenia wydawało mi się bolesne. Mój żołądek skręcił się z poczucia winy. – Jest tak wiele miejsc na świecie, których nie widziałam. Zawsze powtarzałam mamie, że ja...

Elwood kreślił kciukiem uspokajające kółka na moim policzku.

– Zrób to, Wil. Zobacz cały świat.

Pokręciłam głową. Może uważał, że jego uczucia były skomplikowane, ale to, co ja czułam, wcale nie było proste.

– Nie mogę tego zrobić. Biznes... ty...

– Twój tata jest silniejszy, niż ci się wydaje. – Uśmiechnął się do mnie szczerze. – A jeśli chodzi o mnie, to mogę czekać całą wieczność, aż wrócisz do domu.

– Naprawdę? – Nie zdawałam sobie sprawy z tego, że płakałam, dopóki nie otarł moich łez.

– Naprawdę – powtórzył. – Zobacz cały świat, a potem, gdy wrócisz, opowiesz mi o wszystkim, co widziałaś. – Jego śmiech był ciepły i otulał mnie niczym letni wiatr. Mrugnął do mnie. – A jeśli przywieziesz mi jeszcze jakieś pamiątki, tym lepiej.

Zaśmiałam się.

– Co byś zrobił z tymi bibelotami? Z magnesami na lodówkę, ze szklanymi kulami i koszulkami?

Elwood wzruszył ramionami.

– Będę miał cały ogród pamiątek. To będzie coś pięknego.

Nie mogłam walczyć z falą ciepła rozlewającą się w mojej klatce piersiowej. Poruszyłam palcami, przecesałam trawę i splotłam dłoń z dłonią Elwooda.

– Kocham cię.

– Pozwól mi to usłyszeć jeszcze raz.

Pachniał lasem. Igłami sosnowymi, poszyciem i mokrą od deszczu korą. Był to wyrazisty, ziemisty zapach, który można znaleźć tylko w wodach kolońskich. Oskarżyłam go kiedyś, że perfumuje się przed zajęciami, ale teraz pomyślałam, że chyba byłam w błędzie. Możliwe, że zapach lasu płynął w jego żyłach. To dlatego jego oczy były takie zielone – w jego tęczęwkach tętnił las.

– Nie przeciągaj struny – powiedziałam, ale nawet ja nie byłam odporna na jego szczenięcą minę. – Kocham cię. Proszę. Zadowolony?

– Najszczęśliwszy – wyszeptał. – Myślę, że nasza historia dopiero się rozpoczyna, Wil.

A potem patrzyliśmy, jak na niebie pojawiały się gwiazdy.



# Podziękowania

Fakt, że mogę napisać sekcję podziękowań jest czymś surrealistycznym. Czuję się tak, jakbym została wywołana na scenę, aby wygłosić przemówienie. Stoję przed zebranymi i spoglądam na karteczki z notatkami. Jest tak wiele osób, którym pragnę podziękować, że nie wiem, od czego zacząć.

Najpierw pragnę podziękować programowi Pitch Wars i moim dwóm, niesamowicie utalentowanym mentorkom, Allison Saft i Avie Reid (proszę, spojrzcie na ich książki, jeśli jeszcze tego nie zrobiliście), za to, że dostrzegły potencjał w tej specyficznej historii i pomogły mi dokonać jej transformacji. Nie sądzę, aby udało mi się to zrobić bez ich wsparcia. Kocham Was obie!

Dziękuję mojej niesamowitej agentce, Claire Friedman – jesteś wspaniała i pomogłaś mi spełnić moje największe marzenie. Dziękuję Maggie Rosenthal, redaktorze czarodziejce, która dostrzegła coś wyjątkowego w *Gnijącym miasteczku* i z którą mogłam prowadzić niekończące się rozmowy o owadach. Dziękuję całej reszcie zespołu Viking, ludziom, którzy poświęcili tyle czasu i uwagi redagowaniu mojej książki! Zawdzięczam Wam wszystkim tak wiele: Marinda Valenti, Abigail Powers oraz Nicole Wayland.

Dziękuję mojemu mężowi, Derekowi, który znosił mnie, gdy każdego ranka o czwartej rano zrywałam się z łóżka, aby pisać, oraz gdy nieustannie głądziłam mu nad uchem o mojej owadziej książce. Kocham Cię. To samo dotyczy się mojej mamy, ojczyma, dziadków i pradziadków oraz mojej młodszej siostry Celeste. Moja rodzina wspierała mnie, gdy już jako dziecko pisałam opowiadania. To oni, już od najmłodszych lat, zaszczepili we mnie miłość do pisania.

Dziękuję moim pierwszym czytelnikom: Kalli Harris oraz Phoebe Rowen. Przeczytałyście każdy szkic tej opowieści (i widziałyście każdą wersję Elwooda) i zawsze byłyście przy mnie, aby mnie wspierać. Doceniam Was bardziej, niż jestem w stanie to wyrazić. Jesteście dla mnie całym światem.

Dziękuję Rachel Moore oraz Marii Pawlak! W dwa tysiące dziewiętnastym roku wymienialiśmy się opowieściami i tak cudownie było patrzeć na to, jak się rozwijacie. Bez Was moja historia nie byłaby tu, gdzie jest dziś, i nie byłoby również naszej grupy pisarskiej! Jestem z Was nieskończenie dumna i nie mogę się doczekać, aby zobaczyć, co przyniesie przyszłość. Uwielbiam Was!

Dziękuję wszystkim moim przyjaciółkom z Pitch Wars! Juliet Hollihan, Courtney Kae, Olivia Liu, Kyla Zhao oraz reszcie PW 2020. Jesteście najlepsze.

Dziękuję Hex Quills. Jesteście dla mnie kimś więcej niż tylko grupą pisarską. Jesteście moimi bliskimi przyjaciółmi i jestem wdzięczna za Waszą obecność: Brittany Amalfi, Holly Blanchard, Alex Brown, Shay Chandler, Livy Hart, Helena Hoayun, Kara Kennedy, Shay Knell, Kat Korpi, Samantha LaVallie, Wajudah Maheeb, Marina Massino, Alex Meese, Darcy Pope, Mackenzie Reed, Lindsey Skipworth, Morgan Spraker oraz Abby Welch.

Dziękuję też wszystkim moim przyjaciołom z Team Claire (a szczególne podziękowania składam Courtney, która pozwoliła mi krzyczeć przed Wezwaniem). Dziękuję też Jennifer Elrod (pозwoliła mi krzyczeć więcej razy, niż jestem w stanie to zliczyć). I dziękuję również Codie Crowley za podnoszenie mnie na duchu!

Ogromne podziękowania dla mojej najlepszej przyjaciółki, Cassie Bridenhagen, za to, że jest przy mnie od czasów liceum.

I na koniec pragnę podziękować Tobie, czytelniku, za to, że sięgnąłeś po tę dziwną książkę i przeczytałeś ją do samego końca. Teraz ta opowieść należy do Ciebie.

- 
- <sup>1</sup> Nancy Drew – jest bohaterką cyklu powieści kryminalnych dla młodzieży, pisanych pod pseudonimem Carolyn Keene. Historie te opowiadają o dziewczynie, która rozwiązuje zagadki kryminalne (przyp. tłum.).
- <sup>2</sup> Morguewood (ang.) – połączenie słów „kostnica” i „las” (przyp. tłum.).
- <sup>3</sup> WWE (ang.) – World Wrestling Entertainment – amerykańska firma, która zajmuje się organizowaniem występów i walk związanych z wrestlingiem (przyp. tłum.).
- <sup>4</sup> *Papilio troilus* (z łac.) – gatunek motyla zamieszkujący Amerykę Północną (przyp. tłum.).
- <sup>5</sup> John Deere – amerykańskie przedsiębiorstwo zajmujące się produkcją maszyn przeznaczonych do leśnictwa i technologii rolnej (przyp. tłum.).
- <sup>6</sup> *Saturnia pavonia* (łac.) – gatunek ćmy, po angielsku nazywany również „ćmą cesarską” (przyp. tłum.).
- <sup>7</sup> *Papilio palinurus* (łac.) – gatunek motyla, po angielsku nazywany również „szmaragdowym jaskółczym ogonem” ze względu na jasnozieloną barwę i kształt skrzydeł (przyp. tłum.).
- <sup>8</sup> *Polygona comma* – motyl występujący w Ameryce Północnej (przyp. tłum.).
- <sup>9</sup> *Hyalophora columbia* – gatunek ćmy, nazywany po angielsku „kolumbijską ćmą jedwabnikową” (przyp. tłum.).
- <sup>10</sup> *Acheronia atropos* – żółto-brązowa ćma nazywana po polsku Zmierznicą Trupią Główką, ponieważ na tułowiu ma wzór przypominający czaszkę (przyp. tłum.).
- <sup>11</sup> Alderwood (ang.) – drzewo olchowe (przyp. tłum.).
- <sup>12</sup> Abe Lincoln – chodzi tutaj o Abrahama Lincolna, prezydenta Stanów Zjednoczonych w latach 1861-1865 (przyp. tłum.).
- <sup>13</sup> St. Ignace Mystery Spot – miejsce atrakcji turystycznych w Górnym Półwyspie Michigan, w którym rzekomo sprzęty nie działają prawidłowo, grawitacja zdaje się płątać figle, a przebywający tam ludzie doświadczają wielu fizycznych i optycznych wrażeń (przyp. tłum.).
- <sup>14</sup> Marquette – miasto w Michigan (przyp. tłum.).
- <sup>15</sup> Mothman – legendarny człowiek-ćma (przyp. red.).
- <sup>16</sup> Mean (ang.) – złośliwy, wredny (przyp. tłum.).